

# POST 7/8



**wolne pismo**

# MOST

Lipiec 7-8

Warszawa 1986

## SPIS TREŚCI

<u>Od Redakcji</u>	3
<u>Przed I Siedzibą KPZR</u>	
Polina Staniakowski: Przygotowanie fasady	5
Edward Gierok przed Komisją Grabskiego /oprac. Jerzy Zambrón/	12
Ewa Berberysz: Pozienkon, with Love	35
R. Pos: Klepsydra	46
<u>Po XIVII Siedzibie KPZR</u>	
Stefan Kościelec: Czerwona magia	47
Karol Sękota: Pierwszy z "polskich miesięcy" /Poznański Czerwiec '56/	53
Edward Wieliszewski: Polowanie /Ursus '76/	59
R. Pos: Wiersze	66
<u>Analizy i propozycje</u>	
Jerzy Surdykowski: W poszukiwaniu dróg wyjścia	67
Karol Winnicki: Interesy Polaków /2/	83
<u>Bojkot czy obecność</u>	
Andrzej Sosnowski: O potrzebie opozycji ideowo-rozrządkowej	99
Co od nas zależy /rozmowa Ewy Berberysz z Bronisławem Gereskiem	102
Klemens Szaniawski: Miejsce twórcy w Kościele	109

Polska i Polacy

Tadeusz Lepkowski: Jacy byliśmy i jacy jesteśmy?	113
Daniel Beauvois: Stereotyp "polskiej anarchii"	126
Adam Sarna: Czterdziestolscy "Kultury" paryskiej	136
Anna Frajlich: Wiersze	139
Andrzej Julicki: "Solidarność" wobec kryzysu społeczno-gospodarczego /3/	140
Francesco M. Cataluccio: Peroniona reforma	149
Aleksander Heller, Michał Niekricz: Utopia u władzy /5/	153

Świadcstwa

J. Menaker: Ural ska Hiroszima	160
--------------------------------	-----

Fakty - Sygnały - Opinie

Epitafium dla liberała	167
Powroty - odwroty	170
Na banicji	173
"Krakowska"	175
"Wieloryby" i inni	177
Uczmy się od Emilii Plater	179
"KOS-owi" pod rozwagę	182

Copyright by MOST **wolne pismo**

Świeżo po lekturze sporej porcji n a s z e j prasy "codziennej" zamykamy kolejne wydanie "Mostu", licząc - być może przesadnie optymistycznie - że zdąży ono dotrzeć do Czytelnika jeszcze przed X zjazdem ZKPR. Ktoś może, oczywiście, powiedzieć - i będzie miał rację - że i c h zjazd, to nie n a s z a sprawa i że bez sensu jest przywiązywać do tego wydarzenia jakąkolwiek wagę. Ale przecież nie żyjemy na Księżycu i to nie komici, ale o n i trzymają nas na razie za gardeo. Nie jest więc tak całkiem bez znaczenia, co się tam będzie odbywało. I z tego właśnie punktu widzenia interesującą nas się wydało, co ostatnio pisze n a s z a, a co i e n prasa.

Otóż w naszej - choć oczywiście nie we wszystkich tytułach - dominuje ton zniechęcenia, raczej bezradności, poczucia klęski, oczekiwaniami na jakiś cud, który może - lecz chyba jednak nie - wrócić się wydarzy. Oczywiście, powodów do radości szczerogłównych nie mamy. Cozas dotkliwiej, niemał z dnia na dzień, odczuwamy pogarszanie się warunków życiowych. Z jednej strony - tym razem bez żadnych już pozorów konsultacji - kolejną podwyżką żywności, a tuż za nią "zmiana" cen opału i energii, drastyczny wzrost opłat komunikacji miejskiej oraz sierpniowa perspektywa podwyżek mięsa i wędlin; z drugiej zaś - totalny bałagan, szaryzna życia, niemożność normalnego załatwienia najprostszego choćby rzeczy w sąsiedniej lubym urzędzie - oto obraz życia Polaka A.D. 1986 pod rządami komunistycznych biurokratów. I kolejne aresztowania - nieoczekiwane, selektywne, wiele wpadek przypadkowych, zastrzeżenie rygorów więziennych, sądowe farsy, coraz słabiej ukrywane natarcie na Kościół - to wszystko może rzeczywiście odebrać, lub poważnie nadwerzężyć, wiarę już nie w zwycięstwo, ale w jakis względnie normalne życie, we względnie bliższej perspektywie.

Ale z drugiej strony faktem jest, że przecież t r w a - my w opozycje, że i po naszej stronie wcale nie jest tak mało zysków. Nie ma sensu raz jeszcze tutaj wymieniać je wszystkie - są powszechnie znane, mimo ewidentnych strat, ponoszonych w oddzielnej szarpaninie z władzą. Powiedzmy tu tylko - z najgłębszym przeświadczeniem - jedno: władza również nie wygrała i bardzo jej do tego daleko. A to jest ważniejsze niż o cokolwiek, zwłaszcza, że ma ona tego świadomość. Pomijając, że ma wiedzę o swej izolacji w społeczeństwie, mimo służalczych deklaracji i zapewnień różnych Dobraczyńskich, Żukrowskich i tysięcy innych pieczeniarzy, podkarmianych z jej żłobu, mimo wysiłków stada starych, sgranych dziennikarskich liuzów - wie też, że prócz nas ma jeszcze jednego przeciwnika, o wiele trudniejszego do pokonania, lub choćby tylko zneutralizowania. Jest nim, rzecz jasna, rozłożona na obis Łopatkki gospodarka, w której - jakby nie szukać - nie

widać najmniejszego "świąteczka w tunelu". A co więcej, jest to niestety nie do ukrycia.

Oto tytuły z kilku na chybił trafił wybranych egzemplarzy trzech centralnych dzienników /głównie wszakże z "Trybuny Ludu"/, dotyczących najróżniejszych dziedzin naszego życia społecznego i gospodarczego: "Jak na bankruta nieśmia kondycja...", "Bilans energetyczny: jak i czym uszpeścić", "W energetyce bez wytchnienia". A gdzie jest wytchnienie, może w rolnictwie? A tu w rolnictwie: "Korek peken problemów", i tuż obok: "Kto pomoże rolnikom w Raciążu?" /Tylko w Raciążu? I kto w koście, a licha, pomoże!/? A może w handlu? A tu w handlu "Rexler sporo", a poza tym: "Kolejkowe błędne koło". A ponadto: "Waszyny czekają na części", "Do montowania silosów brakuje nie tylko śrub", "Brakuje ludzi i urządzeń". Co gorzse, ciągle nie wiadomo "Jak zapewnić stabilność załogi?", a "Mechanizacja wojsk z dżiurami". Czy w tej sytuacji warto się zastanawiać: "Czy lubelska Pella pokona trudności?", skoro "Mieble nie wytrzymują jazdy koleją" i "Podobno nie na wajas?". Najgorzej zaś, że "Ilość nie przeszła w jakość" i że "Programy nie zastąpią działania". A ponieważ najwyższy czas, aby nastąpił "Koniec dreptania" a "Optymizm jest bardzo potrzebny", komuniści udają się na kolejny szjazd swej partii, gdzie wyteją mągi i napręda muskuły i - oczywiście - uchwalą kolejny program. I de capo al fine... Póki co, Generał uszanuje a to moralność społeczną, a to praworządność państwa, bo tylko takie może być podobno silne. I tak nam kwitnie socjalistyczna odnowa.

Mimo czarnego obrazu psocjalowskiej rzeczywistości, jaki się z łamów i c h gazet wylania, trudno nie żywić w związku z tym, mimo wszystko, pewnej odcypty optymizmu. Bez nas tego wszystkiego bowiem nie zżatwią. Jak słusznie napisał "KOS" - choć w niace innym kontekście - "Komuniści sporo roboty wykonują za nas, ale nie mogą wykonać wszystkiego. Nie można od nich za dużo wymagać."

Pamiętajmy więc o tym, budujmy mosty między sobą, szukajmy tego, co nas łączy mimo różnic i bądzmy przygetowani. Nasz czas nieuchronnie musi nadejść, bo ich czas pracuje dla n a s, choć zapewne nie będzie to już jutro. Nie opuszczajmy więc rąk i rębmy swoje. A im życzymy jak najowoenniejszych obrad. I tak niewiele z nich wynikaie.



Feliks Stanisławski

# PRZYWRACANIE FASADY

"Wyszliśmy z zapaści. Nie daliśmy się rzeźić na kłana..!" Tak, najbardziej lapidarnie, określił sytuację partii pomiędzy IX a X Zjazdem PZPR Wojciech Jaruzelski, przemawiając na XXV plenum /marzec 1986 r./, które wyznaczyło już definitywnie datę Zjazdu na koniec czerwca 1986 r.

Jaruzelski, podobnie jak generał Ne Win, dyktator Birmy i wielu innych azjatyckich i południowoamerykańskich generałów, coraz częściej woli występować w eleganckim garniturze niż w generalskim uniformie. Podkreśla w ten sposób swoje cywilne obowiązki pierwszego sekretarza i prezydenta w jednej osobie. Może już zapomniał, że pięć lat temu, kiedy to w połowie października 1981 r. przejmował ster partii od wybranego dwa miesiące wcześniej, na IX Zjeździe, Stanisława Kania, czuł się podobno /przynajmniej tak mówi/ jak prawdziwy żołnierz, "odkomenderowany przez partię do nowego zadania". Przypomnijmy, wybrano go wtedy 180 głosami przy 4 przeciwnych, ale za przyjęciem rezolucji Kania głosowały 104 osoby, przeciw - 79. Myślę, że mający dobrą pamięć i uchojący za pamiętliwego generał, tych wyników głosowania nie zapomni.

Od tamtego właśnie momentu skupił w swych rękach władzę niemal dyktatorską, wbrew uchwalonemu statutowi PZPR, zabraniającemu łączenia stanowisk partyjnych i rządowych. Zapomniał jednocześnie - mimo wspomnianej wyżej, dobrej pamięci - że tak niedawno komisja powołana na X plenum, oceniająca osobistą odpowiedzialność ekipy Gierka, zarzucała jej m.in. brak uregulowania kompetencji Biura Politycznego i rządu, ich wzajemnych zależności i zakresu odpowiedzialności. Teraz kwestia ta przestała istnieć, jako że Jaruzelski występował już w dwóch osobach, jako szef partii i rządu jednocześnie.

Stanisław Kania okazał się za miękki do przeprowadzenia, przygotowywanej już od miesięcy, w ścisłej tajemnicy, godzi-ny X, wyznaczonej ostatecznie na 13 grudnia 1981 r. To Jaruzelski miał być tym wojskowym chirurgiem, który za jednym zamachem miał wyleczyć "zanarchizowaną" gospodarkę i partię, która - jak mówił obrazowo Albin Siwak - "po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, jak ciężko chorego człowieka miała szansę wstać z łóżka boleści i potykając się iść wolno do przodu na własnych nogach... Nasze nadzieję przyki jak bańka mydlana, bo jeszcze nigdy sądnemu lekarzowi nie udało się wyleczyć pacjenta bez usunięcia źródeł choroby". /"Nowe Drogi" nr 11/81 s. 86/.

Jaruzelski operację przeprowadził, źródło choroby, które znajdowało się na zewnątrz, czyli "Solidarność", rozbroił,

pacjent, czyli partia, o mały włos przy tym nie umarła. Zastanawiano się bowiem wtedy poważnie, w ścisłym gronie ludzi przygotowujących wprowadzenie stanu wojennego, czy - wzorem węgierskim - nie rozwiązać za jednym zamachem, obok związków zawodowych, również partii. Odkaszając jednocześnie natychmiast nowy nabór i przeprowadzając odpowiednio przygotowaną weryfikację. Zwyciężyła jednak idea nierozwiązywania partii, ale ograniczenia jej roli w okresie stanu wojennego i częściowo zastąpienia organizacją wojskową. Do tego miała służyć Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON), o której istnieniu dowiedzieliśmy się 13 grudnia rano i która składała się z 21 osób na czele z Jaruzelskim; było wśród nich trzech generałów broni, jeden admirał, dziewięciu generałów dywizji, dwóch generałów brygady, trzech pułkowników i dwóch podpułkowników. WRON oświadczyła, że "działa przez resortowych, wojewódzkich, miejskich i gminnych pełnomocników - komisarzy Komitetu Obrony Kraju". Na ile była to organizacja dekoracyjna, na ile w rzeczywistości przejęła pełnię władzy, trudno odpowiedzieć definitywnie. W terenie wyglądało to bardzo różnie, w zależności od indywidualności komisarza. Nie jest również jasne, czy to rzeczywiście cała WRON podejmowała w stanie wojennym najistotniejsze decyzje, czy raczej podejmowano je w mniejszym i mniej dekoracyjnym gronie /na przykład bez płk. M. Hermaszewskiego?/. Nie ulega jednak wątpliwości, że w tych pierwszych miesiącach komitety partyjne nie miały nic do gadania, zostały zdektroizowane, co nie znaczy jednak, że partyjna góra została całkowicie od władzy odsunięta.

Tradycyjny układ został zachwiany, ale nie zburzony do końca i był powoli odnawiany. Ten tradycyjny układ w PRL nigdy nie był przejrzysty. Zadania administracji państwowej, gospodarczej, zawsze były częściowo wykonywane przez partię, mającą w ostateczności głos decydujący, choć często nie ujawniony publicznie. Kierownik wydziału KC znaczył prawie zawsze więcej niż resortowy minister, chociaż i tutaj, np. w okresie rządów Jaroszewicza, pozycja wydziałów KC jakby została zachwiana. Ważne jest i to, że partia bardzo często ukrywała się za innymi organizacjami i przejmowała ich funkcje /np. Komisji Planowania/. Dłok partii i administracji istniał jeszcze trzeci ważny układ - wyposażony w duże kompetencje aparat policyjny. Rola tego resortu wzrosła niepomierzenie w okresie stanu wojennego i /być może jeszcze bardziej/ po jego zniesieniu. Jest to najszybciej rozwijający się resort, prawdziwe państwo w państwie, mające od 1983 r. nowe uprawnienia i rozszerzone kompetencje. W miejsce komend MO powołano terenową sieć Urzędów Spraw Wewnętrznych. /Na 3 tysiące kandydatów do partii, jakich przyjeżdżało w stolicę w 1985 r., z MSW zgłosić się 306 funkcjonariuszy, a w komendach dzielnicowych dalszych 231. Tak więc 17% warszawskiego narybku partyjnego stanowią ubeci i policjanci!/.

Z tej trójcy - partia, administracja, policja - rzadko wyodrębnia się wojsko jako osobny układ, mimo jego odrębności organizacyjnej. Wydaje się jednak, że w Polsce lat 1981-1985 wojsko uzyskało status specjalny. Widać to było już w czasie IX Zjazdu, kiedy to młodzi wojskowi delegaci wiedli prym w politycznych utarczkach, jakie toczyły się w komisjach. Kadra Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego skutecznie zastępowała agendy propagandy KC.

Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało prawdziwe trzęsie-

nie ziemi waw miarę stabilnym układzie zależności. Wojsko wyszło z tego boju zwycięsko. Jaruzelski obsadził swymi ludźmi wszystkie ważne stanowiska w rządzie i partii. Za generalami, którzy teraz stawali się ministrami ciągnęły poza watahy pułkowników, którzy sadzili się na ciepłych posadkach. /Ministrem górnictwa został gen. Cz. Piotrowski - szef badań i rozwoju techniki wojskowej, prezesem Najwyższej Izby Kontroli gen. dyw. T. Rupałowski, kierujący jednocześnie Inspekcją Robotniczo-Chłopską, prezydentem Warszawy gen. Dębicki; drugą osobą w partii jest dziś w randze sekretarza KC gen. J. Baryka itd./ Do dziś GZP, ta dziwna brygada, która jest zarazem częścią PZPR na prawach wydziału KC i częścią administracji państwowej - jako dział MON-u, mimo iż spike-rzy telewizji dawno już rozstali się z wojskowymi mundurami, ma codzienny wgląd w pracę telewizyjną. My, otrzymujemy do wglądu tzw. "spiegel", czyli minutowy rozkład informacji dziennika telewizyjnego. Może więc GZP, obok wydziału propagandy KC i sekretarza J. Głowczyka, a także bezpartyjnego rzeczownika rządu J. Urbana, sterować i wpływać na kształt tej najważniejszej audycji telewizyjnej. Ten drobny przykład wskazuje bardzo wyraźnie, że wszystkie te układy są ze sobą powiązane, przenikają się wzajemnie przez "swoich ludzi", często reprezentujących, nie jawnie, jeden układ w innym.

Wróćmy jednak do sytuacji partii. W latach pięćdziesiątych liczba członków PZPR wahała się wokół miliona; szybki wzrost nastąpił w latach sześćdziesiątych, a później siedemdziesiątych. W 1979 r. liczba członków PZPR przekroczyła 3 miliony. W okresie od 1971 r. do czerwca 1980 r. przyjęto w poczet kandydatów ponad 1,5 miliona osób, z czego większość między VII a VIII Zjazdem. Odeszło w tym samym czasie z partii ponad pół miliona osób, w większości robotników i chłopów. Był to prawdziwy exodus, odbywający się falami, przed i po IX Zjeździe, przed i po 13 grudnia 1981 r. W niektórych organizacjach wojewódzkich odeszło z partii 30-40% ludzi. W Płocku np. organizacja zmniejszyła się o 30%. Można śmiało powiedzieć, że w wielu ośrodkach oficerowie, czyli aparat partyjny, pozostali bez armii. Nic więc dziwnego, że - jak pisze M. Chabowski /sekretarz KW PZPR w Gdańsku/ - "główny ciężar pracy partyjnej, jak i oddziaływania na środowisko wziął na siebie przede wszystkim aktyw funkcyjny".

Pozostał aparat, partia się rozpyknęła. PZPR stała się organizacją skupiającą przede wszystkim aparat władzy i ludzi ubiegających się o względy władzy. W stolicy np. stopień upartyjnięcia najwyższy jest /poza służbę bezpieczeństwa, gdzie niemal wszyscy należą do PZPR/ w wymiarze sprawiedliwości - wynosi 38%; wśród pracowników administracyjno-gospodarczych - 21%, w kulturze i sztuce - 12%, a w służbie zdrowia - 7%. Według oficjalnych danych robotnicy stanowili w PZPR w 1982 r. 40,2%, chłopci - 9,1%, inni - 51,7%. Obecnie kładzie się akcent na odbudowę właściwej struktury społecznej partii. Idzie to jednak bardzo opornie. W Gdańsku np. przyrost partyjny w 1985 r. odnotowało tylko 57% podstawowych organizacji.

22 lipca 1983 r. stan wojenny został formalnie zniesiony, więc wszystko jakby wrócić na swoje miejsce. Ale tylko formalnie. Generalowie bowiem wrócili już do koszar. W wojsku powrót oficerów na stare stanowisko jest w ogóle niemoż-



litwy, zajmują je bowiem natychmiast inni. Nie wiele - jak wiadomo - zmieniło się w ustawodawstwie, wiele obostrzeń i środków nadzwyczajnych zostało "zadaptowanych". Rozpoczęto się natomiast coś, co można określić przywróceniem fasady. "Historia dowodzi - czytamy w referacie Rura Politycznego na XVI Plenum /czerwiec 1984 r./ - że nie można budować socjalizmu bez kierowniczej roli partii marksistowsko-leninowskiej. Gwarantuje ona niezbędne w walce o socjalizm i jego rozwój zorganizowanie i jedność polityczną klasy robotniczej oraz przodującą rolę tej klasy, zapewnia skuteczność jej działania".

Z historią nie ma żartów. Powraca się więc do organizowania coraz to innych plenum partii, wielogodzinnych zasiadówek, uchwał, z których możemy się dowiedzieć takich rewelacji, jak to, że "partia stopniowo odsyłkuje wpływy i zaufanie w społeczeństwie". Gen. Jarnalski powraca do swego gabinetu w gmachu KC PZPR, ale na wszelki wypadek nie likwiduje swego poprzedniego biurka. Przeciwnie, jeszcze raz dokonuje istotnej zmiany stanowiska, opuszcza stołek prezesa Rady Ministrów, zamieniając go na fotel przewodniczącego Rady Państwa. Sytuacja gospodarcza kraju jest coraz trudniejsza, reforma jest systematycznie blokowana, inflacja przybiera na sile. Ceny rosną szybko, ale jednocześnie rosną także płace, a tym, że najwybitniejsi płace tych, którzy mają płacy, należą do silnego lobby górniczo-hutarskiego, wznoszą więc dwuprocentowe płacowe. Gen. Jarnalski nie może nie dostrzec tego, co się dzieje. Woli więc odpowiedzialnie rządzić i oddać w ręce buchaltera Zdzigniewa Messnera, samemu zachowując dystans wobec bieżącego starostwa gospodarką. W razie potrzeby będzie mógł się zawsze zdystansować od niepopularnych podjętych decyzji /a innych praktycznie nie ma/.

W trudzie i moździe redził się projekt programu partii. Mimo iż pracowała nad nim prawie dwustusobowa komisja i 46-osobowy zespół redakcyjny, że maglowano go wielokrotnie na posiedzeniu Komisji Ideologicznej KC, a następnie na II Ogólnopolskiej Partyjnej Konferencji Ideologiczno-Teoretycznej i na XXIV Plenum KC PZPR - powstało coś, o czym można powiedzieć, iż góra urodziła myśl. Jest to gigantyczny zbiór frazesów, rodzaj propagandowej wizytówki. Nic więc dziwnego, że dyskusja wokół tego dokumentu była niemiara. Przebieg zebrań sprowadzał się do tego, że wyznaczeni towarzysze streszczały poszczególne rozdziały, a następnie rozpoczynała się dyskusja, na którą najczęściej nie było już czasu. Jak pisała "Trybuna Ludu" na marginesie takiego zebrań w WSE "Okęcie", w dyskusji dominowała krytyczna ocena projektu programu jako "nie do przyjęcia", stwierdzenia, że to "tylko koncert życzeń, zapis obietnic i nadziei" /tokarz/, "program kojarzy się raczej z dobrym kasz-niem" /dyrektor/, "piszemy o dobrobycie, a w ostatnich latach następuje spadek stopy życiowej".

Krytyka dotyczy przede wszystkim niejasnej perspektywy bieżącego pięcioletcia. Plan 5-letni, który jest właśnie wykonywany, krytykowany jest przez wszystkich za swoją anemiozność, brak jasnego określenia celów i precyzyjnej wizji: dokąd idziemy. Nie mając więc wizji, nie mając w gruncie rzeczy niczego atrakcyjnego do zaoferowania swoim członkom, PZPR może jedynie kupczyć władzą, kusić stanowiskami.

W tej sprawie Jaruzelski jest dość konsekwentny. W październiku 1982 r. na XIII plenarnym posiedzeniu KC opracowano "Główne założenia polityki kadrowej PZPR". Również na XXV Plenum potwierdzono jak gdyby kluczowe znaczenie polityki kadrowej dla partii. Wszystkie ważniejsze stanowiska w kraju, od góry do dołu, podlegają rekomendacji i akceptacji przez instancje partyjne. Na każde stanowisko - poczynając od gminy, przez instytucje, po resorty - obowiązuje ta żelazna zasada. Obowiązuje zasięgnięcie opinii macierzystych podstawowych organizacji partyjnych o kandydacie na stanowisko kierownicze. Od XIII plenum do XXV minęło dwa i pół roku i następuje "dojrzewanie systemu". I chociaż, jak z żalem stwierdził tow. Władysław Honkisz, zdarzają się wciąż przypadki obsadzania stanowisk kierowniczych w zakładach pracy bez zasięgnięcia opinii POP, to jednak zasadę przywrócono, a nawet więcej - rozszerzono ją. Żadna nominacja, żaden wyjazd za granicę, czy awans nie może odbyć się bez wiedzy i zgody partii.

Częściowo jest to, oczywiście, fikcja, w wielu bowiem zakładach partia nie ma większego znaczenia. Jest podporządkowana dyrekcji, ale w wielu innych jednostkach jest rzeczywistie czynnikiem, z którego głosem musi się liczyć każdy. Nie daj Boże im się narazić!

Z jakimi problemami boryka się aparat, ujawniła dyskusja na XXV plenum. Ciągłe powstaje dylemat: kogo należy stawiać na kierownicze stanowisko? Czy tego przygotowanego ideologicznie, czy tego profesjonalnie? Takie zmartwienie miała np. tow. Gizela Pawłowska z Kaciborza. "Bardzo szczęśliwym rozwiązaniem byłoby, gdyby kandydat spełniał obydwa warunki" - wyznaje, przyznając jednocześnie, że zdaje sobie sprawę, że często legitymacje partyjna służy jedynie jako przepustka do awansu.

Kłopot polega na tym, że w zakładach i przedsiębiorstwach brakuje ludzi na stanowiska kierownicze, że nie garną się oni do funkcji odpowiedzialnych, sie mało płacą. Kariera w Polsce jest czymś wstydlivym. Człowiek, mający ambicje i dążący otwarcie do zajęcia stanowiska nomenklaturowego, stawia siebie automatycznie w sytuacji moralnie dwuznacznej. bowiem każdy zdaje sobie sprawę, że awans musi dziś iść z podporządkowaniem się dyrekcji partii, a więc tym samym z utratą twarzy, rezygnacją z własnego ja. Kariera otwiera drogę do przywilejów, ale tylko za cenę zniewolenia i podporządkowania. Nie każdy się na to godzi.

Jak bardzo partii zależy na pełnym panowaniu na każdym polu, świadczy przykład spółdzielczości. Obowiązuje w niej uchwalone w 1982 r. prawo spółdzielcze, które uniemożliwia przywożenie prezesów w teczkach. Okazuje się, że partia nie może pozwolić sobie na to, aby ten mały odcinek oddać w ręce spółdzielców. Mówiono o tym z dezaprobatą na XXV plenum, podjętą tę sprawę gen. Kiszczak, domagając się ockonania odpowiednich modyfikacji prawa spółdzielczego.

"Polityka" przeprowadziła ostatnio rozmowy z młodymi ludźmi, którzy zdecydowali się na wstąpienie do partii. Nie ukrywają oni, że głównym motywem ich decyzji były względy materialne, np. przyspieszenie otrzymania mieszkania. "Wstąpiłem w szeregi po rozmowie z kolegami - mówi starszy strażnik

SOK, B. Głowiak z PKP w Rzeszowie. - A tak - szczerze dodaje - zacząłem budować dom. Myślę, że po tej linii będzie łatwiej". J. Sieroń, student IV roku prawa na UMCS w Lublinie /filia w Rzeszowie/, który już zdecydował się na przyszłą pracę w resorcie spraw wewnętrznych, ze względu na szybko możliwocię otrzymania mieszkania, uważa, że zawód jaki wybrał wymaga określonego światopoglądu: "Człowiek musi być ideologicznie prosty i sprawdzony". Taką postawę można nazwać "światopoglądem mieszkaniowym" i to jest to, na co partia może liczyć, na nic więcej. J. Sieroń jest przynajmniej szczerzy, nie owija niczego w bawełnę. W rzeszowskiej filii uniwersytetu mają zresztą dobrą sytuację: na 60 członków PZPR jest aż 7 studentów. Na wydziale dziennikarstwa i nauk politycznych Uniwersytetu Warszawskiego jest tylko jeden student partyjny!

Przed X Zjazdem partia ma jeszcze jeden trudny orzech do zgryzienia. Musi jakoś "naprawić" statut, który uchwaliła na IX Zjeździe. Uchwalone tam zasady dobre były na czasy pluralizmu politycznego, ale nie na obecne warunki. "Z jednej strony jest statut i jego normy - pisze tow. Ryszard Walczak /"Nowe Drogi" 8/85/ - z drugiej życie oraz rozbieżności powstałe z wyobrażeń lub marzeń wielu członków partii o tym, jak np. powinna wyglądać demokracja wewnątrzpartyjna, czy szerzej - demokracja w państwie. Wielu z nich ma wątpliwości dotyczące demokratycznych zasad wyborczych, m.in. tajemności wyborów, liczby funkcji partyjnych pełnionych przez jednego towarzysza i ich rozdziału od funkcji gospodarczych, społecznych, zasad rotacji". Wątpliwości te partyjny publicysta twardo rozwiewa: "Mniejszicy nieskrępowanej wolności, zamiast wypełnić formy nową treszcia, chcą te formy rozsadać"! Trudno zgadnąć, czy to zdanie odnosi się do delegatów na IX Zjazd, którzy ten nowy statut zatwierdzili, czy jest to przestroga dla delegatów na X Zjazd, którzy chcieliby ewentualnie, by ten statut w dalszym ciągu respektować. Na razie aparat partyjny nieźle sobie radzi z manipulowaniem ludźmi i statutom. Konferencje, wybierające delegatów na zjazd, zoętały rozdzielone od konferencji programowo-wyborczych, które odbędą się dopiero po zjeździe. Na razie odbywa się wstępne czyszczenie z niewygodnych sekretarzy Komitetów Wojewódzkich w ramach normalnej czystki. Wymieniono już kilku, mówi się jeszcze o kilkunastu. /Przed IX Zjazdem spośród 49 I sekretarzy KW ponownie wybrano tylko 25, ale wtedy wybory odbywały się przed Zjazdem./

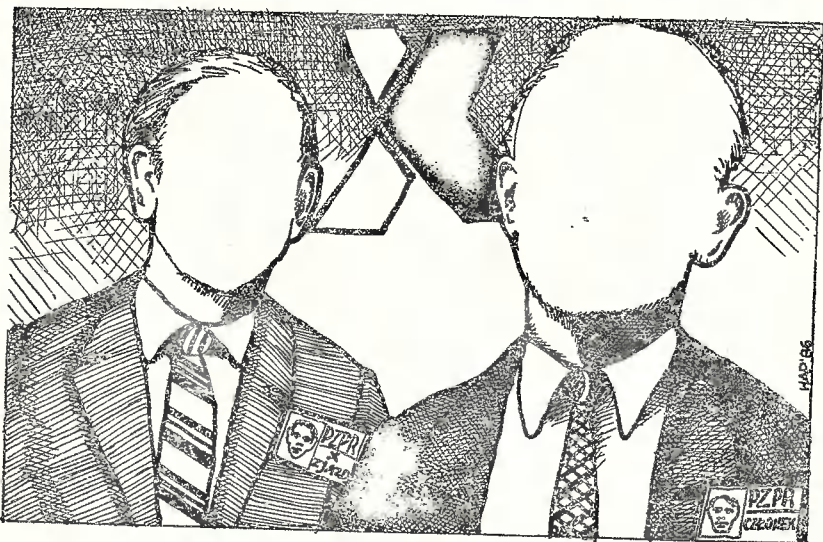
Wszystko wskazuje, że nic nie zakłóci przygotowań do X Zjazdu. Idą one, jak po maśle. Trzeba bowiem pamiętać, kogo reprezentują dziś członkowie Komitetu Centralnego i czołowy aktyw, trzeba pamiętać o selekcji, jakiej dokonał IX Zjazd. Teraz mówi się o nim, jak o historycznym wydarzeniu. W istocie było to dość żałosne przedstawienie. Partia przeżywała głęboki kryzys. Kampania odbywała się w atmosferze dużego napięcia w kraju. Dominowały w niej dwie kwestie: właśnie owa dyskusja nad statutem, który miał zapewnić rzeczywisty wpływ członków i organizacji partyjnych na kształtowanie się polityki partii oraz bardzo silny nurt rozliczeniowy. Dyskusja rozliczeniowa dotyczyła zarówno błędów politycznych w zarządzaniu gospodarką, które spowodowały kryzys, jak i rozliczeń personalnych za nadużywanie stanowisk dla celów osobistych, za przestępstwa pospolite. Dykusja rozliczeniowa jest dziś zamknięta. Coraz częściej zresztą przesuwają się winę za kryzys z partii na "Solidarność". Ale efektem tamtej kampanii przedjazdowej było



wycięcie w wyborach wszystkich, którzy opowiadali się za radykalnymi reformami w partii, za strukturami poziomymi i porozumieniami tego typu. Skrzydło reformatorskie było nieliczne i słabe. Jednocześnie jednak zatarasowano drogi do KC wszystkim, którzy mieli na sumieniu prywatę, na których ciążyły zarzuty korzyści osobistych. Dotyczyło to praktycznie większości aparatu. Niewielu było łowiem uczciwych, niewielu, którzy mieli czyste konto. Wychodzili cało z tej batalii najczęściej ludzie nieznani, mało doświadczeni, anonimowy aktyw gminny - jak o nich mówił Rakowski. Ale ten aktyw nie był już zdolny do niczego. Nigdy nie pokazał swoich pazurów. Pozostał niemy i pozwolił zrobić z sobą co tylko chciały władze wojskowe, dał się podporządkować komisarzom i dopiero teraz gdzieś podnosi głowę. Nosi on w sercu urazę za zlekceważenie go, ale na scenie politycznej się nie liczy. Uzupełniony został młodym narybkiem z ZSMŚ /J. Jaskiernia/, gronem profesorskim /Mesener, T. Porębski, M. Orzechowski/, czy byłymi dyplomatami /J. Czyrek/. Wszystko wskazuje na to, że tak jak w Czechosłowacji i Bułgarii, X Zjazd będzie wydarzeniem bez większego znaczenia. Jaruzelski, który wrócił ze zjazdu moskiewskiego wyraźnie wzmocniony /oentacyjnie doszczępony przez Gorbaczowa i dopuszczony jako pierwszy mówca z krajów demokracji ludowej, a to się w Bizancjum zawsze liczyło/, ma już posadę pierwszego sekretarza w kieszeni. Nikt mu nie jest w stanie zagrozić. Jeśli toczy się będą jakieś lokalne potyczki, to na niższych piętrach partyjnej drabiny. Być może zresztą, że nawet tego im się zaoszczędzi.

Kwiecień 85

Feliks Stanisławski





# ONI - O SOBIE

Publikujemy dziś fragment materiału niezwykłego pod każdym względem. Publikujemy dokument pochodzący z przepastnych sanktuariów - archiwów partii. Tych, do których dostępu nie mają nawet najbardziej wtajemniczeni. Dokument ten dotyczy czasów najnowszych. Pokazuje on mechanizmy władzy poprzez - tym razem, jak można sądzić, w miarę szczere i bezpośrednie - wypowiedzi uczestników i współtwórców wydarzeń dekady lat siedemdziesiątych.

Jest to mianowicie, spisany z taśmy magnetofonowej zapis przebiegu posiedzeń tzw. Komisji Grabskiego, powołanej uchwałą X Plenum KC PZPR w 1981 r. dla zbadania przyczyn kryzysu w partii i państwie oraz ustalenia odpowiedzialności członków byłego kierownictwa partyjno-państwowego.

Ten dokument mówi sam za siebie. Pokazuje on mentalność zarówno przeszłuchiwanych, jak i członków komisji. Zaś przy jego lekturze nieodparcie nasuwa się wniosek, że podstawową treścią zarówno jednych, jak i drugich, było nie tyle dotarcie do rzeczywistych przyczyn i mechanizmów powstawania kryzysów, co znalezienie sposobu: Jak to wytłumaczyć ludziom, społeczeństwu, zagranicy?

Gdyby jednak po lekturze całości dostępnego materiału próbować sformułować jakieś ogólniejsze, wypływające z niego wnioski, nie będą one zaskakujące. A.D. 1986 jesteśmy dostatecznie bogaci w świadomość, jakimi mechanizmami posługuje się komunistyczna władza, jak działa i jaka ona - w sensie personalnym - jest. Trzeba tylko powiedzieć jedno: chyba nie wszyscy jeszcze zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że było - a i jest - aż tak źle. Że o węzłowych dla narodu sprawach decyduje - nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni - towarzysze NIKT, towarzysze ZERO i towarzysze MŁOT. Pod tym względem wymowa tych dokumentów jest bezlitosna.

Publikowane materiały zacerpnięliśmy z tomu wydanego w nie-wielkim nakładzie staraniem Małopolskiego Komitetu Walki o Praworządność. Oni korzystali z - niekompletnego zresztą /brak m.in. zapisu pierwszego posiedzenia oraz kilkudziesięciu ostatnich stron z przesłuchania Gierka/ - maszynopisu, sporządzonego z magnetofonowego zapisu przebiegu obrad komisji, który jakimś cudem wyostał się poza krąg superwtajemniczonych. Naj-prawdopodobniej zresztą nie był to żaden cud, ale element jakiejś frakcyjnej rozgrywki na samych szczytach władzy.

Limitowani możliwościami naszego pisma, możemy publikować jedynie wybrane fragmenty dostępnego nam zapisu. Zastosowaliśmy przy tym metodę w y ł ą c z n i e skreślania, zarówno fragmentów - naszym zdaniem - mniej istotnych /z czegoś trzeba być zrezygnować/, powtórzeń, ozdobników czy dukania. Robiliśmy nawet jedno zdanie z wypowiedzianych dwu czy trzech. Nie

dodawaliśmy natomiast niczego od siebie, nie referowaliśmy własnymi słowami żadnego fragmentu tekstu. Jest to więc jedynie technicznie podczyszczony i skrócony oryginał.

Jeśli ten pierwszy fragment - zawierający przesłuchanie Edwarda Gierka - wzbudzi zainteresowanie naszych Czytelników, w kolejnych numerach "Mostu" opublikujemy dalsze, dotyczące innych prominentów "drugiej Polski".

Redakcja

X X X

Tow. Grabski /18 maja 1981 r./: Mamy zabezpieczenie przyjęcia tow. Gierka o godzinie 11-tej. Upoważniony na ostatnim posiedzeniu Komisji dzwoniłem do tow. Gierka, nie było większych problemów z namówieniem go na rozmowę z Komisją. Aczkolwiek wyraził ogromne oburzenie - i to będzie chyba z jego strony dzisiaj główny temat - z powodu tej całej działalności propagandowej, sensacji czynionej wokół rodziny Gierków, ich domków itp. Był tak oburzony, że nawet powiedział, że w tej sytuacji to on się zastanawia, czy może na Komisję przybyć w warunkach stałego opluwania jego i jego rodziny...

Nie udało mi się, niestety, nawiązać w odpowiednim czasie kontaktu z tow. Jaroszewiczem. Właściwie partyjnie to on jest rozliczony przez Centralną Komisję Kontroli Partyjnej, jednakże dla prac Komisji miałyby duże znaczenie jego tutaj uwagi. Z tym, że na zasadzie fakultatywnej, a nie obligatoryjnej, chcielibyśmy z nim rozmawiać. Bez żadnych kwestii wyraził ogromne zadowolenie, że może z Komisją rozmawiać i prosił tylko o parę dni na przygotowanie się. Na przyszły poniedziałek umówiliśmy się z Jaroszewiczem. Dzisiaj natomiast, ponieważ był gotowy i domagał się szybkiej rozmowy, będzie po tow. Gierku, tow. Szlachcic. Na następny poniedziałek mamy tow. Jaroszewicza i tow. Babiucha, z którym uzgodniłem, że przyjdzie. Szukamy jakiegoś kontaktu z Łukaszcwiczem i sądzę, że w ciągu dnia dzisiejszego uda mi się nawiązać łączność...

Zrobiliśmy historyczny taki zapis, od VII Plenum, grudnia 1970 do VI Plenum i mamy wykaz 35 towarzyszy, do których wystosowałem w imieniu Komisji list, załączyłem materiały w postaci założeń programowych i Raportu. Z prośbą o pierwsze ustosunkowanie się do przyczyn kryzysu, działania mechanizmów, które ten kryzys spowodowały, po drugie, określenia swojej współodpowiedzialności za to i jak to widzą i po trzecie, współodpowiedzialności innych osób zajmujących funkcje w kierownictwie partii i państwa. Termin zakreślony jest do 25 maja i teraz jest sprawa ustalenia z kim, według uznania towarzyszy, należy z tego wykazu rozmawiać. No, również i członkowie poprzedniej ekipy wykazują chęć prowadzenia rozmów. Codziennie dzwoni tow. Jaszczuk, ale wytknąłbym mu, że Komieja nie ma zdolności przerobowej. On ma na piśmie swoje uwagi, wyobrażam sobie jakie uwagi, to znaczy jaka była dobra dekada lat sześćdziesiątych, a jaka fatalna była dekada lat siedemdziesiątych. Wszycy znają tow. Jasz-

czeka i w związku z tym umówiłem się, że go przyjmę po południu w czwartek, celem przyjęcia jego uwag i raportu. Nie będziemy tu robić cyrku, żeby jedni na drugich piuli. Wystarczy, że to zamknie się w dekadzie, a nie w dwóch dekadach.

Mam wiadomość, nie potwierdzoną, że również tow. Wiesław chce rozmawiać. Myślę żeby można było zrobić jakiś wyjątek, gdzieś znaleźć czas, jeśli potwierdzi tę gotowość. Z uwagi na status Gomułki. I sądzę, że powinniśmy, przynajmniej kurtuazyjnie jakąś rozmowę przeprowadzić...

/po przerwie - 18 maja 1981 r./

Tow. Grabski: Nie będę przedstawiał całej komisji, powołanej na X Plenum, bowiem większość osób jest wam osobiście znana. Z grubsza, chcę powiedzieć, że jest wśród nas 7 robotników, 3 rolników, no, resztę osób znać. Intencją Komisji powołanej przez X Plenum jest przyspieszenie prac rozliczeniowych w całej partii, a ponadto określenie zakresu i rodzaju odpowiedzialności byłych członków kierownictwa partii i państwa. Jeśli chodzi o sprawy przyspieszenia rozliczeń z tytułu nadużycia władzy przez ministrów, działaczy partyjnych szczebla centralnego, jak i wojewódzkiego, prace te są daleko zaawansowane. Chcielibyśmy w związku z drugim, bardzo trudnym zadaniem, w drodze rozmów wyrobić sobie pewien pogląd o stopniu współodpowiedzialności za przyczyny kryzysu, który tak bardzo dotkliwie nas wszystkich dotknął i który nadal przeżywamy w partii i w całym społeczeństwie. Nie będę, tow. Gierek, ukrywał przed wami, że tematem numer jeden dyskusji partyjnej i dyskusji obywatelskiej są sprawy rozliczeniowe. Jest to temat, który paraliżuje całą aktywną działalność partii przed IX nadzwyczajnym Zjazdem, który ciągle skupia uwagę na przeszłości, a nie na teraźniejszości i przyszłości.

W związku z tym pozwoliłem sobie, w imieniu Komisji, nawiązać z wami kontakt i prosić was o rozmowę, po to, by naświetlić szerzej te problemy, które Komisja musi do końca czerwca rozstrzygnąć, złożyć odpowiednie sprawozdanie na Plenum, a może i na IX nadzwyczajnym Zjeździe, w kwestii odpowiedzialności członków kierownictwa partii i państwa za ten stan, w którym się aktualnie znajdujemy. Jako materiał wyjściowy do naszych rozważań zaproponowaliśmy, i przekazałem wam przez tow. Żabińskiego te materiały, w których to materiałach w rozdziale I naświetlamy genezę, przyczyny i charakter kryzysu, jak również raport o stanie gospodarki. Wprawdzie mamy świadomość, że nie jest to dokument w pełni doskonały, tym niemniej obrazuje zarówno stan gospodarki na koniec roku 80-tego, jak i wszystkie procesy gospodarcze, które w tym dziesięcioleciu nastąpiły, a więc narastający proces zadłużenia państwa, sprawy związane z nieskoordynowanym rozwojem, jak i niedostatki i pewne rozprężenie procesu inwestycyjnego, który dzisiaj wiele nas kosztuje i przynosi ogromne straty oraz wiele, wiele problemów związanych z funkcjonowaniem państwa. Chcielibyśmy, tow. Gierek również rozmawiać na temat, który ostatnio zbulwersował opinię publiczną i was osobiście dotknął. A mianowicie sprawy związane z pewnymi kwestiami natury majątkowej, zarówno dotyczące waszej osoby, jak i rodziny - warzywnik czy oranżeria, jak i sprawa luksusowej budowy domów syna Adama. Myślę, że leży to wyjaśnienie zarówno w interesie waszej osoby, jak i stanowi określoną powinność samej Komisji. Sprawa ta zresztą zoso-

tała zbadana przez NIK, reprezentowaną tu przez tow. Piłato-wskiego.

Jeśli można byłoby z naszej strony zaproponować tok dzi-siejszej rozmowy, to poza wyjaśnieniem sprawy domków, czy domu syna, jak również tego podnoszonego warzywnika, chcie-libyśmy was bardzo serdecznie prosić o naświetlenie waszego punktu widzenia całego mechanizmu funkcjonowania pracy Biura Politycznego, rządu. Co pozwoliłoby nam wyrobić pewien poglą-d na temat mechanizmów i przyczyn zaistniałego kryzysu...

Tow. Gierek: Serdecznie dziękuję za to, żeście mnie zap-ro-sili na taką rozmowę, towarzysze, bo uważam, że jest to o-kazja ażeby rzeczowicie wyjaśnić sobie - przynajmniej na-tyle, na ile pamięć mnie nie zawodzi - te fakty, te proble-my, które nurtują, bulwersują nasze społeczeństwo. Minęło już osiem i pół miesiąca od czasu kiedy przestałem być pier-wszym sekretarzem KC. I to odejście moje wypadło jakoś w sy-tuacji dość tragicznej, dlatego że zachorowałem na zawał. Stało się to nad ranem z 4 na 5 września. Pracowałem nad ma-teriałem, bo miałem zamiar wystąpić na Sejmie, albowiem uwa-żałem, że przemówienie tow. premiera nie wyjaśnia sytuacji w nowych warunkach, jakie zaistniały w naszym kraju, ale żeby wyjść z jakimś propozycjami, co należy robić dalej. Przygo-towywałem się także do moich przyszłych spotkań, już po po-siedzeniu Sejmu, z ludźmi pracy. W pierwszej kolejności moim zamiarem było jechać na Wybrzeże, żeby tam już w warunkach spokoju, pewnego odprężenia, móc z towarzyszymi porozmawiać o sprawach po tych zobowiązaniach rządu, a także o tym, czy wszystkie te zobowiązania będą możliwe do zrealizowania w czasie, jaki został określony w dokumentach. Taki sam zamiar miałem w stosunku do Śląska, łączy mnie z nim nie tylko mie-jące urodzenia - jestem zagłębiakiem, ale traktuję to woje-wództwo jako całość - łączy mnie kilkanaście lat pracy w tym województwie. Również tam miałem zamiar podyskutować z gór-nikami, czy te wszystkie zobowiązania podpisane w Jastrzębiu będą możliwe do zrealizowania. Niestety, stało się inaczej, towarzysze ja zemdląłem, żona zaczęła robić ciężki alarm, przyjechali specjaliści, stwierdzili ciężki zawał. Niezwłocz-nie zawieziono mnie do kliniki i tam byłem odizolowany od świata. Uważam jednak, że niezależnie od tego, że w sposób nieoczekiwany zapadłem na zdrowiu, powinnością towarzyszy -myślę tutaj o członkach Biura Politycznego - było dotrzeć do mnie, ażeby powiedzieć, czy przypadkiem nie mam jakichś dys-pozycji, no bo przecież w końcu, gdybym miał trupem paść, to musiałbym towarzyszom coś powiedzieć, coś przekazać. Powie-dzieć o tym, co moim zdaniem należałoby powiedzieć towarzy-szom, którzy zdrowi pozostali na gospodarstwie, bardzo trud-ny. Niestety, towarzysze tak się nie stało. Dopiero następ-nego dnia tow. Kania przyszedł na kilka minut po to, żeby zakomunikować, że został wybrany i sekretarzem i żeby mi po-wiedzieć, że uczyni wszystko, by otoczył mnie i moją rodzinę opieką. Tego rodzaju grzecznościowe historie. Ja się nie od-zywałem, bo nie mogłem się w ogóle poruszać...

Oczywiście, jestem przygotowany do odpowiedzi na wszyst-kie pytania, które was nurtują, nie mam absolutnie interesu, żeby cokolwiek ukrywać. Towarzysze, minęło 50 lat, kiedy wstąpiłem do komunistycznej partii Francji... /brak jednej strony/ Ja się w robocie nie oszczędzałem. Mnie się zarzuca



różnego rodzaju historie, do których mogą się częściowo, powiedzieć, przynależać. Ale, będąc szczerzy, czy ja sam jestem odpowiedzialny za atmosferę, która się tutaj wytworzyła, w Komitecie Centralnym? Ja miałem na tyle zawsze odwagi, żeby wtedy, kiedy uważałem, że popełniłem coś, co nie pasuje do mojego pojęcia moralności, etyki partyjnej, żeby się do tego przynależać. Ja przynajmniej się, że wyrzuciłem tow. Grabskiemu - poczekajcie tow. Grabski, nie mówcie o tym - krzywdę w tym sensie, że zgodziłem się na propozycję, żeby po jego wystąpieniu, wprowadzić go z funkcji I sekretarza KW. Kielczyński z tow. Grabskim - przynajmniej to - rozmowę. Co ja wam, tow. Grabski, powiedziałem? Że ja osobiście nie miałem pretensji ani uwag do waznego wystąpienia, uważałem, że merytorycznie ono było skuteczne. Mnie się w tym przemówieniu nie podobają osobiste akcenty. Ja byłem wtedy, towarzysze, po ciężkiej chorobie kręgosłupa, chcę żebyście wiedzieli, że macie do czynienia z gruźlikiem. Ja cały rok 1977 leczyłem się farmakologicznie, a powiniennem być iść do sanatorium, taka była diagnoza lekarska. Było to jednak po 76 roku i moje odejście stąd mogłoby spowodować, powiedzmy, jakieś niepokoje, jakieś nieładności perturbacje. Otóż powiadam jeszcze raz, wtedy, kiedy chodziło o sprawy uczciwości, starałem się być do końca komunistą. I starałem się zawsze dbać o kulturę partyjną, jeśli nawet człowiek musi odejść, żeby odchodził jak człowiek, jak komunistą. Żeby nie robiono z niego szmaty i złodzieja, tak jak się to robi ze mnie i mojej rodziny.

Przechodzę do meritum sprawy. Sądzę, że powinniśmy sobie na początek wyjaśnić sprawę z kim wy rozmawiacie. Czy rozmawiacie ze złodziejem i małwersantem, który nadużywał swego stanowiska, czy z uczciwym komunistą? To jest coś niernormalnego ten małotwa moja osoba i całą moją rodzinę. Ja uważam, że jeśli sobie tego nie wyjaśnimy, jeśli nie podejmujemy decyzji w tej sprawie, która zdejmowałaby odium z mojej rodziny i ze mnie - to uważam, że dalsza rozmowa nie miałaby sensu. Jest mi absolutnie objętne, jakie podejmiecie wtedy decyzje. Powtarzam tylko jedno, że jeśli wy mnie nie będziecie bronić przed tymi plugawymi oszczerstwami, to będę się bronił sam. Mam dostatecznie dużo informacji, które pozwolą mi sięgnąć do moich starych przyjaźni i pozwolą mi ujawnić prawdę, taką, jaka ona jest. Nie chciałbym tego, że ja tu grozę towarzysze, absolutnie proszę mi z góry tego nie zarzucać... /brak jednej strony/

Sprawa Klarysewa, z którego robi się cały wielki problem. Kiedy przyjechałem do Warszawy, mieszkałem przez blisko dwa lata w 2 małych pokojach na Parkowej. Prosiłem o to, by mi zorganizować mieszkanie w jednym z bloków, żeby nikt nie mógł mi zarzucić, że ja się wywyższam. Powiedziano mi, mieszkanie możemy wam zorganizować, ale cały pion musi być oczyszczony, tzn. lokatorzy z tego pionu muszą się wyprowadzić. Powiedziałem, o nie, na takie numery ja się nie zgadzam i mieszkałem prawie dwa lata w jednym z tych domów na Parkowej. Dopiero potem wprowadziłem się do domu, w którym kiedyś mieszkał Aleksander Zawadzki. Mieszkałem w tym domu do roku 1977, a więc do chwili, kiedy zapadłem na gruźlicę. Mówiłem wam, że w okresie okupacji byłem chory na gruźlicę. Otworzyła mi się stara kawerna, to była przyczyna przeniesienia się do Klarysewa. Klarysew był budowany nie dla mnie, a jako jeden z budynków Urzędu Rady Ministrów. Ja się tam wprowadziłem, wnosząc doświadczenia swoje rzeczy osobiste, tzn. moje ubranie i odzież mojej żony. Nicze-

go tam nie było mojego, poza tym co mówię. Mieszkanie było wyposażone w meble, były obrazy itd. Jeśli nie wyprowadziłem się z Klarysewa, jeszcze byłem na rekonwalescencji. Zaczęto robić historie z obrazami, że Gierek i Gierkowa zaczęła wyposażać Klarysew w obrazy. Towarzysze, na głowę swoje 88-letniej matki oświadczam wam, że ja tam palcem nie kiwnąłem. Wszystko tam było i kiedy zaczęto robić wokół tego historii, powiedziałem: ludzie, rany boskie, zabierzcie to w cholerę i dajcie mi święty spokój, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. I zabrali. Kiedy zaczęto mi mówić, że trzeba się z Klarysewa wyprowadzić, proszę bardzo, powiedziałem, wyprowadzę się, zresztą zawsze miałem taki kierunek widzenia. Tym bardziej, że już w roku '71, powiedzmy po tym, kiedy minęła fala strajków, zaproponowałem moim synom i synowym, czy nie chcielibyście przenieść się do Warszawy. Oboje, obydwie rodziny, odpowiedziały mi brutalnie, ty tatuś musisz, a my nie musimy, my jesteśmy tutaj, mamy tu pracę, my tutaj zdobywamy szlify i z Katowic się nie ruszymy. A propos moich synowych /to są siostry zresztą/, które wyszły za moich dwu synów, robić rzecz taką pod publiczność: synowe, synowe Breźniewa. Ojciec moich synowych mieszka w Katowicach, to jest już emeryt, 74-letni był pracownik naukowy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Bardzo godna rodzina polska, uczciwa, patriotyczna. Ojciec zresztą jest bezpartyjny, synowe moje są bezpartyjne.

Zaczęły się naloty na moje dzieci i na synowe w tym sensie, że Najwyższa Izba Kontroli - to jest jej prawem i nikt nie ma pretensji o to - kontrole na Akademii Medycznej, instytutów kierowanych przez moje synowe. Jedna jest profesorem okulistyki, mikrochirurgiem, szanowanym nie tylko w Polsce, ale i w Europie i chyba na świecie. Zaczęto się od mikroskopu, który został jej pożyczony, czy przekazany z Centrum Zdrowia Dziecka. Tutaj te mikroskopy leżały i w jednej z rozmów z Wieczorkiem zapytałem, czy nie można by, do czasu uruchomienia tych mikroskopów tutaj, wykorzystać jednego w jej instytucji. Oczywiście, wyrażono zgodę, ale z tego zrobiono całą wielką historię. Nagonka na moje dzieci trwa po dzień dzisiejszy. Już zaczęto się coś, co przypomina lynch. Już się bije moje wnuki, tylko dlatego, że nazywają się Gierek. Moja wnuczka, siedemnastoletnia, która w przyszłym roku będzie zdawała maturę, wczoraj przychodzi z płaczem i powiada: dziadzius, ja się boję, ja nie wiem, czy mnie ktoś nie zabije w tej szkole, patrzą na mnie jak na wnuczkę złodziejka. To samo jeśli chodzi o mojego jedenastoletniego wnuka. Nie wiem, towarzysze, jak będzie z pracą moich dzieci, bo robi się wszystko, żeby je zohydzić, żeby pokazać tych ludzi jako niegodnych, bo mają nieszczęście nazywać się Gierek.

Inne historie, w związku z nieodbytymi dożynkami. Przypomnijcie sobie, co prasa, radio, telewizja, zaczęły rozpływać na temat przygotowań jakiegoś apartamentu, że ileś tam milionów dla mnie w Zamościu. Decyzja o odwołaniu dożynek w Zamościu zapadła już w lipcu i chyba wierzyacie mi, że takim idiotą nie jestem, żeby kazać komukolwiek przygotowywać sobie apartament za ileś tam milionów złotych. Nigdy zresztą nie miałem zwyczaju zatrzymywać się po dożynkach. Natychmiast do domu. Po co tego rodzaju numery i komu są potrzebne?

Sprawa następna, sprawa mojego dyplomu inżynierskiego. Przy tej okazji zrobiono aferę na skalę kraju. Ja mam 18 lat pracy w przemyśle węglowym. Był dekret, który pozwalał, powiedzmy, ubiegać się o tytuł inżyniera zawodowego, przy spełnieniu odpowiednich warunków. Ja te warunki spełniłem. Ale nie zrobiłem tego sam, na wszelki wypadek zapytałem tow. Bieruta, co on o tym myśli. Jak macie warunki, starajcie się, proszę bardzo. Napisałem pracę, praca ta została obroniona, mam dyplom, jest podpis. Ale w międzyczasie zrobiono ze mnie oszusta.

Sprawa ostatnia, dotycząca domów. Dom, w którym ja mieszkam został mi przekazany w dożywotnie użytkowanie. Ja mogę się z tego domu wyprowadzić już jutro. Ale ja miałem przedtem mieszkanie, z którego, nie pytając mnie o zdanie, wyprowadzono mnie, uważając, że jest to mieszkanie niebezpieczne. Ponieważ mieszkalem z młodszym synem i jego żoną, nawet ja ani żona nie byliśmy świadkami jak przenoszono nas z tego mieszkania do innego. Znaleziono inne mieszkanie i uznano, że tam będzie bezpieczniej, ponieważ ja - jak już mówiłem - nosiłem się z zamiarem powrotu do Katowic. Dlatego też nie chciałem likwidować mieszkania w Katowicach. Ale tam, gdzie mieszkalem, było mi dobrze. Ja gotów jestem dzisiaj przenieść się do tego mieszkania. Oczywiście, jest to niemożliwe, bo ludzie tam mieszkają, wyrządziłoby im się krzywdę. Niczego w tym mieszkaniu nie mam. Nie ma tam żadnych marmurów, jak to opisują niektórzy. Bzdury! Normalne mieszkanie. Kuchnia, mały salonik i 4 niewielkie pokoje, z których jeden przeznaczony jest na bibliotekę. Podobne mieszkanie ma syn, ale to jest zespół, jeden zespół. Robi się wokół tego historię, mówi się, że skąd on miał pieniądze, żeby to kupić. Ja nie kupowałem tego, dlatego, że mnie nie stać na kupno domu. Ja nie mam żadnego konta poza tym, które założono mi od chwili, kiedy przeszedłem na emeryturę. Jest warzywnik, zbudowany został nie wiem przez kogo i nie wiem dla kogo. Ja z tego warzywnika nigdy nie korzystałem i nie wiem, kto korzystał. Został on postawiony poza posesją, co prawda obok, ale poza posesją. Byli tam ostatnio przedstawiciele NIK i nie wiem co ustalili. Ja w każdym razie oświadczam, że nigdy z tego warzywnika nikt z mojej rodziny nie korzystał. I jeśli komukolwiek jest on potrzebny, to im prędzej się go przekaże tym, którzy mogą to wykorzystać, tym lepiej dla sprawy.

Sprawa ostatnia, dotycząca domu, w którym mieszka starszy syn. To nie jest jego dom, to jest dom, który został mu przydzielony też na usilne naleganie Biura Ochrony Rządu. Po prostu, zaczęto grozić jego córce, że ją uprowadzą, że ją zgwałcą, że to i owo. Pod wpływem tej presji moralnej, już w 6 miesięcy po zamieszkaniu pierwszego segmentu przez tow. Grudnia, syn zdecydował się wprowadzić do tego mieszkania. Wszystko co dotyczy umeblowania jest jego własnością, on kupił wszystko od a do z. Dostał normalny przydział na to mieszkanie, płaci normalny czynsz. A więc o co, u diabła, chodzi? Jeśli uważa się, że nie powinien tam mieszkać, niech przydzieli mu inne mieszkanie, tanto mieszkanie, w którym poprzednio mieszkał. On był z tego mieszkania zupełnie zadowolony. Może teraz dadzą mu spokój. No, ale słuchajcie, żyć w takiej atmosferze nie można. Ja mówię otwarcie, ja nie życzę najgorszemu wrogowi takiej atmosfery nagonki, jaką zrobiono na mnie.

Tow. Grabski: Towarzyszu Gierek, my w pełni rozumiemy to ogromne rozczarowanie, jakie towarzyszy waszym odczuciom. Chcę

was zapewnić, że nikt tu na sali nie inspirował jakiegos polowania na czarownice. Po prostu nie panujemy nad prasą, nad różnego rodzaju gonieniem sensacji. Nie tylko o was piszą... Może tow. Piłatowski zreferowałby, jak sprawa wygląda, kwestia domów.

Tow. Piłatowski, wiceprezes NIK: Przyczyny kontroli w Akademii Medycznej. Grupa profesorów medycyny zwróciła się do NIK-u, zaniepokojona gospodarką sprzętem, który w części kupowano, w części, większości, były to dobra darowane przez ośrodki zagraniczne, polonijne i inne. Były informacje, że część tej aparatury znajduje się w różnych, poza Centrum Zdrowia Dziecka, obiektach służby zdrowia, m.in. w lecznicy w Aninie. Badania w momencie ich rozpoczęcia już wskazywały, że jest częściowy demontaż tej aparatury i przewożenie jej do miejsca przeznaczenia, to jest CZD. Być może, szczegółów nie znam, w grę mógł również wchodzić ten wypożyczony czasowo, a niezagospodarowany w CZD mikroskop w Klinice Okulistycznej w Katowicach.

Jeśli chodzi o Zamość, to była kontrola problemowa gospodarki środkami na rewaloryzację starówki zamojskiej. W ustaleniach kontroli NIK-u nie ma ani jednego sformułowania, które by dotyczyło urządzenia apartamentu przeznaczzonego dla byłego I sekretarza KC. Natomiast ustalono, że bardzo niegospodarnie posługiwano się tymi środkami - wyposażono szereg mieszkań, apartamentów w różne dobra ruchome, które w momencie kontroli nie znajdowały się już w tych obiektach. Być może w śledztwie wyjdzie, gdzie to wyposażenie znalazło się w owym czasie.

A teraz sprawy związane z Katowicami. Chciałbym wrócić do oświadczenia, jakie złożyłem na poprzednim posiedzeniu, na temat realizacji tego fragmentu uchwały VI Plenum KC, która dotyczyła kontroli wszystkich prywatnych inwestycji budowlanych, w stosunku do których opinia publiczna podniosła zastrzeżenia, a zrealizowanych w minionym dziesięcioleciu. Zetknęliśmy się z wydatkowaniem środków na rozwiązanie różnych kwestii mieszkaniowych na terenie Katowic. Dlatego, aby uszczęśliwić się od jakichkolwiek przejęczeń, chciałbym doszczętnie odczytać - jeśli tow. Grabski pozwoli - te ustalenia, łącznie z aktem notarialnym, który jest dokumentem.

Pierwsze. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego w Chorzowie, na zlecenie Ckręgowej Dyrekcji Rozbudowy Miast w Katowicach, zakończyło w 1975 r. budowę dwusegmentowego domu przy ul. Różyckiego w Katowicach, oznaczonego numerem 14a i 14b. Koszt budowy, wg dokumentów, które były przedmiotem badań, wyniósł 15 mln 050 tys. 965 zł. W budynku tym mieszkają Edward i Jerzy Gierkowie z rodzinami. Aktem notarialnym, nr repertorium A-71 51/76, sporządzonym przez notariusza ob. Konstantego Frydrychowicza z Państwowego Biura Notarialnego w Katowicach w dniu 10 maja 1976 r. w mieszkaniu Edwarda Gierka, były prezydent miasta Katowic Lucjan Gajda, reprezentujący Skarb Państwa, sprzedał małżonkom Stanisławie i Edwardowi Gierkom dom mieszkalny, położony przy ul. Różyckiego, oznaczony nr 14 o kubaturze 738 m<sup>3</sup>. W akcie notarialnym zawarte jest stwierdzenie, że prezydent miasta oświadcza, że zgodnie z otrzymanym pełnomocnictwem szefa Urzędu Rady Ministrów Janusza Wieczorka z dnia 21 kwietnia 1976, należność została wpłacona do kasy Urzędu Rady Minist-



rów gotówką. Nie podano jednak wysokości wpłaconej kwoty, jak również danych o sposobie dokonania wpłat. Akt notarialny i pełnomocnictwo, podpisane przez Janusza Wierzchorka, stanowi załącznik do niniejszej informacji.

Według informacji zebranych w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej w Katowicach, w oparciu o akt sprzedaży, cały budynek przy ul. Różyckiego 14 został wykreślony z ewidencji majątku państwa. Tym samym aktem notarialnym prezydent miasta Katowice, w imieniu Skarbu Państwa przekazał w wieczyste użytkowanie małżonkom Stanisławie i Edwardowi Gierkowi działkę, na której wzniesiono segmenty 14a i 14b o łącznej powierzchni 5272 m<sup>2</sup>. Prezydent miasta mgr Lucjan Gajda oświadczył przed notariuszem, że należność za wieczyste użytkowanie działki została z góry, za cały okres użytkowania zapłacona. Nie określono jednak wysokości tych opłat. Stwierdzono, że zainteresowana komórka organizacyjna, powołana do załatwiania tych spraw, nie ustalała wysokości opłat z tego tytułu, a do kasy Urzędu Miejskiego w Katowicach nie wpłacono żadnej sumy. Nie wydano też, przed zawarciem umowy notarialnej, wymaganej administracyjnej decyzji w sprawie przekazania działki w wieczyste użytkowanie.

Drugie. W 1978 r. Przeds. Bud. Przem. Węglowego w Katowicach wybudowało przy ul. Różyckiego ciepłarnię-warzwywnik o kubaturze 940 m<sup>3</sup> w pobliżu ogrodzenia działki, stanowiącej własność Edwarda Gierka. Koszt tego zadania w kwocie 1.482 tys. zł wliczono w ciężar wybudowanej fabryki domów "Sigma" w Mysłowicach. Kontroli kompleksowej nie przeprowadzono z uwagi na brak dokumentacji projektowo-kosztorysowej, którą - jak podano - zabrało Biuro Ochrony Rządu. Według wyjaśnienia, złożonego przez dyrektora Przeds. Bud. Przem. Węglowego, na zadanie to nie otrzymano żadnego pisemnego zlecenia, jak również nie zawarto umowy. Budowę tę, przeznaczoną dla Edwarda Gierka, zrealizowano na podstawie ustnej dyspozycji byłego ministra górnictwa, Włodzimierza Łejczaka oraz byłego naczelnego dyrektora Zjednoczenia Bud. Montażowego Przem. Węglowego, obecnie zajmującego stanowisko podsekretarza stanu w Min. Górnictwa, J. Tyca. W dniu 13 maja 1981 inspektorzy NIK dokonali oględzin, stwierdzając między innymi, że budynek ciepłarni-warzwywnika, składający się z dwu kondygnacji - nadziemnej i podziemnej - z pełnym automatycznym wyposażeniem, nie jest obecnie w pełni wykorzystywany. Usytuowanie ciepłarni i układ ogrodzenia terenu świadczą, że dostęp do tego obiektu jest wyłącznie od strony budynku mieszkalnego zajmowanego przez tow. E. Gierka. Wejścia w ogrodzeniach zewnętrznych są zamknięte na klucz. Nie ma obecnie żadnego ogrodzenia między budynkiem mieszkalnym a ciepłarnią, bowiem ogrodzenie, które dzieliło te obiekty przed wybudowaniem warzwywnika, zostało rozebrane. Według oświadczenia pracownika zatrudnionego do obsługi warzwywnika, rachunki za gaz i energię elektryczną /licznik gazu i prądu znajdują się w budynku warzwywnika/ reguluje ob. E. Gierek...

Tow. Stawiński: Jeżeli jest sporządzony akt notarialny - ja się zastrzegam, nie jestem prawnikiem - akt kupna sprzedaży, stanowi to moją własność i ja mogę ją dowolnie zbywać w sensie darowizny, przekazania, spadku, czy też w inny sposób mogę decydować. Wyjawszy działkę, bo działka jest oddana w wieczyste użytkowanie na 99 lat, a nie sprzedana na własność. Przy czym - tak jak tow. Gierek tutaj stwierdził - to jest bliźniak i

przed zawarciem aktu notarialnego figurował pod numerem 14a i 14b, Różyckiego. W akcie notarialnym występuje już Różyckiego 14, nie ma tego wyodrębnienia na dwa samodzielne segmenty.

Tow. Grabski: Towarzyszu Gierek, z tego by wynikało, że ten dom nie jest jednak własnością Skarbu Państwa. Został wyrejestrowany, zgodnie z oświadczeniem. Działka jest w wieczystym użytkowaniu, natomiast prawa własności zostały na was przeniesione.

Tow. Gierek: To, wobec tego zostało to źle napisane. Ja nigdy nie uważałem się za właściciela tego domu. Nigdy. Powtarzam to, mnie tam przeniesiono na siłę. Ja nawet nie brałem udziału i moja żona w tym, jak przeniesiono nas z mieszkaniem, które zostało nam przyznane, w którym mieszkaliśmy przed przeniesieniem się do Warszawy. Nigdy nikt w mojej rodzinie nie traktował tego jako własności. Natomiast traktowaliśmy, że jest to oddane nam w wieczyste użytkowanie. Zresztą ja nie wnikałem w szczegóły, kiedy podpisywałem, bo to tak podpisane jest. Co się tyczy natomiast warzywnika, to jeszcze raz powtarzam, ja nie mam z tym nic wspólnego. Zresztą i z jednym i z drugim nie mam nic wspólnego. Budynek został zbudowany nie na moje polecenie, prawdopodobnie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prawdopodobnie, chociaż nie mógłbym tego autorytatywnie stwierdzić. Przeniesiono mnie tam i powiedziano, możesz tutaj dożywno mieszkac. Jeśli popełniona została tutaj jakaś rzecz, która sugerowała, że oddano to mnie i mojej żonie, ja absolutnie rzekam się tego.

Tow. Grabski: Tak, tow. Gierek, tyle że wy tu wyrażacie intencję, z jaką wprowadziliście się do tego mieszkania i warunki użytkowania. Również nie jestem prawnikiem, ale w świetle aktu notarialnego dla mnie nie ulega wątpliwości, że dom jest waszą własnością. /Gierek - a dlaczego ja nic nie wiem?/ Są dokumenty, w oparciu o które nie tylko my musimy dawać wiarę. Przecież pójdzie, po naszym oświadczeniu z dzisiejszej rozmowy ktokolwiek do notariusza i wyciągnie nam tę umowę i powie: no, jak to kręca, kłamia. Proszę, towarzyszu Gierek, wejść również w naszą sytuację.

Tow. Gierek: Towarzysze, róbcie jak chcecie. Ja naprawdę powtarzam jeszcze raz - na głowę mojej 88-letniej matki - że nigdy nie uważałem tego za swoją własność, nikt u mnie w domu nie uważał tego za własność. Jeśli towarzysze uważają, że popełniona została w tym względzie jakaś nieścisłość, która, powiedzmy, wykracza poza normy prawa, to proszę bardzo - ja mogę dzisiaj złożyć oświadczenie, że ja się wyrzekam tego oficjalnie i więcej: proszę, żeby znaleziono miejsce przeprowadzki do innego miejsca i przeprowadzam się. Ja naprawdę nie mogę, towarzysze, przyznać się do czegoś, w czym nie brałem udziału. Mnie przeniesiono, przeniesiono mnie.

Głos z sali: Tow. Gierek, na litość boską, dorosły człowiek jesteście i sekretarzem byliście, odpowiedzialni, i was przeniesiono z jednego miejsca na drugie, tak, przeniesiono, tak? Akty notarialne dawano na własność, a wy nie wiecie? Tak nie mówi komunista.

Tow. Gierek: A jak mówi komunista! Ma powiedzieć! Prawdę mówić!

Głos z sali: Wy jesteście, tow. Gierek podenerwowani i my też podenerwowani. Bo to, co się stało w naszym kraju, to szlak może trafić wszystkich nas. Nie tylko was. Denerwujecie się. Przecież są tu dokumenty, które tak stwierdzają, na podstawie tych dokumentów rozpatrujemy sprawę. Zgadzam się, żeście nie mieli czasu dopilnować niektórych ważnych państwowych, partyjnych spraw. Ale czyscie nie widzieli wokół siebie, ilu to było takich, którzy żyli ponad stan, na koszt ludzi pracy i dzisiaj powiadają w podobny sposób: ja nie wiedziałem, ja nie mogłem. A takich przykładów jest barażo dużo. Chociażby Lejczaka i innych, którzy mówią: no zaraz, przecież wszyscy tak robili. To już jest wasza odpowiedzialność, żeście dopuścili do tego, żeście nie dopilnowali. że tak można było, że cały naród ciężko pracował. My się dzisiaj denerwujemy, rozpatrujemy te sprawy. Przecież nikt tu was nie chce przygnębić, pognać, tylko stwierdzamy. Sami przecież wiecie, co się stało. Tragedia. Wy mówicie, że w takich warunkach nie można żyć, nie można pracować. Absolutnie zgadzam się z wami, tylko musimy sobie niektóre sprawy wyjaśnić, jeśli są akta notarialne. Mówicie, że jesteście komunista i ja nim też jestem i jesteśmy w jednym szeregu. To mam prawo zapytać, dlaczego tak jest, dlaczego inni sobie żyli ponad stan? Byli ludzie odpowiedzialni i w rządzie i w partii. Musi być i źródło tego. Jeśli zarzuca się wam tę cieplarnię, jeśli wam się mówi, że tyle i tyle domu jest aktem notarialnym, powiadacie, że nie wiecie. Ja nie mogę tego zrozumieć.

Tow. Gierek: Przepraszam najmocniej, ja jeszcze raz powtarzam, mnie przeniesiono tam w określonych latach z uwagi na bezpieczeństwo itd., itp. Powtarzam to, bo to jest prawda. Ja przecież naprawdę, towarzysze, nie czytałem tego aktu. Traktowałem to jako dożycie. Mogę z tego zrezygnować.

Tow. Grzyb: Ja myślę, towarzyszu Gierek, że wasza odpowiedź nie była w pełni szczerą. Dlaczego to wyczułam? Bo jeżeli w waszych słowach były takie, że jeśli nie będziecie mnie bronić przed oszczerstwami, to sam będę się bronić, bo mam sporo jeszcze przyjaciół. To są wasze słowa i ja nie użyłam tego w formie szantażu. I powiedzieliście, między innymi, że sporo znam rzeczy, które mogę ujawnić. Mi się zdaje, że dzisiaj jest dzień, nasza komisja, po to żebyście nam ujawnili. Ja tu jestem robotnicą i mnie jako członkowi partii, członkowi KC, przykro dzisiaj tłumaczyć się przed pracownikami. Byliście dla nas pierwszym człowiekiem w kraju. Myśmy wam naprawdę zawierzyli. Dzisiaj nie chcemy was osądzać, ale chcemy wysłuchać przyczyn podejmowanych decyzji, co to były za decyzje, które doprowadziły do takiego kryzysowego stanu nasz kraj. Mielście już, tow. Gierek, sygnały w poprzednich latach. Sami byliście świadkami strajków, mówiliście, w 51 roku, w 56, 70, 76 niezadowolenie w Radomiu. A wyście nam głosili, jak to dobrze jest. Chcielibyśmy dziś usłyszeć, jakie były wasze decyzje. Jaki mieliście wpływ na to, że podejmowano decyzje, których skutki doprowadziły nasz kraj do takich rzeczy. Inna sprawa, kto zapłacił za to mieszkanie? Z jakich pieniędzy? Czy jest takie prawo, taka ustawa, że można kupić zasługi człowieka zasłużonego dla kraju, dla partii?

Tow. Gierek: Ja się nie czuję przestępcą. Macie rację, kiedy mówicie o tym, że ludzie ode mnie czegoś więcej oczekiwali. Ja sam od siebie też więcej oczekiwałem. Jeśli tyle razy nie wyszło tak, jak trzeba, nie wynika to z faktu, że ja nie chciałem, po prostu był taki układ, taka była sytuacja. Wam się wszystkim zdaje, że za wszystko odpowiada I sekretarz. Odpowiada on oczywiście za wiele spraw, ale nie odpowiada za wszystko, byli określeni ludzie, którzy odpowiadali. Mnie się dzisiaj imputuje, że w rolnictwie jest źle, że rozmach inwestycyjny, że Huta Katowice. Jak ja chciałbym brać odpowiedzialność za każdą sprawę z osobna, to ja musiałbym być... umyślowym.

Tow. Grzyb: My sobie tego nie wmawiamy, my znamy to z wystąpienia członków Biura Politycznego, byłego, na plenach KC, gdzie mówili: myśmy nie wiedzieli o zadłużeniu, o inwestycjach, o pożyczkach, bo to załatwiał tow. Gierek i Jaroszewicz.

Tow. Gierek: To jest ordynarne kłamstwo, że członkowie BP nie wiedzieli o zadłużeniu. Żadnej decyzji nie podejmowano bez BP i bez przygotowania propozycji przez rząd. Wszyscy wiedzieli. Nie uchylam się od wzięcia odpowiedzialności za to, co mogę wziąć na siebie, ale nie mogę przyjąć do wiadomości, że ja jestem winien za przekroczenie granicy zadłużenia. Winni są ci, którzy nie mówili o tym głośno na BP, oni są jeszcze teraz w Biurze Politycznym. Za finanse odpowiadał tow. Jagielski, za sprawy inwestycji odpowiadali inni towarzysze. Ja, o stanie zadłużenia, o tym, że została przekroczona granica, dowiedziałem się na początku 78 r. i wtedy na II konferencji sprawozdawczo-wyborczej bardzo mocno ten problem podniosłem, że trzeba rozwijać eksport i przyhamować import. Zresztą były wysiłki, np. po 76 r., po wydarzeniach radomskich, tak samo manewr gospodarczy, mówi się, że ten manewr nie wyszedł. Opracowany był przez określonych ludzi w rządzie. Nie wyciągnięto wniosków do końca, w sensie realizacji, bo zadania postawione były prawidłowo.

Tow. Drapich: Byłem delegatem na VIII Zjazd, ale przeprowadziliśmy reżyserkę. Uszyszeliście to, co chcieliście usłyszeć, a nie chcieliście usłyszeć prawdy. Dlaczego tak usilnie nie pozwalaliście, żeby odszedł Jaroszewicz, który narobił tyle bałagani w gospodarce, żeby odszedł Wrzaszczyk, bo Komisja Planowania najwięcej popełniła błędów w tym okresie?

Tow. Gierek: Zaczniemy od VIII Zjazdu i od tego, że upierałem się, by Jaroszewicz był premierem. Ja już w 76 r. uważałem, że powinno odejść dwu ludzi z tego kierownictwa - premier i minister spraw wewnętrznych. Uważałem, że cała impreza związana z operacją cenową jest przygotowana niedobrze. Stwierdziłem to jednak dopiero wtedy, niestety, kiedy ta sprawa zaistniała. Uważałem, że ta operacja jest źle przygotowana. Nie został do końca wyjaśniony jej głęboki sens, że chodziło o uregulowanie sytuacji na rynku. Przygotowanie tej sprawy zlecono tow. Jagielskiemu. Przedstawił ją najpierw na Radzie Ministrów, a potem na Blurze. Na Blurze była dyskutowana chyba ze dwa, trzy razy, ja tam wniosłem swoje poprawki. Uważałem, że jeśli mamy iść z problemem cen i rekompensat, to nie należy iść szeroko, dlatego, że społeczeństwo



musi się do tego przyzwyczaić. Po drugie uważałem, że trzeba społeczeństwu dać czas. Po trzecie, uważałem, że jak ma być konsultacja, to niech z konsultacją wyjdzie KC. Uważałem, że za podstawę całej tej operacji trzeba wziąć nie zarobki poszczególnych ludzi, a koszyk - łożądkę ludzie mają jednakowe. Wiąca za podstawę średnią tego, co przypada na człowieka, np. mięso i żeby niezależnie czy konsumuje on 70 czy 40 kg, żeby dostał rekompensatę za tę średnią. Zostało to źle przedstawione. Premier miał przemówienie źle przygotowane. Był prawdopodobnie wtedy chory, lało się z niego. Przedstawił to w sposób niewłaściwy. Poza tym nie powiedział rzeczy najważniejszej, mianowicie, że ta pierwsza próba - zbyt szeroka jeśli chodzi o asortyment - miała na celu zorientowanie się, co ludzie o tym sądzą, wrócenie na Sejm po to, żeby Sejm powtórnie mógł powiedzieć - idziemy do dyskusji. Bierzemy jeden czy dwa tematy, dyskutujemy, jak to się mówi do oporu. Niestety, to nie wyszło. Przyznaję się, że tutaj jest w tym wszystkim moja niekonsekwencja. Kiedy widziałem, że premier nie powiedział o rzeczach, o których powinien był powiedzieć, nie zabrałem głosu.

Co się tyczy samego Radomia. Kiedy wyskoczyły te historie, może jeszcze przedtem, całe Biuro, Prezydium Rządu i Rada Ministrów były za tym - w Biurze byli nawet tacy, którzy uważali, że zakres spraw jest zbyt wąski i że trzeba iść dalej. Ja się opierałem przeciwko rozszerzaniu, w dalszym ciągu uważałem, że zakres tej operacji jest zbyt szeroki.

Wydarzenia. Kiedy dowiedziałem się o tym, jak zareagowali ludzie i kiedy dowiedziałem się, że doszło do awantur, kiedy zadzwonił do mnie tow. Kania i tow. Kowalczyk - mówiąc, że muszą być wprowadzone siły porządkowe - powiedziałem, jeśli tak musi być, to ja kategorycznie zabraniam puszczania sił porządkowych z bronią. Dlatego, że miałem świadomość, że jeśliby ludzie poszli z bronią, to doszłoby do przelewu krwi. I milicja była nieuzbrojona.

Dlaczego wtedy nie odwołano premiera? Powiadam - ja taką intencję miałem. Uważałem, że powinien być odwołany premier i powinien być odwołany minister. Tylko, nie uwierzcie, że kandydatów - a taka była u nas niestety do niedawna reguła, że musiał to być ktoś z kierownictwa - nie było. Spośród tych, którym proponowałem, żaden nie chciał przyjąć funkcji premiera. Chciecie nazwiska? - prosiłem bardzo. Proponowałem tow. Jaruzelskiemu - nie chciał się zgodzić, proponowałem tow. Kani - powiedział, co wy, żartujecie? Proponowałem Babiuchowi - nie chciał się zgodzić. Byli inni, których mnie proponowano, na których - ja uważałem - nie należy się zgodzić. Proponowano np. tow. Jagielskiego. Ja uważałem, że przyjęcie kandydatury Jagielskiego na premiera, w sytuacji kiedy on ponosił w równym stopniu winę jak, powiedzmy, Jaroszewicz, byłoby potraktowane co najmniej jako obelga. Proponowano tow. Grudnia - też uważałem, że on się absolutnie nie nadaje. I stąd sprawa przewlekła się. Niedobrze, żeśmy w owym czasie, mimo wszystko nie poszli na plenarne posiedzenie i nie dokonali, za zgodą KC takiej, powiedzmy, rozszady, która pozwoliłaby uzdrowić sytuację. Co do tego macie rację. Gotów jestem za to ponieść konsekwencje.

Dlaczego przed VIII Zjazdem nie dokonaliśmy takiej operacji? Widzicie, Jaroszewicz zachorował na zawał i ze względów

czysto ludzkich nie chciałem tego robić, ale nie tylko. Byli towarzysze, nie choć wymienić ich nazwisk, którzy mnie chcieli wpakować w tę historię. Mówili, jesteście I sekretarzem, weź jeszcze funkcję premiera. Uwierzycie w to, czy nie - proponowano mi żebym ja. A dlaczego ja? Ja miałem tylko udział w nawarzeniu?

Głos z sali: Byliście I sekretarzem - największa odpowiedzialność...

Tow. Gierek: Mogłeś ty, wtedy wziąć w 70 roku funkcję I-go. Zobaczylibyśmy jakbyś ty to. Przecież nie można w ten sposób dyskutować. Ale jeśli już o funkcji I-go mowa. Ja na VII Zjeździe partii prosiłem o to, żeby wybrać innego I sekretarza. I wtedy towarzysze nie tylko nie przyjęli. Zostałem potem silnie ochrzaniony za to, że wyszedłem z tą sprawą. A wyszedłem ze sprawą rezygnacji i wtedy, kiedy miałem kłopoty z kręgosłupem. Również nie było chętnych, uważano moją propozycję za, w pewnym sensie, dezercję.

Tow. Wronski: Wielokrotnie na różnych spotkaniach, po których żeście chodzili - niepotrzebnie żeście tak dużo chodzili, trzeba było popędzić co niektórych, odpowiedzialnych, a samemu pilnować - zawsze pytano: towarzyszu Gierek w kraju dzieje się źle, czy wy o tym wiecie? - i dawano przykłady. Wy odpowiadaliście - nie byłbym I sekretarzem, gdybym nie wiedział. VIII Zjazd to to już był alarm, ostatni dzwonek. Wszyscy wiedzieli, że w kraju jest źle - nadmierna burżuazja. Ta prywatna, bezpartyjna, która żyła sobie ponad stan na naszych oczach, w kraju socjalistycznym, rządzonej przez partię. Prawda, żyła druga grupa ludzi, z legitymacjami w ręku. Też na naszych oczach i ponad stan. VIII Zjazd mówił, podejmując uchwałę, musimy z tym skończyć, bo to się skończy. I dzisiaj jest to. Dzisiaj każdy z działaczy musi mocno tłumaczyć się z tego, z tej tragedii, która się w kraju stała. A wy, powołują się na te nazwiska i na tych wszystkich innych, mało krytycznie mówicie o swoich sprawach. O tej prawdzie, o kierowniczej roli, jako sekretarz partii. Mnie to boli osobiście, że w ten sposób wy tutaj nam dzisiaj na zespolę mówicie. Mówicie, że jesteście komunistą. Trzeba powiedzieć, gdzie była przyczyna zła. A wy tak mówicie sobie jakos lekko, tak nie można.

Tow. Gierek: Przecież ja nie mówię, że nie czuję się odpowiedzialny. O czym nie wiedziałem. Zarzucacie mi, że ja wiedziałem o pełnym zadłużeniu. Naprawdę, ja o tym przekroczeniu granic zadłużenia dowiedziałem się w 1978 r. I wtedy zacząłem cisnąć. Na drugiej konferencji partyjnej mówiłem o tym bardzo mocno. Czy wyciągnęliśmy wnioski z VIII Zjazdu? Co do mnie należało, co mogłem, robiłem, żeby te wnioski wyciągnąć. Moje możliwości też są jednak ograniczone. Jak chodzi o realizację wszystkiego. Oczywiście, można zrobić bardzo wiele, tutaj, z tego szczebla. Ale inaczej jest kontrolować się, jak się jest sekretarzem wojewódzkim, inaczej jak się jest sekretarzem KC. Mówicie o doradcach. Z doradcami jest tak - doradzają wam w ten sposób, że można tak, a można i tak. Każdy doradza w ten sposób, żeby nie brać na siebie odpowiedzialności. On wam doradza, ale równocześnie on wam odradza. Prawda, przecież ja też musiałem mieć jakieś zdanie.

Staraliśmy się informować i rząd i Biuro i staraliśmy się wyciągnąć z tego wnioski.

Mówiło o tym, że trzeba było więcej tutaj siedzieć i więcej pilnować spraw kontroli. Z tą kontrolą to jest tak - musielibyśmy zacząć mówić o naszej partii i o tym, czy nasza partia i jej centralny aparat był przygotowany do kontroli. Patrząc z perspektywy czasu uważam, że niezauważnie on był przygotowany do kontroli. Brało się w wielu przypadkach ludzi z wykształceniem, natomiast nie brało się ludzi z doświadczeniem życiowym. Myślimy ulegli tutaj w KC tej magii wykształcenia, za mało zwracaliśmy uwagę na problem wychowania.

Tow. Fiszbach: Bardzo autentyczne jest to, co mówią towarzysze bezpośrednio z produkcji. Jest ogromne parcie na szeregowych członków partii w kategoriach udzielenia uczciwej odpowiedzi na pytanie: dlaczego do tego doszło, kto ma w tym swój udział i jaki udział? Tej odpowiedzi społeczeństwo i klasa robotnicza oczekuje od KC partii. Naszą rolą jest wyjaśnienie tych spraw i ich obiektywne i uczciwe naświetlenie. Jest kilka pytań: czy towarzysze nie zdawali sobie sprawy, że polityka zapoczątkowana w 1971 r. napotka w realizacji na progi i ograniczenia? Owo zadłużenie nadmierne za granicą. Byli ludzie, którzy o tym mówili. Miałem w rękę ostatni numer "Nowych Drog" /nr 4/, jest tam list tow. Gomułki z listopada 1971 r., w którym zapowiada następstwa negatywne i groźne, jeśli taką politykę w planie na lata 1971-75 się przyjmie. Czy w otoczeniu ludzi, odpowiedzialnych za tę koncepcję, nikt wam nie zwracał uwagi na groźby, na niebezpieczeństwa, które mogły wyrosnąć? Drugie pytanie - jak oceniacie swoją współpracę z tow. Jaroszewiczem, jaki był zakres jego odpowiedzialności w podejmowaniu decyzji dla kraju? Po trzecie - opinia, w przekonaniu ludzi w przedmiocie afirmacji propagandowej, określa się to propagandą sukcesu, realizowaną przez tow. Łukaszewicza. Jaka ona była? Mówi się, że był to wyraz waszej woli i osobistych upodobań. Ostatnia sprawa - ten dom, domy, domki. Uszyliśmy wypowiedź na ten temat, ludzie to interpretować będą. Ludzie się tym nie zadowolą. Nawet po przeprowadzeniu się można było się nie zgodzić, czy też jeszcze raz przeprowadzić. Przyjąłem z uznaniem, że chcecie się tego pozbyć. Nawet w środku, czy przy końcu drogi, powrót, zawrócenie - inaczej się przyjmuję. Przekazanie tego dla oelów społecznych - żłobek, przedszkole - i przejście do mieszkania, które by wam gwarantowało spokój i bezpieczeństwo. To jest rzeczywistość bardzo uciążliwa. My to rozumiemy. Uważam, że w tym kierunku powinniśmy to przyjąć i postanowić.

Tow. Gierek: Jeśli chodzi o dom, powiedziałem, że gotów jestem, moja rodzina, go opuścić, zrezygnować. Ale mieszkać to ja gdzieś muszę. Zdajecie sobie sprawę z tego, że kampania, jaka została rozpęta wokół mnie i mojej rodziny, czyni wam w jakimś stopniu odpowiedzialnymi za - powiedzmy - konsekwencje tego, co się może zdarzyć. Już teraz bije się moje wnuki, już teraz grozi dzieciom moim, że wyrzuci się je z pracy. Trzeba się nad tym zastanowić, w jakim okresie i gdzie ja oraz moja rodzina się wyniesiemy. Ja nie wiem, jak to może być, wy się nad tym zastanówcie, towarzysze.

Problem propagandy sukcesu. Ja absolutnie nie mógłbym zgodzić się z tym, że mnie na rękę była propaganda sukcesu. By

ocenić, jak ja reagowałem na zjawiska w naszym kraju, wystarczy sięgnąć do protokółów BP i Sekretariatu, moich spotkań z dziennikarzami. Mówiłem tam, że trzeba mówić o tym, co jest dobre, ale trzeba wydobywać także to, co jest w naszym życiu złe. Jeśli ktoś próbuje zarzucać, że mnie to było na rękę, ubliża mi w jakimś sensie. Zarzucają mi, że ja zachorowałem na manię wielkości, m.in. że kiedyś miałem wyjść z propozycją połączenia funkcji I sekretarza z funkcją prezydenta, czy przewodniczącego Rady Państwa. Kategorycznie oświadczam, że były takie sugestie i ja je odrzucałem, bo uważałem, że nadmiar władzy w rękach jednego człowieka jest rzeczą niezwykle niebezpieczną.

Nie pamiętam, jakie były wasze dwa pierwsze pytania, tow. Fiszbach. Ryzyko na pewno istniało. Ale było również ryzyko, polegające na tym, że 3 mln młodych ludzi mogło chodzić bez pracy. W tym pierwszym okresie, w pierwszej połowie 10-letnia te kredyty były zaciągnięte w szlusznych sprawach. Trzeba to było zrobić. Nie chodziło tylko o stanowiska pracy. W roku 1971 mieliśmy strajki w Żodzi. Towarzysz Stawiński, który był ministrem przemysłu lekkiego wie, ile jest jeszcze w Żodzi do zrobienia. Ale ile byłoby do zrobienia, gdybyśmy nie poszli na modernizację przemysłu lekkiego? Ja nie decydowałem o tym, czy to trzeba. Ja uważałem, że tym kobietom trzeba pomóc i wiele w tym względzie zrobiono.

Sprawy pewnych obiektów, które zostały zbudowane. Np. zarzuca mi się, że byłem ojcem chrzestnym huty Katowice. Ja jeszcze jako I sekretarz KW w Katowicach - ja się tam urodziłem, w jednej izbie, naprzeciwko wiecznie palącej się hałdy kopalnianej, jak wiatr dął w naszą stronę, to moja matka mokrymi szmatami utykała okna, żebyśmy się nie zatruli - ja uważałem i uważam zresztą nadal, konsultowałem to ze specjalistami, że aby zmodernizować stare śląskie hutnictwo, które jest dewastacją, trzeba było zbudować duży zakład. Surowcowy, po to, by można było z miast śląskich wyrzucić te, zatruwające atmosferę, stare koksownie, stare aglomerownie, stare wielkie piece.

Ja się nie wypowiadałem co do lokalizacji, co ja się na tym znam? Jak chodzi o górnictwo, proszę bardzo, mogę na ten temat rozmawiać. Jeszcze jako I sekretarz KW forsałem budowę dużego zakładu metali kolorowych w Bukownie-Bolestawiu. Po to, by można było z niecki węglowej na Śląsku wyrzucić te zatruwające, rakotwórcze zakłady. Po to zbudowaliśmy zakład w Miasteczku Śląskim, żeby można było rozebrać wiele innych, zatruwających środowisko zakładów.

Jeśli chodzi o to, czy przyspieszony, czy nie przyspieszony był ten rozwój? Z tym przyspieszeniem to jest różnie. Ustalano się np. koszty przy niższej wartości kosztów, a potem okazywało się, że trzeba dopłacać. To jest sprawa przecież odpowiedzialnych ludzi. Trudno żądać ode mnie, chociaż ja to robiłem - sukcesywnie rozliczaliśmy te sprawy - żeby ustalić, jak to akurat było.

Erzecie sprawa kosztorysu budowy tego "Massey-Fergusona", na ile ona została początkowo wyceniona? A ile później kosztowała? Wiecie, określali po prostu, żeby się dostać - jak to się mówi - na listę. Przedstawiało się różnego rodzaju kosztorysy, były tylko być na tej liście. Zarzuca mi się "Berlieta". Ja uważałem i uważam, że w Polsce potrzebny



był autobus. Nie wypowiedziałem się co to ma być. Towarzysze przychodzili i mówili, że to, że tamto - wybierzcie, co najbardziej optymalne, co będzie najbardziej odpowiadało polskim uwarunkowaniom. Nie miałem nic wspólnego z wyborem tej, czy innej licencji. Naprawdę.

Głos z sali: Towarzyszu Gierek, to kto jest w końcu odpowiedzialny za ten bardak, który się w kraju zrobił? Czego byśmy się nie dotknęli, to jest i nietrafne i źle teraz o tym mówicie.

Tow. Gierek: Przepraszam bardzo, to nie jest tak, że wszystko nietrafne. 90 procent licencji - z tego, co zdążyłem przeczytać - to są licencje trafne. Będę podtrzymywał skusność budowy Huty Katowice. Oczywiście, nie w jej drugim wariancie, a w wariantcie surowcowym, tak jak to było pomyślane od początku. Można do mnie mieć pretensje także o to, że w tym dziesięcioleciu rozpoczęliśmy budowę kopalń węgla i 2 kopalń węgla brunatnego. To też jest obciążające? A co by było, gdybyśmy tego nie zrobili?

Czy przyspieszony rozwój, czy nie przyspieszony? Ja uważam, że do pewnego okresu ten przyspieszony rozwój był konieczny, a potem oczywiście trzeba go było przyhamować i jego się przyhamowało. Czy przyhamowało na tyle, żeby to odpowiadało zrównoważeniu sytuacji gospodarczej - to jest inny problem. Uważam, że gdyby to, co się zbudowało w kraju, było wykorzystane jak trzeba, to nie byłoby tych kłopotów.

Tow. Szafranski: Tow. Gierek na wstępie powiedział, że jeśli mnie uznacie za złodzieja, to dajcie sprawę do prokuratora i rozmowy nie ma. Tak nikt nie chciał stawić w naszej Komisji, a tak tow. Gierek postawił. Ale w toku wyjaśniania powstała rozbieżność w naświetlaniu przez tow. Gierka sprawy z aktem notarialnym. Jest fakt, jest akt notarialny. Nie można już tak powiedzieć, że jeżeli tak, to ja rezygnuję. Trzeba wyświecić do końca, jak to powstało. Ale trzeba zacząć mówić o podstawowych, zasadniczych sprawach. Bo rozmawiamy z byłym I sekretarzem, który przez 10 lat był i patrzył jak rozwijała się gospodarka, jak rosło zadłużenie. Tow. Gierek mówi, że okłamywali was. Trzeba tymi sprawami się dziś zająć. Najważniejsza rzecz, jak narastało w tym kolektywie, że decyzje powstawały, które w efekcie przekroczyły wszystkie dopuszczalne granice zadłużenia. Przykro było słuchać na VI Plenum, kiedy członkowie Biura mówili - ja nie wiedziałem o tym zadłużeniu. Przypominajmy sobie hasło - partia przewodzi, rząd rządzi. Ale rząd musi być kontrolowany. Jak mogło dojść do tego, że rząd nie był kontrolowany i robił zadłużenia? Kto za to ponosi odpowiedzialność? Biuro Polityczne ponosi odpowiedzialność. Co dziś każdy członek partii w fabryce przechodzi? - przez 8 miesięcy jest miądzony zarzutami i w efekcie każdy członek partii wystawia rachunek kierownictwu. I my musimy otrzymać jasny obraz, co w tym mechanizmie było niewłaściwego, że kraj został wpędzony w zwałek bez wyjścia. Wiemy, że mamy rozwinięty front inwestycyjny w trosce o to, żeby dać zatrudnienie ludziom. Nie w trosce, żeby zarobić dla naszej gospodarki, żeby rozwijała się gospodarka, a żeby dać zatrudnienie. To jest niebezpieczne przedstawienie sprawy. A przecież chodzi o to, by stworzyć warunki rozwoju gospodarki.

Jest nie do przyjęcia, że tow. Gierek zobaczył jak narosło zadłużenie dopiero w 1978 r. To było przecież zupełnie o kilka lat za późno. Dlaczego każda kluczowa inwestycja nie była kontrolowana, jej wykonanie? Dlaczego zmarnowano dorobek "Ursusa" i poszło się na licencję? Przecież to, co "Ursus" projektował, to jest ten sam "Fergusson", bo oni z niego zlewali, w inteligentny sposób zlewali. Nie posłaliśmy na to, otworzyliśmy taką straszliwą rzeź - inwestycję "Fergusson". Inwestycja "Berliet", inwestycja "Fergusson" pokazywały nam na niewłaściwy kierunek. Trzeba pokazać tych, którzy powinni byli pilnować tych rzeczy. Mielśmy fachowców dobrych, dlatego nasi fachowcy kulili uszy po sobie i dopuścili do tego?

A ile niepotrzebnych inwestycji? Jak mówiono w komunikacie MSW, w Lublinie spaliło się urządzenie, sprowadzone ze Szwajcarii, do pieczenia pączków. Na co potrzebne były takie inwestycje ze Szwajcarii - zadłużyć nasz kraj? Po co to było robione? To trzeba poznać, bo przecież mamy pokazać ten mechanizm, dlaczego żeśmy zostali wmanewrowani w ten straszliwy kataklizm. I sprawę domu trzeba wyjaśnić. Nie wystarczy powiedzieć: ja to oddam. To trzeba wyjaśnić, jak to powstało. Jeśli to było wbrew woli tow. Gierka, to kto tam w tym Urzędzie Rady Ministrów był tym, co napłatał. A ilu żeśmy ministrów już zmarnowali przez to, że tak ich podprowadzono? Nie powinni do tego dopuścić. Ponośzą za to winę. Ale jest fakt, że był jakiś smrodliwy mechanizm, który dopuszczał do tego rodzaju praktyk. A teraz nasza Komisja musi zająć się podstawowymi rzeczami: jak w dekadzie narastało zadłużenie, jak ono miało być spłacane, co nie wychodziło i kto za to - w oczach byłego I sekretarza - ponosi odpowiedzialność?

Tow. Grabski: Wracamy do sprawy zadłużenia. Ja przeglądam protokoły Biura Politycznego, z tego, co mogłem ustalić, ani razu temat - sprawa zadłużenia państwa i drogi prowadzącej do wyjścia z tej sytuacji - nie stało oficjalnie na BP.

Tow. Gierek: Po prostu nie został zapisany, ale on stał, towarzyszu Grabski. Ja w ogóle uważam, że wiele spraw w tych protokołach najprawdopodobniej było pisanych dość ogólnikowo. O tym "Fergussonie", "Ursusie" itd. Ja powiadam: nie miałem w tej sprawie, powiedzmy, jakiegoś osobistego udziału, w tym że to, a nie to. Nie wymagajcie ode mnie, powiedzmy, czegoś na czym ja się nie znam. Ja sobie przypominam tylko jedną rozmowę na posiedzeniu Biura, kiedy przedstawiono propozycję zakupu "Fergussona", czy innego jakiegoś traktora. Ja wysuwałem propozycje, towarzysze zobaczcie na ile można skoooperować się z Czechami. Proponowałem także inne rozwiązania, mianowicie, żeby zobaczyć na ile - bo mówił mi to ktoś z "Ursusa" - opłacalne byłoby zmodernizowanie starego "Ursusa". Wtedy, o ile sobie przypominam, powiedziano mi: park maszynowy starego "Ursusa" jest tak zdewastowany, że jego renowacja - powiadam, ja nie jestem metalowcem - i tak wymagać będzie zainwestowania, prawie że jako nowy zakład. Powtarzam - ja się na tym nie znam - nie wiem, czy tak było, czy nie. Powtarzam to, co wiem. Ja rozumiem, że to może towarzyszy nie zadowolić, ale niestety tak jest.

Jeśli chodzi o sprawę cen z 1976 r. Ona była dyskutowana kilkakrotnie na posiedzeniu Biura. Najpierw przedstawił tę

sprawę rząd, że trzeba coś zrobić w uporządkowaniu w ogóle sprawy cen w Polsce. Propozycja była przygotowywana przez tow. Jaroszewicza i przez tow. Jagielskiego. Ona była dyskutowana. Była uchwała Biura, że trzeba iść na Sejm i konsultować tę sprawę. Była także uchwała Rady Ministrów, że trzeba konsultować. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek z członków Biura wyraził swój sprzeciw w tej sprawie. Byli nawet tacy, którzy uważali, że zakres tej regulacji jest zbyt wąski. Już nie chcę wymieniać ich nazwisk. I tak oni się nie przyznają. Jak wielu ludzi w tej chwili uważa, że on o niczym nie wiedział, niczego sobie nie przypomina. Tak jak np. na V Plenum wystąpił tow. Jagielski w sposób taki: - że tyle lat jestem członkiem KC, ale dopiero dzisiaj zabieram głos. Kto mu zabraniał zabierać głos?

Sprawa jest jasna, jesteście członkami KC, możecie uważać mnie za dumnia, możecie uważać mnie za co chcecie, ale nikt nie zarzuci mi, że ja kogokolwiek próbowałem temperować i mówić mu, prawda, że odczep się, nie masz racji, czy coś takiego. Starąłem się każdym tworzyć maksimum, jak to się mówi, warunków do tego, by mógł się wypowiedzieć.

Głos z sali: Tow. Gierek mówił o konieczności konsultacji, o znaczeniu i wadze konsultacji. Wprowadzając zmianę cen konsultacji ze społeczeństwem nie było, to była parodia konsultacji.

Tow. Gierek: Ale ja się zgadzam z tym, ja o tym wiedziałem.

Tow. Stawiński: To była parodia konsultacji. Natomiast na Sejmie, przy referowaniu sprawy, tow. Babinch podkreślał z całym naciskiem, że problem rekompensaty był specjalnie i osobiście pilnowany przez tow. Gierka. Jeśli chodzi o sprawę "Fergussona" muszę przyznać, że miała wielu ojców. To ja tę sprawę w 1976 r. tow. Gierkowi przysłałem sam. Przyniosłem opracowanie o rolnictwie i czym to grozi. Do czego dojdzie, jeśli rolnictwa nie dozbrowimy. Osobiście wręczyłem Wrzaszczykowski z prośbą, żeby tow. Gierek przeczytał, dałam i innym. Ciągnik jest jednym z podstawowych urządzeń w rolnictwie.

Teraz inwestycje, kierunki inwestowania. Tow. Gierek powiada, że gdyby te wszystkie sprawy, które zostały zbudowane, były czynne, byłoby inaczej. Towarzyszu Gierek, nam potrzebna jest odpowiedź, dlaczego - jak to się stało - że zaciągano kredyty, budowano zakłady, a jednocześnie pomijano to, co jest konieczne - nie trzeba specjalnej wiedzy, że najpierw musi być siła, energia, żeby zakłady szedł. Energetykę zaniedbano. Kierunki inwestowania dziwnie były niesynchronizowane, gospodarke rozregulowano szeregiem nowych inwestycji. Kto i jak, dlaczego to się działo?

Tow. Gierek: Problemy tych inwestycji. Powiedzmy, tego ten budował, to ten budował tamtego. Ja się zgadzam z tym, że negatywnie zadziały partykularyzmy, przede wszystkim w rządzie. Polegały one na tym, że poszczególni wicepremierzy odpowiadali za poszczególne sprawy, a jeśli wicepremier odpowiada, to on przede wszystkim stara się forsować swoje sprawy. On robił ze swojego centrum dowodzenia pępek świata. Jest to metoda niedoskonała; ja nie wiem, czy dzisiejsza metoda jest również doskonała. Nie wiem, czy jesteśmy już na tym etapie, żeby powiedzieć o tym, jak rząd powinien pracować. Po VIII Plenum za-

częliśmy trochę inaczej ustawić ten rząd, ujmując to w jakieś grupowe problemy. Ale i to nie było to. Uważam, że tak długi, jak długo istnieć będą partykularne interesy tego czy innego resortu i jak długo nie znajdziemy mechanizmu, który by potrafił stanąć nad tym wszystkim, tak długo będą występowały różnego rodzaju wypaczenia. Ja tylko tyle mogę powiedzieć, że ja nie widzę innego powodu, dla którego mogłoby się dziać inaczej. Ja żadnego z tych ludzi nie posiadam o złą wolę. Uważam, że każdy z nich, reprezentując swój odcinek, złożony z iluś tam ministerstw, starał się dla tych ministerstw jak najwięcej wywojować.

Energetyka. Z energetyką jesteśmy opóźnieni, ale sprawa nie w tym, co zaplanowaliśmy, bo zaplanowaliśmy dużo - za te ostatnie 10 lat myśmy prawie podwoili moc energetyczną, nie wiem dokładnie, to jest w granicach dziesięciu procent, paru procent. Uważam, że tutaj ktoś nie docenił tego, jakie będzie zapotrzebowanie. Najprawdopodobniej Komisja Planowania nie doszacowała tej sprawy.

Problem żywności. No cóż, ja nie mam nic na usprawiedliwienie, jak chodzi o problem żywności. Mogę tylko powiedzieć, że w zakresie przetwórstwa rolnego, jeśli brać wydatki finansowe, chyba że omyliłem, środki w stosunku do poprzednich lat, o ile dobrze pamiętam, to za pierwsze 5-lecie wyniosły gdzieś 60 czy 70 procent wzrostu. Potem znowu o ileś tam procent. Można dziś mówić, że to wszystko było za mało, tylko że znowu ja nie mógłbym się zgodzić, że co najmniej nie zwracałem na to uwagi, zwracałem na to uwagę.

Sprawa terminów spłaty długów. Jest to zarzut, który ja oczywiście uznaję, tylko bym proponował, żeby zarzut ten postawić tym, którzy bezpośrednio się tym zajmowali. Mówi się, że ja starałem się o kredyty. Oczywiście. Ja starałem się wtedy, kiedy trzeba było rozmawiać na temat kredytów. Ale ja nie ustalałem terminów spłaty tych kredytów. Nie wymagajcie wy od I sekretarza spraw, których ten pierwszy sekretarz nie jest w stanie ogarnąć.

A w ogóle, towarzyszko, to ja uważam, że jeśli już mówimy o problemach, które zaważyły na niektórych sprawach naszego kraju, to wydaje mi się, że głównym błędem w naszym działaniu była, gdzieś od 1974-75 r. polityka kadrowa. Ja noszę w sobie poczucie winy, że zgodziłem się na wymianowanie - używam tego z całą konsekwencją i świadomością - tow. Szlachcica, który był odpowiedzialny za kadry w KC i który niektórym towarzyszom nie podobał się. I stworzyła się cała mafia, która w różny sposób podcinała tego Szlachcica, żeby jego tutaj nie było. Cała, towarzyszko, mafia. Jeśli chcielibyście wiedzieć, to mógłbym powiedzieć tylko, że ilość tych którzy albo się nie angażowali w rozróbienie Szlachcica, albo tak jak np. Wojciech Jaruzelski, przyszedł lojalnie i powiedział mi: ja będę oczywiście za, ale wiecie, to jest mój przyjaciel i ja z nim nie zerwę, to takich towarzyszy nie było.

A co się tyczy Szlachcica, ja noszę w sobie do siebie samego żal, że pozwoliłem się w tę całą historię wmanewrować. Prawdopodobnie, gdyby on był, to można by wielu rzeczy uniknąć. Powiem wam dlaczego. On nie był człowiekiem zakłamanym. On mówił mi prawdę i nawet mówił prawdę, która bolała, ale dobrze, że mówił prawdę. On mówił prawdę nie tylko mnie.



Kiedy mówił do mnie, to było wszystko w porządku, jeśli natomiast tę prawdę wyrażał wobec innych towarzyszy, to natychmiast powodowało określoną reakcję i określone działanie do podrzucania różnego rodzaju świństw, różnego rodzaju historyjek dezawuujących człowieka. I jeśli udało mi się, nie wiem czy w pełni, wyrównać w jakiś sposób swój stosunek z tow. Grabskim czy ze Stefanem Olszowskim, to mam żal, że nie udało mi się tego rachunku wyrównać w stosunku do Franka Szlachetca, którego zawsze uważałem i zawsze uważam za przyjaciela. On nie był człowiekiem Biura Politycznego, ale nasze stosunki były zawsze przyjazne. I zawsze on starał mi się mówić o tym, co jego zdaniem mu się nie podobało. I powtarzam jeszcze raz, problem kadr, kadr i jeszcze raz kadr. I problem kontroli. Towarzysze, ja chciałbym powiedzieć o jednym, jestem na wy-czerpaniu i jeśli chcecie, to możemy, proszę bardzo, do upadłego, ale wolalibyśmy zakończyć i już.

Tow. Grabski: Towarzyszu Gierek, mamy tutaj zestaw takich konkretnych bardzo pytań. Gdybyście chcieli, może w oiągu kilku dni, na niektóre z nich się ustosunkować.

Tow. /nazwisko zniekształcone/: Zło się zaczęło dzieć przede wszystkim w partii, a potem przeniosło na inne dziedziny. Stopień odpowiedzialności poszczególnych towarzyszy za to, co się stało, jest - oczywiście - różny, ale zabieganie o wpływy przeszkodziło niektórym towarzyszom cele nadrzędne i oto są tego skutki: strajki, niepokoje, straty gospodarcze, polityczne, rozczarowanie członków partii do swoich przywódców. Mam żal do tow. Gierka, który nie dostrzegał szeregu niekorzystnych zjawisk zachodzących w najbliższym jego otoczeniu. Nie przepędził wcześniej pseudodoradów i pochlebców, zawierzył im i uwierzył w swoją nieomyślność. Nie przerwał zdecydowanie klaki na jego oście przy różnych okazjach. Wykazywał krótkowzroczność, gdyż nie przewidział skutków takiego rozwoju sytuacji, jaki nastąpił. Naraził tym samym na szwank autorytet partii i swój własny. Bowiem granicą, której nie może przekroczyć żaden autorytet, jest zgodność słów i czynów. Niektórzy mówią, że tow. Gierek jest dobrym człowiekiem, że chyba nie wiedział, jaka była w kraju rzeczywistość, może to i prawda. Ale być dobrym człowiekiem, to za mało, aby być dobrym przywódcą partii. Być dobrym przywódcą, to przede wszystkim umieć przewidzieć skutki podejmowanych decyzji politycznych, gospodarczych i organizacyjnych.

Tow. Gierek: Otóż ja się z wami absolutnie zgadzam. Ale wiecie, jak się chce kogoś ugrobić, to się go zarzuca drobiazgami, po to, żeby nie miał czasu na zajmowanie się sprawami podstawowymi. Mnie podrzucano wiele materiałów. Ja pracowałem po kilkanaście godzin dziennie, 14, 15, 16 godzin. U mnie była już taka sytuacja w domu, że żona powiedziała mi wręcz, słu-chaj, albo, albo itd. Wiecie z tymi materiałami to różnie by-wało, wiele po prostu podrzucano mi, by mnie blokować. Ja pra-cowałem, ale teraz ja widzę, że pracowałem niekiedy na jałowym biegu, że nie pracowałem nad tym, nad czym trzeba było pra-co-wać.

Pytanie - czy otrzymałem informacje od służb odpowiedzialnych za stan bezpieczeństwa o istniejących siłach politycznych będących w opozycji? Tak, bywały takie informacje i nawet tow. Kania informował nas na Biurze Politycznym o tych sprawach. Do-stawałem także informacje od MSW, ale nigdzie, w żadnym z tych

materiałów nie było wzmianki o tym, że państwu, że partii grozi takie zagrożenie. Towarzysze uważali, że metody działania, jakie stosuje się wobec opozycji, są metodami najbardziej odpowiadającymi aktualnej sytuacji. Że trzeba nękać wroga, ale nie robić niczego, co np. stworzyłoby w Polsce kraj procesów politycznych. Dzisiaj się te sprawy krytykuje, ale prawda jest taka, że to nie jest mój wymysł. To jest stanowisko, które tow. Kania, tow. Kowalczyk, przedstawiali na Biurze Politycznym i BP też się z tym zgadzało. W związku z tą sprawą stawiam wniosek, żeby spotkać się w gronie tych towarzyszy, którzy kiedyś byli w BP, z tym obecnym składem, żeby sobie wyjaśnić pewne rzeczy.

Miałbym jeszcze jeden wniosek, w sprawach gospodarczych. Czy nie byłoby dobrze, żeby - niezależnie od komisji, która pracowała nad opracowaniem dokumentu o stanie gospodarki - powołać jakiś bardziej neutralny zespół z udziałem chociażby specjalistów niektórych krajów socjalistycznych. Chodzi mi o komisję neutralną, chodzi mi o ustalenie, a może myślny tutaj w tej ocenie jeszcze czegoś nie dopatrzyli?

Dalsza sprawa. Mówi się, że miałem pełną suwerenność - ja ją wykorzystywałem w stosunkach, układach międzynarodowej współpracy z krajami kapitalistycznymi i socjalistycznymi. Ja niczego - chociaż musicie przyznać, że w polityce zagranicznej byłem dość aktywny i starałem się dla tego kraju przysporzyć maksimum tego, co mi się udawało - ja niczego nie robiłem na własną rękę. Każdą sprawę, jakąkolwiek, dyskutowaną w tym czy innym kraju, zawsze zatwierdzało BP, zawsze o niej dyskutowaliśmy.

Czy wiedziałem o nadużyciu władzy i nadużyciach gospodarczych przez najbliższe mi osoby z centralnych władz partyjnych? Tam, gdzie wiedziałem, tam reagowałem. Ja nie o wszystkim wiedziałem. Mogę powiedzieć, że niektórzy sekretarze odeszli dlatego, bo mieli nieczyste sumienie.

W jakim stopniu czuję się winny za istniejący stan wobec partii, państwa i narodu i bratnich nam krajów socjalistycznych? W takim stopniu się czuję, w jakim stopniu czują się wszyscy członkowie BP, Sekretariatu i rządu, którzy pracowali ze mną, którzy tak jak ja, robili i dobrze i źle. Jeśli ktoś chciałby mi wmówić, że ja tutaj, działając w taki czy inny sposób, świadomie wyrządzałem krzywdę naszej współpracy z krajami socjalistycznymi, ja kategorycznie takie sformułowanie odrzucam. Ja byłem zawsze i jestem po dzień dzisiejszy i będę do śmierci przyjacielem Związku Radzieckiego, nie tylko dlatego, że to nasz sąsiad, ale i z innych jeszcze powodów, bardziej emocjonalnych i ideowych.

"Czy zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką ponosi, że jako przywódca partii i narodu - w odczuciu szeregowych się partii, społeczeństwa, które uczciwie pracowało i wierzyło wam, są zawiedzeni, nieufni, mówią, że zostali wprost oszukani?" - Ja naprawdę nikogo świadomie nie oszukiwałem, to, co robiłem, robiłem naprawdę z przekonania, że służy to sprawie tego kraju. Ja mogłem się mylić, ja na pewno w wielu sprawach się myliłem, tylko, towarzysze, ja absolutnie nie mogę przyjąć takiego sformułowania, że oszukiwałem kolegów. Bo mogłbym powiedzieć, że w takim samym stopniu, jak ja oszukiwałem, również mnie oszukiwano. Czyli stopień winy musi być rozłożony równomiernie, ja nie w formie pretensji

do klasy robotniczej, chociaż w niektórych przypadkach również na zakładach mnie też bujano, też mi pokazywano nie to, co trzeba było pokazać itd.

"Są uwagi zgłaszane na zebraniach, że umowa o odszkodowaniach, zawarta między wami a Brandtem, między PRL i RFN, jest krzywdząca dla Polski. Jak należy ją oceniać?" - Ja oceniam, że nie tyle umowa między Brandtem a mną, a umowa między Rządem PRL i Rządem RFN, jest umową korzystną dla Polski. Jak ona jest realizowana w części dotyczącej uznania granic, poszczególne ustaleń, to jest inna sprawa. Natomiast w każdym calu, które dotyczą ustaleń podpisanych, było to konsultowane ze specjalistami w dziedzinie polityki zagranicznej i nie było tutaj żadnych krytycznych uwag.

Jest tutaj pytanie, że mówiłem o moralności, pracowitości, o wychowaniu młodzieży w tym duchu, a że było to sprzeczne z postawą towarzyszy itd. Ja rozumiem do czego ten wniosek zmierza. On w jakimś sensie dotyczy tego, co tow. Piłatowski przedstawił. Ja jeszcze raz powtarzam, ja absolutnie nie mogę się przyznać, że ja działając świadomie, że chodziło mi, żeby coś na tym zarobić, żeby zyskać. Oświadczam, że jeśli doszło do tego rodzaju w sprawie, jak napisanie tego dokumentu, to nie ma nic wspólnego z moim sposobem myślenia, z moim sposobem widzenia spraw, z moją postawą moralno-etyczną. Ja towarzysze, poza gruźlicą, poza kręgosłupem, poza sercem, niczego się nie dorobiłem.

Ostatnie pytanie - rolnictwo. Ja się na rolnictwie nie znam. Ja nie wiem, czy to jest lepsze w uprawie, czy tamto jest lepsze. Ja natomiast mogę powiedzieć, że w polityce, którą uważałem za słuszną, należało wykorzystać wszystkie zdolności produkcyjne naszego rolnictwa. Dlatego między innymi na mój wniosek objęto rolników powszechnym lecznictwem. Na mój wniosek wprowadzono renty dla rolników. Na mój wniosek uruchomiono cały szereg argumentów utwierdzających rolników w przekonaniu o słabości tej polityki.

Dzisiaj nagle mówi się, że wszystkiemu winien ten diabeł ze Śląska. Kiedyś nazwano to województwo Katangą, a mnie jeszcze inaczej. Nie wiem, jak jutro będą mnie nazywać. Nie wiem, czy po dzisiejszym grotkaniu nie wyjdzie tak, że ja będę musiak szukać opieki gdzieś, by nie dopuścić do zlinczowania kogoś z mojej bliskiej rodziny.

Chcę jeszcze raz kategorycznie oświadczyć, że jeśli stały się jakieś rzeczy, które na pewno wyrządziły partii szkodę, to nie stały się one za moją sprawą, tylko za sprawą wielu towarzyszy, którzy mogli, a którzy nie zawsze chcieli się wypowiadać w sprawach, które moim zdaniem mogły być rozwiązane inaczej.

/W tym miejscu, w dostępnym nam maszynopiśmie, następuje luka obejmująca 25 stron./

Oprac. Jerzy Zamróż

# POZIOMKOM, WITH LOVE

X Zjazdowi PZPR  
- ku pamięci!

Gdy z perspektywy pięciu lat myślę o tzw. strukturach poziomych - uderza mnie przede wszystkim spryt i konsekwencja władzy w rozgromieniu tego ruchu, polegająca na izolowaniu "ognisk zapalnych". Tryb był taki, że dopuszczano informacje jedynie na szczeblu lokalnym. Taktyka ta wiele też tłumaczy z niemożności wejścia "Solidarności" - nawet najmniejszym kącikiem - na krajową antenę. Władza idąca przeciw na liczne ustępstwa pod wpływem presji - na tym polu konsekwentnie trzymała żelazną rękę. Ówczesny redaktor naczelny tygodnika "Kultura", gdzie wówczas pracowałam, przyjął taktykę wkładania niewygodnych materiałów do szuflady, aż staną się nieswieże i stracą ważność, co wobec przyspieszenia wydarzeń następowało szybko. Tak też stało się z moimi trzema rozmowami, które przeprowadziłam w Gdańsku z przedstawicielami "poziomków".

Przypomnę: ruch poziomy w partii, nazwany tak ze względu na swój oddolny charakter, miał na celu udemokratyzowanie PZPR. Narodzony po wybuchu "Solidarności", plenił się reakcją żądnicuchową po Polsce. W Gdańsku, dzięki "wypowoszczi" województwa, to jest liberalizmowi tamtejszego sekretarza Piszbacha i wojewody Kołodziejewskiego, jego zwolennicy nie byli traktowani przez instancję jako frakcyjniści i mogli wypracowywać swoje idee oficjalnie. Piszbach dał im pomieszczenie w KW. Nocami w oknach tych pokoi paliło się światło, pracowano morderczo, z wiarą nie tylko w skuteczność sprawy, ale i w realność zmian, jakie dzięki ich pomysłom miały się dokonać na nadchodzącym nadzwyczajnym IX Zjeździe Partii. Jeżdżąc do Wałęsy, zetknęłam się z trzema znaczącymi poziomowcami i przeprowadziłam z nimi trzy rozmowy drukowane w tygodniku "Kultura", "Życie i Nowoczesność" i białostockich "Kontrastach". Moi rozmówcy byli jednocześnie członkami partii i "Solidarności", pracownikami Stoczni im. Lenina. Rodowód: Zbigniew Szczypiński, kierownik Biura ds. Osobowych i Analiz Społecznych, był tym, który w swoim czasie podpisał przymusowe przeniesienie Anny Walentynowicz na inny wydział. Długo mu to pamiętano. Wybitnie inteligentny, o temperamentcie badacza i działacza zarazem. Byłam świadkiem jego pierwszego spotkania z Iwanówek, poziomowcem z Torunia: "Iwanów?" - zapytał Szczypiński wchodzącego mężczyznę. "Szczypiński?" - odpowiedział pytaniem Iwanów. Podali sobie ręce. Nie wie-



dzień czemu, przyszedł mi na myśl Stanley odnajdujący Livingstone'a w buszu nad jeziorem Tanganika. Szczypiński wystąpił z partii po IX Zjeździe. Po 13 Grudnia wyrzuceni ze stoczni /nie pozwolono mu nawet pracować na wózku akumulatorowym, co chciał robić/, wszedł do prywatnej spółki odkaraluszania miasta; wybrany prezesem Gdańskiego Oddziału Socjologicznego, działa w akcji odczytowej przy Gdańskich Dominikanach. Grzegorz Czernielewski, główny specjalista ds. Organizacji i Metod Zarządzania - w czasie naszych rozmów najbardziej buńczuczny, zawsze w kierownictwie Stoczni. Czego oczekiwał po demokratyzowaniu partii? Nie wiem. Ale po wyborach do sejmu, już w roku 1986 wdziałam go wśród "gadających głów" w oświetleniu TV; w kasku nadzoru Stoczni, "prosto z roboty", dziękował Generałowi za wkład i trud. Zbigniew Barański - najmłodszy, dwudziestokilkuletni, typowy produkt tej dorodnej, inteligentnej i myślącej generacji robotników. Zdolny modelarz. Był w sierpniowym strajku w Stoczni, ale już wtedy raziko go skandowanie: Wa-łę-sa... Wa-łę-sa... Gdy go zobaczyłam po klęsce grudniowej, uderzył mnie jego smutek. Zaczepił się gdzieś w prywatnej inicjatywie, bez przekonania i materialnych rezultatów. Jego energia załamała się.

Poniższy wywiad jest "środkową" z trzech wspomnianych przeze mnie rozmów; rozmawialiśmy pod koniec stycznia 1981; ukazał się w "Życiu i Nowoczesności", tzw. dodatku Bratkovskiego do "Życia Warszawy"; cięcia cenzuralne są charakterystyczne<sup>2</sup>/.

Na wstępie moi rozmówcy, nawiązując do naszej pierwszej rozmowy z listopada 1980, mówią, że u nich zmiany, "że mają do czynienia z inną rzeczywistością, że z małego zagajnika przeszli do gуще lasu...".

X X X

Zbigniew Szczypiński: Wtedy działaliśmy jako trzej stoczniowi muszkieterowie, dziś jako cząstka 250-osobowej Przedsiębiorstwa Komisji Wojewódzkiej, która podzieliła się demokratycznie na 13 roboczych zespołów tematycznych. Każdy z nas jest w innym...

Ewa Berberysz: Nie wchodźmy w szczegóły. Jaka zmiana, poza wskaźnikiem ilościowym, w stosunku do listopada? Wtedy szło wam o ordynację wyborczą; chodziło o to, żeby na Zjeździe nie było ludzi rekomendowanych, ale wybrani.

Grzegorz Czernielewski: Wybory są punktem wyjścia, nie celem. Celem jest przebudowa partii.

EB: Ale czy bez realizacji "punktu wyjścia" możliwa jest przebudowa? To znaczy, czy bez "A" można powiedzieć "B, C, D" i cały alfabet?

X/  
Fewne sformułowania, nawet wówczas, w dobie "wolności" prasy, nie były w stanie ujrzeć światła dziennego w "Organie" samego prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Na naszych łamach publikujemy pełną wersję rozmowy, fragmenty zdjęte w 1981 r. zaznaczając przez podkreślenie tekstu.  
/Red./

Zbigniew Barański: Ja działam właśnie w naszej Komisji Statutowej. Tu zaznaczę, że instrukcja wyborcza tej Komisji różni się tylko w nieistotnych szczegółach od tej, którą wypracowaliśmy już wcześniej w Szczecinie. Problem polega na czym innym: że by poszła w Polskę. Bo tak poważna sprawa jak Statut czy ordynacja wyborcza /jeżeli już stwierdzamy, że partia nie jest klubem dyskusyjnym/, nie może być dowolnie interpretowana. Tak, jak ma to miejsce w tej chwili - w Regulaminie podpisanym przez KC - gdzie używa się sformułowań tego typu: "w poszczególnych przypadkach dopuszcza się" itd., itp. ...

ZS: Po prostu: wystartowaliśmy z generalnym sprzeciwem wobec tej ordynacji wyborczej, którą nam przysłał Komitet Centralny. Podpisał go Prezydium Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej w imieniu całej Komisji. Protest jednoznaczny: jeżeli zjazd przebiegnie niedemokratycznie, grozi rozłam. Jeszcze jedno: Zbyszek Barański poruszył kwestię tylko z pozoru formalną, kwestię sformułowań. Dostałem do ręki nową wersję Statutu poszerzonego o kilka punktów, to prawda, ale w dalszym ciągu dającego możliwość dowolnej interpretacji. A powinna ona być jednoznaczna: te same zasady wyboru kandydata z POP, co z KC, ponieważ i ten, i ten, są członkami tej samej partii.

GC: Przedstawiliśmy instancji wojewódzkiej demokratyczną instrukcję wyborczą i na to nadchodzi instrukcja wyborcza KC. KC, mieniąc się władzą nadrzędną, serywuje nam ordynację wyborczą, opierając się na centralizmie demokratycznym. Ale my wlemy, że tenże Komitet Centralny nie jest wybrany wedle zasad demokratycznych.

ZS: Ta instrukcja dopuszcza kandydatów nie związanych ze środowiskiem.

ZB: "w uzasadnionych przypadkach mogą kandydować...".

Dla jasności: dane nam wsparcia? oczywiście 50% /przedtem było 15%/ demokracji. A my chcemy więcej niż 50%.

EB: Co dalej?

GC: Zajęliśmy stanowisko, że produkt, który nasi członkowie stworzyli, bo nie my trzech, ani nawet tych dwustu pięćdziesięciu, ale organizacja partyjna w liczbie około stu tysięcy, że ten produkt ma znamiona demokracji i będziemy się nim posługiwali. Bo jakże posługiwali się innymi, skoro ludzie to stworzyli i chcą się tak wybiierać?

ZS: Grzesiu, przy jeszcze jednej nie załatwionej sprawie, czy w ogóle mają być wybory przed Zjazdem?

GC: Jest ustalenie, że w tej sprawie decyzję podejmujemy my.

ZS: No dobrze, ale "my" to jedna czterdziesta dziewiąta tego kraju.

EB: Wasze województwo nie wyrzeka w próżni. Czy nie można sądzić, że myślenie jest podobne w obrębie całej mapy?

Z: Zgoda, ale porostaje problem kampanijny. Mamy gotowy dokument, który - do tej pory - nie był przy wyliczaniu ordyna-

cji wyborczej, ale precyzuje wiele ważnych spraw partyjnych, jak np. wykładnię pojęć typu "kierownicza rola partii", czyli stosunku do podstawowych organów władzy; jak sprawę struktur wewnątrzpartyjnych; jak rewindykacje, które określa kwestię odpowiedzialności i rozliczeń personalnych... Każdy z tych naszych 13 Zespołów zakończył pracę i zapisy są. Mamy taki podstawowy zapis, który cyklicznie jest publikowany w prasie wybrzeżowej...

GC: Ale tu chodzi o rezonans na całą Polskę. Nawiasem mówiąc, autocenzura redaktorów naczelnych jest zaskakująca. Ci ludzie powinni się zastanowić, czy mają nosić legitymacje partyjne, czy może oni są z zupełnie innej partii...?

ZS: Gdyby więc pani, jako przedstawicielka "Kultury", zechciała być nośnikiem naszej informacji? Ale pod warunkiem, żeby się to musiało rozegrać szybko w czasie. Wytknę, że naszą urzędniczą rozmowę z listopada opublikowaliście dopiero w styczniu. A chodzi o to, że powinno się w trybie natychmiastowym zwołać spotkanie przewodniczących Komisji Przedjazdowych poszczególnych województw.

ZB: Choćby dlatego, żeby przekonać się, czy są. Na razie wiemy, że jest Centralna Komisja Zjazdowa z towarzyszem Kanią i robotnikiem etoczniciowym z Gdyni, Ożanowskim, jako jego zastępcą. I teraz pytanie - nie moje, tylko wszystkich - kto to jest ta Centralna Komisja?

ZS: Zostawmy ten dylemat. Zawarowaliśmy sobie u tych naszych pięciu, którzy wystartują do Centralnej Komisji, że będą tylko listonoszami, dostarczającymi wypracowane przez nas idee; jeśli by tak było w innych województwach, to ja pomijam kwestię doboru. Ale wiem, że tam zespołów nie ma. Natomiast są ludzie, których nikt nie zna i nie wie, dlaczego zostali wybrani. Zadziałał system nominacji jako parawan demokratycznych wyborów. Pod hasłem centralizmu demokratycznego, pod hasłem walki z elementami antysocjalistycznymi - ludzi etkam-szono.

ZB: Tylko jak ruszyć inne ośrodki w kraju? Chodzi o to, żeby ci, co myślą podobnie, nie zostali napiętnowani. Chodzi o to, jak zrobić, żeby nasza inspiracja poszła w kraj?

EB: Rozumiem, że spotkanie czterdziestu dziewięciu byłoby stymulatorem waszej inicjatywy?

ZB: Spójrzmy do kalendarza. W trzy miesiące po ogłoszeniu Tez Przedjazdowych może się odbyć Zjazd. Tez nie ogłoszono. Tezy można będzie ogłosić, jeśli spotkanie dojdzie do skutku.

GG: Czy dojdzie? My kiedyś popełniliśmy artykuł w naszej

partyjnej gazecie tutejszej - ale nie wiem, czy tak można nazwać "Głos Wybrzeża", bo w "Trybunie Ludu" wyczytaliśmy, że jest to gazeta KC. I paradoks: przyjeżdża towarzysz, doświadczony, świątły, czyta ten nasz wywiad, którego udzielił nam naszej gazecie partyjnej w październiku 80, i gdy drzwi się otworzyły, to on tę gazetę chowa pod stół. On był z Kielc. Z Lublina biorą tę oficjalnie wydrukowaną naszą instrukcję, i nie wierzą...

ZS: Nie w tym rzecz. Chodzi o to, żeby zorientować się, gdzie istnieje wyraz instytucjonalny tego protestu. Gdzie stworzono struktury, o których wszyscy mówią w różnych grekach pokątnie.

ZB: Myśmę tu, na Wybrzeżu, poszli do przodu, ale tak jak my, myślą szeregi. Tylko trzeba do nich dotrzeć. Nie ma darcia, to jest problem. W kanałach partyjnych obowiązuje informacja jednostronna, podobnie jak w telewizji. Nie mamy jak mówić bezpośrednio do członków partii.

EB: Najprościej byłoby przez prasę, po to tu jestem.

GC: To jest wstyd, ale nie wyczytałem żadnej notatki w prasie centralnej, że podobne do naszego myślenie może mieć miejsce w obrębie całej mapy, jak zresztą pani wspomniała.

EB: Rozumiem, że ja się mam wstydzić. Mogę się tu bronić dość wątpliwym w końcu argumentem, że prezes SDP dostał niemal zawału, bijąc się o to, żebyście byli poinformowani.

ZS: Zostaje jeszcze słowo "emisariusz". Jednym z działań pod hasłem "emisariusze" była konferencja organizacji partyjnej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, na której nasz kolega, Leszek Pyziak, prezentował stanowisko gdańskie...

ZB: Komitet Centralny może konsultuje się z instancjami, ale opinia instancji bywa diametralnie różna od opinii członków, których ta instancja zrzesza...

EB: Co robić?

GC: Cofnę się do genezy. My trzej zadaliśmy sobie to pytanie "wprzódzi". I stwierdziliśmy publicznie, że mamy kaca moralnego z powodu własnych postaw w ciągu dwudziestolecia...

EB: Trudno wobec pana Barańskiego mówić o dwudziestolecu...

ZB: Każdy ma tych swoich parę lat...

GC: Niefajnie zachowywaliśmy się uprzednio. Ale dzisiaj nie chcemy już mieć kaca. I nie chcemy uprawiać polityki kawiarnianej...

ZS: Grzesiu, było pytanie, co robić.

GC: Pani niechcący nasunęła boczny temat: czy istnieje e-kologia społeczna, w której lepiej lęgną się takie inicjatywy, jak nasza?

ZS: Moim zdaniem jest to problem wydumany, w każdym razie,



na później. Ja postawiłbym tezę taką: ludzie dzielą się na działaczy i na przezwaczy. Teraz jest czas dla działaczy, dla przezwaczy będzie później.

GC: I jedni, i drudzy, myślący kapitalnie, gdzieś są, ale gdzie? Może istnieją jakieś przeszkody, które stają im na drodze?

EB: Nie tajemnica: kariera, lęk...

GC: A wypadkową tego jest "mituwizm". Obnażmy ich partii i spytajmy, dlaczego nie chcą działać. Nam tutaj Sierpien pokazał, jak postulować i jak agzekwować. Poza tym, istnieje typ działaczy, którzy myślą, że jak zaangażują się w działalność partyjną, automatycznie wejdą na negatywną listę "Solidarności"...

ZS: Partii potrzebne są dobre związki, związkom potrzebna jest dobra partia. Ale nie partia tworzona przez zespół ludzi, których celów ja nie znam. Choć czasem nawet na zebraniach partyjnych genialnie rozprawiają, ale potem proszą, żeby tego nie protokołować...

GC: ...i. ustawiają się po scenariusze instancji.

ZB: No więc znów: tych czterdziestu dziewięciu musi się spotkać.

EB: A jak się okaże, że jest ich tylko piętnastu?

ZS: Cudownie! Niech będzie jasność w tej materii. Będziegry siedzieć, na jakim gruncie stoimy.

ZB: Ja zadałem pytanie naszemu sekretarzowi wojewódzkiemu, czy aby ta nasza Wojewódzka Komisja nie jest wentylem, żeby upuścić parę. A tam, gdzie tej pary nie ma, wyznacza się paru urzędników z instancji i pod pretekstem odnowy zmierza się do tego samego...

EB: Czy po to zrobiliście sobie ręce po pachy, żeby sobie pogadać?

ZB: Trochę chcemy panią sprowokować.

EB: Wierzycie w prasę?

GC: Wierzymy w dziennikarzy, ale w każdego z osobna.

EB: I słusznie. Podlegamy bowiem temu samemu mechanizmowi, o którym tu mówimy. Ale jak rozumieć, padło tu alternatywnie słowo "emisariusze"...

GC: Tak, wyślemy ich do innych organizacji po to, żeby sąpać, co się u nich dzieje.

ZB: Chciałbym zawrócić. Grzegorz mówił przed chwilą o tych, co się nie wychylają, powiedział też "redaktorzy naczelni". Czy oni wiedzą, że takie gazety jak "Polityka", "Literatura", "Kultura" są czytane w środowiskach robotniczych?

ZS: A mnie przychodzi na myśl inne pytanie: gdzie jest sejm? Rozumiem, dlaczego sejm zbiera się na sejmie, na kucych

poskowie odrabiają zaległości i zadają setki pytań. I dobrze, bo "wiedzieć" jest przedśionkiem do tego, żeby "działać". Ale nie rozmiem, dlaczego zaraz się rozjeżdżają. Sejm i Komitet Centralny, jako dwa gremia mandatowe, powtarzam, a nie egzekucyjne, powinny obradować w permanencji. O ile pamiętam z historii, kiedy sytuacja była równie trudna, Sejm był czteroletni. Uzasadnienia szerszego nie potrzeba.

ZB: Moim zdaniem, kompetentnym gremium jest społeczeństwo jako takie. Jeśli damy na to - ale przykłady mogą być różne - rzecznik rządowy, red. Barecki, powołuje się na niepodważalne dowody ekonomiczne, mówiąc, że stanowisko "Solidarności" prowadzi kraj do ruiny, nic prostszego, jak pokazać salę obrad, a nie zainscenizowany "kawałek". Jeśli mamy wierzyć władzy, taka praktyka narzuca się sama przez się.

GC: Powrócę do Zjazdu. Dawniej obowiązywało zalecenie o proporcjach: robotników tyłu, rolników tyłu, zawodów wolnych, kobiet, tyle a tyle. Stocznia Gdańska miała limit dwóch robotników, szczyt idiotyzmu. Bo nie chodzi o to k t o, ale k o g o reprezentuje. Jeżeli robotnicy postanowią że dwa razy dwa jest cztery i wybiorą faceta, i powiedzą mu: ty potrafisz nas reprezentować i masz furt powtarzać, że dwa razy dwa jest cztery, i nie ośmieszają nas, to w związku z tym, żeby też argument mądrze głosić, wybiorą kogoś z autorytetem, nie patrząc, czy jest robotnikiem, majestrem, inżynierem czy innym czortem... W naszym środowisku żyje człowiek nazwiskiem Fac. Jest członkiem partii, jest pisarzem. Jeśli on zostanie wybrany, ma reprezentować nasze interesy.

EB: Spreozysujmy słowo "interesy".

ZS: Najważniejszy w tym jest odpór przeciw serwowaniu klucza zawodowego, zmierzającego do utrudnienia wszelkiej autentycznej reprezentacji.

ZB: Ale teraz powstają dylematy. My proponujemy, że liczba kandydatów jest nieograniczona, i w całości z sali. A Centralna Komisja Zjazdowa mówi, że z większości organizacji napływają wnioski o zwiększony limit robotników w KC. Do dwóch trzecich. I brzmi to niby bardzo demokratycznie. A ja chciałbym tu podkreślić, że to stanowisko budzi moje wątpliwości. Podciągnie ono znowu procentowo wyższy składnik robotniczy, dobierany według jakiegos tam klucza. Bo przecież nie można określić składnika procentowego, nie zakładając klucza. Więc w sumie, nie są oni autentycznie wybierani, tylko wedle tej liczby, która jest potrzebna...

ZS: ...z góry założone.

ZB: Ci robotnicy po dziewięciu godzinach zasiadówki będą marzyli już tylko, żeby wyjść odsapnąć świeżym powietrzem. Podpiszą wszystko. A ci, którzy będą za nich faktycznie decydowali, będą mieli ich podpis. I tu leży największe niebezpieczeństwo. Na czym ja się opieram. Na autentycznym robotniku, człoku KC, tow. Łabedzkim, który oświadczył, że tow. Gierek cieszył się prawdziwym autorytetem, bo, jak mówił, żaden z nas sobie do Łba nie dopuszczał, że może nas tak wy-

kolegować, jak mówi Wałęsa. I w sumie, gdy na VII Plenum po-  
stawiono wniosek o wykluczenie Gierka z partii, wtedy ten Ła-  
będzki zaprotestował, bo nie mógł zgodzić się na to, że był  
chorągiewką.

EB: Chciał być do końca konsekwentnym.

ZB: I cóż z tego? Jaki wpływ miał robotnik na decyzje KC?  
O niczym nie wiedział. Teraz Łabędzki na Plenum KW - jako je-  
dyny chyba sformułował stanowisko, że KC w obecnym składzie  
nie jest zdolne do odnowy. Z jednej skrajności w drugą.

ZS: Inaczej: kiedy patrzymy na ciała przedstawicielskie  
przez strukturę, to patrzymy oczyma kogoś, kto postawił się  
nad tymi ciałami przedstawicielskimi. Jest to klasyczny przy-  
kład na manipulację. Elementarz stosunków politycznych. My  
wprost mówimy: nas centralizm demokratyczny nie interesuje.  
Jest to pojęcie sprzeczne wewnętrznie i mętne. W zamian za to  
proponujemy zdefiniowanie dwu pojęć, które powinny w to miejs-  
ce wejść: demokracji wewnątrzpartyjnej i dyscypliny partyjnej.  
To się da zdefiniować, natomiast centralizm demokratyczny jest  
parawanem, za którym zawsze chowają się instytucje. Zagadnie-  
nie, wokół którego się tu cały czas kręcimy, dałoby się ująć  
tak: jeśli spojrzeć na ciała przedstawicielskie w postaci KC i  
sejmu poprzez strukturę, przy stwierdzeniu, że jest ona zgodna  
ze wszystkimi wskaźnikami całego społeczeństwa, można mieć je-  
dną pewność: będzie to fasadowe i fikcyjne. Ponieważ żaden par-  
lament nie ma w sobie tyle młodzieży, ile ma jej całe społeczeń-  
stwo, nie ma tylu robotników, ilu ma ich całe społeczeństwo  
itp., itd. Jeśli stwierdzamy, że robotników jest w Polsce naj-  
więcej, to powinno to oznaczać, że będą oni mieli szansę wyb-  
rać najwięcej swoich przedstawicieli, obojętnie, czy będą to z  
zawodu robotnicy, czy nie.

ZB: Z tym, że tak prymitywnego argumentu, którym się jeszcze nadal szermuje, że większa liczba robotników w KO jest potrzebna po to, bo trzeba było myślicy robotnik ze swoim robotniczym instynktem w porę dostrzeże, jak się to wahadło wychyla - nikt już nie traktuje serio.

GC: Była pani może na takim spotkaniu, na którym produkujące włóknianki siadają w pierwszych rzędach i mówią, mówią, mówią? Mało tego, one mówią mądrze. Ale mówią tak: "u nas, w naszej hali, wrzeczono jest za podługowate i za szpiczaste, a powinno być zaokrąglone na końcu". I one o tym mówią od dziesięciu lat. I mogą sobie mówić tak dalej. Ale jeśli zespół tych problemów weźmie w zapy człowiek z predyspozycjami...

EB: Co to znaczy "człowiek z predyspozycjami"? I kto go wytypuje?

GC: Nasza Instrukcja.

ZS: Instrukcja nic nie wytypuje, przestań opowiadać białuki. Dowcip polega na tym, że bardzo niski poziom kultury politycznej społeczeństwa ma szansę pójścia w górę, jeśli dostarczą się mu instrumenty budzące poczucie, że kultura polityczna jest realnością. To jednak, jak na razie, jest poza wyobrażeniem. Bo jeśli się wyłączy sytuacje strajkowe i postawy rewindykacyjne, mówiące, że musimy zabrać, co nam nakradli i tysiączne inne takie sprawy - to ogólna prawda zostanie nam taka: społeczeństwo polskie myśli kategoriami, w których brak elementów myślenia politycznego.

EB: Więc na co stawiało przy takim założeniu?

ZS: Prawie dokładnie mogę sobie zrekonstruować rzeczywistość społeczną kraju. I teraz pytanie: jak tu będzie działał mechanizm demokratyczny? Jaka jest możliwość transmisji? To znaczy, co ludzie mogą z niego wziąć i wykorzystać? Według mnie, stuprocentowej pewności, że coś mogą z tego mechanizmu demokratycznego wziąć - nie ma. Natomiast jest inna stuprocentowa pewność: że niedostarczenie takiego mechanizmu sprawi, że o żadnej demokracji mowy nie będzie.

EB: Więc chcecie być drożdżami?

ZS: Wedle mnie, jedyna taka forma istnieje. Chyba że ktoś powie: taki jestem mądry /o co zważna zaczynam podejrzewać obecnego tutaj Grześia/, to wszystko jest potrzebne, żeby się zrobił wielki tumult, a my tu, mądrzy szamani, cośmy dostrzegli, co obdarzeni wyprzedzającą świadomością, my to wszystko załatwimy...

GC: Nie bredź, mnie się też to wszystko układa w proces ciągły, trwający, być może, dwadzieścia lat.

EB: Obowiązuje czas przyspieszony.

GC: Tego, co nam się już udało zwojować, nie osiągnęlibyśmy w normalnych warunkach w piętnastolecie.

ZS: Megalomania.

EB: Co to znaczy "w normalnych warunkach"? Zaczęło się od "Solidarności". Chodził wam o drugiego Wąkęę?

ZS: Zaraz, po kolei. Kończy się czas ekspertyz, bo te wszystkie prace, jakieśmy właśnie robili, to były ekspertyzy. Ale teraz trzeba to wziąć w rękę i zrobić z siebie trybuna. /Ja ciągle jednak myślę, że trzeba pojechać w kraj./ I trzeba nam trybuna, który nie rozwijałby swojej osobowości jako charyzmatu, ale przynosił na szerokie forum to, co jest zapisem naszych namiętności. I bronił tego umiejętnie. Problem w tym, żeby Zjazd nie stał się takim czymś, na co mają ludzie przyjechać, i będzie już wszystko przygotowane, będzie uchwała...

ZB: ...materiały, rozgonia ich w kilka sal i w dwa dni załatwia sprawę. Jeśli tak miało być, to jest już koniec, już dalej nie ma co mówić.

EB: No i macie odpowiedź, dlaczego wasze pomysły nie są centralnie publikowane.



ZS: Dlatego rozmawiamy z publikatorem. Taka jest pointa, oczywiście.

GC: Do pani mam pytanie: komu nie są na rękę te nasze pomysły?

ZS: Daj spokój, pani nie jest stroną...

GC: ... czy partii? Partia to my.

EB: Już dobrze. Wasz wariant Zjazdu?

ZB: Dlaczego Zjazd nie mógłby trwać dziesięć dni?

ZS: Albo być w dwóch etapach? Niech się najpierw załatwi sprawa polityczne, a potem zarysuje - gospodarcze.

EB: Chciałam na koniec spytać: co to znaczy "być partyjnym"?

ZS: Jeśli cokolwiek z tych rzeczy, które tu usiłujemy zrobić - wyjdzie, to m.in. po to, żeby tego rodzaju pytanie, które pani stawia, nabrało treści. Właśnie: co to znaczy, że ktoś ma legitymację partyjną? Bo dotychczas to obawiam się, że znaczy niewiele, a dla wielu nie znaczy nic. Kompletnie.

ZS: Wyjędźnijmy sobie do końca, że zaczyn to był strajk, którego, na Boga, partia nie zrobiła. Wyjechaliśmy na północy "Solidarności". Problem jest jeszcze jeden z tych pryncypialnych spraw, które tu się rysują. Zwykły plebiscyt, referendum. Na 36 lat PRL mieliśmy tę najprostszą formę demokracji tylko raz.

EB: Ale z jakim rezultatem!

ZS: Mam takie zasadne pytanie: czy przez te 36 lat nie było takich problemów, o które należałoby spytać wszystkich? W problematyce partyjnej powinno być referendum dotyczące członków partii i w problematyce ogólnospołecznej - całego społeczeństwa. Jeśli mowa o współzarządzaniu, to byłby najuczciwszy ten przejaw. Choćby najprostszą historią z naszego partyjnego podwórka: my proponujemy zdefiniowanie dwu pojęć - demokracji wewnątrzpartyjnej i dyscypliny partyjnej. To się da zdefiniować, są to sprawy kluczowe.

EB: Powróćmy do demokracji bezpośredniej. Zauważyłam, że w "Solidarności" zarysowała się tendencja rozstrzygania wszystkiego na wiecach.

ZS: Naturalna reakcja na to, co było. Przez jakiś czas, dla higieny, powinniśmy mieć demokrację wiecową. Referendum z sześć, siedem razy w roku.

EB: Pa pan wiadomość zasadzek takiego ludowładztwa?

ZS: Najważniejsze jest wykształcenie samej zasady. Że to twój kraj. W którym ty sam, obywatel, masz wpływ. To jest elementarz. Nawróć do "człowieka z predyspozycjami". To określenie jest w paraleli do tego, co mówiłem o działaczach i przezwaczach. Fan Piotr Sztorcypka pisze w "Kulturze", że można być w dwu rolach: eksperta i trybuna, i wyraźnie sygnalizuje, że teraz czas jest dla trybunów. Trybun jest potrzebny, a ekspert, ekspertów mieliśmy przez Dekadę.

EB: Nie byłoby pożyteczne pożenienie obu tych wartości?

ZS: Byłoby. Ale tu chodzi o rozłożenie akcentów. Czasy wymagają działacza z wyobraźnią społeczną, z motywacją moralną i przekonaniem, że trzeba zasuwać, zasuwać...

ZS: Posłuchajcie, czy się z tym zgadzacie? nasunął mi się pewien wspólny mianownik jako weryfikator całych tych naszych rozważań: kategoria narodu. Odnosząc go do tego, co przed chwilą: okazuje się, że czy partyjny, czy bezpartyjny, to nie jest żadne kryterium. Solidarny czy niesolidarny, być może, ścacho się okaże, że też nie jest kryterium. Zostaje jedno według mnie: czy ktoś autentycznie myśli w kategoriach: Pólsks to moja ojczyzna, czy nie. Ja uważam, że wielu spoś-

ród naszego kierowniotwa robiło, co robiło, bo nie miało poczucia ojczyzny. Ja bym chciał zapytać premiera Jaroszewicza na takim Sam na Sam w telewizji: czy on reprezentuje interesy polskie?

EB: Dałby panu odpowiedź pozytywna.

ZS: Zgoda, nie poprzestałbym na tym jednym pytaniu, spytałbym o konkretne sprawy.

EB: Ja bym się jednak tego kryterium obawiała jako mylącego i zbyt szerokiego zarazem.

ZS: Jest węższe niż by pani myślała. Wydaje mi się, że to jest taki weryfikator, który będzie rósł na sile, tu leży klucz...

GC: A cóż to oznacza w przełożeniu na nasze podwórko? Demokratyczne wybory na wszystkich szczeblach.

Rozmawiała: Ewa Berberysz

R. Bos

KLEPSYDRA

Prawda Dobro Piękno  
Moralność Godność Prawo  
Człowiek

S  
O  
G  
J  
A  
L  
I  
Z  
M

prawda Socjalistyczna dobro Socjalistyczne piękno  
moralność Socjalistyczna godność Socjalistyczna prawo  
człowiek Socjalistyczny

1986 r.



Stefan Kościelec

# CZERWONA MAGIA

Przed Zjazdem KPZR zafundowała sobie subotnik, czyli darmową pracę wszystkich w wolną sobotę. "Prawda" podaje, że uczestniczyło w nim 152 miliony ludzi i że państwu przekazano z tego tytułu 200 milionów rubli. W "Prawdzie" kłamie, w "Prawdzie" piszą niejasno, ale w "Prawdzie" nie robią błędów korektorskich. Te 153 miliony mogą być zebrane. Te pieniądze dla państwa, to nie wiadomo, czy to produkcja czysta, czy dodana, czy zysk i jak liczony. Wiadomo jednak, że z dniówki jednego człowieka wynika coś o wartości rzędu rubla i trzydziestu kopiejek. Jeśli impet nadany Krajowi Rad przez Gorbaczowa nie oszabnie, jeśli ambitne zadanie podwojenia produkcji i dochodu narodowego do końca wieku powiedzie się, to z dniówki będzie coś w okolicy 2,60 rb. w roku 2000. Czyli jakbyśmy byli w domu. Taki postęp w realnym socjalizmie mamy już siedemdziesiąt lat.

• • •

Fanowie Krzysztof Teodor Toeplitz /"Polityka"/ i Zdzisław Morawski /"Życie Warszawy", redaktor naczelny zresztą/ to z własnej nominacji i realności, stojący twardo na gruncie faktów, piszący spokojnie, nie bez pewnego dystansu. Opuszcili oni - i wielu innych zachłyśniętych Zjazdem i Gorbaczowem - w komentarzach zjazdowych, napisanych z takim przejęciem, że widać było, iż przede wszystkim chcą samych siebie przekonać do własnych racji. Natuszka Rassija nieco przysnęła - relacjonuje Morawski wypowiedź kolejarza z Syberii - i właśnie Michał Siergiejcz skutecznie nią potrząsa. Okazuje się, że wystarczy odczytać uroki, by wyzwolić się spod sklerocy strupieszanych genseków, znaleźć właściwe słowo, będące cudownym zaklęciem, a wtedy system oparty na państwowej wszechwładzy i wszechwłasności przegoni wreszcie gnijący kapitalizm. Zapominają o tym, że Breżniew, obejmując władzę i mając równie ambitne zamiary, był niewiele starszy od Gorbaczowa, Lenin tego wieku nie dożył, a Stalin pełnię władzy zdobył w okolicy czterdziestki i dynamiczny był tak, że starszokowie, którym udało się przeżyć, do dziś budzą się z krzykiem ze sklerotycznej drzemki, gdy im się przyśni Scso.

• • •

Gorbaczow, co by o nim nie myśleć, jeet na pewno przytomnym człowiekiem i wie, jak sprawy stoją. Wie też, co zrobić, by pomóc sobie na dziś. Otóż trzeba głośno zacząć mówić o tym, o czym się dotąd milczało, a co wszyscy władzą, lub czego się domyślają. Najmilej słucho się potwierdzenia własnej wiedzy i własnej opinii. Stąd tak dobrze przyjęto kryty-



czne pół godziny w pięciogodzinny referacie Gorbaczowa, przy czym jest to jednak ładunek krytycyzmu, jakiego z tej trybuny nie słyszano przez trzydzieści lat.

Potem Michaił Siergiejcz wyliczył, co trzeba koniecznie zrobić i okazało się, że zrobić trzeba koniecznie wszystko, więc wszyscy uwierzyli, że wszystko zostanie zrobione. Stąd ten optymizm, na przekór wszystkim przełomowym zjazdom, historycznym posiedzeniom plenarnym KC, które towarzyszyły obsuwaniu się Kraju Rad. Gensek powiedział, co zrobić, lecz nie bardzo powiedział jak i zupełnie nie powiedział z czego. Jeśli zaś z wszystkiego, co było powiedziane na zjeździe, wybrać projekty zmian i wyobrazić sobie, że zostaną one zrealizowane w całości, to zarysuje się nam model gospodarki liberalniejszej od obecnego, ale daleki jeszcze od tego, jaki mamy w Polsce w warunkach połowicznej reformy, przeprowadzonej na ćwierć gwizdka. A do tego, co już zrobili Chińczycy, jest jeszcze bardzo, bardzo daleko.



Zachodni kremolinolodzy uważają, że nowy gensek w Rosji potrzebuje zazwyczaj trzech lat na osiągnięcie pełni władzy. Tyle czasu ma zajmować obsadzenie przezeń kluczowych stanowisk swoimi ludźmi i umocnienie się w ten sam sposób przez tychże ludzi. Może Gorbaczow jest szybszy i znajduje się już na półmetku, a nie w jednej trzeciej tej drogi. Wie on, że czas nagli, ale zbyt dobrze zna swój aparat, w którym spędził całe swoje dorosłe życie, by nie rozumieć, że nerwowe ruchy mogą być niebezpieczne, co sprawdził na sobie Nikita Siergiejcz Chruszczow w 1964 roku. Nikita był niechłiczalny, ciągle coś zmieniał, reorganizował, przesuwiał ludzi ze stanowisk na stanowiska. Nikt nie był pewien dnia ani godziny. Gorbaczow działa ostrze, ale czytelnie. Starzy, którzy nie są jego ludźmi, przeznaczeni zostali na odstrzał, ale zwalnając się miejsca i nowi ludzie mogą robić karierę. Będą ją zawdzięczać nowemu kierownictwu. Czyli Gorbaczow ma naturalnych wrogów w aparacie, ale też stwarza sobie sojuszników, ma się na kim oprzeć.

Postępuje planowo i rozważnie, niczego nie puszcza na żywioł. Podstawowe zmiany w kierownictwie partii załatwił przed zjazdem, ostatecznie przesunięcia miały miejsce na tydzień przed jego otwarciem. Zjazd kompartii jest miejscem akceptacji posunięć szefa, a nie forum do podejmowania decyzji, czy choćby dyskusji. Nikt się z nikim nie spierał, nikt nie bronił linii XXVI zjazdu z 1981 roku, na którym większość obecnych delegatów, łącznie z Gorbaczowem, aprobowała politykę Breżniewa. W ZSRR jest to tak jasne i oczywiste, że nikt się nawet nie zastanawia nad tym, nie mówiąc już nawet o wstydzie. Cuius regio, eius religio. Zaś powoływanie się na wypowiedzi zjazdowe przez naszych korespondentów świadczy o ich naiwności, głupocie, albo złej woli. Wypowiedzi są z klucza. Wiadomo komu się wypowiedź należy z urzędu i wiadomo, co ma on powiedzieć. Komisja wyznacza też w odpowiednich proporcjach robotników, uczonych, kołchoźników, żołnierzy, z uwzględnieniem stażu partyjnego, narodowości, a made wszystko, treści. Zjazd ma pokazać jaką jest polityka i pokazać, że taka, jaką Gorbaczow prowadzi dotychczas.



Normalny człowiek nie jest w stanie wnikliwie przeczytać i zachować w umyśle wszystkich zjazdowych referatów, wystąpień, dokumentów, artykułów towarzyszących. Czynią to analitycy i komentatorzy zachodni oraz ludzie aparatu w ZSRR i innych bratnich krajach, ci, których to naprawdę dotyczy. Komentatorzy z materiałów XXVII zjazdu mogą wyciągnąć wnioski, jakie tylko chcą. Poruszono tu bowiem szeroki zakres problemów, wszystko na zasadzie "tak, ale". Ludzie aparatu widzą natomiast, że na razie zmienia się sposób mówienia, co jest wskazówką, jak teraz trzeba mówić, natomiast wszystkie opcje nadal zostają otwarte. Można podjąć wszystkie decyzje, lub ich zaniechać i wszystko da się podciągnąć pod wytyczne zjazdu. Zmieściłaby się tu zarówno praktyczna likwidacja kołchozów, jak i wierność idei kołchozowej, czyli zostawienie wszystkiego tak jak jest, z jakimiś fasadowymi zmianami. To samo jest w innych dziedzinach.

Wszystkie nowinki nie są już nowinkami. Rozliczanie w rolnictwie brygad i nawet rodzin postulowano już dawno i gdzieś tam przeprowadzano. /Na ogół z b. dobrym skutkiem, lecz szybko to było torpedowane przez aparat./ Rozliczanie brygad w fabrykach, wprowadzanie elementów rozrachunku gospodarczego w tychże, zadaniowa forma pracy placówek badawczo-naukowych - wszystko to było. Wszystko może też pozostać jak było, w sferze sporadycznych, izolowanych i tępionych eksperymentów - to jeden biegun. Na drugim byłby wielki rozmach, powszechny wprowadzanie tych nowych form. Poczucie realizmu każe to widzieć gdzieś pośrodku. Zaś analiza mechanizmów społeczno-gospodarczych pozwala przypuszczać, że nie zanosi się na przekroczenie progu krytycznego, poza którym modernizacja przechodzi w nieodwracalne zmiany jakościowe. W każdym razie nie będzie tak w wyniku zjazdu, jeśli się zważy, co nie zostało powiedziane w tym wielosłowniu.

Otóż na zjeździe nie poruszono w ogóle kwestii jakichkolwiek zmian natury politycznej, systemowej. A przecież wszędzie w chobie mamy do czynienia z tym samym realnym socjalizmem, który z definicji i ze swej natury jest systemem niewydolnym, nieefektywnym, czego między dżentelmenami chyba już nie trzeba udowadniać. /Węgierski i NRD-owski wyjątek tłumaczy się partykularnymi okolicznościami, a i tak jest to stan dobry "jak na garbatego"/

Tzw. umiarkowane poluzowanie systemu daje również umiarkowane wyniki, lub prawie żadne, gdy spotyka się z kontrreakcją, jak np. w Polsce Jaruzelskiego. Liczenie, że krok po kroczku, nie podważając pryncypiów, nie łamiąc stosunków społecznych, uda się dokonać przełomu, bez przerywania snu, są raczej naiwnością.

Problem jest trudny, co widać szczególnie na przykładzie rolnictwa. Jest to dziedzina szczególnie kompromitująca, nawet gospodarkę sowiecką. W swoim czasie zagłodzono - dosłownie - miliony ludzi. Miliony pozbawiono wszystkiego i wywieziono, dziesiątki tysięcy rozstrzelano. Chłopa znów przypisano do ziemi, czyniąc go niewolnikiem, poniżej nawet sowieckiego standardu. Oczywiście, w imię szczęśliwej przyszłości. I od tego czasu, już przez ponad pół wieku światowe mocarstwo nie jest w stanie się samo żywić. Żyje głównie z działek przyzagrodowych i na amerykańskim zbożu. I jakby wszyscy już rozumieją o co to chodzi, jakże jednak powie-

dzień "izwinitie, oszibka"? Sięga się więc lewą ręką do prawego ucha; elementarne nakazy zdrowego rozsądku czyni się nowatorskimi eksperymentami, zamiast potępić i rozwalić cały system kołchozowy, podzielić ziemię, uwłaszczyć chłopów, rozdać im sprzęt itp. - co zresztą też wydaje się dziś niemożliwe, lecz byćby może jakąś szansą.

Nie można zresztą wykluczyć, że rozwój wypadków zapoczątkowany przez zjazd potoczy się sam w tym kierunku, lecz nie jest to zamiar kierownictwa, a tymczasem nadal ucieka czas.

• • •  
Naj historyja daje przykłady reform unowocześniających państwo i gospodarkę, przeprowadzanych ogólnie, bez naruszania przynajmniej ustrojowych i podstawowych interesów klas posiadających? Tak, w tym również historia Rosji. Uczynił to skutecznie Piotr I, Aleksander II i rozpoczął, a nie skończył, premier Stojypin. Za każdym razem impulsem była prestiżowa klęska: w pierwszej fazie Wojny Północnej, w Wojnie Krymskiej i w wojnie z Japonią, którego efekt został wzmocniony przez rewolucję 1905 roku. Zapewne Gorbaczow chciałby uprzedzić klęskę, która by polegała na stoczeniu się Rosji do statusu mocarstwa drugiej klasy, ale jak mówi rosyjskie przysłowcie "póki piorun nie trzaśnie, chłop się nie przeżegna". Nie tylko prosty lud, ale w swej masie również aparat uwiaryził własnej propagandzie, że nic nie może podważyć światowej pozycji kraju Rad. I sam Gorbaczow badzi ich z tego złudzenia bardzo oględnie, podczas gdy konieczny jest szok.

Poza tym, dla ogólnych reform potrzebna była powszechna akceptacja absolutnej władzy csara, czy jego prawej ręki /Stojypin/. Tak wielka, aby przewyższyć opór elity władzy. Ostatnia władca mającym takie warunki był Stalin, ale on wygrał wielką wojnę, uczynił swój kraj pierwszorzędnym mocarstwem, więc po cóż by się miał reformować? Po pokonaniu Napoleona zarzucił wszelką myśl o reformie Aleksander I/. Zaś o reformach Chruszczowa już wspominaliśmy. Czy ktoś zatem dziwi się, że Michaił Siergiejcz na razie dużo i energicznie mówi, zaś raczej czai się z konkretnymi posunięciami, jeśli nie polegają one na tym, by pozbawić człowieka radzieckiego jego podstawowej radości w postaci flachy i jeszcze przy tym ściągnąć dodatkowe pieniądze z rynku, sprzedając o porowę mniej wódki za trzy razy większą cenę.

Wracając zaś do ogólnych reform, przeprowadzanych wspólnie przez absolutnych władców, to przypomina się raczej szach perski. Tyle tylko, że ten w swoich najlepszych latach miał pod dostatkiem petrodolarów i dostęp do najwspanialszej zachodniej technologii. Jednego i drugiego Gorbaczow nie ma i mieć już nie będzie.

• • •  
Retrodolary, jak wszelka monokultura, okazują się niebezpieczne. Radziecka ropa - podstawowe źródło dswis - znajduje się coraz dalej, w coraz trudniejszych warunkach, jej wydobycie jest coraz droższe, a cena światowa coraz niższa. Nie ma więc za co kupować technologii, nie mówiąc o tym, że te najnowsze nie będą już chyba sprzedawane za żadne pieniądze, a wykradanie ich staje się coraz mniej efektywne. Ameryka nie ma nic przeciw stopniowej deklasacji swego głównego przeciwni-

ka do roli mocarstwa drugiej klasy. Okazuje się ona, wraz z Wielką Brytanią, zadziwiająco odporna na wszelkie propozycje, które Gorbaczow uczynił przed zjazdem, w jego trakcie, i już po nim. Świadomość tego wyraźnie dotarła do Gorbaczowa, gdy na zjeździe powiedział, że może Zachód chce, by Rosja odeszła od stołu rokowań. Zachodowi, a ściślej Ameryce jest to raczej obojętne. Będzie ona rokować i robić swoje, oskabiając, relatywnie przynajmniej, Związek Sowiecki. Od stołu rokowań natomiast Gorbaczow może zostać odciągnięty przez swoich ludzi, jeśli nie wykaże się żadnymi sukcesami po tak energicznej ofensywie pokojowej. Odszedł on od twardej blokady, którą stosował Gromyko za poprzednich genseków i o co z tego wychodzi? Zapowiada się niebezpieczna prestiżowa porażka i konieczność brnięcia w dalsze zbrojenia i w wojny gwiazdne, czyli w wyścig, który Rosja będzie zdecydowanie przegrywać.

Zarysowuje się paradoksalna sytuacja. Breżniew zahamował wszelkie przeobrażenia, skazał wraz ze swym aparatem Związek Sowiecki na skostnienie i śmiertelne niebezpieczeństwo dla jego mocarstwowego statusu. Lecz za tegoż Breżniewa Związek rósł w siłę, zdobył Wietnam, Laos, Kambodżę, Etiopię, Mozambik, Angolę, Nikaraguę, sięgnął po Salwador, spacyfikował Czechosłowację i Polskę - z Afganistanem tylko nie wyszło - kłaniali się mu czołowi przywódcy wolnego świata, zawierano z nim wygodne dlań umowy /SALT, Helsinki/ itd. A tu przychodził energiczny reformator, podejmuje środki zaradcze, a może się okazać, że właśnie na jego panowanie przypadnie schyłkowy okres sowieckiej mocarstwowości. Jest takie amerykańskie powiedzenie o firmie, która zawsze ma o dolara za mało i o dzień za późno. Jakby pasowało...

• • •  
Wydawałoby się, że jest o czym pomyśleć i podyskutować, lecz oczywiście nie na zjeździe. Zjazd - jak się rzekło - jest od akceptacji przez aklamację, ale i od przeżenias muskułów, robienia dobrej miny, dodawania ducha wątpliwym. W tym i kolegom z PRL-u. Nasi reformatorzy wrócili z Moskwy uskrzydleni - i w komplecie, w przeciwieństwie do pobytu delegacji na XX zjazd trzydzieści lat temu. Reforma wychodziła nam dotąd bokiem, ale teraz, skoro metropolia się reformuje i jakby w podobnym kierunku, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko się posłuchać, dostroić, dopasować do ambitnych programów, sprostać wyzwaniom i tak dalej. No i na zdrowie! Nie dostrzega się tylko jakos nowego wkładu nowego sekretarza do skarbnicy marksizmu-leninizmu w postaci jednorodnego socjalizmu, który wymyślił jeszcze przed zjazdem, a na zjeździe przypominał. Podobno było to jeszcze u Lenina, lecz u Lenina było wszystko. Nie bardzo zresztą wiadomo na czym ta jednorodność ma polegać, lecz sądząc z podejrzliwego traktowania Węgrów i ich posunięć gospodarczych, chodzi prawdopodobnie o to, by się nie wyszorować przed panią matką. Braliśmy to już za Stalina...

Wzorem dla Gorbaczowa nie są Węgry, które pełniejszym niż w innych krajach obozu włączaniem mechanizmów rynkowych i względną samodzielnością przedsiębiorstw łagodzą i zwalniają postępujące i tam pogorszenie się sytuacji gospodarczej. Wzorem zdaje się być NRD, które łąduje stosunkowo najlepiej w całym obozie, przy nadal mocno scentralizowanym zarządza-



niu i z dość operatywnie działającymi kombinatami. Wszelako NRD w istotnym stopniu korzysta z pomocy ZSRR, na dopływ kapitału, dostęp na rynek zachodnie. Tego się nie da powrócić. Niemieckie nawyki pracy też się chyba nie rozwiną w ZSRR pod wpływem zakłęb zjazdowych. Boża tym, Niemcy wachodnie mają dość przychylny sektor prywatny w gospodarce, podczas gdy na XVII zjeździe zaszedo dopiero przestąpiwać o ulegalnieniu chłapupników, których dotyczasz sądzę się jako pasorzytów do ciupy. Ślegle jeszcze nie to.

Wracając na nasze podwórko, to moglibyśmy nie tylko szukać zachęty u towarzyszy radzieckich, lecz i przekazać im co nieco z własnych doświadczeń. Sie tylko z zakresu niekonsekwentnej i rozbabranej reformy. Mielibyśmy też do powiedzenia parę słów o qmasznie, wielkich ambicjach na nowoczesną technologię i także produkty, wszystko przy nie naruszaniu sotychczasowej struktury. Przy budowaniu drugiego Związku Sowieckiego doświadczenia z budowy drugiej Polski mogłyby się okazać przydatne. Można bowiem przewidzieć również i to, że znajdują się tam grupy społeczne, które to kupią. Ludzie młodzi, wykształceni, ambitni, zmęczeni trwającą dla nich od zawsze drętwotą w myśli i mowie, marnym życiem i taką robotą, słyszający o jakiejś wspaśnialej cywilizacji. Ci ludzie zechcą się wziąć do roboty, licząc na pomyslnie dla siebie skutki. I dość szybko się przekonają, jak nisko są umieszczone w tym systemie bariery dla sensownej działalności i poprawy warunków życia. W Polsce zrobili oni "Solidarność", co zrobią w Związku Sowieckim, tego nikt nie jest w stanie przewidzieć. Może nie. Może będzie całkiem inaczej. "Pożywiom - uwidim".

A nuż bowiem nastąpi ten cud, który zawczasu głosi Krzysztof Teodor Toeplitz i paru innych proroków hegemonu? Albo może mieszkaniec kraju, który przecierpiał niewolę chanców tatarskich, terror Iwana Groźnego, reformy Piotra I, kult Stalina, pomysły Chruszczowa, przetrzyma reformy Gorbaczowa, topiąc je w swojej inercji, skrywanej za gromkim powtarzaniem dynamicznych apeli.

Aż tak źle chyba jednak nie będzie. Można założyć, że usuwanie rzucających się w oczy nonsensów, zastąpienie skamielin ludźmi, którym chce się coś zrobić, wreszcie pogonienie metodą carskiej kibitki /woźnica leje konia, a żandarm - woźnicę/, da pewne namacalne rezultaty. Takie rezerwy komunizmu przezornie zachowuje na czarną godzinę. U nas sięgnął po nie po 13 grudnia Jaruzelski, nie bez pewnego skutku, który właśnie się wy-czerpuje. W Rosji da to może te 2,60 rb, o których była mowa na wstępie. A jeśli jeszcze w ZSRR wszędzie i zawsze będzie do tego papier toaletowy, to proszę mnie reaktywować jako członka TFRP.

Stefan Koćcielec

Karol Sekota

# PIERWSZY Z „POLSKICH MIESIĘCY”

Pierwsze zbiorowe, zorganizowane wystąpienie załóg robotniczych w Polsce przeciw właścicielom środków produkcji w realnym socjalizmie, miało miejsce w Poznaniu, 28 czerwca 1956 r. Datę tę należy uznać za przełomową pod każdym względem, przy czym jeden aspekt historyczny należałoby z całą mocą podkreślić, zwłaszcza, że w żadnym ze znanych nam dokumentów nie jest on wspomniany: po raz pierwszy od 1905 r. w Polsce przeciw manifestującym robotnikom użyto wojska. Nie chodzi w tym wypadku o usprawiedliwienie krwawych żaźni, jakie w dwudziestolecie niepodległości urządziła granatowa policja strajkującym robotnikom i chłopcóm. Chodzi o coś znacznie istotniejszego, o odebranie mundurowi polskiego żołnierza symbolicznego znaczenia - obrońcy Ojczyzny. Upiorną wywołaną fakt, że w roli policjantów wystąpili przysiali oficerowie WP z miejscowych szkół oficerskich, pod dowództwem sowieckiego generała, czasowo /1944-1956/ mianowanego Polakiem - Stanisława Popławskiego, ówczesnego wiceministra obrony narodowej. Od tej pory wojsko polskie miało bronić nie granic i niepodległości, lecz stać na straży własności klasy posiadaczy polski ludowej.

Następne przełomowe znaczenie Czerwca '56 polega na uświadomieniu sobie przez wielkoprzemysłową klasę robotniczą tej oczywistej prawdy, że władza ludowa, która rządzi rzekomo w jej interesie - ma wyłącznie własny interes na uwadze. W Zakładach in. Cegielskiego /noszących wówczas imię Józefa Stalina!/, permanentnie oszukiwano robotników m.in. przy obliczaniu podatków i ustalaniu norm, i mimo pękajowo przedstawianych postulatów jeszcze w 1955 r. - właściciele zakładów lekceważyli słuszne, poparte prawem żądania robotników. Ówczesny minister przemysłu maszynowego R. Fideliski przyjął w dniu 26 czerwca 1956 r. delegację robotniczą, obiecując natychmiastową regulację nieprawidłowości norm i płac. Postąpił - jak się okazało - samowolnie /za co on jeden poniósł konsekwencje służbowe!/, gdyż władza ludowa obmyśliła inny wariant "zakatwienia" protestu robotniczego.

Musimy sobie uświadomić, że w Zakładach Cegielskiego pracowało wówczas 15 tysięcy robotników, którzy solidarnie popierali żądania jednego z wydziałów /W3/ zatrudniającego 2 tysiące ludzi, którzy "ośmielili się" z a s t r a j k o w a ć jeszcze przed wysłaniem delegacji do Warszawy! Postanowiono zatem dać tak wielkiej masie buntowników nauczkę, surową lekcję na przyszłość. Może się to wydać nieprawdop-

dobne w kontekście "trzęsienia ziemi" na szczytach władzy, zapoczątkowanego sławetnym referatem Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR i spektakularnym "rozliczaniem się" z epoki "błędów i wypaczeń". Nie zapomnijmy jednak, że ruch ten, którego kulminacja nastąpiła w drugim polskim miesiącu, Październiku '56, nie miał nigdy w intencji władzy, z Gomułką włącznie /jeśli nie przede wszystkim/, dopuszczenia społeczeństwa do współrządzenia, lub choćby tylko - współdecydowania o swym losie. Strajk, jako protest, został przez władzę szczególnie wyklęty. PZPR miała stać się nieco bardziej liberalna, miała zaprzestać masowego terroru jako nieskutecznego systemu władania, niemniej - miała pozostać jedyną siłą kierowniczą, wyłącznym ośrodkiem decyzji gospodarczych, politycznych i społecznych. Ugięcie się przed postulatami strajkujących robotników Poznania, nawet jak najbardziej przez PZPR uznanymi za subiektywnie uzasadnione, byłoby - zgodnie z doktryną realnego socjalizmu - obiektywną klęską władzy.

Minister Fidelski dostał polecenie przyjazdu do Poznania i odszczekania wobec załogi Cegielskiego swoich zeszłodniowych obietnic. Jednocześnie wszystkie władze partyjne i administracyjne opuściły Poznań, a Cyrankiewicz z Popławski dostali polityczne i wojskowe pełnomocnictwa. Fidelski robotników prowokował, a wojsko grzało już silniki czołgów. Prowokacja, jak - niestety - prawie wszystkie prowokacje władzy PRL wobec społeczeństwa, udała się w całość pełni. Robotnicy wyszli na ulice. Pierwsi z Cegielskiego, do nich przyłączyły inne zakłady poznańskie, w tym ZNTK. Żądano rozmów z przedstawicielami władzy, których, oczywiście, nie było.

28 czerwca rano na ulicach i placach Poznania odbywał się jeszcze robotniczy protest przeciw warunkom pracy i płacy, narzuconym przez właścicieli środków produkcji, w południe był to już rozogniony tłum, rozgorączkowany nie tylko swą nędzną egzystencją bez nadziei poprawy, ale i arogancją oraz pogardą, okazywaną mu przez lata całe ze strony władzy ludowej. Ale jeszcze wtedy wystarczyłoby, żeby obecny już w Poznaniu Cyrankiewicz wystąpił przed tłumem, uznając jego postulaty, aby manifestacja skończyła się tak, jak się zaczęła - pokojowo, bez rozlewu krwi, lecz Cyrankiewicz miał już napisany szkic przemówienia, które nazajutrz miał wygłosić przez radio:

"Krew przelana w Poznaniu obciąża wrogie Polsce órodki imperialistyczne i reakcyjne podziemie, które są bezpośrednimi sprawcami zająć /.../ Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu **TE RĘKĘ WŁADZA ODRĄBIĘ** w interesie klasy robotniczej /.../"

Tak więc dla komunistów krew na ulicach Poznania była koniecznym argumentem przeciw jakimkolwiek oddolnym próbom rewindykacyjnym społeczeństwa, a przede wszystkim - przeciw próbom strajku. Wysokiego błogosławieństwa udzielił im ex post premier sowiecki, Bułganin, w przemówieniu wygłoszonym na akademii z okazji 22 lipca:

"Niedawne wydarzenia w Poznaniu sprowokowane przez wrogich agentów są nowym potwierdzeniem tego, że reakcja międzynarodowa wciąż jeszcze nie wyrzekła się absurdałnych planów przywracania kapitalizmu w krajach socjalistycznych".

Jednym z pierwszych zamordowanych "agentów imperialistycznych" był 13-letni Romek Strzałkowski...

Gniew tłumu zwrócił się przeciw dwu instytucjom, które czynił odpowiedzialnymi, i słusznie, za swój los - Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR i Urzędowi Bezpieczeństwa. Tłum zdobył więzienie i uwolnił więźniów, posługując się bronią odebraną milicjantom. Opanowano również stację zagłuszającą audycje zachodnie. Wówczas runęły czołgi gienisrań-lejtenanta Popławskiego i rozpoczęła się rzeź...

Samosądy dokonywane przez tłum zawsze budzą grozę i moralny sprzeciw, nawet, gdy są psychologicznie uмотywowane. Warto tu jednak z całą mocą podkreślić, że 28 czerwca ofiarą samosądu padł jeden człowiek, kapral UB Zygmunt Izdebnny, który zmarł w szpitalu na skutek pobicia. Ofiary po stronie władzy to dwóch ubeków, jeden miliojant i dwóch żołnierzy. Tak więc oficjalne tłumaczenia komunistów o konieczności samoobrony są czystą demagogią, skoro liczba śmiertelnych ofiar cywilnych wynosi - oficjalnie! - 66 osób. Rany odniosło ok. 900 osób, w tym żołnierzy, ubeków i milicjantów było 37. Próbę tragicznej samoobrony podjęła zatem nie władza, lecz lud Poznania, opluty następnie i spotwarzony przez PZPR.

Zaaresztowano 323 osoby, które następnie miały stać się ofiarami procesu pokazowego. Tak się jednak nie stało, gdyż na szczęście dla klasy robotniczej Poznania - walka o władzę w łonie PZPR wkraczała w decydującą fazę. Nowo mianowany prokurator generalny, Marian Rybioki, postawił wprawdzie przed sądem 54 osoby, ale na proces dopuszczeni zostali nie tylko korespondenci zagraniczni, ale także zachodni prawnicy oraz - ewenement nigdy nie powtórzony! - dwóch wybitnych polskich socjologów: Jan Szczepański i Józef Chałasiński, jako eksperci obrony! Wyroki były wyjątkowo łagodne, trzem sprawcom śmiertelnego pobicia kaprala Izdebnego wymierzono kary 4 i 4,5 roku więzienia, pozostałych szybko i po tchu wypuszczono. Nastąpiła bowiem cudowna metamorfoza "chuliganów, awanturników i prowokatorów pozostających na żołdzie imperializmu" itd. w - "Świadomą swęj siły i swęj słuszności klasę robotniczą"! Gomułka genialnie wykorzystał poznańską krew - przeciw poprzedniej ekipie. Przypomnijmy jego wypowiedź z 20 października na VIII Plenum KC PZPR:

"Klasa robotnicza dała ostatnio kierownictwu partii i rządowi bolesną nauczkę. Robotnicy Poznania chwytając za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulicę w czarny czwartek czerwcowy zawołali wielkim głosem: Dostyc! Tak dalej nie można! Zawrócić z fałszywej drogi!  
Klasa robotnicza nigdy nie chwytiała się strajku jako oręża walki o swoje prawa w sposób lekkomyślny. Tym bardziej teraz w Polsce Ludowej, rządzonej w jej imieniu i w imieniu wszystkich ludzi pracy, nie zrobiła tego kroku lekkomyślnie. Najwidoczniej przebrała się miara. A miary nie można nigdy przebierać bezkarnie".

Gomułka stwierdził dalej, że:

"Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów".



Tzw. Komisja Kubiaka, wydając w 1985 r. werdykt w tej sprawie w imieniu KC PZPR, "uzupełnia" w sposób zasadniczy ocenę Gomułki, cytując: "... co oczywiście nie oznacza, że siły antysocjalistyczne w wydarzeniach poznańskich nie działały, że nie inspirowały i nie organizowały ich skrajnej, konfrontacyjnej postaci". Co tłumaczyłoby pozostawienie Cyrankiewicza na posadzie premiera: on ucinał ręce tym siłom!

I tak oto kółko się zamknęło i mamy w postaci czystej cobywiążącej, "dialektyczną", a więc zmieniającą się w czasie, ocenę każdego wystąpienia robotniczego w Polsce:

1. Zamieszki spowodowane przez inspirowane z zewnątrz /imperialiści, CIA, rewanżyści zachodniomiercy, ośrodki antykomunistyczne itp./ grupki /chuliganów, warcholów, rozwydrzonych wyrostków, prowokatorów, agentów itp./ godzące w /ustrój, pokój światowy, ład europejski, Ziemię Zachodnie, sojusze, interesy klasy robotniczej itd./.

2. Tragiczne wydarzenia, będące skutkiem błędów poprzedniej ekipy władzy, przeciw którym to błędem słusznie wystąpiła klasa robotnicza.

3. Szusny w zasadzie protest klasy robotniczej przeciw pewnym nieprawidłowościom rozwoju, wykorzystywany dla swoich brudnych celów przez siły antysocjalistyczne /opłaczanych przez CIA, agentów, zdrajców ojczyzny, syjonistów, ekstremę, maniaków antykomunizmu itp./.

Niezależnie od werbalnych sztuczek dialektycznych - władza ludowa każdy robotniczy protest stara się najpierw złamać siłą: w Czerwcu '56 i Grudniu '70 - czołgami, w Marcu '68 i Czerwcu '76 - policyjnymi pałami. Aż wydarzył się ogólnopolski protest Sierpnia '80. I tym razem wariant wojskowy był poważnie brany pod uwagę, nie doszło do niego tylko dlatego, że wojsko /wg relacji Zbigniewa Brzezińskiego, po rozmowie z polskim przedstawicielem w USA/ mogłoby przyłączyć się do strajkujących! Taką obawę żywił podobno gen. Jaruzelski. Pacyfikacja została więc przesunięta w czasie, aż 16 miesięcy trwało logistyczne przygotowanie do zdławienia buntu. Ponieważ w tym ostatnim wypadku nie chodziło już o spacyfikowanie paru zakładów czy nawet miasta, ale o najmniej 80 proc. społeczeństwa - akcją przeprowadziły połączone siły wojska i policji, a więc i czołgi, i pałki.

• • •

Oddanie hołdu robotnikom Poznania przez Gomułkę było zreczynym pociągnięciem taktycznym, które powtórzył w Grudniu '70 Gierek wobec stoczniovców. Dwa razy polska klasa robotnicza dała się nabrać przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, w której ścisłym kierownictwie nie było ani jednego autentycznego przedstawiciela tej klasy. Dwa razy na przekór świadectwu zmysłów i gołym okiem widocznej rzeczywistości gospodarczej, politycznej i społecznej - klasa robotnicza zaufała nowemu kierownictwu, że już tym razem zapanuje ustrój sprawiedliwości społecznej i gospodarczego rczkwitu. Dopiero jednak ekipie gen. Jaruzelskiego udało się raz na zawsze rozproszyć naiwne złudzenia, że generalna zmiana ekipy bez generalnego zrewidowania systemu polityczno-ekonomicznego może cokolwiek istotnie naprawić.

Tak jak w 1956 r., tak i dziś - polska gospodarka jest jedną z najbardziej nieefektywnych w świecie, ustępując jedynie pierwszeństwa Wielkiemu Bratu. Od "wielkiej reformy" październikowej, aż po obecną pseudoreformę - podstawowe problemy rzutujące na poziom i jakość życia społeczeństwa w PRL nie doczekały się rozwiązania: polityka rolna, polityka inwestycyjna, struktura przemysłu, budownictwo mieszkaniowe, rzemiosło i spółdzielczość, polityka płac i cen, szkolnictwo, zdrowie i opieka społeczna, ochrona środowiska, rzetelność informacji mass mediów, handel, zaopatrzenie itd., itp. Nieodmiennie, od prawie 40 lat PZPR głosi przed każdym swym kolejnym zjazdem, że już tym razem ma taki program, którego realizacja doprowadzi nas do świetlanej przyszłości. Jak z katarynki płynie wciąż ta sama melodia, tylko niektóre słowa się zmieniają. Do boju propagandowego ruszają dziesiątki tysięcy lektorów partyjnych, tak, jakby PZPR musiała zwyciężać w wyborach jakąś potężną partię opozycyjną, która głosi inny program. I rzeczywiście - jest taka partia! Jest nią wielkoprzemysłowa Polska Klasa Robotnicza, która powołując "Solidarność" zdelegalizowała de facto PZPR. Władza ludowa skusnie obawiała się wymowy Sierpnia '80, która, choć nigdy głośno nie wypowiedziana, znaczyła: socjalizm - ewentualnie tak, PZPR - nie! Nie - w jej dotychczasowej formule, kształcie, ambicjach feudalnych i przywilejach! Zrozumieli to członkowie PZPR niższych szczebli /partia zewnętrzna - wg określenia Orwella/, próbując zreformować partię, tworząc struktury poziome i wybierając do POP ludzi niepodporządkowanych "górze". Ruch reformatorski w PZPR, bez poparcia zresztą ze strony "Solidarności" - co było jednym z jej ewidentnych błędów - rozbity został szybko i skutecznie przez kontreformację na IX Zjeździe. Powtórzył się schemat politycznej rozgrywki zastosowany już raz w przeszłości, w Marcu '68, gdy do boju spuszczone sforę partyjnych lumpeninteligentów, wciąż zawieszonych w swych marzeniach o partyjnej karierze, a zatem - o materialnych profitach. Ta pezetperowska czarna sotnia szybko poradziła sobie prawie ze wszystkimi ośrodkami opiniotwórczymi /prawie - gdyż na szczęście do Kościoda nie miała dostępu!/, rozwalila wszystkie stowarzyszenia i związki twórcze, spacyfikowała prasę, radio i telewizję, a obecnie pacyfikuje wyższe uczelnie i Polską Akademię Nauk. Dopiero dziś pełny triumf odnoszą "marcowi bohaterowie", którym nie wystarczyło zagarnąć pożydkowskiego mienia we władzy, nauce i kulturze. Marcowi pogromcy dopiero teraz otrzymali zapłatę, jak Nawrocki - kierowanie kulturą, Żukrowski - prezesurę ZLP, Foręba - zespół filmowy i ciężkie miliony na drobne wydatki; nie zapomniano i o starych, wypóbowanych sojusznikach w walce z klasą robotniczą: wyleńiały endeck Dobraczyński dostał PRCN, a pacyfikator odnowy w PAX-ie, Komender, dostał tamże prezesurę.

Władza ludowa, czyli góra PZPR dobrze przerobiła lekcje odebrane od klasy robotniczej; w czasie ostatnich 30 lat - lekcje utrzymywania władzy. Oparła ją na dwóch filarach: przemocy i korupcji. Strzela, bije i przekupuje. Ale - jak widać - ta znakieta pozycja życiowa jej nie wystarcza. Chciałaby jeszcze, aby jej jedyna i nienaruszalna własność - polska gospodarka, nie staczała się nieuchronnie na dno upadku. PZPR, jak każdy właściciel fabryk, hut, kopalń, elektrowni i majątków ziemskich, linii komunikacyjnych kolejowych i autobusowych, poczty i łączności, koncernów prasowych,

radia i telewizji, sieci sklepów i supermarketów, kamienic czynszowych i lokali rozrywkowych, kin, teatrów, a nawet szaleństw miejskich, słowem - właściciel totalny, chciałaby, aby to wszystko pozwoliło jej żyć dostatnio, a zarazem, aby żywa siza robocza nie pogrążyła się w nędzy. Nędza wywołuje bunt, trzeba wtedy znowu strzelać, a to wywołuje nie tylko niekorzystną dla władzy reakcję w świecie /nauczyła się ją lekceważyć/, ale co gorsza - niezadowolone suwerena, który lubi w podległych prowincjach mieć spokój.

Władza ludowa ma zatem identyczny dylemat do rozwiązania, co w Czerwcu '56: utrzymanie totalnej władzy dzięki upaństwowieniu społeczeństwa i jednocześnie zmobilizowanie do maksymalnego wysiłku klasę robotniczą, aby wypracowana przez nią wartość dodatkowa mogła w całości pokryć potrzeby armii, policji mundurowej i tajnej, biurokracji partyjnej i administracyjnej, i aby - tego jeszcze w '56 nie było - został majątek konieczny do spłacenia zagranicznych długów. I stałego haraczku oddawanego suwerenowi w postaci niekorzystnych umów gospodarczych z ZSRR. To wszystko ma wypracować klasa robotnicza, pozbawiona podmiotowości politycznej, możliwości organizowania się w związkach zawodowych, lecz za to całkowicie posłuszna dyrektywom partii.

Czy taka kwadratura koła jest możliwa do rozwiązania? Odpowiemy słowami Gomułki, który podsumowując poznańską masakrę Czerwca '56 wypowiedział proroczo:

"Rządzenie krajem wymaga, aby klasa robotnicza i masy pracujące darzyły kredytem zaufania swoich przedstawicieli dzierżących ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawowania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania może być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wywiązywania się z zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodawców. Utrata kredytu zaufania klasy robotniczej oznacza utratę podstawy sprawowania władzy. Rządzić krajem można i w tych warunkach. Tylko rządy będą wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokracji, na łamaniu praworządności, na przemoc".

A jakie właściwe polityczne rozwiązanie sprawy robotniczej widział w Październiku '56 tenże Gomułka? Znow cytuję, cały czas z tego samego plenumowego przemówienia:

"Należało bez kunktatorstwa uznać słuszne pretensje robotników, należało powiedzieć, że jest dzisiaj możliwe, a co niemożliwe do zrealizowania, należało powiedzieć prawdę o dniu wczorajszym i dzisiejszym. PRZED PRAWDĄ UCIEC NIE MOŻNA. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka".

Wypada dziś przypomnieć diagnozę Gomułki pod rozważę towarzyszącym się do zjazdowej szopki. Może by wreszcie raz w swej historii zastosowali się do dyrektywy, którą jednomyslnie przyjęli ongiś za nienaruszalną linię partii. Gomułka przedstawił alternatywę, jedyną alternatywę dla partii rządzącej: albo prawda o dniu wczorajszym i dzisiejszym i wsłuchanie się w robotnicze postulaty, albo - rządy biurokracji, łamanie prawa i przemoc. A w konsekwencji wyboru wariantu politycznego: wzrost lub ruina. I trudno będzie zakwalifikować diagnozę i dyrektywę Gomułki, jako wymysł propagandowy sił antysocjalis-

tycznych, opłacanych z dywersyjnej kasy imperialistycznych  
młodawców. Chcicie tak dalej bawić się, panowie władza? No,  
to bawcie się, ale bez nas. Myśmy też się czegoś przez ostat-  
nie 30 lat nauczyli. I tę lekcję, prędzej czy później, i wy  
będziecie zmuszeni przerobić. Jak przerobili ją w końcu Minc  
i Berman, Gomułka i Kliszko, Gierek i Jarczewicz, i setki  
innych politycznych trupów, którym partyjna renta nie osłodzi  
pogardy i wstrętu, które do nicza żywi społeczeństwo. A  
swoją drogą - nieszczęsny to kraj, którego grabarze nosili i  
noszą orderzy jego budowniczych!

Karol Sękota

## Z NOTATNIKA REPORTERA

Edward Wieliszewski

# POLOWANIE

"Dwudziestego piątego czerwca br. "Ursus" stał się  
miejscem haniebnych wydarzeń. Rozwydrzone, chuli-  
gańskie bandy, rekrutujące się w przeważającej  
mierze spoza załogi "Ursusa", sterroryzowały ludzi,  
którzy chcieli spokojnie pracować, sparaliżowały  
produkcję, komunikację kolejową, zakłóciły spokój  
mieszkańcom miasta... Najbardziej bolesnym faktem  
jest to, że wśród chuligańskich grup znaleźli się  
także nasi pracownicy, że uczestniczyli w bandyckich  
ekscesach na równi z tymi, którzy nigdy nie  
splamili swoich rąk uczciwą pracą."

"Głos Ursusa" z 4 VII 1976

### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- To był bardzo piękny dzień, upał od rana. A ja akurat  
dostałem gorączki, więc poszedłem do lekarza zakładowego. Po  
nocnym dyżurze w pogotowiu - ledwo trzymał się na nogach.  
Cztery razy wyjeżdżał do zawałowców - tak ludzi zdenerwowały  
podwyżki.

Z okna ambulatorium zobaczyłem jak szli.

W ciszy.

Robociarze.

Z odlewni, kuźni, wielkie chłopcy, kombinezony porozpina-  
ne, szerokie, owłosione piersi - piękny widok.



Szli jak ława - ktoś mógł się im oprzeć?

Próbował kapitan Sowa z ORMO, zakładowy fanatyk ruchu drogowego. Myślał, że machnie lizakiem, a oni staną.

Odrzucili go, odbił się jak piłka od ściany.

#### Szlifierz precyzyjny, narzędziownia, 40 lat:

- Tego dnia wypłacili zaliczkę. Była piękna pogoda. Zaraz po szóstej wyszliśmy na chwilę przed halę. Kilkanaście osób. Głównym tematem, a jakże by inaczej, były podwyżki. Ale o strajku nikt nie mówił.

Obok narzędziowni jest wydział wytkoczek, gdzie pracowały głównie kobiety. Musiało się coś tam zakotkować, bo nagle, kilka wkurzonych jak nie wiem co bab, przyleciało dowiedzieć się, czy narzędziownia strajkuje. Spojrzeliśmy po sobie i żartem powiedzieliśmy: Strajkujemy!

Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość: **N a r z ę d z i o w n i a s t r a j k u j e !**

Dołączyli inni i strajk rozwinął się. Przed naszą halą zaczęło gromadzić się coraz więcej ludzi. ~~.....~~ Środka... niektórzy zaczęli pracę.

Kierownictwo zachęcało, nawoływało do pracy, straszyciło... Należało coś zrobić. Któryś z kolegów wpadł na pomysł. Przez wysokie ogrodzenie z blachy, oddzielające narzędziownię od innych wydziałów - w miejscach, gdzie nikogo nie było - zaczęliśmy przersućać butelki. Potworny huk! Na nawoływania kierownictwa, zebymy się wzięli do roboty, odpowiedzieliśmy, że ktoś wrzuca do nas ciężkie przedmioty. Musimy więc pilnować, by nikomu nie stała się krzywda. Szefowie uspokoili się - mieli przecież usprawiedliwienie dla naczałstwa, dlaczego narzędziownia nie pracuje.

Wtedy faktycznie zaczęło się. Stanęli wszyscy. Około siódmiej strajkował już cały "Ursus".

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Przed halami gromadziło się coraz więcej ludzi. Ktoś krzyknął: Idziemy na plac! Między Zakładem Energetycznym a halą numer dziesięć, w której mieści się ES, na centralnym placu "Ursusa", zebrało się kilka tysięcy ludzi. Pięć, może siedem. Nie słyszałem żadnych przemówień, nikt nie próbował organizować tłuma, który po godzinie ruszył w stronę budynku dyrekcji. Tam dołączyli niektórzy z pracowników umysłowych.

#### Inżynier-technolog, montaż podwozia, 45 lat:

- Tłum zatrzymał się przed budynkiem dyrekcji. A na pobliskim parkingu - mnóstwo ciągników. Naraz rozległ się dźwięk klaksonów. Trudno powiedzieć, czy był to protest, czy "zaproszenie" dla dyrektora...

#### Urzędnicza, dyrekcja, 31 lat:

- Kiedy zaczęli trąbić - powiało grozą. Kierownik gdzieś się ulotnił. Potem wydało się, że zamknął się w ubikacji. A my

w pokoju - same baby. Miałyśmy nadzieję, że podpalać nas jednak nie będą - przecież to nie komitet partii.

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Pod dyrekcję poszli głównie młodzi. Starsi, tacy po czterdziestce, zostali w halach. Może pamiętali pięćdziesiąty szcący rok w Warszawie i woleli nie ryzykować.

W pewnej chwili wyszedł ktoś z dyrekcji i zaczął przemawiać, ale ludzie nie chcieli słuchać.

Pamiętam, że wtedy nie baliśmy się. Wierzyliśmy, że nic złego nikomu się nie stanie.

#### Inżynier-technolog, montaż podwozia, 45 lat:

- Podobno parę osób z załogi było w dyrekcji, ale nie była to delegacja wybrana przez zgromadzony tłum.

Budynek dyrekcji znajduje się w odległości dwustu metrów od torów kolejowych. Toteż pomysła, w jaki sposób dać znać innym zakładom, że "Ursus" strajkuje, sunął się sam: wstrzymać ruch pociągów!

W kierunku torów ruszyło kilku młodych ludzi, a za nimi część tłumu. Pierwsze usiadły kobiety.

Potężnie zbudowane, pełne determinacji: Niech jedzie po nas! Nie boimy się niczego, zobaczymy kto wygra!

Ekspres Paryż-Moskwa - zatrzymał się...

#### Szlifierz precyzyjny, narzędziownia, 40 lat:

- Koło jedenastej tłum stawał się coraz większy, choć podzielony. Więcej ludzi stało pod dyrekcją, mniej na torach.

W tym czasie drogą z Włoch do Piastowa jechał samochód ciężarowy z elementami budowlanymi. Próbowano namówić kierowcę, by wyładował ciężarówkę. Nie zgodził się, więc wyciągnięto go z szoferki, nie robiąc mu krzywdy. Podnosnikiem zwalono wszystkie elementy na jezdnię, tworząc zaporę. Ludzie spodziewali się, że może nastąpić interwencja milicji. Tym bardziej, że nad tłumem zaczął krążyć helikopter, po którym nie wiadomo było, czego można się spodziewać.

Później okazało się, że robiono z niego zdjęcia uczestnikom strajku.

#### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- Lekarz dał mi zwolnienie, ale z ciekawości zostałem. Do domu poszedłem dopiero koło pierwszej, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić. W tym czasie pokazały się podobno pierwsze butelki wódki. Wcześniej sklep monopolewy był zamknięty, otwarto go dopiero na polecenie kogoś "z góry".

#### Inżynier-technolog, montaż podwozia, 45 lat:

- Przypadki kradzieży... potem bębniła o tym prasa.

Widziałem, jak ze sklepu spożywczego, za torami, wnoszono worki z cukrem. Słyszałem też, że zatrzymano samochód

wiozący jajka, potem widziałem ludzi z kartonowymi opakowaniami. Ktoś mi mówił, że konwojent zgodził się oddać cały ładunek załodze "Ursusa".

#### Szlifierz precyzyjny, narzędziownia, 40 lat:

- Koło "Ursusa" przebiega również druga nitka kolejowa - do Poznania. Po południu zablokowano ją, a także wstrzymano ruch na stacji towarowej Odolany. Ruch był tak rozpieprzony, że nie było siły - Warszawa musiała się o nas dowiedzieć.

#### Urzędniczka, dyrekcja, 31 lat:

- Dyrekcja wciąż pozostawała bierna. Robotnikom zdudziło się trąbienie. Siedzieli na trawie, jedli kanapki, popijali wodę mineralną.

Po prostu piknik.

#### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- Może to i wyglądało na majówkę, ale ja ciągle bałem się, że przyślą Gołędzinów. A z nimi, wiadomo, nie ma żartów. Widziałem ich w akcji na Krakowskim Przedmieściu w 1968 roku.

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Około cztertnastej przebrałem się w swoje ciuchy i wróciłem na tory. Helikopter ciągle krążył.

Zymczasem kilku ludzi przytąszczyło butle z acetylenem, pilnik... i odcięło kawałek szyn. Potem zmusiło maszynistę, by wolno ruszył, aż lokomotywa zsunęła się kawałek po nasypie.

Zostało nas na torach już tylko ze trzystu. Gdy koło ósmej zaczęły nadjeżdżać milicyjne fiaty, było jasne, że trzeba wiać.

Tej nocy spałem u kolegi w hotelu robotniczym.

#### Szlifierz precyzyjny, narzędziownia, 40 lat:

- Wieczorem wystawiono przed biurowcem dyrekcyjnym telewizory i druga zmiana wysłuchała przemówienia Jaroszewicza, odwołującego podwyżki.

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Wygraliśmy, naprawdę wygraliśmy - tak to wtedy czułem.

#### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- Gdy następnego dnia /26 czerwca, sobota - przyp. E.W./ poszedłem na swoją działkę, sąsiedzi, którzy wiedzieli, że pracuję w "Ursusie", przychodzili i gratulowali.

W końcu na naszym strajku skorzystali wszyscy.

"Z żalem i słusznym oburzeniem przyjęliśmy wiadomość o nieodpowiedzialnych warcholskich postawach niektórych pracowników waszego zakładu, jakie wykazali oni w ostatnich dniach niszcząc wspólnie wypracowane dobro, prowokując spokojnych i uczciwych ludzi do burd i awantur. Dali oni wyraz swej pogardy dla większości z was, która w naszym przekonaniu pracuje i żyje solidnie. Odpłaćcie im tym samym, pogardą i całkowitym odizolowaniem. Niech odczują, że nie można bezkarnie dezorganizować życia, łamać prawa i mieć porządku społecznego.

Z robotniczym pozdrowieniem - druga zmiana wydziału produkcji mrożonek Zakładów Hortex w Leżajsku."

/Telegram wysłany 28 czerwca i adresowany do załogi Zakładów Mechanicznych "Ursus"./

#### Tekarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Władza przeżywała szok tylko przez jeden dzień. Petem ruszyła do natarcia. Nazwano nas wicherzycielami i warchołami.

Rozpoczęło się polowanie...

#### Urzędniczka, dyrekcja, 31 lat:

- Wszystkich personalników i kierowników działów spędzono do Domu Kultury, w którym na ścianach, od góry do dołu, wywieszono zdjęcia. Mieli rozpoznawać swoich ludzi.

Podobno fotografowano teleobiektywem z okien naszego biurowca, podobno z helikoptera. Krążyła też plotka, że "fotoreporterzy" byli między ludźmi i pstrykali z aparatów ukrytych w szalniczkach.

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- O tym, że jestem na zdjęciu, dowiedziałem się 2 lipca, w piątek. Tuż po rozpoczęciu pracy powiedział mi o tym przewodniczący ZMS.

Około czternastej wezwano mnie na górę. Tam zebrał się już kolektyw: kierownik, jego zastępca, przedstawiciele związku zawodowego, organizacji partyjnej i młodzieżowej. Był też protokółant.

Powiedzieli, że mają moje zdjęcie z torów, że fotografowali nas z helikoptera.

Podeszli mnie jakoś, zwłaszcza brygadzysta i taki partyjny. Chociaż nie pokazali mi zdjęcia - przyznałem się, że byłem na torach. Zwolnili mnie dyscyplinarnie z art. 52 Kodeksu Pracy.

Od tej decyzji odwołałem się do TKO. Posiedzenie odbyło się 15 sierpnia. Z zakładu był kierownik kadr i przedstawiciel związków zawodowych. Kierownik pokazał zdjęcie sędziemu. Rzeczywiście, łatwe do rozpoznania, byłem na pierwszym



planie, siedziałem na torach.

Tyle tylko, że byłem ubrany w cywilne ciuchy. Sfotografowano mnie po czternastej, czyli po pracy.

TKO utrzymała w mocy decyzję zakładu.

We wrześniu przyszedł do mnie do domu kolega z wydziału i powiedział, że będzie jakaś pomoc dla zwolnionych. Umówił mnie na spotkanie. Przyszedł chłopak, powiedział, że jest z KOR-u, ale nie przedstawił się. Opowiedziałem mu swoją historię. Dał mi dwa tysiące złotych - wtedy to było sporo. Przed zwolnieniem zarabiałem trzy tysiące osiemset złotych. Pótem jeszcze kilka razy dostałem taką zapomogę.

Byłem bardzo zdziwiony, że dostałem pieniądze, zastanawiałem się, skąd się one wzięły, bo przecież nie z "Ursusa"...

#### Szlifierz precyzyjny, narzędziownia, 40 lat:

- Ludzie rozpoznani na fotografiach mieli sporo kłopotów. Znany mi kowal, usunięty dyscyplinarnie z "Ursusa", trzykrotnie zgłaszał się do innej pracy. Przyjmowano go entuzjastycznie, kowali zawsze brakuje, a po tygodniu okazywało się, że nie jest odpowiednim pracownikiem.

Wyłądował w końcu u badylarza. Ale i tam przyszli tajniacy. Dali gospodarzowi do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli zrezygnuje z nowego pracownika.

#### Grawer maszynowy, 31 lat:

- Zostałem zatrzymany na Komendzie MO w Ursusie 27 czerwca, w niedzielę. Poszedłem tam, ponieważ prosiła mnie o to siostra kolegi, którego od dwóch dni nie było w domu. W komisariacie zostałem bardzo pobity. Było mnie czterech milicjantów. Kiedy upadłem na ziemię, kopali mnie do utraty przytomności.

Tydzień później badał mnie lekarz więzienny na Mokotowie, który niejedno widział. Nie mógł się nadziwić, że po takim czasie nadal całe ciało było w sińcach.

Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego zostałem skazany na pięć lat więzienia, a następnie wyrokiem Sądu Najwyższego z 27 września 1976 obniżono mi karę do jednego roku - z zawieszaniem na trzy lata.

#### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- Dlaczego nie organizowaliśmy pomocy? Sądzę, że działała jeszcze psychoza strachu z czasów stalinowskich. Zabierano ludzi nocą i nikt nie wiedział, co się z nimi dalej dzieje. Nawet w najbliższej rodzinie nie mówiono na ten temat - bezpieczniejsze było nic nie wiedzieć.

Czerwoni wywieźli mojego ojca na Syberię, gdzie w pół roku później zmarł w łazrze. Parę miesięcy po aresztowaniu ojca przyszli po matkę. Siedziała w więzieniu ponad pół roku. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że ani razu nie poszedłem do niej na widzenie. Zabrakło mi odwagi, choć w czasie wojny byłem w AK i zdarzało mi się brać udział w niejednej strzelaninie.

Utrzymywałem kontakt z matką za pośrednictwem adwokata, ale

sam do więzienia nie poszedłem.

Ze strachu - że wyleją ze studiów, że nie znajdę roboty, że zaszcują.

#### Tokarz, produkcja silnika, 35 lat:

- Ten chłopak z KOR-u poradził mi, żeby odwołać się do Sądu Pracy. Skontaktowałem z adwokatem. Rozprawa odbyła się w październiku i byli na niej kierownik z mistrzem. Tego ostatniego nie było zresztą w zakładzie 25 czerwca. Ale relację z przebiegu wydarzeń zdał, a jakże! W czasie rozprawy widoczne było, że sąd nie zamierza niczego wyjaśniać. Oczywiście poprzednia decyzja została utrzymana.

A do "Ursusa" przyjęli mnie po prawie siedmiu miesiącach. Na to samo stanowisko. Kierownictwo nic do mnie nie miało, tylko koledzy się podśmiewali, nazywając "warchokem".

Byli razem ze mną na torach, ale nie zmieścili się w teledzielnicy.

W czasach "Solidarności" dostałem odszkodowanie. Czterdzieści jeden tysięcy. Jakoś to obliczone, bez mojej krzywdy.

#### Inżynier, biuro konstrukcyjne, 64 lata:

- Za "Solidarności" pamięć o strajku 1976 roku była starannie pielęgnowana. W piątą rocznicę położono kamień, przy którym ludzie do dzisiaj składają kwiaty. Z coraz większym strachem, ale jednak.

Teraz powinno się położyć kamień przy budynku, gdzie 14 grudnia 1981 roku garstka ludzi wytrwała w strajku do końca.

Coraz więcej jest zdarzeń, które musimy upamiętniać. Jak długo jeszcze?

"Robotniczy protest przeciwko wygórowanym podwyżkom, który był wyrazem postawy niemal całego społeczeństwa, pociągnął za sobą brutalne prześladowania. W Ursusie, Radomiu i innych miejscach bito, kopano i masowo aresztowano demonstrantów. Najbardziej zacięte miało wyrzucanie z pracy, co obok aresztowań szczególnie uderzyło w rodziny represjonowanych. Stosowanie represji z reguły związane było z łamaniem prawa przez organa władzy. Sądy wydawały orzeczenia bez materiału dowodowego, z pracy wyrzucano naruszając przepisy /.../ Nie cofnięto się przed wymaszaniem przemocą zeznań. Postępowanie takie nie jest, niestety, u nas nowością."

/Fragment "Apelu do społeczeństwa i władz PRL wystosowanego przez Komitet Obrony Robotników/

Edward Wieliszewski

R. Bog

FORMA I TREŚĆ

Epos  
Ballada  
Poemat  
Piosenka  
Powieść  
Dramat  
Nowela  
Wiersz

-----  
Cenzura.

NIEWZRUSZONY POSTĘP

Wspólnota  
Niewolnictwo  
Feudalizm  
Kapitalizm  
Socjalizm  
Komunizm  
Arka Noego.

XI WIEK

Ideologia  
Atom  
Opportunizm  
Koniec Człowieka.  
Ideologia  
Atom  
Ideologia  
Fin De Siecle.

LUSTRO

Wolność  
Równość  
Braterstwo  
Pokój.  
DIALEKTYKA  
Walka  
Wrogość  
Nomenklatura  
Zniewolenie.

1986 r.

Jerzy Surdykowski

# **W POSZUKIWANIU DRÓG WYJŚCIA**

Tekst niniejszy jest próbą odpowiedzi na pytanie o możliwe dziś do podjęcia działania, zmierzające do odwrócenia obecnego biegu spraw polskich, bowiem ten - zdaniem autora - prowadzi nieuchronnie do coraz głębszej i beznadziejnej stagnacji społecznej i gospodarczej w kraju, a w perspektywie do najostrejszego zapewne z dotychczasowych polskich kryzysów. Jest też próbą refleksji nad uwarunkowaniami i skutkami takich działań. Przeznaczony dla osób z kręgu władzy, nie tylko ze względu na kierunek skąd napłynęło zamówienie, ale też ze względu na to, iż w ręku ludzi władzy znajduje się klucz, mogący takie działania uruchomić; w ich tyłku mocy leży dziś podejmowanie niezbędnych decyzji administracyjnych i ustawodawczych. Dobrze jednak byłoby, aby poruszone tu problemy wzięła pod uwagę w swych dyskusjach i przemysleniach także opozycja. Nie jest ten tekst przeznaczony dla ludzi, którzy uważają, iż bieg wydarzeń po 13 grudnia 1981 nie nasuwa powodów do obaw, a "normalizacja" w wersji po tej dacie saprezentowanej jest najlepszym sposobem na wyjście z kryzysu obecnego i zapobieżenie kryzysowi przyszłemu; dla ludzi, do których nie ma przystępu coraz głębsze satrowanie o jutro Polski. Nie jest też przeznaczony dla osób - tak po stronie władzy, jak i opozycji - które uważają, iż zadowolające rozwiązanie naszych dzisiejszych dylematów możliwe jest tylko przez rzucenie przeciwnika na kolana i zaproponowanie mu bezwarunkowej kapitulacji; do tych z kolei nie ma przystępu wyślenie polityczne, a bieg wydarzeń ostatnich lat niczego ich nie nauczył. Autor wychodzi z założenia, że sens mają tylko takie rozwiązania, które nie obarczają żadnej ze stron poczuciem klęski i upokorzenia, które nie zmuszają nikogo do zaprzeczenia swym dotychczasowym zamierzeniom i do odwoływania głoszonych dotychczas poglądów. Autorowi bliższy jest pragmatyzm możliwych do zaakceptowania i realizacji działań, niż urok ideowych deklaracji. Wygrać ma sprawa wspólna i nadrzędna - Polska, zaś strony zaangażowane bezpośrednio w konflikt powinny po prostu nie przegrać. Fakt, że inspiracja do napisania niniejszego tekstu-memoriału wyszła z kręgu dzisiejszej elity władzy rodzi nadzieję, że to za-trwożenie o dalszy bieg spraw polskich, a jednocześnie wolny



od ekstremizmów i ideologicznych zaczążeń pragmatyzm, nie są już tylko przysiotami ludzi dotąd bezsilnych.<sup>x/</sup>

**SITUACJA**      Rozpoczęta 13 grudnia 1981 roku wojna z "Solidarnością" nie dała się sprowadzić do jednej zwycięskiej kampanii, przekształciła się w długotrwałą "wojnę pozycyjną", "wojnę na wyczerpanie". W tej wojnie ginie kraj, rozkazi się gospodarka, maleją szanse reform. Rozumne wysiłki ludzi mających na względzie dobro Polski muszą prowadzić do zakończenia, a przynajmniej złagodzenia tej wojny, do ułożenia stosunków między władzą a społeczeństwem na innych niż dotychczas zasadach, do uznania podmiotowości wszystkich realnie istniejących w dzisiejszej Polsce sił społecznych. Sądzę, że bieg wydarzeń po 13 grudnia 1981 przekonał nawet najbardziej gorączkowych zwolenników "Solidarności", że władza nie jest "papierowym tygrysem", a słowo "realia" nie jest tylko propagandowym frazeosem ze słownika komunistycznej nowomowy. Ale też ten sam bieg wydarzeń aż nadto dowodnie pokazał nawet najbardziej zatwardziałym twardogłowcom po stronie rządowej, że podporządkowanie i powrót do starych struktur nie są propozycją do przyjęcia dla dzisiejszych pokoleń Polaków, że represje mogą co najwyżej wymusić podszytą nienawiścią cięszą, ale nie są w stanie nawet uruchomić gospodarki. Sądzę, że wszyscy z gorzkiego doświadczenia tych lat wyszliśmy mądrzej, bardziej przekonani o swych ograniczonych możliwościach. Są oczywiście ekstrema, które nie uczą się niczego i nigdy, ale nie one są partnerami w proponowanym tu dyskursie o przyszłości. Trzeba tylko baczyć, by ludzie ci nie dostali do ręki pałki, by nie wspomnieć o bardziej morderczych narzędziach.

Okres "Solidarności" - mimo całej swej burzliwości i chaosu - dawał szansę na takie właśnie, tu postulowane, nowe ułożenie stosunków pomiędzy władzą a społeczeństwem na zasadzie partnerstwa, a nie jedynie podporządkowania stron. Więcej, był szansa dla całego bloku radzieckiego, bowiem powodzenie reform w Polsce mogłoby stać się pozytywnym i ożywym doświadczeniem dla skostniałych struktur społecznych, a zwłaszcza gospodarczych, innych państw bloku, stymulować przeprowadzenie niezbędnych przekształceń systemowych, które dziś dostrzegane są jako palce, a z każdym używającym rokiem ich ewentualna realizacja odbywać się będzie w coraz to mniej korzystnej sytuacji. Tymczasem ta szansa została przez sprawu-

<sup>x/</sup> Niestety, autora prezentowanego przez nas materiału spotkał w swych nadziejach srogi zawód. Widać "elita" nie takich wniosków oczekiwała. Stąd tekst powdrował tam, gdzie jego naturalne miejsce - do drugiego obiegu. Nie podzielają większości głoszonych przez Jerzego Surdykowskiego opinii, publikujemy jego memoriał jako swego rodzaju kolejny dokument klęski idei porozumienia. Dla komunistów porozumienie oznacza jedno - "normalizację" z knutem w jednej, a kniebem w drugiej ręce. /red./

jącą władzę grupę /zapewne także przez grupę sprawującą władzę w Moskwie/ świadomie odrzucona i zaprzepaszczona, tak samo, jak odrzucone i zaprzepaszczone zostały poprzednie szanse z pamiętnym rokiem 1956 na czele. Nie chcę tu wszczytać jałowego dziś sporu o to, czy 15 grudnia był niezbędny i o to, kto kogo zamierzał "targać po szczękach". Z całym naciskiem pragnę jednak stwierdzić, że najmłodszym dramatem tamtego okresu była reformatorska indolencja władzy, która śmiałym i konsekwentnie realizowanym programem zmian nie chciała lub nie umiała odpowiedzieć na wolę społeczną, wyrażoną w Sierpniu 1980 i na powstanie "Solidarności". Ta indolencja, to blokowanie ruchu społecznego przez zatruwającą o swe przywileje i pozycje partyjną biurokrację, stanowiło najlepszą pożywkę dla ekstremistów w "Solidarności", praktyczny dowód tezy o "nierreformowalności systemu". Te nie bro-  
daci kryzkatce byli wówczas najgroźniejszymi wrogami PRL, a-  
le wystraszeni funkcjonariusze tego państwa, marzący o pow-  
rocie do dobrych czasów "ładu i porządku" wedle Gierka, Go-  
mułki, a pewnie i Bieruta. Stało się więc to, co się stawa-  
ło zawsze po poprzednich kryzysach społecznych w PRL: pod hasłem normalizacji przykręcono śrubę, likwidując znaczną część wywalczonych przez społeczeństwo zdobyczy, choć tym razem - ze względu na zakres zmian i głębokość kryzysu - do "przykrętki" trzeba było użyć broni. Tylko, że jak poucza historia, nie do wystraszonych funkcjonariuszy, broniących starego porządku, należy przyszłość, ale właśnie do wzdychających i krzykliwych, bo oni - bądź ich jeszcze bardziej gwałtowni następcy - mimo wszelkich porażek, a nawet upływu krwi, zawsze znajdują drogę do rozwalenia zniechędzonych struktur, choć pewnie następnym razem sięgną po mniej pokojowe niż w Sierpniu 1980 metody. I tu już zawarta jest bardzo ponura prognoza dla najbliższych lat tego tak gorzko doświadczanego kraju. Inna jednak byłaby zamykaniem oczu na historię, na wszystko, czego ona uczy nas o rewolucjach i następstwie pokoleń.

Aby jeszcze lepiej zrozumieć to, co się stało w Polsce w latach 1980-1981 i do czego prowadzi pozornie spokojny okres dzisiejszy, trzeba zastanowić się nad sekwencją polskich kryzysów społeczno-politycznych. Pomijając burzliwy okres bezpośrednio powojenny, mamy tu wydarzenia kolejno 1956, 1968, 1970, 1976 roku oraz ostatni wstrząs lat 1980/1981. Kryzysy z lat 1956, 1970 oraz 1980 doprowadziły do zmiany ekipy rządzącej, ogłoszenia kolejnej "odnowy" oraz obarczenia poprzedniej ekipy winą za przyskowlowe już "błędy i wypaczenia". Po okresie "odnowy" - w miarę umacniania się nowej ekipy - następowała "normalizacja" i demontaż znacznej części /choć nigdy nie wszystkich/ wywalczonych w okresie "odnowy" zmian i reform. Kryzysy z lat 1968 i 1976 były "niepekne", jakby zbyt słabe, aby zachwiać systemem i doprowadzić do zmian na szczycie, zawsze jednak w takim wypadku wkrótce potem następował wstrząs skuteczny. Bardzo ważną sprawą jest przesądzenie politycznego zaangażowania mas aktywnych w okresie wstrząsu oraz postulatów głoszonych przez te masy i ich chwałowych przywódców. Otóż, jeśli w 1956 roku sprowadzały się te postulaty właściwie do spraw ekonomicz-

nych i zmiany na szczycie partii, a nowemu I sekretarzowi KC PZPR cały naród wyrażał bezgraniczne zaufanie, to w 1970 roku pojawiło się szereg konkretnych postulatów i propozycji o charakterze "zabezpieczeń" przed ponowieniem błędów, a poparcie dla nowego kierownictwa nie było już tak skwapliwe i bezwarunkowe. Po kolejnym gorskim doświadczeniu zaprzeczonych nadziei - co przyniosły lata siedemdziesiąte - w Sierpniu 1980 świadomość konieczności "zabezpieczeń instytucjonalnych" była już powszechna, na czele listy sierpniowych postulatów znalazły się żądania polityczne, a nie ekonomiczne, zaś "Solidarność" określiła się w całkowitej obojętności wobec partii i jej kierownictwa, jako ruch obywatelskiej presji w kierunku upodmiotowienia społeczeństwa i uspołecznienia państwa, ale nie jako ruch poparcia dla takiego lub innego I sekretarza! Akcenty coraz wyraźniej antykomunistyczne narastały dopiero jako odpowiedź na reformatorską indolencję władz. Nie trudno jednak uświadomić sobie, że te przemiany świadomości układają się w logiczną i jedynie w tej sytuacji możliwą sekwencję obywatelskiego dojrzenia Polaków; po zaprzeczonych szansach "Solidarności" i dramacie stanu wojennego, kolejny ruch protestu określi się już zdecydowanie antykomunistycznie!

Nie wolno bezkarnie odpowiadać przecząco na społeczne nadzieje, nie wolno ignorować procesu przemian świadomości. To jest właśnie cena, jaką się płaci za podobną ślepotę. Różne były możliwe działania władz po 13 grudnia 1981 i stąd różne możliwości rozwoju sytuacji; również takie, które brałyby pod rzetelną uwagę te nadzieje i te przemiany - zapewne wówczas tak gorzkie sformułowania, jak tu użyte, nie byłyby uzasadnione, a stan państwa bardziej niż dziś dawałby powody do optymizmu. To prawda, zawsze można wyobrazić sobie drogę jeszcze gorszą, powiedzmy neostalinowską. Ale odwoływanie się do doświadczeń leżących już poza zakresem świadomego życia młodszymi, a stąd najaktywniejszych pokoleń Polaków jest bez znaczenia, podobnie jak bez znaczenia były w okresie mojej młodości namolne odwoływanie się ówczesnej władzy do porównań z okresem przedwojennym. Powrót do starych i skompromitowanych struktur pod nieco innymi nazwami /zamiast PZPN jest PRON, te same są organizacje młodzieżowe, ta sama nomenklatura partyjna, ta sama dęta fasadowość rocznic i wymuszonych "manifestacji", ta sama cenzura ujednociająca środki przekazu wedle tej samej sztampy, ta sama wszechmoc centralnej administracji, mimo formalnego obowiązywania reformy gospodarczej itp., itd.../ nie rozwiązuje jakiegokolwiek z polskich problemów.

Przygotowały tylko krytyczne następny, bo owe struktury z jakąś zadziwiająca polityczną ślepotą odtwarzają cały kryzysotwórczy mechanizm okresów poprzednich. A społeczeństwo - w tym

także znaczna część ludzi władzy - wie już zbyt wiele i zbyt wiele gorzkich doświadczeń przeżyło, by w to wierzyć. Jeśli pod groźbą represji albo dla uzyskania materialnych korzyści znaczna część społeczeństwa wykonuje nawet te rytualne gesty, to tylko dla świętego spokoju, maskując nimi niechęć, odrasę, a coraz częściej - nienawiść. Efektem jest właśnie ta przedłużająca się "wojna pozycyjna", w której po stronie przeciw-

nej władzy stoi nawet nie tyle aktywna opozycja, ale szerokie i przymuszone do bierności rzesze społeczne, nie mające cienia rzetelnej nadziei na lepszą przyszłość, lecz poczucie głębokiej frustracji i oszukania, wyniesione z dnia bezpośrednio wczorajszego. W takiej właśnie sytuacji, w owym przeszłym "polskim pacie", kiedy żadna ze stron nie może zrealizować swoich nadziei ani zmusić do kapitulacji stronę przeciwną, władza skazana jest na poszukiwanie poparcia tylko we własnym gronie, w aparacie administracji i represji, wśród tych, którzy ciągną osobiste korzyści ze współuczestnictwa w jej sprawowaniu. Stąd utknęło na mieliźnie reformy gospodarczej /lata 1983-1985 z tej perspektywy są całkowicie stracone/, stąd zacieśnianie represyjnego ustawodawstwa, gwałcenie prawa obywatelskie i osadą poleką tradycję prawną, stąd szarpanina władzy pomiędzy pokusą ostatecznego "pozamykania" opozycjonistów, a koniecznością pewnego liberalizmu tak na użytek wewnętrzny, a zwłaszcza międzynarodowy.

Wszystko to marne, a przede wszystkim daremne. Dotychczasowy kurs polityczny prowadzi tylko do chronicznej stagnacji gospodarczej /jeśli nie do gwałtownej zapadłości/, do ostatecznego sparaliżowania resztek reform, zaostrzania represji, łamania praw obywatelskich, pogłębiającej się frustracji pozabawionego podmiotowości społeczeństwa, do wydania podjazdowej walki Kościołowi, upadku kultury. Władza coraz bardziej skazuje się sama na szukanie wsparcia wśród swojej własnej ekstremy, tak jak "ekstremizować się" musi opozycja. Nie należy się cieszyć znikomym odzewem na apele podziemia, zrywające do strajków czy manifestacji, bądź wymuszonym udziałem sporej części społeczeństwa w "wyborach". Ludzie dobrze wiedzą, co grozi za publiczne wyrażanie sprzeciwu. Nigdy wreszcie to samo pokolenie nie odgrywało decydującej roli w dwu kolejnych polskich kryzysach i zawsze pomiędzy kolejnymi kryzysami mijał co najmniej 10-letni okres czasu. A droga obrona po 13 grudnia przez grupę sprawującą władzę, do takiego kryzysu prowadzi nieuchronnie.

W takich wypadkach zwykle ludzie władzy powiadają: "Przecież nie stosujemy wszystkich możliwości jakie nam dają represyjne ustawy, nie zamykamy wszystkich aktywnych opozycjonistów, dajemy paszporty, a nawet obiecaliśmy kolejną /trzecią już po 13 grudnia 1981/ amnestię. Jesteśmy łagodnymi liberałami, dążymy do porozumienia i pojednania!".

Wszystko to prawda: rozumiem, doceniam, a nawet wyrażam wdzięczność. Ale nie dzisiejsza opozycja jest głównym przeciwnikiem władzy i nie ona stanowi dla niej najważniejsze zagrożenie. Jest głośna i znana w świecie, ma w ręku potężny dziś i niemożliwy, ze względu na swą decentralizację, do całkowitego zlikwidowania niezależny obieg książek i czasopism. Stąd wszelkie represje wobec jej tułów wywołują tak denerwujące niektórych ludzi władzy odgłosy w świecie, ujemnie odbijające się nawet na gospodarczych rokowaniach z Za-



chodem. Jest też ta opozycja jak nigdy dotąd masowa, bo okres "Solidarność", a zwłaszcza 13 grudnia 1981 - kiedy to transporterami opancerzonymi rozjechano powszechne przedtem nadzieje na zreformowany "socjalizm bez wypaczeń" - zaprowadził do niej tysiące ludzi, stroniących dotąd od jakiegokolwiek opozycyjności. Ma wielki wpływ na świadomość Polaków, odgrywa rolę moralną i opiniotwórczą, ale nie ona nadaje ten nieszczerzy i do zniszczenia wiodący bieg polskim sprawom. Gdyby pewnego dnia zniknęła bezszelastnie cała aktywna opozycja, przestały się ukazywać podziemne piema, TKK wyszłoby z podziemia, a "księża-ekstremiści" przestali wygłaszać swe źle widziane kazania, to i tak sprawy szłyby dalej swym niszczącym trybem ku kolejnemu epiętrzeniu w cyklu polskich dramatów.

GŁÓWNE  
CBSZARY ZAGROŻEN

ładunki wybuchowe, których lont został już  
podpalony, to gospodarka i młodzież.

Okres po 13 grudnia 1981 potwierdził jeszcze raz słuszność powiedzenia bodajże Talleyranda o tym, że bagnetem można przywrócić spokój, ale nie da się na nim siedzieć. Wszystkie środki "normalizacji" są całkowicie nieskuteczne w sferze gospodarczej, a nawet przyczyniają się bezpośrednio do ograniczania reformy gospodarczej, czemu aktywnie sprzyja biurokracja partyjno-państwowa zagrożona przez reformę w ewych przywilejach i zakresie władzy. "Normalizacja" w dotychczasowym stylu może przywrócić tylko skompromitowany, nieefektywny system gospodarczy z okresu przedsiębiorniowego, który już doprowadził do najemutniejszej w nowożytnej historii gospodarczej kłapy i zmarnotrawienia olbrzymich kredytów. Jego restytucja może odbywać się tylko wbrew woli społeczeństwa i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Niestety, już ona nastąpiła, bowiem reforma ogranicza się praktycznie do fasady, nie naruszając uświęconych przez dziesięciolecia "realnego socjalizmu" podstawowych mechanizmów scentralizowanej, nieefektywnej gospodarki. Efektem może być "normalizacja kryzysu", coraz głębsza stagnacja z perspektywą kolejnego wybuchu społeczeństwa i zsuwanie się kraju europejskiego do poziomu Trzeciego Świata.

Te mechanizmy i te zjawiska nie są już dla nikogo tajemnicą, nawet w oficjalnym obiegu myśli. Dysfunkcję gospodarki socjalistycznej dokładnie opisał na płaszczyźnie teoretycznej najwybitniejszy chyba żyjący dziś w krajach socjalistycznych ekonomista - węgierski profesor Janos Kornai w wydanej i u nas książce /PWE, Warszawa 1985/ "Niedobór w gospodarce" /tytuł, zgodnie z oryginałem napisanym w języku angielskim, powinien brzmieć: "Ekonomia niedoboru". Jeśli chodzi o szczegóły tej "ekonomii niedoboru", to wystarczy sięgnąć do opracowań Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, na łamy takich pism, jak "Życie Gospodarcze", "Zarządzanie" czy "Wektory", aby otrzymać zupełnie jasny obraz. W ostatnim czasie organ PWE "Wektory" opublikował komputerową prognozę sytuacji rynkowej na nadchodzącą pięcioletkę /nr 7, str. 54-57/, przewidywająca całkowite załamanie w latach 1988/89, jeśli nie nast-

## Łąpi odwrócenie dotychczasowych tendencji gospodarczych!

Choroba dotyczy nie tylko Polski, jest to śmiertelne wręcz schorzenie gospodarki "realnego socjalizmu" jako całości, która utknęła w sztywnym scentralizowanym gorsze, blokującym ludzką inicjatywę, a tym samym innowacyjność, ekspansję i rozwój inny niż ekster-sywny. W obecnym systemie gospodarczym, bez daleko idących reform, luka technologiczna między blokiem radzieckim a Zachodem będzie się pogłębiać do rozmiarów przepaści, a dalsze podnoszenie poziomu życia ludności stanie się nierealną mrzonką. Jest w tym pewna nadzieja, bo być może ta katastrofalna sytuacja "ekonomii niedoboru" dociera do świadomości nowego kierownictwa radzieckiego. Jedyne ratunkiem może być bardzo śmiała reforma gospodarcza, przynajmniej na miarę obecnej reformy w Chinach albo radzieckiego NER-u z lat dwudziestych. Jest to droga niesłychanie ryzykowna i trudna, bo reformie gospodarczej - by była skuteczna - musi dziś towarzyszyć reforma polityczna, a zwłaszcza znaczna część swych uprawnień i przywilejów musi utracić rządząca dotąd niepodzielnie nomenklaturowa warstwa aparatu partyjno-administracyjnego. Co więcej, reforma byłaby prowadzona w gorszych warunkach zewnętrznych niż w roku 1956, gdy sprzyjało jej tak wiele. Alternatywa jest jednak stopniowa zapaść całego systemu, zmierzch mocarstwowej roli ZSRR, wszystko to, co przypomina nam historia systemów anachronicznych i upadających. Pozostaje nadzieja, że ten ostatni, być może, "dzwonek alarmowy" okaże się skuteczny także i dla nas.

Sytuację Polski komplikuje znaczna zależność naszej ekonomiki od dostaw zachodnich, przy niewielkich zdolnościach eksportowych tej gospodarki. Tu również okres po 13 grudnia 1981 pokazał aż nadto dowodnie, że reklamowana "reorientacja na Wschód" jest tylko importem stagnacji i zacofania. Wschód nie ma ani części, ani maszyn, ani półproduktów, ani kapitałów niezbędnych do uruchomienia polskiej gospodarki. Wschód jest i będzie wielkim partnerem gospodarczym Polski /zwłaszcza, gdyby transakcje odbywały się normalnych zasadach handlowych/, ale tylko współpraca z Zachodem może ożywić jej drżącą potencjał, pozostały zwłaszcza po inwestycjach lat siedemdziesiątych. Dzisiejszy rząd PRL mógłby wiele tu uzyskać od Zachodu, czego dowodem jest zniesienie większości sankcji po amnestii 1984 roku, ale nie może się to odbywać w warunkach zaciesniania represji, ograniczania praw obywatelskich i psucia stosunków z USA. Sądzę, że wizyta gen. Jaruzelskiego w ONZ i jego rozmowy z Brzezińskim i Rockefellerem wniosły tu trochę ożywczego rozsądku. Trzeba też pamiętać, że zachodni partnerzy sparzyli się dotkliwie na zmarwnianych w Polsce pożyczkach i że zaufanie może odtworzyć tylko śmiała reforma gospodarza.

Drugi podstawowy problem zapalny, to młodzież. Coraz li-  
czniej wchodzi w dorosłe życie, coraz większą rolę odgrywa w  
społeczeństwie ta grupa młodych ludzi, których nazwałbym  
"pokoleniem posolidarnościowym". Ci ludzie byli za młodzi,  
by czynnie brać udział w ruchu posierpniowym, stąd tradycyj-

ne i umiarkowane autorytaty "Solidarności", takie jak Kościół czy Lech Wałęsa, nie są już w tym samym stopniu autorytetami tego wstępującego pokolenia. A jednocześnie jest to pokolenie mające uzasadnione poczucie wydziedziczenia i cdephnięcia, pokolenie jak żadne dotąd sfrustrowane i nie widzące dla siebie miejsca w zastanym społeczeństwie. Dotąd wstępujący w życie młodzi ludzie mogli liczyć na ciekawą pracę, mieszkanie w dającej się przewidzieć perspektywie, jaki taki dobrobyt na miarę realiów PRL. Dział wszystko to są tylko przedkryzysowe mrzonki, nawet praca w wyczerzonym zawodzie jest nieraz poza granicę nadziei. Perspektywa posłusznego przytakiwania, jaką proponuje temu pokoleniu PRON i wchodzące w jego skład oficjalne organizacje młodzieżowe, jest przyjmowana wręcz nienawistnie, a przekupywanie skromnymi dobrami materialnymi i służbowym awansem może - z racji permanentnego kryzysu - dotyczyć tylko znikomej części młodzieżowych funkcjonariuszy. Nawet Kościół - ku któremu z racji podeptania innych wartości i autorytetów - zwraca się znaczna część "pokolenia postolidarnościowego", nie jest w stanie zaproponować mu niczego, co by było na miarę buntu i młodzieńczego radykalizmu aktywniejszej części tego pokolenia. To właśnie oni - najmłodsi robotnicy, studenci, a nieraz i uczniowie - obokują dziś powielacze i kolportują druki, oni tworzą dziś coraz to nowe tajne związki, nie mające już nic wspólnego z "Solidarnością", oni powiadają między sobą, że "największym błędem tego starego Wałęsy było to, że nie kazał wieszać komunistów!"

I z racji następstwa pokoleń, to oni wylegną na ulice w kolejnym polskim starciu społecznym. Zrobią to po swojemu, a dzisiejsza opozycja - jakże w stosunku do nich umiarkowana - nie będzie im autorytetem i przewodnikiem. Znajdą własne. Stanie się tak na pewno, jeśli istniejący system nie znajdzie jakiegoś sensownego i przez samą młodzież akceptowanego ujęcia dla jej energii, woli zmian i samodzielności. Przypominam, że zawsze w historii państw i narodów pojawienie się takiego "stracznego pokolenia" bez osobistych perspektyw i o zablokowanej drodze awansu, okazywało się społecznym dynamitem. W powojennej historii Polski pokolenie takie pojawiło się po raz pierwszy.

Mówiąc o obszarach zagrożeń, nie wspominałem o klęsce ekologicznej. Może jednak zdarzyć się i tak, że impulsem dla ruchów okaże się nie brak mięsa czy wysokie jego ceny, ale zatrucie środowiska lub brak wody.

KIERUNKI I GRANICE  
MOŻLIWYCH ZMIAN

Kierunki te wynikają ze zdefiniowania przed chwilą głównych obszarów zagrożeń. A więc jako zadanie p i e r w s z o p l a n o w e, możliwe do podjęcia natychmiast - reforma gospodarcza, zmierzająca w jak najkrótszym czasie do odtworzenia rynku, konkurencji, wymiennalności

pieniądza i swobody dla wszelkiej inicjatyw gospodarczej  
/państwowej, samorządowej, spółdzielczej, prywatnej, zagra-  
nicznej/. Państwo nie może być nadal zarządcą superprzedsię-  
wzięcia gospodarczego, ale musi stać się reprezentantem  
spokojeństwa wobec samodzielnie gospodarujących podmiotów.  
Obojętnie jak się to nazwie - czy "socjalizmem rynkowym",  
czy "nowym NER-em", czy "kapitalizmem państwowym", czy jesz-  
cze jakoś inaczej - musi być to śmiało wyjście z zakłętego  
dotąd kręgu "ekonomii niedoboru" z jej niedokonywanym centrali-  
zmem, nomenklaturą partyjną, niejawnością podejmowania decy-  
zji, zakulisowymi walkami o inwestycje z góry skazane na  
nieefektywność, prymatem polityki nad ekonomią. Jest to zre-  
zestę temat na osobną rozprawę. Próbowałem - jako Krzysztof  
Jerzewski - naszkicować zarys zmierzających w tym kierunku  
posunięć w tekście "Szkic do programu minimum", wydrukowanym  
w pocenzuralnych pismach "Vacat" /nr 25/ i "Bez Dekretu"  
/nr 3/ w 1985 roku, a przedrukowanym potem przez "Nowy Dzien-  
nik" w USA. Nie jestem tu oczywiście osobą najbardziej kom-  
petentną, jako publicysta mogę tylko zainicjować wymianę my-  
śli. Trzeba ją zacząć od rozszerzenia składu Komisji Reformy  
Gospodarczej<sup>x/</sup> o grono niezależnych ekspertów, albo od po-  
wierzenia takiej niezależnej grupie opracowania kontrprojek-  
tu. Jako kierownika takiego niezależnego zespołu mogę pole-  
cić prof. Jana Mużela, wybitnego ekonomistę o dużym autory-  
tecie i umiarkowanych poglądach, który nieraz na forum ofi-  
cjalnym /ostatnio miesięcznik "Zarządzanie" nr 9 z 1985 ro-  
ku/ występował na rzecz "drugiego etapu" reformy, a przeciw  
jej obecnemu grzęźnięciu.

Jeśli mowa o gospodarce, nie wolno zapominać o rolnict-  
wie, o niedyskryminowaniu sektora indywidualnego, który jest  
i pozostanie podstawa wyżywienia Polaków, o jak najszybszym  
uruchomieniu fundacji o która zabiega Kościół, czy wszelkich  
innych inicjatyw mogących poprawić sytuację polskiego rolni-  
ka.

Taka reforma nie tylko odblokuje obecną stagnację i nie-  
efektywność gospodarki, umożliwi nawiązanie rzetelnej współ-  
pracy tak ze Wschodem, jak z Zachodem, ale także przez dopu-  
szczenie wszelkich inicjatyw otworzy przed bardziej aktywną  
i zaradną częścią młodego pokolenia perspektywę dla przyno-  
szących pożytek działań i ujęcie dla energii. Ta wola działa-  
nia i ta energia niekoniecznie muszą kierować się w stronę  
polityki. Jednakże nie może być się bez otwarcia innych też,  
niż gospodarcze, pól dla niezależnej działalności młodzieży:  
musi dojść do realizacji konstytucyjnej zasady swobody sto-

<sup>x/</sup> Trudno sobie wyobrazić obecność tego rodzaju ludzi w  
komisji, której szefem jest premier PRL /niedawno jej prze-  
wodnictwo Jeruzelski przekazał Messnerowi/. Dodajmy, że -  
dziwnym trafem - zlikwidowany został Urząd ds. Reformy Gos-  
podarczej, a prof. Baka musiał sobie poszukać innego zaję-  
cia. /red./



wurzyssen i powieć konstytucyjnej zasady wolności słowa. Jeżeli władza nie przestanie oberwać się młodzieńczego radykalizmu /o ile nie idzie on w kierunku stowarzyszenia przemocy fizycznej/, jeżeli publiczne wypowiedzianie myśli innych od zatwierdzonej przez urząd stawały wciągnąć uznawać będzis za zagrożenie dla podstaw ustroju, wówczas nieuchronnie młodzież zwróci się ku konspiracji, nawet gdy poszerzone zostaną możliwości jej wytycia się w gospodarce.

Reforma gospodarcza musi mieć swą formułę polityczną nie tylko ze względu na młodzież. Konieczne jest zwiększenie uprawnień samorządów /choć niekoniecznie samorzady muszą istnieć we wszystkich przedsiębiorstwach/, odbudowa niezależnego od centralnej władzy i samorządnego charakteru rad narodowych, odbudowa różnego rodzaju organizacji reprezentujących interesy różnych środowisk i grup zawodowych. Zwłaszcza dotyczy to związków zawodowych, a zasada pluralizmu związkowego musi stać tu w pełni uznana. Jest to niezwykle ważne bynajmniej nie dlatego, że istnienie obu skróconych ze sobą związków w jednym zakładzie jest drogą do zbawienia Polski. Dlatego głównie, że zasada ta stała się w opinii szerokich rzesz pracowniczych związanych z "Solidarnością" probierzem intencji władzy, celem walki i jednocześnie programem minimum, skoro przywrócenie dawnego związku uznać wypada za niemożliwe lub taktycznie niecelowe. To możliwe ewentualnie skrócenie związków zawodowych samo zaniknie po pewnym - jak sądzę - dość krótkim czasie, bowiem dawna "Solidarność" niosła z sobą potężny bagaż polityczny, który w proponowanym tu szerszym układowie reform, rozłożony zostałby na różnego rodzaju stowarzyszenia, samorzady itp.; dziś nowopowstałe związki będą już tylko związkami zawodowymi. Tak więc pluralizm związkowy w obrębie obecnej ustawy związkowej - nakładającej przecież dość mocne ograniczenia na strajki - jest tu absolutnie niezbędny.

Równie niezbędna jest odbudowa opinii publicznej. Musi nastąpić odblokowanie cenzury, zaprzestanie rugowania ze środków przekazu "nieprawomyślnych" dziennikarzy, zróżnicowanie tych środków, powstanie na płaszczyźnie legalnej pism i wydawnictw niezależnych.

Teraz ważna refleksja o granicach dopuszczalnych zmian, na które muszą przystać wszystkie siły zainteresowane w procesie reform i społecznego odprężenia w Polsce; granicą tą jest sprawowanie władzy politycznej przez partię komunistyczną. Granicy tej nie wolno przekroczyć ze względu na udział Polski w bloku radzieckim i związane z tym realia geopolityczne. Sprawowanie władzy przez komunistyczną mniejszość zabezpieczona w dostatecznym stopniu obecna konstytucja ERL, można zresztą to w przyszłości uszczegółowić, określając np. ilość miejsc w sejmie do wyłącznej dyspozycji PZPR. Przyszła ordynacja wyborcza musi jednak umożliwić wprowadzenie do sejmu mniejszości poselskiej, reprezentującej niekomunistyczną większość i

Tej różnie odciany, zabierającej w sposób niezależny głos w imieniu tej większości. Dotyczy to już oczywiście ordynacji w wyborach 1985 roku, ale ordynacja w wyborach do rad narodowych w 1988 roku musi uwzględniać ich samorządowy charakter, ich rolę jako społecznej reprezentacji regionalnej i dawać pełną możliwość niezależnego wysuwania kandydatów do rad. To, co niemożliwe jeszcze w sejmie, musi już być możliwe w radach.

Proponowane zmiany oznaczają w ostatecznym rachunku dopuszczenie na płaszczyźnie swcia legalnego wszystkich sił społecznych i politycznych w Polsce, które za konieczność uznają popostawienie władzy komunistom, wyrzekają się przemocy w realizacji swych celów. To jest także - moim zdaniem - podstawowy i jedyny warunek stopniowej "legalizacji" niekomunistycznych sił w Polsce, ich wychodzenia z podziemia, z kociółków, z emigracji wewnętrznej. Nie można natomiast demagać się od nich uznania "realnego socjalizmu" za najlepszy z ustrojów i wyrzeczenia się nawet najostrejszej jego krytyki, dążeń do daleko idących przemian, pod warunkiem, że odbywać się to ma drogą perswazji, przekonywania i reform. Dobrą płaszczyzną może tu być "uznanie porządku konstytucyjnego PRL", bowiem obecna konstytucja potwierdza prawa obywatelskie, wolność słowa i stowarzyszeń, a nawet nie jest przeciwna wolnym wyborom. Potwierdza ona sojusz z ZSRR i szczególną rolę partii komunistycznej w państwie. Nie określa natomiast sposobu funkcjonowania tego sojuszu i sprawowania tej roli, nie zakreśla granic reformom. Wyklucza tylko drogę przemocy.

W zaproponowanych tu warunkach i granicach nikt nie musi wyrzekać się swych poglądów i zawierzeń ani składać upokarzających deklaracji. Władza stwierdzi - po wyborach 1985 roku - że "normalizacja" zaszła już tak daleko, że można znacznie rozszerzyć płaszczyznę porozumienia, zaś opozycja zacznie stopniowo działać na płaszczyźnie legalnej, godząc się z istniejącymi ograniczeniami. Jeśli jednak takie lub podobne /bo przecież można sformułować je jeszcze inaczej/ warunki i granice nie zostaną przyjęte przez władzę oraz zaproponowane społeczeństwu w postaci konkretnych działań demokratyzacyjnych, wówczas opozycja dalej będzie "knuć", TKK nie wyjdzie z podziemia, biuro brukselskie dalej będzie działać i szukać wsparcia dla tego podziemia w zagranicznych partnerów, inicjatywa ludzka będzie nadal zablokowana, a młodemu pokoleniu pozostanie tylko wybór między emigracją a rewolucją. Zapowiedziana przez gen. Jaruzelskiego amnestia będzie wówczas tylko krótką przerwą w wyrokach, po której nieuchronnie przyjdzie kolejna fala aresztowań.<sup>x/</sup>

<sup>x/</sup> Jak wiadomo amnestia okazała się fikcją, a aresztowania, i owszem, trwają w najlepsze.

Istnieją dwie najważniejsze siły, za których mogą wesprzeć się te kręgi we władzy, które podziwiają zatrwożenie o jutro Polski i które widzą ratunek w śmiałym programie reform. Te siły to, po pierwsze, Kościół oraz większość społeczeństwa blisko z Kościołem związana, po drugie zaś siła taką jest niekomunistyczna lewica, dziś rozproszona i odepchnięta przez wszystkich, lecz potencjalnie dość liczna. Na pewnym etapie reform - prawdopodobnie znacznie wcześniej w stosunku do Kościoła - musi nastąpić polityczna instytucjonalizacja tych sił, niekoniecznie od razu w postaci partii. Wstępem mogłoby być powołanie stowarzyszenia społeczno-kulturalnego, opartego o naukę społeczną Kościoła. Kościół i ludzie związani z Kościołem są potężną siłą stabilizującą każdy ewentualny proces reform i taką też rolę odegrali w "Solidarności". Jakikolwiek rozmowy i rozpoznania poprzedzające "ocieplenie polityczne" w Polsce muszą ich przede wszystkim uwzględnić i do nich być przede wszystkim kierowane. Jeśli zaś chodzi o lewicę niekomunistyczną, też musi się stopniowo - w wyniku postępów owego "ocieplenia" - znaleźć jakiś sposób instytucjonalizacji, choćby w postaci powrotu do pomysłu powołania ruchu pod nazwą Polskie Przymierze Społeczne "Odrodzenie" /celowo użyto tu skrótu PPS/, którego wniosek o rejestrację złożony został w Szczecinie krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego.

Nie są to nowe sprawy: pisałem o tym choćby w tekstach zamówionych przez Instytut Opiniodawczy, działający przy kierowanym przez płk. S. Kwiatkowskiego Centrum Badania Opinii Społecznej i sprawy te były tam dyskutowane z udziałem wielu kompetentnych ekspertów. Pisałem też o tym w tekście «Między porozumieniem a "świętym przymierzem"», zaproponowanym w końcu 1982 roku redakcji "Polityki", który jednak mógł się ukazać tylko w pozacenzuralnym piśmie "Vacat". Polityczna warstwa reformy jest jednak niezbędna dla jej powodzenia, a instytucjonalizacji opozycji nie da się uniknąć, o ile chce się uniknąć konspiracji. Warto wyciągnąć wreszcie wnioski z przyczyn dla których "Solidarność" w okresie swego legalnego istnienia wzięła na siebie tak wiele sprzecznych ze sobą nieraz zobowiązań. Gdyby istniały wówczas inne, poza związkiem zawodowym, legalne formy politycznego zaangażowania i ekspresji poglądów, wówczas pewnie i przebieg wydarzeń byłby spokojniejszy i związkowa rola "Solidarności" - oczywista.

STRACONE  
SZANSE

Przypomnę o nich nie dla rozdzierania szat i wspomniania win, ale dla nauki. Zbyt wiele już bowiem zaprzepaszczone szansa na wydostanie się z "poli-  
kiego pata", na rozpoczęcie procesu "politycznego ocieplenia" i reform. Jeśli mamy wykorzystać nikiłą szansę obecną, wyprowadźmy wnioski z szans straconych już po 13 grudnia 1981 roku.

• Z PZER wyrugowano socjalistów i "rewizjonistów" i w ogóle ludzi śmiałej myślicy. Ci zaś z nich, którzy zdecydowali się na pozostanie w partii, odsunięci zostali na boczny tor. Doprowadziło to do dominacji elementu prymitywnego, lękającego się każdej śmialeszej myśli i niekonwencjonalnego działania. W

tej partii jest jeszcze sporo ludzi odważnych i wartościowych, ale trzeba wydobyć ich z izolacji i zapomnienia, powierzyć im odpowiednie zadania i stanowiska.

• Władze wojskowe, mimo deklarowanych intencji, nie usiłowały pozyskać poparcia "zdrowego trzonu" "Solidarności", tego wielkiego i zróżnicowanego, choć w przygniatającej mierze katolickiego centrum, które opowiada się za stopniowymi reformami, a przeciw wszelkim ekstremizmom; fatalnie oddziaływały na to centrum i znacznie pogorszyły szanse porzucenia kampanie propagandowe przeciw takim autorytetom, jak Lech Wałęsa czy niektórzy księża.

• Reforma gospodarcza po początkowym "pchnięciu" w latach 1981 i 1982, szybko ugrzęzła na mieliźnie biurokracji, nomenklatury i centralizmu. Od roku 1983 można mówić tylko o straconym czasie.

• Wybory do rad narodowych w 1984 roku są zaprzepaszczone szansą uczynienia z tych rad autentycznej reprezentacji społecznej, siły pracy do reform, niezbędnej struktury pośredniczącej między władzą a społeczeństwem.

• Amnestia w 1984 roku nie była związana z żadnymi posunięciami reformatorskimi, a przynajmniej liberalizacyjnymi, dokumentującymi społeczeństwu intencje władz, ocieplającymi atmosferę polityczną kraju.

• Ostatnie wybory do sejmu są również zaprzepaszczone szansą wprowadzenia do tego organu władzy niezależnej mniejszości, co z jednej strony dokumentowałoby intencje władz, a z drugiej rozbiłaby byś bójkot wyborczy, bo ludzie poszliby głosować na "swoich".

W dzisiejszej Polsce tak wielką jest nieufność i tak wiele szans, dobrych intencji czy wielkich słów już zmarnowano, że nie ma sensu nawoływanie do przysięcwowego już "siadania do stołu", podpisywania nowych porzuczeń itp. Trzeba nareszcie faktów, które pokażą, że reformy nie są pustym frazeologem, a władza nie drży przed każdym, kto ma trochę inne niż jej zdanie.

PROJEKT  
PIERWSZEGO ETAPU

Etap ten, którego osią jest zapowiedziana już amnestia, ma właśnie pokazać przy pomocy konkretnych faktów intencje władzy, ruszyć reformy z martwego punktu, poprawić stosunki z Zachodem, wyprowadzić na powierzchnię życia publicznego przynajmniej część opozycji, a na koniec doprowadzić do bezpiecznego ujawnienia się członków ZKK i innych ukrywających się osób. Sądzę, że wówczas rozwiązanie biura brukselskiego byłoby rzeczą oczywistą. Jeszcze raz powtarzam: to społeczeństwo, a zwłaszcza opozycja, nie uwierzą już w jakiegokolwiek obiecani, piękne słowa, a nawet podpisy.



Trzeba faktów, jeszcze raz faktów. W mocy władz jest ich stworzenie.

Najpierw krótko o tym, czego robić nie wolno, by już od początku nie zepsuć atmosfery, nie zmarnować szans. A więc: nie stosować uchwalonych w 1985 roku represyjnych ustaw, nie rozpoczynać ręką z uczelni na podstawie nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, skończyć absurdalną "wojnę o krzyże", skończyć z blokowaniem utworzenia fundacji rolniczej Episkopatu, zaprzestać skalowania i napaści na ludzi cieszących się powszechnym uznaniem.

Teraz o tym, co należy.

Przede wszystkim trzeba zastosować amnestię bezwarunkową i dotyczącą wszystkich więźniów politycznych, także tych, którym na siłę dorobiono uzasadnienia kryminalne /zabór powielaczy, rzekome przygotowywanie zamachów itp./. Ukrywający się lub prowadzący działalność nielegalną powinni zostać uwolnieni od winy bez konieczności składania jakichkolwiek upokarzających deklaracji. Amnestia musi być połączona z abolicją, czyli pusczeniem w niepamięć przestępstw politycznych, a nie oznaczać tylko darowania kary pod warunkiem skruchy. Dotyczy to zwłaszcza TKK. Ludzie, którzy zdecydowali się na ukrywanie po amnestii 1984 roku, to ludzie twardzi, zdający sobie sprawę z tego, że schwywanie i długoletnie więzienie jest nieuchronną konsekwencją decyzji pozostania w podziemiu. Nie wyjdą oni tylko za obietnicę bezkarności, muszą zyskać pewność, że swą decyzją coś załatwili dla społeczeństwa, coś mu wywalczyli, a więc muszą zostać przekonani przez fakty, że nastąpiła zmiana atmosfery politycznej w Polsce, że pojawiły się realne możliwości niezależnego działania dla dobra Ojczyzny, że reformy ruszyły z mielizny. Dlatego okres pozostawiony dla decyzji ukrywających się musi być długi - na pewno do końca 1986 roku. Nieco wcześniej powinien być zrealizowany ten lub podobny program "pierwszego etapu". Wówczas, pod koniec tego roku, likwidacja działalności podziemnej byłaby oczywista i zrozumiała.

Zaproponowane poniżej działania tworzą owe pożądane fakty, są to podjęcia natychmiast, pierwsze z nich powinny wyprzedzać uchwalenie przez Sejm amnestyjnego aktu:

• Zapowiedź zawarta w przemówieniu gen. Jaruzelskiego, że "zwycięstwo" władzy w wyborach i postępy "normalizacji" dają podstawę do poszerzenia platformy porozumienia narodowego i przyspieszenia "socjalistycznej odnowy".

• Odkręcenie śruby cenzuralnej, na początek w wybranych tytułach prasowych, zaproszenie kilku znanych opozycjonistów do publicznej wypowiedzi. Może się to zrazu odbyć w formie publicznej dyskusji w jakimś klubie, bądź na łamach tygodnika PRON "Odrodzenie" czy w "Polityce". Z wypowiedziami opozycjonistów może oczywiście dowolnie polemizować strona rządowa, ale muszą te wypowiedzi być publikowane w całości. Ta cenzuralna liberalizacja musi być utrzymana i rozszerzona na inne tytuły, stwarzając warunki do rzetelnej i nieskrępowanej dyskusji o Polsce, przebiegającej w Polsce. Najszybciej, jak tylko można, trzeba umożliwić gronu ludzi dotąd związanych z opozycją wydawanie własnego pisma lub pism, na podstawie obecnej ustawy prasowej z zaznaczeniem ingerencji władzy.

kwencją tego procesu byłoby przywrócenie przez sejm ducha pierwotnej ustawy o cenzurze z 1991 roku oraz taka modyfikacja przepisów wydawniczych, by mogły powstać wydawnictwa prasowe i książkowe jako spółki prywatne, bądź polonijne /proponowałem to zresztą w artykule pisany wiosną 1982 roku do powstającego wtedy miesięcznika "Zdanie"; artykuł ten został zdjęty przez cenzurę z pierwszego numeru pisma, a samo pismo, mające ambicję pewnej niezależności, szybko "spacyfikowano"/.

• Przywrócenie zawieszonoego zarządu PEN-Clubu polskiego i tym samym reaktywowanie funkcjonowania PEN-Clubu, byłoby dobrym początkiem bardziej liberalnej polityki kulturalnej i wstępem do pogodzenia w zwaśnionych po rozwiązaniu stowarzyszeń środowiskach twórczych. Dalszymi elementami powinny być - prócz rozluźnienia cenzury - zgoda na prywatny przywóz polskich wydawnictw z Zachodu, zniesienie ograniczeń w dostępie do "nieprawomyślnych" dzieł w bibliotekach, umożliwienie powoływania małych niezależnych wydawnictw zaznaczających ingerencje cenzury i prowadzących własną politykę wydawniczą, umożliwienie - na zasadzie ustawy o fundacjach - powstania Niezależnej Fundacji Kulturalnej, udzielającej stypendiów twórczych, wspomagające niezależne wydawnictwa itp.

• Przyspieszenie reformy gospodarczej, o czym już była mowa..

• Podjęcie działań /a przynajmniej publicznej dyskusji/, zmierzających do przywrócenia niezależnego sądownictwa i poprawy stanu praworządności. Trzeba na pewno powołać tu rzetelną komisję ekspertów z udziałem osób niezależnych.

• Cofnięcie procedury wystąpienia Polski z MOP, uznanie pluralizmu związkowego.

• Powołanie przez nowy sejm cieszących się szacunkiem osób niezależnych i dawnych przywódców związkowych w skład ciał doradczych, takich jak Rada Społeczno-Gospodarcza, Rada Kultury i inne.

• Wprowadzenie Lecha Wałęsy do życia publicznego w sposób uprzednio z nim uzgodniony w rozmowach zakulisowych.

• Dokonanie przez nowy sejm przeglądu ustawodawstwa nadzwyczajnego, do czego zresztą ten sejm jest zobowiązany przez sejm poprzedniej kadencji na mocy ustawy o zniesieniu stanu wojennego w 1983 roku. Zniesienie najbardziej represyjnych ustaw, drastycznie ograniczających prawa obywatelskie.

• Uchwalenie przez sejm abolicji w sprawach o przestępstwa paszportowe według projektu posła Osmańczyka, co nareszcie umożliwiłoby normalizację stosunków z Polską i wykorzystania dla dobra kraju ogromnego potencjału Polaków na Zachodzie.

• Wystąpienie pod adresem państw zachodnich - a zwłaszcza USA - z inicjatywą poprawy stosunków z nimi i przystąpienie do rzetelnej odbudowy tych stosunków.

• Zgoda na powołanie niezależnych od państwa organizacji młodzieżowych, na początek pod patronatem Kościoła i o charakterze społeczno-kulturalnym. Zgoda ta powinna w tym pierwszym etapie obejmować również różnego rodzaju organizacje

studenckie, ograniczające się do terenu jednej uczelni oraz reaktywowanie rozwiązań. o /już po raz drugi, bo po raz pierwszy rozwiązano go w 1957 roku/ Związku Młodzieży Demokratycznej.

Po podjęciu tego rodzaju działań /można dyskutować o ich ostatecznej formie i kolejności/ sytuacja w Polsce będzie diametralnie różna od dzisiejszej. Już pierwsze z tych działań będą szeroko komentowane w kraju i za granicą, stworzą przychylniejszą atmosferę dla oceny intencji i dalszych zamierzeń władz PRL. Komplet działań I etapu powinien być podjęty do połowy 1986 roku, wówczas - wobec terminu amnestii do końca roku - ujawnienie się TKK, likwidacja biura brukselskiego i zaprzestanie konspiracji na szerszą skalę byłoby możliwe. Pół bowiem dla niezależnej działalności dla dobra Polski byłoby już dość wiele.

Można powiedzieć, że jest to propozycja demontażu "realnego socjalizmu" i rozpoczęcia procesu reform prowadzących w nieznaną. Owszem, ale innej drogi, prócz wspólnej katastrofy - nie ma. Nie trzeba zresztą nazywać tego po imieniu. Demontażu frankizmu po śmierci hiszpańskiego dyktatora też nie nazywano po imieniu, lecz prowadzono skutecznie. Można też powiedzieć, że w dalszym etapie reform stanie na porządku dnia sprawa udziału we władzy niekomunistycznej większości, na zasadzie bardziej niż dotąd reprezentatywnej. Owszem, stanie. Lecz pojawi się na gruncie legalnym, bez przemocy, zaś proces reform będzie ten postulat po trochu łagodził i odsuwał. W przeciwnym wypadku pojawi się on i tak, tylko że w dziejowej burzy.

Czy to się ziści? Alternatywą jest jednak katastrofa "od Łaby po Ural". Może jej widmo stanie się potężniejszą siłą presji niż istnienie "Solidarności". Oby... Potrzebny jest zarówno rozsądek władzy, jak i opozycji. Władza musi przestać bać się swego społeczeństwa, a raczej bardziej bać się konsekwencji dotychczasowej indolencji niż konsekwencji reform. Opozycja musi przestać wietrzyć we wszystkim "podstęp czerwonych". Może ona wszak - na podstawie swych gorzkich doświadczeń - rzec: komuniści poczekają tylko na wyjście TKK z dziury, aby nas wszystkich pozamykać. Owszem, i to możliwe. Ale jeśli takie wyjście strach i głupota podyktuje rządzącym, to wprawdzie przez chwilę cieszyć się będą martwą ciszą społeczną, aby wkrótce potem stanąć wobec nadciągającej burzy, której jednak nie zgotują im Bujak z Michnikiem, lecz ich młodzi, o wiele bardziej zdeterminowani następcy. Oszukać bowiem można tylko ludzi, nie historię.

Wrzesień 1985

Jerzy Surdykowski

# INTERESY POLAKÓW

## (konspekt, cz. II)

20. Niekorzystna sytuacja geopolityczna, która ukształtowała naszą /środkowoeuropejską i polską/ rzeczywistość utrzymuje się w dalszym ciągu. ZSRR jest zdecydowany utrzymać swą dominację w dotychczasowej postaci i ma na to siły. Zachód zaś nie ma możliwości ani zamiaru zmieniania tego stanu rzeczy.

21. ZSRR wraz ze swym blokiem przegrywa zdecydowanie wyścig cywilizacyjny z Zachodem. Kryzys ma charakter ogólny /nie tylko ekonomiczny/ i strukturalny, a nie koniunkturalny. Nie przesądza to jednak upadku i rozpadu państwa a nawet bloku. Zacołowane systemy potrafią "gnić" i trwać przez całe okresy historyczne. Terror i dezintegracja społeczna w ZSRR mogą być skuteczne długo, bieda nie powoduje automatycznie rewolucji, a na utrzymanie zależności bratnich krajów się starczy jeszcze na drugo.

22. Przez powojenne lata Rosja wyrównywała swą słabość ogólną, koncentrując wysiłki na zbrojeniach, w których stała się równorzędnym - a miejscami silniejszym - przeciwnikiem i wykorzystując atuty niedemokratycznego państwa dla bezwzględnej polityki zagranicznej. Stąd aneksje na różnych kontynentach.

23. Utrzymanie parytetu nowoczesnych zbrojeń, przy ich bezwzględnym wyścigu, przez państwo przegrywające ekonomicznie i technologicznie jest możliwe tylko do pewnego czasu. Próg ten już widać wyraźnie. Jest mało prawdopodobne, by ZSRR stał się równorzędnym partnerem w "wojnach gwiazdnych". Podjęcie tego wysiłku, który w Ameryce zaowocuje nowymi technologiami, materiałami itp., dla Rosji będzie oznaczać pogłębienie wyniszczenia ekonomicznego, ogołocenie ze środków innych dziedzin nauki i przemysłu. Jeśli nawet udałoby się Związkowi Radzieckiemu osiągnąć porównywalny poziom w "wojnach gwiazdnych", co raczej zakrawa na niemożliwość, to nieuchronne będzie nadejście nowego etapu zbrojeń i powtórzenie się tego problemu na wyższym piętrze, jeszcze trudniejszym dla Wschodu.

24. Wyścig zbrojeń jest nieodłączną częścią składową rozwoju cywilizacji ludzkiej. W historycznej skali nie można go zastopować, ni ominąć jego zasadniczych progów rozwoju, takich jak broń palna, jądrowa itp. "Wojny gwiazdne" /SDI/ są też tego rodzaju nową jakością cywilizacyjną. Politycznymi środkami udaje się jedynie w jakimś stopniu kontrolować wyścig zbrojeń i ograniczać go. Wymaga to jednak consensusu zainteresowanych stron. W tym wypadku nie będzie go, gdyż USA doskonale zdaje sobie sprawę z położenia obu stron i ze skutków tego wyścigu dla siebie i Rosji. Zaś po przekroczeniu



pewnego punktu krytycznego, jeśli chodzi o zaangażowanie w nowym rodzaju zbrojeń, wstrzymanie go staje się już niemożliwe. Ten punkt jest bliski, jeśli już nie nastąpił.

25. Rozwinięta obrona strategiczna /SDI/ prawdopodobnie uczyni znova wyobraźni i możliwą wojnę między głównymi mocarstwami. Dotychczas wiemożliwia ją nie tyle problematyczna i niejasna równowaga sił, ile możliwość wzajemnego zmniejszenia się obu stron, niezależnie od ilości i jakości posiadanych rakiet strategicznych. Pozwalało to również słabszej pod wieloma względami stronie trzymać w szachu silniejszą, dopóki ta słabsza była w stanie zadać śmiertelny cios. Jeśli SDI okaże się obustronnie skuteczne w stu procentach, pozostaną wszystkie inne środki wojny. Jeśli jakaś niewielka ilość rakiet strategicznych będzie w stanie przedrzeć się przez tę obronę, może pozostać sprawa kalkulacji strat po jednej lub drugiej stronie. Tak czy inaczej, przestanie być ważny jeden masowy cios, a zaczną się liczyć ilość i jakość wszelkich broni, zaplecze ekonomiczne, wyszkolenie wojsk, wytrzymałość ludności, jakość sojuszy - to wszystko, co jest i było istotne w większości wojen.

26. Istnieje prawdopodobieństwo, że w miarę upływu czasu Zachód, a głównie USA, będzie zyskiwać przewagę, jeśli chodzi o większość tych decydujących czynników. Już na przykład wojna 1962 roku w Libanie wykazała, zdecydowanie gorszą jakość radzieckich czołgów, samolotów, radarów, rakiet ziemia-powietrze, a więc sprzętu konwencjonalnego. Radzieckie uzbrojenie będzie zapewne mniej atrakcyjne dla potencjalnych sojuszników, a pomoc ekonomiczna mniej wydolna; USA będą się rysować groźniej jako przeciwnik, pewniej zaś jako sojusznik /jeśli zechcą to, oczywiście, wykorzystają/.

27. Obecnie nie zanoszi się na żaden przełom, który mógłby odwrócić, lub chociaż zatrzymać, powiększanie się przepaści między Zachodem a Rosją i jej blokiem. Zmiany wprowadzane przez Gorbaczowa mają kosmetyczny i dyscyplinujący zewnętrznie charakter, a nie są głębokimi przeobrażeniami strukturalnymi, porównywalnymi choćby do chińskich. W obecnym kształcie polityka ta może przynieść, choć nie musi, niezbyt istotną poprawę sposobu gospodarowania, choć może również zapoczątkować nieprzewidywalne procesy i wydarzenia. Gdyby jednak w ZSRR miało dojść do jakichś zasadniczych przemian, stworzyłyby to nową sytuację dla świata, a na pewno dla Polski, o czym dziś niczego nie da się jeszcze powiedzieć. Praktycznie można brać pod uwagę jedynie trendy widoczne i zarysowujące się dziś, przy świadomości, że może to być metoda zawodna.

28. Na trwający proces powiększania się luki między blokiem radzieckim a Zachodem nikt w Polsce nie ma praktycznie wpływu, niezależnie od oceny tego procesu. Ocena zaś nie może być jednoznaczna. Jako kraj znajdujemy się po tej gorszej stronie i wpadamy w zacołanie cywilizacyjne. Jednakże perspektywa zmiany układu w skali globalnej, zmierzająca w kierunku osłabienia ZSRR i wzmocnienia jego antagonistów, może doprowadzić w przyszłości do podważenia czynników, na których m.in. opiera się porządek polityczny w Europie /patrz punkt 20/.

29. Docelowym stanem tego procesu rozwierania się nożyc cywilizacyjnych, punktem, który można sobie dziś wyobrazić, nie jest nagłe załamanie się i rozpad ZSRR /choć całkowicie wykluczyć tego nie sposób, jak i wielu innych wydarzeń/, lecz stopniowe ześlizgiwanie się tego państwa do statusu mocarstwa drugiej kategorii, jakim była Rosja między Wojną Krymską i I światową, czy ZSRR do II wojny. Warto jednak pamiętać, że osłabiony carat poradził sobie i z Powstaniem Styczniowym i z rewolucją 1905 roku. Bezwzględnie i relatywnie osłabiona Rosja może mieć ciągle dość sił dla utrzymania w zależności swoich protektoratów. Zwłaszcza, gdy nie wystąpią one razem. Ich szansa zarysuje się wyraźniej dopiero wtedy, kiedy przewaga Zachodu będzie zdecydowana i gdy będzie on miał wyraźny i przekonujący interes, żeby w jakiś sposób /trudno przewidzieć jaki/ ingerować w sprawę naszego rejonu Europy.

30. Drugorzędne mocarstwo, jakim może stać się Rosja w historycznej perspektywie, może być tak samo zaborcze, lecz będzie miało większe trudności ze zdobywaniem nowych terytoriów. Słabnąc, napotyka się też na większe trudności z utrzymaniem dotychczasowych posiadłości, pod warunkiem, że ich opór jest silny. Istotnym czynnikiem, jak pokazuje historia, jest zawsze napór sił zewnętrznych, wykorzystujących ów proces słabnięcia i upadania. W przypadku wielkich imperiów /Rzym, Bizancjum, Turcja/, nie będących efemerydami - jak władania Aleksandra Wielkiego, Napoleona, Hitlera - proces ten zajmuje drugie historyczne epoki. To, że przemiany technologiczne są dziś o wiele szybsze, pozwala jednak przypuszczać, iż obecnie proces ten nie musi rozciągać się na stulecia. Historia pokazuje też, że wyzwalenie się spod władzy takiego imperium nie zawsze bywa szybkie, a przeważnie odbywa się w sposób burzliwy. Nie przesądza to całkowicie przyszłości, lecz wskazuje na najbardziej prawdopodobny przebieg wydarzeń.

31. Czynnikiem, który w miarę upływu czasu będzie coraz ważniejszy w świecie i który będzie pogłębiał relatywną słabość ZSRR oraz zwiększał jego kłopoty, są Chiny. Jeśli proces przemian gospodarczych i społecznych w ChRL nie ulegnie zatrzymaniu czy jakimś nieprzewidzianym zakłóceniom, to istniejąca perspektywa, że ich poziom gospodarczy znacznie dorównywał radzieckiemu bądź zbliżał się doń, a zważywszy na różnicę zaludnienia będzie to oznaczało faktyczną przewagę. Zmiana ta pociągnęłaby za sobą skutki polityczne. Chiny mogą wrócić na arenę międzynarodową, nie jako eksporter rewolucji kulturalnej, lecz jako atrakcyjny partner dla krajów Trzeciego Świata, konkurujący ze Związkiem Radzieckim. Sprostanie temu wyzwaniu i zagrożeniu polityczno-militarnemu /znaczenie groźniejsze niż dawne krzykliwe kampanie i prowokacje graniczne/ stanowić będzie dodatkowe poważne zagrożenie i obciążenie dla Rosji.

32. Raczej nie należy się spodziewać jakiegoś istotnego wpływu Chin na sprawę Europy Środkowej, aczkolwiek w 1956 roku odegrały one, ze względów taktycznych, pewną rolę w powstrzymaniu interwencji radzieckiej w Polsce. Kłopoty Rosji w Europie będą zapewne Chinom na rękę. Niewykluczone, że zechcą one rozszerzać swe wpływy, kosztem ZSRR, wśród krajów

socjalistycznych, tak gdzie zarysować by się mogła perspektywa podobnego jak w Chinach procesu: "odsocjalizowanie" gospodarki, przy zachowaniu politycznego panowania komunistów. Teoretycznie szanse na coś takiego mogłyby może zaistnieć w Polsce czy też na Węgrzech, bądź też Chinczyzy mogliby takich szans tu upatrywać. Nie wydaje się jednak, aby ich zaangażowanie mogło być znaczne. Istotniejsze są natomiast te ogólne kwestie, jakich przysparzają ZSRR.

33. Prawdopodobnie można całkowicie wykluczyć jakikolwiek liczący się wpływ na sprawy naszego regionu krajów Trzeciego Świata. Nie mają one tu żadnych interesów ani możliwości działania, a ich stosunek - jeśli go wyrażają - jest pochodną ich stosunku do układu Wschód-Zachód.

34. Najistotniejszym zewnętrznym czynnikiem, wpływającym na sprawę bloku radzieckiego jest i pozostanie Zachód. Dokonuje on obecnie zasadniczego zwrotu w stosunkach ze Wschodem, który w tym systemie nie może być szybki i jednoznaczny. Pogłębia to, i tak stale istniejące różnice, w podejściu zachodnich społeczeństw i rządów do interesującej nas kwestii dominacji radzieckiej w Europie Środkowej.

35. Zwrot ten, wydaje się, został już dokonany przez administrację USA. Z jej działań i wypowiedzi wynika, że zdała sobie ona sprawę, iż okres /początek: w Genewie 1955, utwierdzenie: XX Zjazd KPZR 1956, szczyt: spotkanie we Władystoku 1975, koniec: agresja w Afganistanie 1979 i stan wojenny w Polsce 1981/, w którym elementy odprężenia i zbliżenia wyraźnie przeważały nad elementami zimnowojennymi, zakończył się, przynosząc większe korzyści ZSRR niż Zachodowi. Nie sprawdzili się rachuby na konwergencję systemów, proces "humanizacji" komunizmu dość szybko wyczerpał swoje możliwości, zaborczość ZSRR wzmożła się i zapewniła mu nowe zdobycze, współpraca technologiczna nie przełamała rosnącego zacofania ZSRR, a pomogła mu się dobroć kosztem Zachodu, który bezpowrotnie włądował w strefę radziecką około 80 mld dolarów, co w sumie przekreśliło ekonomiczne korzyści niektórych zachodnich firm. Szans na wielki korzystny handel z blokiem nie ma, gdyż nie ma on czym płacić, a zachodniego kapitału w znaczących wymiarach nie wpuszcili, ani ten nie chciałby zbyt tam inwestować.

36. Widząc historyczny proces cywilizacyjnego i w perspektywie wojskowo-politycznego skądinąd ZSRR i jego bloku, USA nie widzą interesu w hamowaniu tego trendu. Raczej będą przyspieszać go, wchodząc na nowe poziomy zbrojeń i przez ograniczone akcje polityczne oraz zdecydowanie przeciwstawiając się dalszej komunistycznej agresji. W tej polityce Waszyngton wykazuje twardość, trwałość oraz ostrożność. Prawdopodobnie nie będzie on w spektakularny sposób wykorzystywał swojej rosnącej przewagi, dopóki nie stanie się ona w widoczny sposób przytłaczająca. Może to nastąpić dopiero po praktycznym zrehabilitowaniu systemu "wojen gwiazdnych", gdy już nie uda się skryć, że nie ma mowy o dalszej równowadze sił. Według planów nie nastąpi to wcześniej niż w połowie lat dziewięćdziesiątych. Do tego czasu Amerykanie mogą być zainteresowani w utrzymywaniu instytucji równowagi, nawet bez równowagi. Statutni genewski szczyt Gorbaczow-Reagan oznacza ułobnienie modus vivendi na ten historyczny okres, po zaznaczeniu zwrotu w po-



czątku lat osiemdziesiątych, z którego Reagan wszak merytorycznie się nie wycofał. Ale rząd USA, nie sprowokowany, nie będzie wykonywał żadnych pospiesznych i ryzykownych posunięć. Nie wydaje się też, by Gorbaczow, zdający sobie sprawę z prawdziwego stosunku sił, ryzykował jakieś poważniejsze prowokacje.

37. Podważa to głoszoną dość często możliwość - choć oczywicie nie wyklucza jej całkowicie - że ZSRR zdając sobie sprawę z rysującej się zmiany w układzie sił, zdecyduje się na konflikt, z ryzykiem wojny włącznie, już teraz, kiedy jest jeszcze stosunkowo silny. ZSRR ma i jeszcze długo będzie miał zbyt wiele do stracenia, by ryzykować zbiorowe samobójstwo, a na skuteczność szantażu wobec Reagana chyba nie liczy.

38. Sytuacja społeczna w USA wskazuje, że polityka Reagana cieszy się coraz większym poparciem. Konserwatyzm, antykomunizm i zdecydowanie w stosunkach ze Wschodem są tu trendami raczej trwałymi i przez dłuższy czas będą określać politykę USA, już po Reaganie. Dotychczasowe osiągnięcia tej polityki - Grenada, Salvador, ustępstwa rozbrojeniowe ZSRR - zdobyły dla niej jeszcze szersze poparcie. USA czują się zagrożone przez komunizm w pobliżu swych granic /nie bez udziału własnej, wcześniejszej polityki/, a jako mocarstwo globalne, mające interesy we wszystkich częściach świata, są naturalnym przeciwnikiem Rosji, postrzeganej jako mocarstwo zaborcze i amoralne /"imperium zła"/. Pierwiastek idealistyczny nie decyduje bynajmniej o polityce USA, lecz odgrywa w niej rolę stosunkowo większą niż w innych krajach.

39. Polityka rządów demokratycznych, zwłaszcza zagraniczą, posiada pewien zakres autonomii w stosunku do własnych społeczeństw, lecz nie może ich ignorować, tak jak to robiły dawne dwory i gabinety, rozpoczynając i kończąc wojny, odwracając aliansy itp. Nawet rządy dyktatorskie i totalitarne muszą w jakimś stopniu uwzględniać nastroje społeczne, choćby manipulując nimi. Totalitarni władcy gardzą demokratycznymi politykami za ich zależność od społeczeństw, a jednocześnie nie są skłonni w nią wierzyć. Nie uznając żadnych zasad, poza swoją maksymalną doraźną korzyścią, nie wierzą, że inne rządy mają jakiegokolwiek zasady, które - co prawda - naruszają, lecz do pewnego tylko stopnia. Takie podjęcie nie przeszkadza jednak Kremlowi w wykorzystywaniu choćby ruchu pacyfistycznego, którym zapewne gardzi on tak samo, jak demokratycznymi rządami. Nasi realisci jednakże mogliby uwzględnić, że te "irracjonalne nastroje", "racje moralne", to co wyrzucają Polakom, jest czynnikiem oddziaływującym na politykę w trzeźwych czy szczerze "kupieckich" systemach. Może z tego korzystać Moskwa - nie też nieraz korzystają i korzystają sprawa polska. Z tego, że te sympatie nie wystarczają, by nam przywrócić czy zachować niepodległość, nie wynika, że należy je lekceważyć, bo bywają one przydatne na bieżąco, a bez nich sprawa polska nie zaistniałaby dla nikogo czyli nie byłoby szans na niepodległość w przeszłości i przyszłości. W demokratycznych krajach ich interesy nie muszą się pokrywać z sympatią czy zasadami większości, lecz częściej bywają zbieżne niż przeciwstawne.



40. Głównie ostrzeżenia przed złapaniem się na lep zachodnich, głównie amerykańskich obietnic, przed iluzjami na temat zachodniej pomocy, płyną z dwojakich źródeł. W wykonaniu propagandy rządowej jest to w pełni zrozumiałe. Stara się ona odciąć społeczeństwo od jego ewentualnego sojusznika w walce przeciw dominacji radzieckiej. Strona, która jest zainteresowana w utrzymaniu obecnego stanu rzeczy, jest tym samym zainteresowana w zdjęciu sprawy polskiej z porządku dnia w świecie. Normalizacja, którą się nie interesują żadne zachodnie ośrodki, jest szansą na spokojne rozprawienie się z własnym społeczeństwem bez świadków. Wygrywa się przy tym zastępcze ambicje niezależnościowe. Co prawda, trudno uniknąć tego, aby o sprawach polskich decydowała Moskwa przy udziale Berlina i Pragi, ale za to wara Waszyngtonowi i innym zachodnim stolicom. Społeczeństwo ma zostać sam na sam /?/ z władzą i jej protektorami.

41. Takie same ostrzeżenia ze strony działaczy opozycji mają natomiast cokolwiek aberacyjny charakter. W Polsce nie ma powstańczych nastrojów i nie zanoszą się na nie. Nikt nie wzywa do tego rodzaju kroków, nie szykuje ich - wszyscy się odżegnują, a nasi statyści tępią ducha irredenty, jakby najbliższej nocy miał zapłonąć browar na Solcu. Nikt z Zachodu nie wzywa też do tego rodzaju kroków, nie obiecuje żadnej bezpośredniej interwencji, nawet w wypadku wejścia bratnich wojsk. Prezydent Reagan, z innymi politykami, upomina się o ludzkie i obywatelskie prawa Polaków, ubolewa nad zniewoleniem Polski. Przed czym tu więc ostrzegać?

Władza otwarcie wspiera się o swój organ założycielski, strasząc jego interwencją w wypadku skromnej nawet próby poprawy polskiego losu, natomiast niezależni i opozycyjni intelektualiści podtrzymują w społeczeństwie przekonanie, że niegodną rzeczą jest liczenie na współdziałanie ze strony zewnętrznego sojusznika, mimo że samemu nie ma się szans na wybitcie się na niepodległość, czy nawet zbliżenie do tego. I tę postawę nazywa się realizm! Prawdopodobnie dlatego, że zawiódł nas gabinet europejski w czasie Powstania Styczniowego...

42. Myślenie polityczne - realizm - w sytuacji takiego kraju jak nasz, polegać musi na dostrzeganiu aktualnych i w miarę możliwości przyszłych, zbieżnych interesów z naszymi ewentualnymi sojusznikami. Zważywszy na zasadniczy i długofalowy charakter naszych aspiracji narodowych, zbieżność ta nie powinna być koniunkturalna, lecz trwała, a interes powinien być wystarczająco ważny również dla oczekiwanego partnera. Istotne jest też, by dysponował on liczącymi się środkami dla realizowania tego zbieżnego czy wspólnego celu. Wydaje się, że Stany Zjednoczone, konsekwentnie ograniczające globalną ekspansję i siłę naszego nieproszonego hegemonu, spełniają w zasadzie te podstawowe kryteria.

43. Musimy sobie przy tym zdawać sprawę, że dla USA /o innych krajach dalej/ kwestia polska nie jest w automatyczny sposób kluczowa. Mają one wiele pól konfrontacji ze Związkiem Radzieckim i w warunkach, gdy się unika totalnej konfrontacji, nie są w stanie jednocześnie występować aktywnie na wszystkich.

Priorytet - lub jego brak - kwestii polskiej zależy od wielu czynników, lecz wśród nich rola samych Polaków może już być znaczna. Wystarczy porównać stopień zainteresowania sprawą Polski obecnie, a w roku 1982, czy z ważnością sytuacji w Afganistanie. Nie wynika z tego bynajmniej konieczność bezwzględnej taktyki powstańczej, czy w ogóle maksymalizowanie działań, w każdej sytuacji, bez oglądania się na bieżące koszty. Trzeba jednakże mieć sposoby na umiejętnie i nieniszczące podtrzymywanie zainteresowania sprawą polską w świecie i mieć na uwadze konieczność oraz sposób zaktywizowania się w zmienionej na korzyść sytuacji - bądź wyciszenia w innej.

Warto też przy tym mieć na uwadze własną użyteczność dla ewentualnego sojusznika, korzyści, które on osiągnie nie tylko dzięki realizacji wspólnego celu, ale i naszego współdziałania. Należy się przy tym miarkować, by nie płacić nadmiernej ceny, nie dokładać proporcjonalnie za dużo do wspólnego przedsięwzięcia. W tej chwili jednak nie zanosi się na taką sytuację.

44. Europejscy sojusznicy USA nie wyłamują się ze wspólnej polityki wobec Wschodu w jej podstawowych posunięciach /zbrojenia/, lecz wykazują znacznie mniejszą determinację. Stosunkowo najwyższy stopień atlantyckiej solidarności przejawia konserwatywny rząd brytyjski.

Kraje Europy Zachodniej nie prowadzą już porównywalnej z USA polityki globalnej, wiodącej do konfrontacji z ZSRR. Nie czują się już zagrożone przez komunizm na swoim własnym terenie z powodu totalnej kompromitacji tego systemu i jego ideologii. Do radzieckiego panowania w połowie Europy przystąpiły się i nie widzą groźby rozszerzenia tej strefy ich kosztem. Egzystują przy tym, jak wszystkie rozwinięte kraje, dość dobrze. Bardziej za to niż USA czują się zagrożone w wypadku totalnego konfliktu, ograniczonego nawet do wstępnych stadiów. "Wojny gwiazdne" natomiast w przewidywanym kształcie nie tworzą strefy bezpieczeństwa w strefie przyfrontowej, jaką by była Europa.

Te przesłanki, wraz ze stosunkowo mniejszym niż w USA idealizmem w polityce, sprawiają, że w Europie Zachodniej pokojowa i odprężeniowa frazeologia skuteczniej przeciwstawiana jest prawu do wolności, samookreślenia itp., co nie znaczy, że zasady te są generalnie negligowane.

45. Można przewidzieć, że w przypadku ewentualnego wzrostu napięcia i w sytuacji konfliktowej, Europa Zachodnia, mimo oporów, wykaże atlantycką solidarność z USA - może z wyjątkiem Grecji czy Hiszpanii. Można też przewidzieć, aczkolwiek z mniejszą pewnością, że w miarę upływu lat i uwidocznienia się przewagi Zachodu nad ZSRR, strach przed tym ostatnim będzie się zmniejszał, paraliż zaś ustępował. Ale nie można też wykluczyć, że zmniejszone poczucie zagrożenia może sallować zwiększonym antyamerykanizmem i osłabieniem wspólnoty atlantyckiej.

Tak czy inaczej, nie wydaje się, aby postulowany przez Zbigniewa Brzezńskiego wzrost zachodnioeuropejskiej aktywności w staraniach o przewyższenie podziału Europy i poprawę losu jej wschodniej połowy miał mieć miejsce w najbliższej przyszłości.

46. Odrębną pozycję polityczną w Europie stanowi Republika Federalna. Zrealizowanie podstawowych postulatów jej Ostpolitik przed piętnastu laty oznaczało postęp i korzyść dla całej Europy i dla wszystkich Polaków. Niezależnie od bieżącego potwierdzenia trwałości naszych granic, stwarzało to potencjalną możliwość uniezależnienia się od gwarancji Moskwy w tej sprawie i praktycznie eliminowało skuteczność walki z rewizjonizmem zachodnioniemieckim jako narzędzia konsolidowania Polaków wokół władzy. Obecnie jednak polityka wschodnia, nawet w wykonaniu Kohla i Straussa obraca się przeciw aspiracjom Polaków. Musimy się jednak zgodzić, że jest to polityka niemiecka, w interesie Niemców. Tu zaś sytuacja nie jest prosta i jednoznaczna. Przy jej pomocy udało się przezwyciężyć niektóre skutki podziału Niemiec, zwołać - przynajmniej - proces różnicowania się i oddalania od siebie obu ich części oraz degradowania części wschodniej. Jednakże w obecnej sytuacji wiadomo już, że Ostpolitik nie przyniesie dalszych jakościowych postępów, wymaga natomiast znacznych kosztów Bonn za utrzymanie status quo. Mając na uwadze lca 16 milionów Niemców jako zakładników radzieckiego obozu i interes ogólnoniemiecki, RFN musi do niego dopłacać znaczące sumy - co z punktu widzenia Bonn nie jest tragedią - oraz wykazywać się znaczną spolegliwością wobec Moskwy, Berlina Wschodniego i wskazanych stolic układu Warszawskiego, w tym też Warszawy. Nie uwzględnia się przy tym faktu, że zarówno wschodnia część Niemiec, jak i Polska, jest wtłoczona przez tę samą siłę do tego samego imperium i systemu komunistycznego.

47. W przypadku radykalnej zmiany w układzie sił na świecie, może nastąpić również zmiana polityki Bonn. Jeśli ZSRR będzie słabszy, a Zachód jako całość zdecydowanie silniejszy, wówczas bardziej może się kalkulować polityka nacisku na Moskwę, prowadzona wspólnie z USA, niż zabieganie w Moskwie o wyrozumiałość. Gdyby natomiast pojawiła się jakakolwiek realna szansa usamodzielniania się - choćby stopniowego - Polski, wówczas mogłaby ona być traktowana jako liczący się czynnik w kwestii Niemiec. Wszak nie graniczy z nimi ZSRR.

Jest to tylko jeden z możliwych wariantów rozwoju sytuacji. Ponieważ będzie ona nowa, więc jest trudno przewidywalna. Można więc również dopuścić myśl, że w takim układzie Bonn będzie się dogadywać z Moskwą w sprawie Niemiec ponad Polską i przeciw niej - koszmar! - ale zapewne i w oderwaniu od swoich dotychczasowych sojuszników, zwłaszcza w Europie. Można zresztą mnożyć różne kombinacje. W zasadzie jednak Niemcy powinny być raczej naturalnym sojusznikiem Polski, jeśli chodzi o podstawowy interes obu narodów. Na razie nimi nie są i nie można powiedzieć na pewno, czy będą.

48. Wątpliwości tych nie powinno być w stosunku do innych narodów środkowej i wschodniej Europy, znajdujących się pod dominacją Moskwy. Po praktycznym zakończeniu ery kolonialnej jest to jedyny, unikalny i anachroniczny, wielki obszar quasi-kolonialnej zależności. /Protectorat wydaje się być najtrafniejszym określeniem/. Obszar ten, bez uwzględnienia krajów europejskich włączonych do ZSRR /republiki zachodnie - 72 miliony ludzi, lecz mocno skomplikowana sytuacja narodowościowa na skutek świadomej polityki przesiedleńczej/, zamieszkuje 11. milionów ludzi. Są to często kraje o ponad tysiącletniej

historii państwowej, posiadające świadomość odrębności narodowej i kulturę nie niższą od metropolii. Formalna odrębność państwowa ukatwia im znieszenie stanu zależności, nie wszędzie jednak skutkuje w jednakowym stopniu i może nie być wystarczająca w warunkach narastania strukturalnego kryzysu komunistycznego systemu, który to kryzys w różnym stopniu występuje we wszystkich tych krajach.

Aczkolwiek ruch przemian w protektoratach przeważnie jest słaby, bądź praktycznie nie występuje, trudno przypuszczać, że tak będzie stale, zwłaszcza w pogarszającej się raczej sytuacji. Nie można wykluczyć, że w dalszej przyszłości będzie to jeden z niespokojnych rejonów świata, do czego zachęcą byłaby uwidoczniiona słabość hegemonu. Potwierdziłoby to przekonanie, że zniewolenie narodów nie może stanowić przesłanki trwałego pokoju.

49. Polski interes narodowy /patrz punkt 13/ domaga się wyartykułowania go. Niezależnie od rozproszonych wyisków publicystycznych, konieczne się staje utworzenie jakiegoś podmiotu politycznego - niech by na początek i nawet jeszcze przez długi okres słabego - który mógłby formułować postulaty opozycyjnego społeczeństwa i wypowiadać je.

Ciągle największa i najbardziej znacząca siła demokratycznej opozycji, "Solidarność", nie jest powołana do tworzenia i głoszenia żądań politycznych o charakterze międzynarodowym, co nie znaczy, że nie ma ich poprzez. Jako ruch związkowy i społeczny musi się ona domagać, poza postulatami natury ekonomicznej, uznania podmiotowości społeczeństwa, możliwości samorganizowania się, pluralizmu związkowego, wolności słowa. Samodzielne wystąpienie w sprawach par excellence politycznych, pozbawić ją może wielu niezbędnych atutów. Dotyczy to również Biura w Brukseli.

Załączki stronnictw politycznych ciągle są zbyt słabe i mało przekonujące. W przyszłości mogłyby powstać jakaś ich wspólna reprezentacja, głosząca uzgodniony w podstawowych kwestiach program narodowy, o ile uda się go wypracować, wychodząc z obecnej różnicy zdań w tej materii. W kwestiach międzynarodowych potrzebne byłoby też jakieś przedstawicielstwo zagraniczne. Rolę tę stara się pełnić Rząd RP w Londynie, wydaje się jednak, że jego legitymacja, oparta na kontynuacji konstytucyjnych władz Polski, została mocno nadwątlona przez osas i fakty polityczne. Nie można wszelako wykluczyć możliwości, że jego aktywność w połączeniu z wsparciem licznych środowisk w kraju i za granicą, mogłaby wydatnie zwiększyć jego wiarygodność i autorytet.

50. W społeczeństwie polskim i za granicą liczyłyby się głosy niezależnych autorytetów, ludzi z liczącymi się nazwiskami; od jednak wolą nie wypowiadać się w kwestiach międzynarodowych.

Kieruje tym postępowaniem chęć niezaoznania sytuacji politycznej przez wyominanie władzy jej nieprawego statusu /na co jest ona szczególnie zła/ oraz niedrażnienia i niebudzenia uwagi Moskwy. W niektórych przypadkach jest to zamierzona próba odtwarzania polityki Dmowskiego sprzed osiemdziesięciu lat /niekiedy także przez tych, którzy się od endeckiego rodowodu zdecydowanie odłączają/ bez jego bazy po-



litycznej i cienia jego możliwości, jakie dawały warunki rosyjskie, zwłaszcza stworzone przez rewolucję 1905 roku.

51. Zaognianie stosunków z władzą w Warszawie i Moskwie nie zawsze musi być wskazane, teraz być może nie jest. Warto jednak się zastanowić, czy nie większe szkody przynosi zamieszanie tego tematu przez zorganizowaną opozycję i niezależne autorytety. Milczenie z polskiej strony nie sprzyja gromadzeniu poparcia w świecie, opóźnia ewentualne działania na rzecz Polski i może je osłabić w okresie decydującym. Nawet gdyby okres ten miał się okazać odległym, co bardzo prawdopodobne, nie należy marnować czasu. Nie można też całkowicie wykluczyć mniej prawdopodobnych - lecz przecież teoretycznie możliwych - dramatycznych wydarzeń w każdym momencie. Nie powinny one zastać opozycji polskiej całkowicie nieprzygotowanej, przynajmniej konspiracyjnie, jeśli już nie organizacyjnie.

52. Za szkodliwe należy chyba uznać głoszące obecnie, nie nowe zresztą, postulaty dogadania się niezależnych czynników społecznych z Moskwą, ponad głowami PZPR. Porozumienie to miałyby rozszerzyć gwarancję dla interesów rosyjskich w Polsce i związanych z Polską, opierając je o szerszą bazę społeczną i nie skompromitowane struktury. W zamian oczekuje się zmniejszenia stopnia dominacji radzieckiej, choć liczne głosy twierdzą, że nie należy nawet tego zgłaszać jako warunek wstępny, lecz wpiერw zadeklarować swą dobrą wolę.

53. Bezcelowa wydaje się próba określenia przez nas tego, co może i powinno być interesem ZSRR i przekazywania go, że tak jest w istocie. /Przyjazna, lecz nie zniewolona Polska - finlandyzacja/. On sam określa, co jest jego interesem, a za taki uważa jak najpełniejszą kontrolę nad swołmi satelitami i trwałe utrzymanie ich w tej roli. W tym celu woli się posługiwać miejscową elitą władzy - partią, która ma wszelkie techniczno-organizacyjne środki rządzenia, lecz jest faktycznie wyizolowana w swym społeczeństwie. Przez to jest stale zależna od Moskwy. /Moozar w 1968 roku nie uzyskał poparcia jako "polski nacjonalista", gdyż stosował chwytby zmierzające do uzyskania poparcia społecznego./ Z tych względów opozycja, mająca w 1981 roku lub mogąca w przyszłości mieć poparcie Polaków, nie jest partnerem dla Moskwy. Nie potrzebuje ona zresztą partnerów, lecz subalternów.

54. Nie oznacza to jednak, że Moskwa nigdy nie zawrze kompromisu z polską opozycją i społeczeństwem. Modus vivendi nie do końca ubezwłasnowolnione społeczeństwa z nie do końca totalitarną władzą, jest faktycznym, choć niezwerbalizowanym kompromisem, zawieranym pośrednio z Kremlem. Umowa sierpniowa 1980 też była kompromisem - czasowym - również z Moskwą, która "ratyfikowała" go, nie interweniując zbrojnie. Władza komunistyczna, tak w centrali - Moskwa, jak i w ekspozyturze - Warszawa, zawrzeć może każdy prawie kompromis, pójść na bardzo dalekie ustępstwa, ale tylko jeśli będzie się czuła do tego zmuszona.

Jest to ogólniejsza prawidłowość w polityce. Rozwiązania konfliktów nie są wynajdywane drogą dyskusji i ścierania się racjonalnych argumentów, lecz siłą lub wiarygodną groźbą jej użycia. Strony nie bronią w nich bowiem abstrakcyjnych racji,

lecz swoich interesów, z których nie są skłonne zrezygnować - w ogóle, bądź za zbyt małą cenę, w zbyt dużym stopniu itp. Zakładając przybliżoną sprawność intelektualną stron i wyrównane umiejętności negocjacyjne, należy przyjąć, że to, co każda z nich uzyskuje, jest zazwyczaj mniej-więcej proporcjonalne do siły, jaką reprezentuje w stosunku do siły przeciwnika.

55. W obecnej sytuacji zorganizowana opozycja w Polsce, plus niezależne autorytety, nie reprezentują żadnej siły, z którą władze komunistyczne w Warszawie i Moskwie musiałyby się liczyć. Nie odpowiedzą więc one na żadne badania ani umgodowe propozycje. Przystępowanie do gry politycznej przez czynnik nie mający żadnych aktywów jest niepoważne. Wpierw trzeba zaistnieć jako podmiot, choćby i skromny w polityce. Grupa ludzi mówiących na tematy polityczne nie jest jeszcze takim podmiotem, niezależnie od stopnia słuszności tego, co głóci.

56. Zadaniem opozycji nie jest więc szukanie argumentów, które by władza /tu i tam/ mogła zaakceptować, lecz گردمندzenie siły, z którą by się musiała liczyć. Siła ta, to przede wszystkim poparcie społeczne, możność oddziaływania na nastroje i zachowania. Sprawność organizacyjna, struktura, też jest ważna, lecz już nie tak bardzo, gdy się nie remieźna poważną siłą. Jeśli chodzi o zbliżenie się do naszych celów narodowych, istotną rzeczą jest również posiadanie jak najszerszego poparcia międzynarodowego.

Z tego kąpłata politycznego nie zdobędzie się głosząc program bardzo ogólny, niesprecyzyjny, kompromisowy w stosunku do poważecznie uznawanych wartości. Poparcie syka albo ten, kto stworzy porównującą wizję, albo ten, kto ukazał realne szanse zaistnienia czegośkolwiek. Wszyscy wiedzą, że opozycja dać nie ma realny szans, a wyrzeka się - nie cała - tej wizji. Pomyśl - nierealny - podjęcie roli gwarantu interesów radzieckich w Polsce nikomu nie przysparzy autorytetu i popularności w społeczeństwie. Zaś z zagranicznego punktu widzenia wyda się niezrozumiały, skoro od tego jest PZPR.

Złagodzenie panowania radzieckiego nad Polską - przy istotnych, choć ograniczonych, przeobrażeniach demokratycznych - jest atrakcyjne z dzisiejszego punktu widzenia /patrz punkt 14/, lecz będąc mniejszym złem, pozostaje złem i jako takie nie nadaje się na hasło. Natomiast tylko siła, która wyróżnie na hasłach niepodległościowych, może wykorzystać swój autorytet również dla zawarcia kompromisu, nie dającego pełnej niepodległości. Jej powściągliwość w żądaniach nie wyda się odstępstwem od zasad, a będzie wówczas ceną, która się liczy w oczach przeciwnika. Siła opozycji może uczynić wiarygodnym dla wszystkich zawierany wówczas kompromis.

Z tego powodu nie ma co przejmować się dzisiaj tym, że hasła niepodległościowe zrażą Moskwę i jej tutejszą ekspozturę; i tak nie będzie się nam wierzyć, gdy zgodzimy się na kompromis. Jest to władza ze swej natury zrażona do wszelkiej niezależnej od siebie iniojatywy, a nie wierzy nigdy nikomu. Liczy się natomiast z siłą, gdy ją napotka.

57. W systemach pluralistycznych i demokratycznych ważne przemiany mogą zachodzić stopniowo. Czynniki polityczne, które za nimi stoją mogą stopniowo roznąć w siłę i na taty realizować swe zamierzenia. Systemy autorytarne, a tym bardziej totalitarne, blokują tego rodzaju procesy. Sprzecznosci kumulują się, aż dochodzi do gwałtownych konfliktów i wtedy dopiero możliwe są poważniejsze zmiany.

Niejednakowo wygląda to w różnych dziedzinach. Poszerzanie sfery wolności na pewnych odcinkach, wywalczanie ograniczonych ustępstw, bywa możliwie krok po kroku, aczkolwiek w okresach międzykryzysowych postęp jest tu niewielki i przemieszany z regresem. Sprawy większego kalibru, a w tym związane z naszą zależnością od ZSRR, rozstrzygają się pod większym ciśnieniem, raczej w przełomowych momentach /1956, 1980/. Dlatego też wskazana jest pewna dwutorowość, przy pełnym współdziałaniu, w staraniach o zasadnicze cele narodowe i postulaty społeczne o bliższym zasięgu /patrz punkt 49/.

Z tych względów czynnik polityczny, głoszący postulaty niepodległościowe, nie bardzo może liczyć na stopniowy, równomierny wzrost poparcia, o co powinna się starać struktura związkowa, walcząca stale o masę docelowych konkretnych spraw. Ruch niepodległościowy musi pracować na swoją formę w decydującym okresie. Może on przez długi czas znajdować się w izolacji, jego hasła - których skuteczność trudno jest w Polsce zanegować - będą traktowane jako mrzonka i mamienie iluzji. To może jednak - może, a nie musi - zapoczątkować, gdy zmieni się sytuacja polityczna. W warunkach napięcia zmieniają się właściwości oraz ich postrzeganie. Iluzje stają się wiernością idei, wartości - sprawami do zaakceptowania, fantazją - meżami opatrnościowymi itp. Jest to okres szybkiego, nieraz lawinowego gromadzenia się sił społecznych wokół ruchów i autorytetów. Zwłaszcza, gdy pracowały one nad tym uprzednio, dając się zauważyć i poznać oraz gdy wykazywały sobie kadry.

Na tej zasadzie zrealizował swoje cele Lenin w 1917 roku, Piłsudski w rok później, czy Chomeini całkiem niedawno. Ostrożny Stcma i ekstremista Moczulski tak samo niczego nie osiągną dzisiaj, lecz kapitał polityczny na przyszłość prędzej zgromadzi ten drugi. Przykład: postępy KPN w okresie 1980-81.

58. W okresie wypracowywania programu i starań o zaistnienie jako podmiot polityczny należy głównie zwrócić na siebie uwagę, czemu służy prostota i wyrazistość. Rozbudowane i wyważone programy nie przekonują przeciwników i nie zainteresują potencjalnych członków ruchu i jego zwolenników. Skomplikowane plany strategiczne nie przydadzą się na nic, gdyż dramatyczne wydarzenia rzadko układają się zgodnie z przewidywanymi scenariuszami. Ścisłe przestrzeganie planów może się okazać niebezpieczne, choć należy przewidzieć podstawowe warianty nie tyle nawet rozwoju sytuacji, ile układu sił w początkowym okresie jakiejś rozgrywki. Konieczne jest natomiast, jeśli chce się działać politycznie, stałe głoszenie paru podstawowych haseł, prostych i w oczywisty sposób zgodnych z wartościami, które uznaje większość społeczeństwa i z jego oczekiwaniami. Muszą to być hasła do przyjęcia przez światową opinię publiczną, czy też jej część, którą winniśmy pozyskać. Trzeba się pogodzić z tym, że te hasła długo nie będą mogły liczyć na aktywne poparcie, ale należy doprowadzić do stanu, w którym wszyscy poten-

o jawnie zainteresowani wiedzą, że są one głoszone i przez kogo.

W związku z tym, drażnienie wiedzzy i wywoływanie jej wrogiej reakcji jest nawet pożądane. Ciąga się to przez ekspresyjną postawę, przez ciągłe demonstrowanie, przez gesty i działania symboliczne. Występujący powinni przy tym pamiętać, że mają narażać siebie a nie innych i nie ganić większości za brak ducha, jeśli nie chcą wywołać wobec siebie wrogości. Przeszczegając tego, też będą wywoływać irytację, mającą pokryć bierność, lecz wywołają również wstyd, który - jak twierdził Marks - jest uczuciem rewolucyjnym.

Ruch musi wytworzyć swoją legendę, w której jest również miejsce na okres klęsk, odstępstw, wytrwania jednostek na przekór braku nadziei itp. Musi też wytworzyć przeświadczenie, że walczy o coś, co okazuje się warte ofiar. Bercełowe natomiast wydaje się potajemne spiskowanie, wallenrodzizm - jako zasadnicza metoda, poza elementarną ostrożnością w kwestiach organizacyjnych - gdyż przydatne to jest tylko w działalności terrorystycznej lub gdy sżykuje się zamach stanu, a nie wystąpienie masowe.

59. Hasła ruchu i sposoby ich głoszenia muszą być przy tym takie, by nie zrażały swołenników i nie przysparzały wrogów. Nie mogą więc być sprzeczne z natchnieniem Kościoła i jego interesami jako instytucji. Nie mogą wywoływać uczucia zagrożenia sąsiednich narodów, jak również Baronszczyków, zainteresowanych zachowaniem pokoju. Dostępę przeszczeganie tego nie jest wybiciem taktycznym, lecz odpowiada również naszym narodowym interesom.

60. Powinnością zdecydowanie i bezwarunkowo popierać aspiracje oraz wystąpienia wolnościowe i demokratyczne w krajach naszego obozu. Celowa byłaby przy tym publiczna forma ekspiacji za udział w interwencji w Czechosłowacji w 1968. Tak samo należy popierać prawo do wolności i samostanowienia o sobie narodów włączonych do ZSRR, szczególnie zaś krajów bałtyckich i części Kołdawii, inkorporowanych niczym nie ogłoszoną przemocą. W tym przypadku jednakże trzeba sobie zdać sprawę, że w trudnych do przewidzenia okolicznościach pewne formy pogarcie mogą być, niekorzystnym z naszego punktu widzenia, ingerowaniem w sprawy wewnętrzne ZSRR. Względ ten wszelako może prowadzić do pewnej ostrożności, lecz nie do odstępstwa od zasad.

61. Nie wydaje się mżliwe i celowe przemilczanie zbrodni dokonanych na Polscie i Polakach /17 września, Katyń itd./, lecz ewokowanie tych elementów nie musi być główną nutą naszej propagandy. Zaszczościami tymi należy obciążać system i w miarę konkretnych wykonawców, a nie naród rcsyjski i inne. Jednocześnie trzeba zdecydowanie domagać się wzajemnego i ostatecznego zamknięcia rachunku krzywd ze wszystkimi naszymi sąsiadami /"wybaczamy i prosimy o wybaczenie"/ i wycofania się z wszelkiego rodzaju roszczeń.

Polska jako kraj w tym rejonie - poza Ukrainą - największy, postrzegana jest tradycyjnie jak zaborca - wbrew temu, co bylibyśmy skłonni mniemać o sobie. Obecnie jest ona najbardziej aktywna wśród zniewolonych krajów Europy, ma naj-



większe fory w świecie i stosunkowo najlepszą sytuację w obozie. Może to wywoływać zawiść i obawy, które na pewno będą starannie podtrzymywane. Nakłada to na opozycję polityczną w Polsce szczególnie obowiązek zwalczania szowinistycznych nastrojów i zajmowania spolegliwej postawy w stosunku do bliższych i dalszych sąsiadów.

62. Węzkowym jest problem granic /patrz punkt 16/. Konieczne jest zdecydowane i bezwarunkowe głoszenie zasady ich nienaruszalności, niezależnie od przyczyn i sposobów ich ukształtowania w okresie wojny. Niebezpieczny jest kretynizm prawny upierania się przy fikcji granicy ryskiej, która dopiero mogłaby zmienić w przyszłości niepodległa Rzeczpospolita w porozumieniu z niepodległą Ukrainą, Białorusią i Litwą. Dyskusja w tej materii mogłaby dotyczyć nie tylko Lwowa i Wilna, lecz także Przemyśla i Suwałk. Podobnie niedopuszczalne jest podnoszenie tematu polskich uprawnień do Zaclizia i czeskich do Kottliny Kłodzkiej, jeśli nie chcemy, by dyskutowano o naszych historycznych prawach do Szczecina. W sprawach granic nie wolno zostawiać miejsca na jakiegokolwiek dwuznaczności. Przeba mieć na uwadze, że w dramatycznych okolicznościach problem ten może być stawiany przez komunistyczne władze w naszym obozie.

63. Zjednoczenie Niemiec nie jest naszym interesem, lecz nie możemy Niemcom odmawiać prawa do samostanowienia, którego domagamy się dla siebie. Przez realizację tego prawa w tym przypadku należy rozumieć nie inkorporację FRG przez RFN, lecz wyrażenie woli ludności obu realnie istniejących dziś państw niemieckich. Nie musimy zarykać oca. Na fakt, że zjednoczenie Niemiec może powodować istotne zagrożenia dla ich sąsiadów, w tym dla nas, lecz ten hipotetyczny wariant rozwoju sytuacji nie upoważnia do takiego stopnia egoizmu narodowego, który by blokował realizację podstawowych celów innego narodu. Podobnie jak nie chcemy, aby lekceważone były nasze podstawowe prawa dla innych interesów. Mamy jednak prawo i obowiązek domagać się gwarancji naszego bezpieczeństwa w przyszłym układzie politycznym.

64. W polskim i ogólnym interesie nie możemy się ograniczać jedynie do naszych bezpośrednich postulatów, lecz powinniśmy brać pod uwagę bezpieczeństwo i interesy Europy. Domaganie się rzetelnej realizacji Aktu Końcowego KEWE jest dla tego wystarczającą przesłanką i dokument ten winien być popularyzowany. Negując prawomocność porozumień zawartych w Jałcie, trzeba nastawać na wykonanie zawartego w deklaracjach Trójki prawa o samookreśleniu się narodów Europy i decyzji o wolnych wyborach w Polsce. Jeśli w ten sposób interpretuje to obecnie jeden z sygnatariuszy Jałty, rząd USA, i jest to zgodne z naszym interesem, to trzeba się do tego przyłączyć, gdyż jest to istotniejsze, niż jurystyczne polemiki z tym, co nigdy nie miało żadnej mocy prawnej.

Ważna jest przy tym otwartość na nowe pomysły i inicjatywy odnośnie ładu europejskiego. Nie czyniąc poszczególnych rozwiązań hasłami, można i trzeba ukazywać alternatywne warianty, jak: strefy zdemilitaryzowane, neutralność zjednoczonych Niemiec, bloki regionalne, wśród których naturalnym byłby chyba blok obecnych satelitów ZSRR, czy przynajmniej Polski, Czechosłowacji i Węgier, mających wspólne doświadczenia i nie mających - w przypadku tej trójki - poważnych konfliktów między

sobą. Trzeba się jednak wystrzeżać apodyktyczności i uciekania w drobniaki przy zgłaszaniu propozycji na tak odległą przyszłość.

65. Stancwość jest natomiast niezbędna przy potępieniu i unikaniu metod "palestyńskich" w walce o interesy Polaków. Depuszczalne i konieczne może być ograniczanie się w realizacji tych interesów - bez wyrzekania się praw! - w imię nadrzędnej sprawy pokoju i bezpieczeństwa, w tym również naszego. Nie może to jednak być uleganie stałemu szantażowi, jaki stosuje obecnie władza, ukazując groźby niewspółmierne do przedmiotu, o który się walczy, np. pluralizm związkowy i pokój w świecie.

Odżegnanie się od sięgania po przemoc nie może oznaczać wyrzekania się z góry prawa do obrony w wypadku jawnej napaści /np. "bratnia pomoc"/, gdyż to zachęca potencjalnego agresora.

66. Cały zespół tych oraz innych środków nie gwarantuje bynajmniej sukcesu sprawy narodowej w dającej się przewidzieć przyszłości. Ale bez nich możemy nie być zdolni do wykorzystania sytuacji, która prędzej czy później musi zmienić się na naszą korzyść.

Marzec 1986

Karol Winnicki

Andrzej Sosnowski

# O POTRZEBIE OPOZYCJI IDEOWO-ROZSĄDKOWEJ

Tekst Waldemara Kuczyńskiego "Bojkot czy obecność? O niektórych postawach w opozycji" jest cenną inspiracją krytycznej myśli wśród członków i sympatyków zdelegalizowanej "Solidarności". Żałuję bardzo, że przestało funkcjonować Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość", które stwarzało możliwość konfrontacji różnych opinii zatroskanych o stan Rzeczypospolitej. A stan ten nadal jest tragiczny. Naród tkwi w apatii. Ani rząd, ani opozycja nie mają planu wyjścia z kryzysu i kilkuletniej depresji.

Rząd, partia i organizacje ją popierające oraz PRON nadal funkcjonują na jałowym biegu w dziedzinie gospodarki narodowej, nie mając programu opanowania inflacji, racjonalnego wykorzystania potencjalnych możliwości wszystkich sektorów, w tym najbardziej dynamicznego sektora gospodarki prywatnej. Reforma gospodarcza w warunkach inflacji, ukrytych kosztów militaryzacji i nieekwiwalentnej wymiany handlowej z ZSRR i innymi krajami socjalistycznymi jest oczywiście parodią reformy. Rząd jest za słaby, by bez poparcia społeczeństwa zdobyć się na realną walkę o przywrócenie równowagi ekonomicznej. Któż dzisiaj chce korzystać z doświadczeń reform stabilizacyjnych prof. Władysława Grabskiego - utalentowanego ekonomisty i zręcznego, elastycznego polityka gospodarczego?

Przy zrozumiałej specyfice ustrojowej i ograniczeniach suwerenności gospodarczo-politycznej musimy mieć program stabilizacji złotego i uczynienia z niego w przyszłości waluty wymiennej, umożliwiającej nie tylko tezauryzację oszczędności, ale porównywanie efektywności gospodarowania polskich przedsiębiorstw z przedsiębiorstwami zagranicznymi. Były poseł Edmund Osmańczyk, sygnalizujący ten problem, nie znalazł poparcia wśród ekonomicznych ekspertów "Solidarności". A szkoda.

---

\*/ Było to jedno z publicznych, emigracyjnych wystąpień W. Kuczyńskiego, we wrześniu 1985 r. Następnie autoryzowany tekst ukazał się w 35 n-rze "Vacatu" w lutym br. wraz z kilkoma publikacjami polemicznymi. Ze swej strony publikujemy głos wspierający tezy Kuczyńskiego, choć zachowujemy w licznych poruszanych w nim kwestiach odmienne zdanie. Zgodnie jednak z założeniami programowymi "Mostu" pragniemy przedstawić rozmaite nurty myśli opozycyjnej. Przypominamy też, że Waldemar Kuczyński był jednym z czołowych ekspertów ekonomicznych "Solidarności" oraz zastępcą redaktora naczelnego "Tygodnika Solidarność" /red./.

Drugi wielki problem, związany ze strategią walki o równowagę ekonomiczną, to problem oszczędności budżetowych i restrukturyzacji wydatków budżetowych.

Olbryzi haracz płaciliśmy, i płacimy nadal, na wojsko, na wykonanie poleceń naczelnych władz Układu Warszawskiego. Moce produkcyjne wielu hut, zakładów metalowych, elektrotechnicznych, chemicznych, wykorzystywane są na produkcję zbrojeniową, często zresztą opartą na przestarzałych rozwiązaniach technicznych. Tymczasem armia nie może stanowić tabu dla demokratycznego społeczeństwa. Jestem głęboko przekonany, że pochłonęła ona i pochłania znaczną część dochodu narodowego, nie tylko w postaci wydatków Ministerstwa Obrony Narodowej, ale - w sposób zakamuflowany - wszystkich resortów. Nie ma symbiozy między potrzebami rynku, a więc całego społeczeństwa, a racjonalnymi potrzebami sił zbrojnych.

Poziom zawodowy i intelektualny, a także moralny, generacji i starszych oficerów w wielu wypadkach jest żenująco niski. Żyją oni we własnym getcie środowiskowym, gwarantującym swoiste przywileje w bardzo spauperyzowanym społeczeństwie. Szczególnie niepokojący jest stan wychowania obywatelskiego w wojsku, opartego na wulgarnej indoktrynacji, sprzecznej z szacunkiem dla prawdy historycznej i szacunkiem dla zwykłego obywatela. Dla wielu oficerów i żołnierzy alkohol jest prymitywną ucieczką od pomurej rzeczywistości społecznej i gettowej.

Rozbudowa aparatu represji, to także kosztowny wydatek budżetowy. Myślę, że sam przewodniczący Rady Państwa nie zna bezpośrednich i pośrednich kosztów jego utrzymania.

A cóż zostać z solennych zobowiązań na IX Zjeździe PZPR w sprawie ograniczenia biurokracji? Po tym zjeździe biurokracja państwowa, gospodarcza i organizacyjna "dynamicznie" wzrosła. Rząd opanował świetnie "leninowską" metodę rozwiązywania trudnych problemów - powołuje nowe urzędy do spraw np. rozwoju nauki i techniki. Robi to w sytuacji spadku realnych dochodów pracowników nauki w ciągu ostatnich pięciu lat o około 50 proc., niespotykanego w innych krajach europejskich, w sytuacji regresu produkcji książek naukowych i nowych ograniczeń samorządu instytucji naukowych. Etyzacja nauki, techniki, kultury, informacji, nie tylko drogo kosztuje, ale paraliżuje inwencję nowatorów, rzeczywistych twórców nauki i postępu technicznego.

Dziesiątki tysięcy młodych pracowników nauki, inżynierów i techników opuściło Polskę. Jest to strata olbrzymia. Reżim, zwalczający "Solidarność", ułatwił ten tragiczny exodus ludzi, którzy stracili wiarę w możliwość wykorzystania swej wiedzy i talentu dla dobra gospodarki, nauki i kultury polskiej. My w "Solidarności" nad Bugiem, Wisłą i Odrą ten exodus zbyt tolerowaliśmy. Gros Lecha Wałęsy w sprawie jego zahamowania był bagatelizowany.

Poza tym musimy postawić sprawę jasno i z brutalną szczerością - opozycja demokratyczna kieruje się przede wszystkim interesem Rzeczypospolitej w sensie społeczności polskiej, przestrzegając ogólnoludzkich norm moralnych, demokratycznych zasad współczesnego humanizmu, realnego układu sił polityczno-militarnych na świecie.



Żadne fundacje czy kontrolowane przez poszczególne rządy rozgłoszenie radiowe nie mogą oszabić w nas zrozumięcia kilku starych prawd polskiego poczucia obywatelskiego. A są to:

1. "W obowiązkach naród nigdy i nikim się wyręczyć nie może".
2. "Polacy mogą wyjść z obecnych trudności tylko od wewnątrz, tylko na podstawie własnych decyzji i własnej pracy".
3. "Interesy wchodzą łącznie ze sobą w układy, kompromisy; honor i sumienie - nigdy".

Zgadzam się z Kuczyńskim, że zawładnęła nami gorączka radykalizmu. Wynikała ona z braku demokratycznej szkoły działania, z braku szacunku dla wątpiącej, sceptycznej mniejszości, a także z braku elementarnego myślenia ekonomicznego. Stąd wyrastał utopizm naszego programu przyjętego na I Zjeździe "Solidarności", programu Rzeczypospolitej Samorządnej, Polski jako państwa o rozbudowanych funkcjach opiekuńczych, przy paralelu działania organizatorów produkcji, usług poddanych permanentnej kontroli demokratycznej wielu wytwórców, który nigdzie na świecie nie zdał egzaminu. Nasz Zjazd przypominał często atmosferę sejmiku szlacheckiego, gdzie proceduralne dysputy przyskaniały spór o rzeczywiste problemy. Podobny charakter miały zjazdy regionalne i zebrania zakładowe. Koncentrując się na zagadnieniach ruchu społeczno-politycznego, saniedbywaliśmy rozwiązywanie praktycznych problemów związkowych /bezpieczeństwo pracy, wczasy, kasy zapomogowe, upowszechnianie doświadczeń związkowych w poszczególnych branżach i zawodach/. Szczęśliwie wiele kontrowersji do dzisiaj wywołuje tzw. polityka zagraniczna "Solidarności".

Byłem od początku i jestem do dzisiaj przeciwnikiem sankcji gospodarczych przeciwko PRL. Sankcje te uderzyły boleśnie nie w reżim, ale w społeczeństwo. Domaganie się ich utrzymania lub pogłębienia traktuję jako przejaw zwycięstwa emocji, może nawet fanatycznej głupoty, nad zdrowym rozsądkiem. Sankcje sparaliżowały funkcjonowanie wielu zakładów produkcyjnych opartych na zachodniej technologii, osłabiły naszą skromną obecność na zachodnich rynkach, pogłębiły deficyt w bilansie handlowym i płatniczym oraz pogłębiły zależność gospodarki polskiej od gospodarki radzieckiej. Wycofanie się z umów dotyczących wymiany naukowej oraz ograniczenia działań fundacji oszabiło naszą więź z nauką i techniką, a także z myślą społeczną i kulturą Zachodu.

Uczmy się od innych podzielonych politycznie narodów, przede wszystkim od Niemców, racjonalnego stosunku do nadrzędnych interesów narodowych w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej. Tragicznym jest dla nas fakt, że trwa wojna gospodarczo-psychologiczna polsko-amerykańska, w warunkach intensyfikacji stosunków gospodarczo-kulturalnych radziecko-amerykańskich. W tej wojnie możemy tylko przegrać na korzyść imperium radzieckiego i rosnącej siły ekonomicznej i politycznej obu państw niemieckich. Gorąska radykalizmu w polityce zagranicznej jest szczególnie niebezpieczna. Zgadzam się też z Kuczyńskim, kiedy pisze: "Praktyka demokratyczna z czasów "Solidarności", której analiza leży ciągle odłogiem - jest świetnym materiałem instruktażowym dla pokazania ludziom tego, co w nich tkwi i co demokracja może niszczyć"". Kuczyński słusznie przypomina o antydemokratycznych wirusach w opozycji, głównie nacjonalistycznego rodowodu, które kiedyś mogą prze-

-szkodzić we właściwym ułożeniu stosunków ze wszystkimi sąsiadami i - dodajmy - także stosunków z wewnętrznymi mniejszościami narodowościowo-religijnymi.

Pamiętając o tym, nie odbierajmy opozycji obowiązku pracy nad programem przyszłości. Zawsze zawierać on będzie wiele elementów utopijnych. Ale kto dzisiaj w Polsce będzie pracował nad wizją Demokratycznej Rzeczypospolitej, stanowiącej alternatywę peerelowskiego socjalizmu realnego na sowiecką modłę? Niezależny ruch wydawniczo-samokształceniowy, to wielka zdobycz naszej pokojowej rewolucji, którą szybko można utracić, gdy nowe roczniki Polaków, dorastające po 13 grudnia 1981 r., pozbawione będą niezależnych źródeł informacji, a także prognoz dotyczących przyszłości. Jeszcze w większym stopniu dotyczy to historii, szczególnie historii najnowszej.

Reżim nie zrezygnował z prób monopolizacji edukacji historycznej. Cenzura nadal tępi każdą śmiałość rewizję marksistowsko-leninowskiej interpretacji dziejów najnowszych, a dziejów polsko-radzieckich w szczególności. Ucieczka w przeszłość jest jednak rzeczywistym problemem społecznym.

Młode pokolenia Polaków wychowywane są w szkole, w wojsku, w oderwaniu od rzeczywistych wartości polskich tradycji demokratycznych. Opozycyjna historiografia natomiast wybiórczo traktuje proces historyczny, koncentrując się przede wszystkim na reinterpretacji stosunków polsko-radzieckich, czy historii PRL. Nie jest ona wolna od idealizacji znanych postaci historycznych i rzadko podejmuje problemy dziejów społeczno-gospodarczych.

Zgadzam się z Kuczyńskim, kiedy podkreśla, że ruch opozycyjny "musi się starać wpływać na sprawy ważne dla społeczeństwa dziś przy pomocy tych środków, które są właściwe dla czasów odpływu".

Jakie są to sprawy?

Przede wszystkim troska o ethos pracy. Powszechna demoralizacja, jeśli chodzi o traktowanie obowiązków zawodowych, powoduje iż każdy z nas na co dzień, wszędzie, w sklepie, na zebraniu szkolnym, na poczcie, w przychodni zdrowia, szpitalu, w zakładzie usługowym, w tramwaju i autobusie, na dworcu - traktowany jest jako zbyt ciężki, uciążliwy przedmiot.

Inflacja i pauperyzacja wielu grup ludności upowszechniła korupcję na azjatycką skalę. Urzędy, instytucje państwowe, posterunki MO, skorumpowane są przez pozbawionych skrupułów moralnych, pazernych na wysokie zyski, właściciele prywatnych firm i zakładów.

Myślę, że obowiązkiem opozycji jest walka o więźniów politycznych, organizowanie pomocy ludziom represjonowanym za odwagę cywilną, obronę wartości ogólnoludzkich. Jakże trudno jest o solidarność na co dzień z tymi ludźmi. Żatwiej dostać paczkę z Prymasowskiego Komitetu Pomocy lub skromny zasiłek od kolegów, niż pracę w instytucjach, gdzie "Solidarność" była silna i obejmowała także dyrekcję zakładów lub w prywatnych zakładach wytwórczo-usługowych.

Ostabiśmy nasze siły bojkotując legalne organizacje i tworząc zbudzenia podziemnego państwa niezależnego. Po 13

grudnia 1981 r. wielu z nas wycofało się z wielu komitetów, redakcji itd., oddając pozycje bez walki politycznej. Później nastąpił bojkot wyborów do samorządów pracowniczych. W mniejszości zakładów członkowie "Solidarności" tych wyborów nie zbojkotowali. Myślę też, że przy bardziej elastycznej taktyce można było utrzymać poważne wpływy w wielu towarzystwach, stowarzyszeniach naukowo-kulturalnych, które uległy rozwiązaniu.

Towarzystwa przyjaciół poszczególnych regionów kraju, organizacje sportowe, czy ognia Naczelnej Organizacji Technicznej, także były przez nas bagatelizowane. A szkoda, wiarogodna więź sąsiedzka ma szczególną wagę w czasach kryzysu, wymagających zindywidualizowanych form pomocy dla szczególnie poszkodowanych. Szkoda, że nie udało nam się uzyskać poważniejszych wpływów w spółdzielczości i stworzyć własnych spółdzielni.

Wielki kryzys więzi społecznej przeżywa wieś polska. "Solidarność" chłopska była rozbita, nie dotarła do wielu gmin i wsi. Chłopi, pamiętający autentyczne niezależne partie chłopskie i organizacje rolnicze, są już w wieku emerytalnym. Odcchodzi także pokolenie, które w szeregach Polskiego Stronnictwa Ludowego staczało boje o wiele wartości polskiej demokracji i polskiego stanu własnościowego. Duszpasterstwo rolników nie wszędzie funkcjonuje, nie jest ono w stanie zaspokoić wielu aspiracji społecznych. Do tego należy dodać martwe najczęściej koła ZSL, ekromną działalność kół Związku Młodzieży Wiejskiej, z którymi konkurują koła Związku Młodzieży Socjalistycznej, puste Kluby Wiejskie "Ruchu" i papierowe koła Gospodyń Wiejskich. Uroczystości religijno-kościelne i rodzinne są istotną formą więzi społecznej, ale nie zawsze wykorzystywaną do rozwiązywania istotnych potrzeb społecznych. W czasie spotkań rodzinno-towarzyskich powszechnie nadużywa się alkoholu. Atmosfera tych spotkań nie sprzyja racjonalnemu myśleniu.

Mimo wspomnianych słabości gospodarka żywnościowa, oparta na indywidualnym rolnictwie, okazała się bardziej kryzysoodporna, niż inne dziedziny gospodarki narodowej, chociaż nawis inflacyjny szczególnie boleśnie uderza w potrzeby konsumpcyjne i inwestycyjno-produkcyjne wsi. Mimo głośniejszych zapowiedzi rządu restrukturalizacja przemysłu polskiego pod kątem potrzeb wsi, praktyczne rezultaty tej restrukturalizacji, są bardzo skromne, sprzeczne z deklaracjami pryncypiów polityki rolnej PZPR i ZSL.

Zgadzam się w zasadzie z Kuczyńskim, kiedy pisze, że "znaczną część społeczeństwa nie wspomina okresu "Solidarności" jedynie jako wolnościowego święta, lecz także jako okres wielkiego strachu przed głodem, interwencją, wojną domową itd. Potrzeba wolności jest wielką potrzebą, ale potrzeba bezpieczeństwa jeszcze większa. Nie ma instynktu silniejszego, niż instynkt samochowawczy, a ten został w okresie "Solidarności" wystawiony na wiele ciężkich prób i to nie zawsze przez władzę. Ludzie to pamiętają".

Nikt nie może zaprzeczyć tezie autora cytowanych zdań, że o etatusie cywilizacyjnym naszej opozycji w społeczności międzynarodowej decyduje stan gospodarki narodowej. Świadome działanie według zasady "im gorzej tym lepiej" jest samobój-

cze. Postawa krytyczna wobec wszystkich błędów polityki gospodarczej nie wystarczy. Potrzebna jest postawa inicjująca postępowanie nie tylko w gospodarce poza bezpośrednią kontrolą państwa, ale przede wszystkim w gospodarce państwowej, która decyduje o sytuacji ekonomicznej współczesnego społeczeństwa polskiego. W niej obserwujemy największe marnotrawstwo surowców, pracy ludzkiej i w niej tkwią także największe niewykorzystane rezerwy, ona stoi przed najtrudniejszym wyzwaniem współczesności, nie tylko w Polsce.

Andrzej Sosnowski

## CO OD NAS ZALEŻY

z Bronisławem Gerekim rozmawia Ewa Berberysz

Ewa Berberysz: - Proszę Pana, w Polsce rozwija się dziś bardzo silnie nurt prawicowy. Ponieważ "Solidarność" rządziła "lewicowość" /używam tych określeń w uproszczeniu/, prawica, eksponując swoje poglądy, odbija się niejako od "Solidarności". Ja wiem, że "Solidarność" popełniała błędy i że nie należy o nich milczeć, wiem również, że bez pluralizmu nie ma demokracji; rozumiem także potrzebę psychicznego odreagowania i szukania jakiegos nowego. To wszystko rozumię, mam obawy, czy w naszej sytuacji, te różnorakie manifestacje - z natury rzeczy zaprawione silną emocją - nie mogą wywołać chaosu w ludzkich umysłach.

Bronisław Gereki: - A ja tych obaw nie podzielam. Uważam za rzecz naturalną, że formujące się orientacje polityczne, po to, żeby się określić, muszą przeciwstawiać się temu naszemu poczuciu jedności i powiadają, że nie istnieje nic takiego, jak front wspólnej walki o wolność. Co do mnie, to jednak sądzę, że ten wspólny front istnieje i że ma w sobie coś czystego i łączącego, jak woda strumienia; że wraz z Sierpniem 80 zaczęło się coś, co nie było prostą kontynuacją doświadczeń okresu przedwojennego, ale było i jest nadal - próbą odpowiedzi na pytania dotyczące dnia dzisiejszego między Bugiem i Odrą. Ja bym określił to tak: w Sierpniu 80 zmieniło się coś zasadniczo i nie satarzy tego czołgi wyprowadzone na ulice; nie ma dziś w Polsce ani poprzedniego "fenomenu dysydenckiego", ani opozycji dawnego typu; jest sytuacja masowej kontestacji, z której to płodnej gleby wyrastają różne orientacje; a że czasem dochodzi do zacietrzewienia? Są to naturalne mechanizmy obronne; przecież każda mniejszość ma poczucie, że jest nosicielem całej prawdy...

- Szkoda, że te gorące pomysły nie mogą znaleźć ujścia na jakimś większym, jawnym forum, jak parlament czy choćby czasopismo, które by to, co rodzi się w głowach, podawało pod osąd szerszej publiczności, two-



rząc intelektualny ferment. A tak, pamfletowe talenty Piotra Wierzbickiego, czy prowokujące intelektualnie koncepcje Marcina Króla, żeby wymienić te, o których najchętniej, pozostają zawieszane w próżni. Można sobie tylko w towarzystwie pogadać...

- Nie lekceważyłbym tego! To, że ludzie schodzą się, żeby rozmawiać i wspólnie myśleć, to bardzo wiele. Bardzo też dobre, że drugi obieg - z całymi jego niedogodnościami - nie tylko informuje o wydarzeniach, ale i o tym, co się dzieje w głowach. Proszę też zwrócić uwagę na rozmiary tego obiegu - ile osób robi dziś prasę podziemną! To też jest dowodem na trwanie tego wielkiego jednoczącego nurtu nadziei.

- Nadzieja jest dziś słowem tak częstym, że nadużywamy. Zdarza się, że posługują się nią ludzie po to, żeby usprawiedliwić swoją bierność i żeby "przeżywać" zamiast myśleć; jednakże niedawno usłyszałam od kogoś zdanie: "nie mam cienia nadziei, że dożyję niepodległości, ale robię swoje, żeby być gotowym na każdą zmianę". Przecież on też mówił o nadziei! Takiej, którą Papież nazwał oszukiwaniem...

- Tak też i ja ją rozumiem. Od 13 grudnia cały czas zaskakuje mnie fakt, że w swoich przewidywaniach jestem bardziej pesymistyczny, niż otaczająca mnie rzeczywistość. Ludzie wciąż nie tracą nadziei, że nastąpi moment, że "coś ode mnie będzie zależało".

- A od Pana, co będzie zależało?

- Mam poczucie służebnej powinności: jeżeli jest tak, że słowa moje, zachowanie moje, mogą mieć wpływ na słowa i zachowanie innych, to moja powinnością jest nie oddalać się, myśleć, mówić. Tak właśnie postępuję i tak postępując, mam poczucie wierności.

- Ale czy wierność nie jest słowem martwym? Wiernym jest się prochom, tradycji, czemuś co było...

- Ale to co było - jest. O tym właśnie mówimy.

- Spytałbym zatem, czy pańskim zdaniem wierność obejmuje też refleksję? "Prawica" zarzuca doradcom "Solidarności" brak refleksji po 13 grudnia...

- Samokrytyka została tak doszczętnie skompromitowana jako sposób myślenia i jako sposób na życie, że ten typ refleksji mnie odpycha. Sądzę, że było w "Solidarności" sporo plany, krzykaczy i tych, którzy chcieli rozwiązywać PRL, to wiemy. Co do mnie, to od początku sceptycznie myślałem o możliwości przystosowania systemu do tej nowej rzeczywistości. Każdy dzień, każdy miesiąc wydawał mi się darowanym. Jednakże, przez cały ten okres usiłowałem myśleć w kategoriach kompromisu, polityka jest możliwa jedynie w takich kategoriach. I gdy wieczorem 13 grudnia, znalazłem się z grupą działaczy w dwudziestoosobowej celi więzienia Ławskiego i zaproponowałem, żebyśmy się wspólnie postanowili, w jakim punkcie jesteśmy, w zasadzie panowała jedność poglądów: że trzeba było pilnie pilnować linii kompromisu. Nie było sprzeciwu wobec takiej koncepcji działania. Ale przy tym wszystkim, było też ogromne poczucie zawodu, wynikające z przekonania, że władza odrzuca kompromis, że ów 13 grudnia był rezultatem spisku

przygotowywanego od 31 sierpnia. Bo to nie "Solidarność" spowodowała 13 grudnia. Problem główny polega na tym, żeby dostrzec sensowny horyzont przyszłych rozwiązań. Za każdym razem, gdy gubimy z pola widzenia istotę Gdańskich Porozumień, to gubimy ducha "Solidarności", którego nie da się zredukować do tych czy innych działań politycznych. Toteż uważałbym za rzecz niepokojną zatrzymywanie się na wyłącznie taktycznych pomysłach rozwiązań. Sądzę, że najważniejsza jest dziś refleksja nad sytuacjami, które nas czekają.

- Ale ja zapytałam o Pański rachunek sumienia.

- Tak. Otóż myślę, że w ciągu tych kilkunastu miesięcy sporo zrobiłem, żeby nadmierne emocje usmierzać. Natomiast rzadko udawało mi się przewyższać atmosferę sali, atmosferę wiecu; nie potrafiłem wyzwolić sali z takiego demagogicznego zacietrzewienia, w którym popada się w ekstremizm. Ale to sprawa osobistego talentu, a raczej jego braku...

- Miał go Wałęsa...

- Może tylko jeden raz, z gronem kolegów udało nam się ocalić sytuację; to Bydgoszcz, posiedzenie KK w Bydgoszczy. Przedłożonymi argumentami sprowadziliśmy - po przepanej nocy - diametralną zmianę decyzji.

- Wtedy kiedy Wałęsa zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle i wyszedł...?

- Tak, wtedy. Jednakże widzi Pani, ilekroć teraz myślę, że może trzeba było jeszcze ostrzej wykazać niebezpieczeństwa, nie mogę nie pomyśleć również, że w Stoczni Gdańskiej myślenie w kategorii zagrożeń, cały ten tok rozumowania, który mnie cechował, że się nie uda - rozbił się o przekonanie tych młodych robotników, którzy mówili: "Mus się udać. A jak się nie uda, trudno, innego wyboru nie mamy..."

- Oni tak mówili: "na kolanach dłużej żyć nie chcemy". Filozofią ruchu była przecież moralność. Te 21 punktów nabazgranych na dykcie, które postawiono w hali Olivia - pamięta Pan? - to było jak Dekalog. Praktykowany w życiu. Ale do czasu. Na początku znaczek w klapie nawet ekspedientki przemieniał w anioły. A potem - niestety dość szybko - 10 milionów aniołów przemieniło się w 10 milionów cwaniaków...

- Może ani anioły, ani cwaniacy. Akt narodzin ruchu wywołał pobudzenie moralne, które jednak w tej skali liczebnej nie mogło trwać. Na dłuższą metę musiały powrócić do głosu mechanizmy społeczne. Pytanie jest nie o anioły, ale czy "Solidarność" potrafiła uruchomić przekładnie, które by owe moralne pobudki umiały wprowadzić w zachowania codzienne. W wielu sprawach to się udało. Spójrzmy na wybory do Związku. W akcie wyborczym ani przez moment nie było tendencji wypaczających, prób fałszowania. Fakt ten ma doniosłe skutki do dzisiaj. Zmiana moralności na rutynę była zjawiskiem sporadycznym, natomiast na pewno w aparacie związkowym pojawiły się elementy biurokracji.

- Groźna konstatacja, bo wskazująca na siłę mników.

- Natomiast w sferze gospodarczej "Solidarność" nie zdołała wytworzyć skutecznej przekładni, wynikającej z tego pierwszego impulsu. Można by tu użyć argumentu, że istniały bariery systemowe. Istniały, ale nie sądzę, żeby tłumaczyły wszystko.

- Nie. I stąd największe pretensje "prawicy". Pamiętam, jak na początku stanu wojennego jako pierwszy hasła gospodarcze, konkretnie o reprivatyzacji, zaczął na odczytach lansować Kisiel. Ludzie słuchali przychylnie, ale jako czegoś nierealnego, bajki. A potem to w nich rosło: ta idea się przyjęła, przemieniając nawet na uczelniach aspiracje "wertikalne" w "horyzontalne". Opowiadał Timothy Garton Ash, jak ku jego zdziwieniu, absolwent uniwersytetu Adama Mickiewicza, który "mógłby być ośdobą wszelkich Oxfordów" zwierzył mu się dumnie, że po studiach ma zamiar założyć tunele warzywne. Oczywiście, takiemu nastawieniu sprzyjała i sprzyja sytuacja ogólna. Nie tylko absolwenci nie mają pracy w zawodzie; fabryki pustoszeją, bo nie ma w nich co robić. Stocznia Gdańska pracuje "na pół gwizdka". Toteż chyba narzuca się jako rzecz naturalna, żeby handel i wytwórczość przejęli na własność przedsiębiorczy i inteligentni ludzie i mieli z tego dobry zarobek. Niepokoją mnie wszakże dwie kwestie: czy ręką władzy - odpowiednią manipulacją licencyjno-zapówkarsko-zagroźniową - nie przemieni kandydata na uczciwego kupca w szakala? Słowem, czy możliwy jest duplikat Hipolita Cegielskiego, człowieka pomagającego majątek własny i majątek narodowy, przy tym człowieka uczciwego? Zastrzeżenie drugie: czy przeniesienie dziewiętnastowiecznego ducha leseferyzmu na nasz grunt nie obniży jeszcze, i tak rozpaczliwie niskiego, pułapu podstawowego, pułapu ludzi wielodzietnych, starych, nieprzedsiębiorczych z natury? Ale gdy te zastrzeżenia kiedyś wyraziłam głośno, zakrzyczano mi, że wobec tego chcę skazać społeczeństwo na skansen...

- Tak, to o czym Pani mówi dotyczy całego społeczeństwa. Powiadają niektórzy, zgodnie z oficjalną propagandą, że państwo nasze jest nadopiekuńcze, zatem rozleniwiające. To nieprawda. Owszem, istnieje w naszym życiu hipertrofia państwa, i to wymaga bardzo istotnej rewindykacji, ponieważ w życiu społecznym, czy rodzinnym im mniej obecności państwa, tym lepiej. Ale niewtrącanie się, wcale nie oznacza zmniejszenia roli opiekuńczej państwa, z której to roli miałoby jakoby wynikać rozleniwienie. Weźmy Szwecję, obecność państwa w jej życiu publicznym - czy kulturze jest nader niska, natomiast rola opiekuńcza - ogromna, i nie niesie to skutków rozleniwienia narodu. Sprzeczność między potrzebą aktywizacji ludzkiej a funkcjami opiekuńczymi państwa nie istnieje. Natomiast zaistniało u nas pewne przyzwyczajenie, jak gdyby dostosowanie mentalności społecznej do systemu, co wyraża się w niechęci do ryzyka, do inicjatywy własnej. Tylko że smak ryzyka, smak tego, że coś ode mnie zależy, nie musi jedynie przejawiać się w tak zwanej inicjatywie prywatnej, ale i w czymś szerszym, co dotyczy roli społecznej człowieka. Jednakże na obecny eta-

nie nie widzę nic złego w hasle "bogaćcie się!", które słychać również na różnych etapach od strony propagandy rządowej.

- ... Za Gierka!

- Popierałbym je jako propozycję środka zaradczego ze strony środowisk niezależnych, chociażbym, żeby ludzie bogacili się, mnożąc wartości materialne będące w obiegu. Może jest możliwy taki "neoutylitaryzm": że to będzie z pożytkiem dla wszystkich? Ale żywią również Pani zastrzeżenia, że w naszej sytuacji, na tle rosnącej pauperyzacji, ten proces bogacenia się musi być drapieżny. Przecież to hasło, z punktu widzenia gospodarczego w pełni usprawiedliwione, nie rozwiązuje problemu; bo póki istnieje ogromny monopol własności państwowej, podtrzymujący niejako proces masowej pauperyzacji, póty bogacenie się jednostek będzie uważane jako krzywdzące, jako coś niemoralnego, bo żywiącego się niedomaganiem zbiorowości. Powiem bluźnierstwo, ale Hipolit Cegielski musiałby być dziś wielkim cwaniakiem; mechanizm zagrożenia jest taki, że spycha ludzi ku cwaniactwu. Paliatywy dotyczą jedynie marginalnych jednostek. Problem aktywizacji społeczeństwa pozostaje więc otwarty. Ja bym namawiał do aktywności na każdym podwórku: niech każdy robi coś na swoją miarę; gdzieś się te wysiłki będą sumowały, chociaż rezultat będzie nieproporcjonalny do włożonego trudu - o czym musimy pamiętać - bo będzie w ogromnej części zmarnowany; jednakże, gorszą rzeczą byłaby inercja.

- Ale przyjąwszy, że przechrztyśmy biurokrację i że wyrosną nam prężni i uczoiwi "Cegielscy", czy wówczas ludzie biedni nie zaczną się wstydzić swojej biedy? Czy bieda nie będzie oznaką wstydu, jak na Zachodzie, jak za Gierka u nas? Pamiętam, że jako dziennikarka w rozmowach z dyrektorami zaważałam swoje zarobki, żeby dodać sobie prestiżu, bo tylko człowiek z sukcesem materialnym się liczył. Słowem, czy nie grozi nam zmiana kryteriów moralnych ze strony opinii?

- Na razie właśnie bogactwo jest w PRL rzeczą wstydliwą, bo ciąży na nim podejrzenie, że jest rezultatem nieuczciwości i krzywdy innych. Takie nastawienie społeczne można uznać za krępujące rozwój prywatnej inicjatywy. Ale też sądzę, że odczuwanie potrzeby sprawiedliwości na szerszą skalę jest faktem ważnym na przyszłość. Co do mnie, mając świadomość, że jestem ukształtowany w lewicowej wrażliwości na nierówność społeczną - nie sprzeciwiam się dychotomii: wolność albo sprawiedliwość. Przykład systemu, w którym żyjemy, świadczy o tym, że jedno idzie w parze z drugim; że brak wolności idzie w parze z brakiem sprawiedliwości. Nie białabym też nad tym, że ludzie chcą "urawniłowki". W propagandzie oficjalnej pojawia się w związku z tym nuta triumfu, że społeczeństwo samo odrzuca reformę. Moim zdaniem, zarządcy tego kraju nie zdają sobie należyte sprawy, że między systemem politycznym, który oni promują, a fatalną sytuacją gospodarczą, którą chcieliby przeżuć, istnieje nieuchronne sprzężenie... Wie pani, tak naprawdę, to ja hasło "bogaćcie się!" popieram z przekory wobec samego siebie, bo w grunice rzeczy sens ma hasło "brońcie się!". Dotyczy ono nie tylko gospodarki...



- Stale mam odczucie, że traktowanie gospodarki w izolacji od całości życia kraju jest też jakąś formą ucieczki w nierealność, że jest czymś zastępczym. Potrzebna jest jakaś ogólna presja...

- Tak. I chciałbym tu powiedzieć, że teraz, w pięć lat po Sierpniu, decydują się dopiero losy "Solidarności". Nie chodzi tu przecież o legendę, ani o filozofię moralną ruchu sierpniowego, ale o trwałość aspiracji tego czasu, o mądrą determinację, a więc nie tylko o poczucie wierności, ale i odważne działania. Bez nich rojenia o układach politycznych i rozważnych kompromisach są po prostu bez szans.

- Jakie działania ma Pan na myśli?

- Chciałoby, zaczynając od tego, żeby komus płacić składki, a komus innemu być nieposłusznym...

- Na koniec, bo nie może być w Polsce roku 1986 inaczej - słowo o Kościele. Otóż niedawno, kiedy mówił Pan w pewnym duszpasterstwie o średniowieczu, dominikanin prowadzący to duszpasterstwo zaproponował, żeby zechciał Pan przygotować dla nich odczyt o Świętej Inkwizycji. Co dla Pana znaczy ta propozycja poza jej doskownością?

- W całej jej doskowności! Jest to bardzo wielka propozycja, bo stanowi świadectwo, że Kościół nie ulega triumfalizmowi. Fakt, że Kościół publicznie chce się zastanowić nad swoją własną historią, w tym również nad tym, co było w niej ciemne. Sposób rozumowania, jaki zaprezentował ten człowiek w białym habitacie, zwracający się z pytaniem o ocenę instytucji, którą zapoczątkowali niegdyś jego ojcowie zakonni /wówczas w czarnych habitach/ - stanowi dla mnie wzór myślenia. Wzór myślenia nie tylko o historii, ale i o współnocie.

Marzec, 1986

Rozmawiała: Ewa Berberysz

# MIEJSCE TWÓRCY W KOŚCIELE

Słowo "twórcza", użyte w tytule tych rozważań, wypada przyjąć z należytą pokorą. Jest ono zbyt solenne, by ktokolwiek mógł je stosować do siebie samego, nie przeżywając przy tym wątpliwości, czy mu się ono należy. Aby więc oszczędzić sobie i słuchaczom zażenowania, deklaruję, że używam terminu "twórcza" w sensie neutralnym, na oznaczenie człowieka, który stara się - wedle swych możliwości - wzbogacić szeroko rozumianą kulturę narodową.

Źródłem problemu, którym się dzisiaj zajmujemy, jest zjawisko nowe i ważne, wywołujące emocje zarówno pozytywne, jak negatywne, stanowiące także obiekt bezceremonialnych ataków i pomówień. Jest ono nowe, głównie co do skali, ponieważ obecność twórców w Kościele nie datuje się od kilku lat, ma ona dawną i szacowną historię. Faktem jest jednak, że w ostatnich latach nastąpiło w tej dziedzinie coś tak wielkiego, iż zmusza do zastanowienia, zarówno nas samych, jak ludzi nam nieprzychylnych. Rozważmy argumenty tych ostatnich, ponieważ domagają się one odpowiedzi.

Twierdzi się w środkach masowego przekazu /a autorami tych emuncjacji bywają osoby bardzo autorytatywne/, że twórcy kultury powodują się względami koniunkturalnymi - w tym mianowicie sensie, iż poszukują popularności przez manifestowanie postawy aprobowanej przez szerokie kręgi społeczne. Byłby to więc swoisty konformizm. Obecność twórców w Kościele jest rzekomo nieautentyczna: do niedawna ateści, dziś podają się za wierzących. Należy sądzić, że ze względów politycznych udają przynależność wyznaniową. Kościół zaś zachęca ich do tego, wykorzystując w ten sposób koniunkturę polityczną.

Ogół można odpowiedzieć na streszczone wyżej zarzuty, co do których można zresztą wątpić, iż są głoszone w dobrej wierze? Przede wszystkim wypada stwierdzić, że ogromna większość skupionych w Kościele twórców kultury niczego nie udaje. Albo są to ludzie wierzący, albo nie ukrywający swego agnostycyzmu lub ateizmu. W obu wypadkach posostają sobą, zachowują tożsamość. Są też i tacy, którzy stali się wierzącymi pod wpływem bezpośredniego zetknięcia z duchową wspólnotą religijną. Nie byłby to pierwszy w dziejach wypadek pozyskiwania dla religii ludzi już dojrzałych intelektualnie.

Ironizowanie na temat rzekomej fali nawróceń /z sugestią, że są to pseudonawrócenia/ jest nierzetelnością i demagogią. Ci, którzy tak mówią, doskonale wiedzą, że np. publicysta o

---

x/ Tekst wygłoszony w Sali Jana Pawła II na Jasnej Górze podczas II Ogólnopolskiej Pielgrzymki Środowisk Twórczych w 1985 roku.

głośnym nazwisku, człowiek znany ze swej prostolinijności, jest uczciwy zarówno wobec Kościoła, jak wobec swych słuchaczy: swoich przekonań ontologicznych ani nie zmienił, ani nie ukrywa. Cytuję ten przypadek jako szczególnie charakterystyczny.

Zresztą nie trudno zrozumieć tych, którzy dają upust swemu niezadowoleniu z powodu obecności w Kościele wybitnych twórców, ludzi utalentowanych, znanych, cieszących się społecznym szacunkiem. Wielu z nich przecież o d e s z z o od doktryny państwowej, przestało być członkami partii lub przynajmniej jej sojusznikami. To boli. Stąd reagowanie znamionujące frustrację, stąd wypominanie ludziom ich przeszłości.

Krzecz jest tak przejrzysta, że nie wiem, czy apologia, którą tu wygłaszam, jest w ogóle potrzebna. Mało kogo wprowadza w błąd imputowanie nierzetelnej motywacji twórcom skupionym w Kościele. Zajmę się więc raczej krótkim omówieniem samego zjawiska, jego źródeł i manifestacji.

Ogólne podłoże jest znane - w każdym razie tym, którzy pamiętają dzieje Polski lat ostatnich. Może jednak i to trzeba przypomnieć, skoro słyszy się czasem i taki pogląd: właściwie skąd te dasy, przecież system istnieje od 40 lat i był przez wielu /może większość?/ twórców kultury akceptowany przynajmniej w zasadzie? Chyba wiedzieli, co akceptują?

Kto tak mówi, ten zapomina o cezurze historycznej. Pięć lat temu społeczeństwo polskie wywalczyło sobie możliwość przemówienia pełnym głosem. Z możliwości tej skorzystało na miarę 10 milionów dorosłych obywateli. I w grudniu 1981 otrzymało od władzy odpowiedź, która definitywnie uchyla wszelkie wątpliwości, jakie mogli jeszcze żywić ludzie ożywieni maksymalnie dobrą wolą. Przepraszam za przypominanie prawd elementarnych. Widocznie są one potrzebne, skoro różnica między czasami dobrotliwego króla Edwarda /który zresztą wcale nie był taki dobrotliwy/, a obecną epoką, sprowadza się w oczach niektórych do nieistotnego sztafażu.

Tyle co do przyczyn o d e j ś c i a tych wszystkich, którzy zachowawszy wrażliwość moralną, poczuli się zmuszonymi do powiedzenia: dość. Dlaczego jednak p r z y s z l i tu właśnie, czemu uznali, że ich miejsce jest w Kościele? Pytanie być może naiwne w kraju spolaryzowanym, dwubiegunowym, w którym Kościół od dawna domaga się wolności myśli, a mówiąc szerzej: jest obrońcą wartości personalistycznych, znakomicie ujętych teoretycznie w dziełach Karola Wojtyły oraz w encyklikach Jana Pawła II. Naiwność jest jednak pozorna, ponieważ nie jest nigdzie powiedziane, że człowiek myślący musi gdzieś przynależać. Dotyczy to zwłaszcza twórców, którzy z natury są raczej indywidualistami. Warto więc poświęcić chwilę uwagi silnie przyciążania, jaką Kościół objawił wobec twórców kultury.

Najpierw może stwierdzić wypada, że Kościół u m o ż l i - w i ł im przyjęcie przez ewą postawę otwartości. Mam nadzieję, że nie będzie mi poczytane za nietakt, jeśli powiem, że nie zawsze tak było. Za mojej pamięci - a sięga ona już kilkadziesiąt lat wstecz - Kościół nie mógł z pewnością być zaliczany do instytucji szczególnie tolerancyjnych w stosunku do odmiennych sposobów myślenia. Nie mówię tego z pozycji człowieka, którego coś w tym względzie osobiście dotknęło, który zatem wspomina w rozgoryczeniu. Byłem wychowany w bardzo

tradycyjnej - rzecz można: dziewiętnastowiecznej - wercji katoliczera i żadne dyskryminacje spotkać mnie nie mogły. Jednakże obserwovałem stosunek do ludzi innej wiary, do ludzi niewiary, do ludzi zajmujących w tej czy innej kwestii postawę nieortodoksyjną.

Druga, którą Kościół od tamtych lat przeszedł, jest niezmiernie daleka. Rzadko o tym myślimy, bo już zdażyliśmy przywyknąć. Czasem jednak trzeba przypomnieć, że postawa, którą dziś obserwujemy, jest nowa. Widzę ją w najbliższym mi Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, które nas tu zgromadziło, w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w niektórych zakonach... Każdy na nią patrzy z dostępnego mu punktu widzenia. Niekiedy zdarza się coś, co na tle dawniejszych wspomnień może posłużyć za symbol. Pamiętam na przykład Mszę św. odprawianą dwa lata temu w kościele na Nowolipkach, na terenie dawnego Getta, w czterdziestą rocznicę walki podjętej przez Żydowską Organizację Bojową. Celebrował i homilię wygłosił kardynał Frymas, słowo wstępne powiedział ks. Bronisław Dembowski, uczestniczyli tłumy mieszkańców Warszawy. W prezbiterium, na honorowym miejscu zasiadali przedstawiciele żydowskiej gminy wyznaniowej. Patrzyłem na to ze wzruszeniem i zastanawiałem się, jak by zareagował mój ojciec, dawno już nie żyjący, gdybym mu o tym zdarzeniu opowiedział. Zapewne w ogóle by mi nie uwierzył.

Wspominam to przeżycie jako pewien znak, jako symbol otwarcia. Dla środowisk twórczych postawa taka ma znaczenie niewymiernie wielkie. Otwarcia potrzebna nam jak powietrze, bo właśnie je j nie ma w naszym życiu publicznym.

W tym miejscu stawia się czasem kropkę. Powiada się tym samym: Kościół udziela twórcom kultury schronienia, roztańca nad nimi opiekę, dzięki której mogą oddziaływać społeczeństwu, wystawiać swoje prace, komunikować wyniki swoich przemyśleń. Nikt inny nie mógłby im tego zapewnić. Jest to oczywiście prawda i można by dodać, że tak czyniąc Kościół wpisuje się trwale w dzieje kultury narodowej. Nawiązuje też do pięknej tradycji azylu, który kiedyś przysługiwał każdemu prześladowanemu, który szukał schronienia w kościele.

Gdyby wszakże do tego się ograniczyć, nastąpiłoby dość istotne spłylenie relacji twórcy-Kościół. Kościół nie jest instytucją jak inne. Każdy, kto wchodzi z nim w związek, podlega jego oddziaływaniu - niezależnie od tego, czy sobie z owego wpływu zdaje sprawę czy nie.

Można rzecz ująć od innej strony, od strony potrzeb duchowych, powiedziałbym: filozoficznych. Każdy z nas, nas - ludzi, ma potrzebę ładu moralnego i potrzebę metafizyki. Tym potrzebom - tęsknotom? - Kościół wychodzi naprzeciw.

Tęsknimy do moralności absolutnej. Mamy dość utrzymywania, że moralność jest pochodną wspólnoty interesów, że czynny ludzki - cornia się wedle ich skutków, że wszystko to jest relatywne, zależy bowiem od przyjętej grupy odniesienia. Proponuję nam, jak wiadomo, moralność gloryfikującą walkę - taką walkę w dodatku, która nie jest temperowana żadnymi regulacjami, bo liczy się tylko skuteczność. W imię owej skuteczności: zleca się nienawidzić wroga, bo z większą ochotą się go wtedy zwalcza, a i skrupułów mniej...



Tej moralności styka chrześcijańska przeciwstawia wiarę w kryteria absolutne, przeświadczenie, że dobro i zło nie jest zrelatywizowane do jakiegokolwiek wyróżnionej grupy, że zło nigdy nie rodzi dobra, że zło należy dobrem właśnie zwalczać, które to sformułowanie powróciło niedawno z tak wielką siłą w nauczaniu niezapomnianego ks. Jerzego. Tyle o potrzebie etyki.

Drugą potrzebę nazwałbym umownie potrzebą metafizyki. Pragniemy mieć poczucie sensu istnienia, można by nawet powiedzieć, że pragnienie to jest jednym z wyróżników człowieczeństwa. Religia je zaspokaja. Czy w sposób przez każdego akceptowany? Doświadczenie pokazuje, że nie. Ale także i ci, którzy nie udaje się przyjąć postawy wiary, przyjmują coś, co jest u jej podłoża: powagę myślenia o sprawach ostatecznych, o egzystencji człowieka, o unikalnym fenomenie świadomości własnego istnienia. Tą szczególną atmosferą powagi obdarowuje nas Kościół. Nas - to znaczy zarówno tych, którzy przyjmują prawdy wiary, jak też tych, którzy mają odmienną wizję rzeczywistości.

W trudnych czasach, które przeżywamy - tu, w tym miejscu Europy, w czasach próby moralnej i intelektualnej, Kościół ofiarowuje ludziom wartości podstawowe. Ludziom kultury są one potrzebne specjalnie - jeśli poważnie traktują swoje powołanie. Wypowiadamy się na różne sposoby i język naszych wypowiedzi nie zawsze jest wyposażony w jednoznaczny semantykę. Tym bardziej trudno wymagać, byśmy stale mieli w świadomości - spełniając swe zadanie doraźne - jego dalszy cel. Ale ów cel istnieje. Rozmaicie można go określać. Mnie utkwiły w pamięci słowa poety, otwierające czterdzieści lat temu najważniejszą moją książkę mojego pokolenia. Chciałbym je tu przytoczyć:

Czym jest poezja, która nie ocala  
Narodów ani ludzi?  
Współnictwem urzędowych kłamstw,  
Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardła,  
Czytanką z panieńskiego pokoju.

Jeśli cel, któremu służymy, pojmujemy równie serio, jak temu dał kiedyś wyraz Czesław Miłosz, to wypada nam z wdzięcznością uznać rolę Kościoła w kultywowaniu wyznawanych wspólnie wartości. Odpowiedź na pytanie o miejsce twórców w Kościele streszcza się w zdaniu: w Kościele polski twórca kultury jest u siebie.

Klemens Szaniawski

Tadeusz Jępkowski

# JACY BYLIŚMY I JACY JESTEŚMY?

"Szli krzycząc: "Polska! Polska!" pisał Juliusz Słowacki. A następnie dodawał: "szli dalej krzycząc: "Boże! Ojczyzna! Ojczyzna! /wtem Bóg z Mojżeszowego ukazał się krzaka/, Spojrział na te krzyczące i zapytał: "Jaka?". Wiem, wieciez miał na myśli to, że różne są współistniejące ze sobą Polski, że Polska - być może - wymaga dodanego do niej przymiotnika.

Wiem, że Polska to rzecz trudna i skomplikowana. I dlatego go zapytuję, wraz z innymi, jaka była Polska i jaka jest obecnie, jacy byliśmy i jacy jesteśmy? Proszę też i ostrzegam: nie szukajmy w przeszłości i dzisiejszości łatwych i uproszczonych odpowiedzi. Polska jest doprawdy za bogatą, by na pytanie o nią padały schematyczne i jednoznaczne odpowiedzi. Przyznajmy, że takich właśnie odpowiedzi na pytania o nas samych chętnie udzielamy. A tymczasem nasza ojczyzna bywała i wielka i mała, zjednoczona i rozbita, bohaterka i tchórzliwa, bogata duchem i nędzna podłością. Podobnie z nami, Polakami. Myśliciele, uczeni i poeci mawiali nieraz, acz w różnej formie, że potrafimy być wielcy jako naród i niesformni jako społeczeństwo. Polskość jawi mi się jako skomplikowana mieszanina wad i cnót, wiary i niewiary, grzechu i męstwa, bezmyślności i roztropności, wielkoduszności i okrucieństwa, zmienności i stałości, rozlicznych kompleksów niższości i wyższości.

Jak znaleźć klucz do samopoznania? Czy można znaleźć wspólny mianownik dla żywej i zmiennej różnorodności, jaką jest Polska? Można tylko - jak sądzę - zbliżyć się do prawdy o nas samych, choć nie będzie to wcale łatwa. Można - jak myślę - dokonać tej próby zuchwałej, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, musimy zanurzyć naszą analizę w historii bez mitów i szelazujących papierem ozdób. Bez historii nas wiele wiemy. Po wtóre, odrzucić założenia przedwstępne, uznawane przez nas nierządki, a nawet więcej - zbyt często - za pewniki. Mam tu na myśli pseudodogmat narodowy o naszej w Europie wyjątkowości /jest to sąd wynikający z pychy, a zarazem ignorancji/, o naszej wyjątkowo trudnej historii, o wyjątkowo stałych i zawsze tych samych wrogach, o polskim wyjątkowym patriotyzmie, rzekomo niezmiennym od lat tysiąca /jakież kreszta mamy prawo innym narodom odmawiać prawa do takiej samej jak nasza intensywności uczuć miłości ojczyzny?/.

---

\*/ Tekst publikujemy bez wiedzy i zgody Autora /red./

Polska współczesna ukształtowała się w niezłym okresie ostatnich prawie trzech stuleci i nad tym okresem formowania się dzisiejszej Polski wypadnie się za chwilę nieco dłużej zatrzymać. Ale to nie wystarczy. Niektóre ważne cechy społeczne, kulturowe, psychiczne, moralne naszego kraju i społeczeństwa mają bardzo starą metrykę.

## I

Fundamenty chrześcijańskiej kultury, chrześcijańskiego wiązania świata, chrześcijańskiego sposobu życia, a także związku z kręgiem cywilizacji zachodniej, pokoszone zostały w wiekach średnich, od X do XIV wieku. Właśnie wtedy Polska cywilizacji rzymskiej, powiązana ścisłymi więzami z Zachodem /Rzymem, Niemcami i Czechami/ była najbardziej "zachodnią", choć bynajmniej nie należała do grona potęg owego Zachodu.

Począwszy od XV w. staje się nasz kraj państwem środka, cywilizacją "przejściową". Od tego czasu tkwimy między Zachodem i Wschodem aż po wiek XX, aż po nasze dziś. Mimo ścisłego emocjonalnego i kulturowego związku z Zachodem i rzymskim katolicyzmem, związku często werbalnego i powierzchownego, nasza Polska mocarstwowa, czyli wielonarodowościowa Rzeczpospolita złożona z Kroczy i Wielkiego Księstwa Litewskiego, elementami orientalnymi, staje się dla Zachodu nie tylko specyficzna, lecz egzotyczna. Wewnętrznie pęknięta, a zarazem jednolita Polska, w której współistniały indywidualizm zachodni i katolicka potrydencka barokowa wizja świata /na górze/ oraz elementy orientalnego kolektywizmu wschodniochrześcijańskiej wizji państwa, człowieka i społeczeństwa na dole. Polska mocarstwowa była nie tyle zwyczajnie Polską, ile mozaikowo zróżnicowanym pod względem językowym, religijnym, obyczajowym i kulturowym państwem środkowo-wschodniej Europy, światem odrębnym i oryginalnym. Ten pluralizm polsko-litewsko-rusko-niemieckiej "ekumeny" wzbogacał i uwniosłał nas, ale przecież rodził też konflikty. Z niektórymi z nich nie możemy dać sobie rady do dziś. Uciak i niesprawiedliwość sąsiadowały z tolerancją i szlachecką wolnością. Bardziej oczywiste lubimy powoływać się na świetlane niż mroczne w naszym życiu okresy bytu mocarstwowego, a więc XV, XVI i po części XVII wiek.

Zastanówmy się przez chwilę nad dwoma problemami, które wydają się nie tylko istotne dla stuleci naszej potęgi, a więc dla narodu szlacheckiego, lecz dla Polski i Polaków dzisiejszych. Mam na myśli sprawę pojęcia i rozumienia wolności oraz sprawę tolerancji.

Demokratyczne i wolnościowe tradycje szlachty polskiej są albo wyolbrzymiane i idealizowane, albo nadmiernie krytykowane, a nawet -rzwaszcza w oficjalnych, rządowych wypowiedziach ostatnich lat - fałszowane, a następnie potępiane i wyszydzane. W tej sprawie trzeba umiaru, spokojnej analizy. Wolnościowe nasze tradycje są dziełem niejednorodnym, w którym dostrzec można elementy pozytywne i negatywne, choć przeważają te pierwsze. Ustrój demokracji szlacheckiej, a więc odrzucenie arbitralnej władzy jednostki, rządu parlamentarne, społeczna kontrola władzy, praworządność, wolność słowa i druku, prawa jednostki, funkcjonował nie bez pewnych zgrzytów przez kilka pokoleń, a następnie zaczął się wyrażać w anar-

chizującą dominację magnaterii, w samcowole i nadużycie swobód. Zauważmy wszakże, iż system ten - nawet w fazie zdegenerowanej - umiał się zreformować, czego namacalnym dowodem Sejm Wielki i Konstytucja 3 maja.

Nadrzędną zasadą ustroju Rzeczypospolitej była służebność i podrzędność władzy państwowej wobec społeczeństwa, wobec narodu /szlacheckiego oczywiście, ale jakież on mógł być w tym czasie, jak nie szlachecki, zwłaszcza że ogromna liczebność szlachty polskiej stanowiła w skali europejskiej istny fenomen/. Swobody polityczne, wolność i godność człowieka i obywatela to były wartości, które stały się podstawą wybujałego indywidualizmu szlacheckiego, który stopniowo prznikał, zwłaszcza w wieku XIX, kiedy Rzeczpospolita szlachecka była już tylko wspomnieniem, do innych stanów, do mieszczaństwa i chłopstwa. Czy egzaltowane pojęcie wolności, o którym mówię, miało swe źródło w katolicyzmie? Myślę, że i tak, i nie. Składały się na nie genetycznie elementy chrześcijańskie i laickie.

Sprawa tolerancji w dawnej Rzeczypospolitej, tolerancji, którą się znaczymy, powtarzając, iż Polska w dobie wojen religijnych pozostała niezmiennie wierna papieżom, ale jednocześnie była krajem bez stosów, nie jest tak jednoznaczna, jak by się wydawało. Nie brakło w Polsce XVI, a zwłaszcza XVII i XVIII wieku, nietolerancji, a nawet tępego fanatyzmu religijnego. Przez tę nietolerancję przebiegała się jednak zwycięsko tendencja do poszanowania odrębnej wiary czy poglądów. Oddam na chwilę głos brytyjskiemu historykowi, katolikowi, Normanowi Daviesowi, wielkiemu przyjacielowi Polski, autorowi wydanej po angielsku niezwykle poczytnej na Zachodzie książki "Boże igrzysko. Historia Polski". Stwierdza on na początku rzecz banalną: Polska stanowiła państwo wielokulturowe. "Nie było w niej poważnych waśni religijnych; dysydenci byli przyjmowani zyczliwie". Dalej dodaje, iż ludzie różnych wyznań i sekt przybywali do naszego kraju, gdzie przecież Polacy, Niemcy i Ukraińcy od dawna żyli razem. "Każdy mógł tam znaleźć sobie miejsce i państwo nie próbowało nikogo sobie podporządkować. To dawało Polsce wielką siłę i sprawiło, że Polska wieków XV, XVI i XVII była krajem godnym podziwu". To jednak, kontynuuje Davies, wcale nie dowód, że Polacy jako wspólnota społeczna byli bardziej tolerancyjni od innych narodów europejskich. Gdy biskup, sąd ziemski lub król dostał w swe ręce kogoś uznanego za heretyka potrąfiono go uśmiercić. "Heretyków palono na Starym Rynku w Warszawie jeszcze w XVI wieku, Żydów tracono za apostazję, tak samo jak Żydzi surowo karali tych, którzy chcieli porzucić judaizm i przyjąć chrześcijaństwo. Polacy niekoniecznie byli bardziej tolerancyjni niż inni, lecz po prostu ich system rządów był tego rodzaju, że uniemożliwiał organizowanie jakichś ogólnych prześladowań". Zwróćmy uwagę na te słowa, nawet jeśli Davies poszedł nieco /ale tylko nieco/ za daleko. Przymiemy też gwoli prawdy, że np. nietolerancja wobec ludzi innej niż katolicka wiary i innej niż polska narodowości występowała niejednokrotnie w XIX i XX w. Uczciwie też trzeba powiedzieć, iż jej zatrute ziarno tkwi do dziś w niejednym z nas.

Szlacheckie państwo polskie weszło w stan głębokiego, wielostronnego kryzysu w połowie XVII w., kryzysu pogłębiają-



nego w drugiej połowie tego stulecia /wiktoria wiedeńska to w sferze religijno-moralnej wielki akt wiary i wierności, lecz w sferze politycznej jedynie wspaniały blysk chwały umierającej potęgi/. Traktat pokojowy Grzymułtowskiego z 1686 r. oznaczał nie tylko potwierdzenie oczywistego łuż od lat sześćdziesiątych zwycięskiego parcia Rosji na zachód, lecz zawiązał postanowienie nader groźne, a mianowicie zgodę Rzeczypospolitej na opiekę Moskwy nad prawosławnymi w Polsce. Państwo nasze traciło ważny element swej suwerenności. Utrata przez Polskę niepodległości /to nie jest to samo co likwidacja państwowości, co nastąpiło w 1795 r./ przypada na okres wojny północnej, a jej symboliczną datę stanowi Sejm Niemy 1717 r. Od tego czasu Polska, jej część lub całość, zależna jest - z krótkimi przerwami - od Rosji. Użyłem tu świadomie słowa: zależna. Wolę je od pojęcia niewoli. Postaram się to wyjaśnić.

## II

Zależność jest pojęciem znacznie szerszym od braku wolności czy braku niepodległego państwa. Odnosi się nie tylko do sfery państwowej, lecz również do świata gospodarki, struktur społecznych, mentalności, języka, światopoglądu. Kraj, społeczeństwo czy naród zależny może posiadać własne państwo /oczywiście państwo niesuwerenne/, może być protektorem lub jedynostką autonomiczną. Wspólnota społeczna kraju zależnego jest jednak w widoczny lub słabo dostrzegalny, "podstępny" sposób sterowana, formowana, degenerowana przez władające i dominujące centrum systemu. Zależne społeczeństwo może walczyć przeciw zależności, lecz jakaś częśćka zniewolenia stale w nim tkwi. Człowiek w systemie zależnym nie jest w pełni sobą, kłuczy i gra, jest pełen dwulicowości, coś z niechcianej rzeczywistości akceptuje, bo pozory świadczą, że jest to do przyjęcia, a coś chowa tylko w sercu. Społeczeństwo zależne jest w pewnym stopniu drażnione przez ciężką chorobę wszczepioną od zewnątrz. Nawet jeśli organizm się broni /a wiemy na własnym przykładzie, że się broni aktywnie, nieraz rozpaczliwie/, to w jego ciele zachodzą groźne zmiany.

Polska od początków XVIII w. aż do dziś znajduje się w strefie zależności /nawet we wspomnianych krótkich przerwach, interwałach, nie całkiem zanikły cechy społeczne narodu zależnego/. Jest w tej strefie albo jako bezwzględne państwo formalnie niepodległe, albo jako organizm /organizmy/ autonomiczny, albo jako państwo należące do systemu zdominowanego ściśle przez wielkie mocarstwo albo wreszcie jako kraj bez jakiegokolwiek, nawet zależnego państwa. Zależność polityczna ma więc swoje poziomy, stadia i nie jest oczywiście dla społeczeństwa polskiego obojętne, czy posiada państwo czy też nie. Funkcjonujące państwo ma istotne znaczenie, nawet jeśli wpływ społeczeństwa na jego aparat i politykę jest bardzo ograniczony. Na ogół w naszych codziennych rozważaniach na aspekt polityczno-państwowy zwraca się szczególną uwagę, mówiąc przede wszystkim o braku niepodległości i suwerenności /częśćkij o braku niepodległości i niesłusznie, gdyż istnieje niepodległość "niesuwerenna" często przecież spotykana we współczesnym świecie, ale nie istnieje i istnieje nls może suwerenność "niepodległa"/. Takis uwypuklenie przez nas sprawy niepodległości jest zrozumiałe, niemal odruchowe zresztą, lecz ostatnio coraz częściej - choć sprawa nie jest do końca

domyślana - zwraca się uwagę na niepodległość innych wymiarów, niepodległość pracy, niepodległość ducha, na elementy niezależnego społeczeństwa w zalszym państwie.

Powracam jednak do innych niż polityczno-państwowe stron zależności. Idzie mi o deformacje rozwoju gospodarczo-społecznego. Kraj zależny, jak Polska, w znacznej mierze jest przedmiotem a nie podmiotem systemu gospodarowania. To nie ona, lecz dominujące centrum lub centra kształtują jego ekonomikę, choć znaczna część zależnego społeczeństwa nie w pełni lub zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Nasz XIX w. był stuleciem bez porządnego - jak to się mówi - prężnego kapitalizmu, bez silnego mieszczaństwa. Dlaczego? W znacznej mierze dlatego, że ziemie polskie stanowiły eksploatowane peryferie dominujących ośrodków Rosji i Prus, że spełniały wobec potrzeb tych ośrodków rolę wyznaczoną im z zewnątrz bez naszej wiedzy i woli.

Zależność ekonomiczna rodziła zależność społeczną. Rozwój społeczeństwa był zdeformowany, zdegenerowany. Poszczególne środowiska społeczne nie kształtowały się samodzielnie, w sposób naturalny. "Organizowało" je centrum, a reformy, jak np. chłopska, w znacznej mierze, zależały od obcych. Starano się, by służyły interesom dominującego ośrodka. Biurokracja, podporządkowana zaborcy czy protektorowi, tworzyła warstwę, która - choć polska pod względem narodowościowym - grała rolę "obcego agenta społecznego" w żywym organizmie polskim.

Zależność kulturowa dawała się niezależnym grupom społecznym we znaki ze szczególną siłą. Była ona dwójaka: "na nie" i "na tak". "Na nie" oznaczało utrudnienia rozwoju kultury polskiej, "na tak" dążenie do wynarodowienia, czyli narzucanie obcej kultury i języka, obcozaju i sposobu widzenia świata poprzez szkołę, wojsko, administrację.

O zależności politycznej już mówiłem. Aby ją utrzymać, państwa panujące nad Polską starały się nie tylko odebrać nam swobody narodowe, lecz przekonać aktywną politycznie część narodu o utopijskości dążeń niepodległościowych. Skłócić społeczeństwo, podzielić, zastraszyć, ukazać brak perspektyw - to było najważniejsze, istotniejsze niż raz od tępego terroru czy metodycznych represji. Nie oszukujmy się. Ta polityka dawała pewne rezultaty. W wyniku jej stosowania powstawały wśród Polaków niejako dwie grupy, dwa sektory: zależny i niezależny. Pierwszy, stopniowo rosnący w liczbę, reprezentował tych, co się przystosowali, pogodzili z narzuconym stanem rzeczy, wewnątrznie ulegli, poddali się lękowi. Drugi, mniej liczny, wybrał drogę walki, a ściślej drogi walki, bo jej formy były rozmaite. W czym zaborcy i protektorzy niewątpliwie się pomylili? W jednej nader ważnej sprawie. Sądziли mianowicie, że ci, co nie zrezygnowali z walki przeciw zależności kiedyś zostaną ostatecznie zkamieni, a ci, co dali się uzależnić, poddadzą się rezygnacji nieodwracalnie, na zawsze. Tak nie było ani w jednym, ani w drugim wypadku. "Niezależni", acz nieliczni, nigdy się nie poddali, a "uzależnieni" potrafili od czasu do czasu rozprostowywać ramiona, odrzucać rezygnację i przyłączać się do tych, co walką.

Mówiąc o tych wszystkich sprawach pragnę przestrzec przed utrwalonymi schematami i legendami. Unikajmy zwłaszcza sformu-

mułowań uogólniających za wszelką cenę, takich jak "cały naród" lub "całe społeczeństwo". Nie tylko dlatego, że świadomość narodowa objęła większość Polaków potencjalnych dopiero w ostatniej ćwierci XIX w., i że to właśnie było istnym cudem narodowym w danych warunkach, nie tylko dlatego, że podziały rozbiorowe wrosły dość silnie na początku XX w. w życie naszego narodu. Po prostu dlatego, że niemało było ludzi w naszym kraju, którzy zwątpili w Polskę. Zastanawianie się nad tym, czy nie jest rozsądne lub realistyczne poddanie się, przystosowanie, powracało uparcie w XIX i powraca w naszym, XX stuleciu. Niejeden uważał, że wszelki opór, tak pokojowy w formie, jak zbrojny, to nic innego, jak bicie głową w mur. Ci, co tak uważali, nie brali pod uwagę tego, że głowy bywają twarde, a mury kruche. Nie brali też pod uwagę tego, że niekiedy nawet potężne, grube mury mogą się pod uderzeniem wielu głów szarysować, a nawet rozsypać.

Jeśli na pytanie "co zrobić?" aktywni i świadomi Polacy odpowiadali, że należy walczyć przeciw zależności i zniewoleniu o przetrwanie narodu i odzyskanie niepodległości, to od razu nasuwało się pytanie kolejne: jak walczyć? Mówi się, iż zastanawiano się nad jednym tylko: bić się czy nie bić. To jednak nieprawda. Powołam się tu na piękny list, jaki niedawno otrzymałem od prof. Henryka Wereszyckiego z Krakowa, wybitnego historyka, szlachetnego człowieka, gorącego patrioty, "nadzwyczajnego profesora", jak w 85-tą rocznicę urodzin tego uczonego pisał o nim "Tygodnik Powszechny". Otóż, poza innymi sprawami, Henryk Wereszycki pisał tak: "Powstania kościuszkowskie zakończyły I Rzeczpospolitą, ale jak walka o niepodległość nie przestała trwać w rozmaitych formach /podkreślam to mocno: w rozmaitych formach/ aż do roku 1918. Powstanie Kościuszkowskie nie miało żadnych szans zwycięstwa, ale nigdy nie było potępiane w szerszych kręgach. Rozumiano, że bez tej walki Polska nie mogłaby żyć dalej jako naród." Nie jest zatem prawdą, że hasło "dzisiaj twój triumf albo zgon" było hasłem powszechnym. Było to prawda, hasłem odważnej determinacji, przypomnieniem, że śmierć za ojczyznę ma dać jej życie, lecz nie oznaczało chęci męczeństwa za wszelką cenę. Powtarzam więc, iż dylemat "bić się czy nie bić" jest pozorny, jest szukaniem tego, co się koniecznie chce znaleźć: prostego wyboru. W historii Polski XVIII, XIX i XX w. wypadki opowiedzenia się konsekwentnego, od kolebki po grób, po stronie powstańców lub organiczników, odnaleźć można rzadko. Świadczą o tym dowodnie liczne życiorysy polskich patriotów. Bo też najczęściej kojarzyli oni dwie postawy, które przedstawia się jako nie do pogodzenia: O postawach i metodach walki Polaków decydowali przede wszystkim oni sami, ale działał też ważki czynnik zewnętrzny, bo też różne warunki panowały w różnych częściach Polski. Nie można od tego abstrahować. I nie czynili tak liczni nasi rodacy. Mówię o tym dlatego, by sprzeciwić się często narzucanemu nam umiemaniu o bezrozumności Polaków, o ich szaleństwie, o ich ukołaniu martyrologii. Umieliśmy trzeźwo patrzeć na rzeczywistość, choć nie brakło nigdy rozpalonych głów. Umieli to nie tylko organiczniacy, nazwani przez Stefana Kieniewicza "trzeźwymi entuzjastami", lecz i powstańcy, że posłużę się znanym schematem. Tyle, że brali pod uwagę to, czego nie da się ująć w liczbach: pierwiastek duchowy, siłę idei, moc wiary.

Przedstawię teraz dwa przykłady działań Polaków, które z pozeru były skrajnie odmiennie, a w istocie podobne. Pierwszy dotyczy początków XIX w., drugi końca tego stulecia.

Przyjrzyjmy się sytuacji w atonomicznym, liberalnym Królestwie Kongresowym lat 1815-1830 i genezie Powstania Listopadowego. Otóż w tym nowoczesnym, świetnie zorganizowanym państwie, jakim było Królestwo, utrwał się zaczął groźny w swym działaniu, trucicielski system. Jego twórcy nie spieszyli się. Szło im powolnie wprowadzenie przez samych Polaków /którzy dysponowali własną administracją, polskimi szkołami i polskim wojskiem/, lecz pod nadzorem władz carskich, rusyfikacji bez widocznej rusyfikacji. Polacy mieli oto powoli zaakceptować obcą im, despotyczną ideę monarchiczną, stałą unię z Rosją, więzy gospodarcze scalające Królestwo z cesarstwem rosyjskim. Mieli po prostu uznać, że tak właśnie jest dobrze i że inaczej nie będzie i być nie może. Powoli zaczęto rusyfikować armię, nie pod względem językowym oczywiście, bo nie było to jeszcze potrzebne, lecz duchowym. Wodzem naczelnym był, jak wiadomo, wielki książę Konstanty. Co więc zmieniano: organizację wojska, typ musztry, stosunek oficerów do żołnierzy. W Wojsku Polskim zaczęto wzorem rosyjskim wprowadzać kary cielesne. Róż też dystans między uprzywilejowaną kadrą oficerską a zwykłym żołnierzem. I jeszcze jedno, nader ważne. Na terenie Królestwa stacjonowały sojusznicze wojska rosyjskie, a żołnierze polscy odbywali wspólne z Rosjanami manewry.

Dość liczni Polacy wyrażali zgodę na ów słabo zauważalny, lecz w miarę upływu lat coraz bardziej widoczny proces ekonomicznej, politycznej i wojskowej integracji Królestwa Polskiego z cesarstwem rosyjskim. Lecz spiskowcy lat dwudziestych XIX w., a zwłaszcza podchorążowie i studenci ze Sprzysiężenia Wysockiego, nie mogli znieść ani lojalizmu i bogacenia się dawnych napoleończyków, ani biurokratycznej duchoty Królestwa, ani panoszenia się tajnej policji, ani ciągłego gwałcenia konstytucji. Temu, co groziło, czyli wynarodowieniu bez jawnego wynarodowienia /niebezpieczeństwo to bardziej wyczuwali niż rozumieli/ powiedzieli swoje "nie". Balf się, że pół-niepodległość staje się powoli ćwierć-niepodległością. Przebudzić Polaków w tej sytuacji mogło tylko powstanie. I tak nadszedł 29 listopada 1830 r.

Przykład drugi. Przez ćwierć wieku po Powstaniu Styczniowym, a nawet dłużej, dominowała w Polsce praca organiczna. I dawała pozytywne efekty. Zawarta w niej była bardzo wyraźna motywacja narodowa i niepodległościowa, choć o tej drugiej zazwyczaj nie mówiono. Organizmicy byli takimi samymi rewolucjonistami narodowymi jak powstańcy. Za pokojową działalność im również groziły kary. W Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku budowano solidarność narodową przeciw Prusakom, walczono o prawo do wiary, o polskości splecioną nierozdzielnie z katolicyzmem. Za uczenie się historii Polski na tajnych kompletach, za odmawianie po polsku pacierz groziło pobicie, a nieraz więzienie. Jeden z umiarkowanych, organizmickich działaczy wielkopolskich, przeciwnik powstań i konspiracji, Maksymilian Jackowski, pisał w jednym z listów, że to co robi określić można jako "krecią robotę podziemną".



† A w Królestwie? Masowe tajne nauczanie, które począwszy od lat osiemdziesiątych objęło liczne rzesze chłopów i robotników, stało się w praktyce masową ludową i narodową konspiracją, nawiązującą w niejednym do państwa podziemnego doby Powstania Styczniowego. Władze carskie niewiele mogły tu poradzic. Jeden z raportów policyjnych z Sosnowca, z roku 1897, mówi o tym, że ludzie zbierają się po domach prywatnych i uczą na tajnych kursach. Policjant podaje adresy kilku nielegalnych punktów szkoleniowych, lecz stwierdza ze smutkiem, iż jest ich z pewnością więcej, lecz zupełnie nie wie gdzie. Rzuca się w oczy bezradność aparatu policyjnego wobec tej oświatowej konspiracji, która, mimo ponoszonych strat, nie dała się zniszczyć. Dla pobudzania ducha narodowego, dla budowy tożsamości kulturalnej ruch ten miał ogromne znaczenie. A przecież i duchowieństwo w toku pracy duszpasterskiej budowało niezależny naród polski, krzewiło polski język i wiedzę o historii ojczyzny.

#### IV

Dotąd mówiłem o stale rozrastającym się aktywie narodowym. Pora na kilka uwag o Polakach zwyczajnych, mało świadomych narodowo, często nie zaangażowanych w roboty patriotyczne. Jacy byli? Bardzo różni, dzieleni przez zaborcze państwa, przeciwstawiani jedni drugim. To już jednak wiemy, to był zatruty owoc zależności. Byli Polacy w swej masie wierzący, w znacznej większości należeli do Kościoła Rzymsko-Katolickiego, choć przewaga katolicyzmu nad innymi wyznaniem chrześcijańskimi i niechrześcijańskimi była wyraźnie mniejsza niż dziś. Pod koniec XIX w. postępował proces laicyzacyjny, zwłaszcza w zaborze rosyjskim i austriackim. Czy religijność polska była głęboka, czy wiązała się z chrześcijańską moralnością indywidualną i społeczną, zbiorową? W tej mierze można żywić poważne wątpliwości. Stopień przestępczości pospolitej w Polsce był dość wysoki, alkoholizm stanowił ogromną plagę społeczną we wszystkich dzielnicach, zwłaszcza jednak w Galicji i zaborze rosyjskim. Nadużywanie picia wódki z różnych wyrastało przyczyn: po pierwsze - z mającej spowolować rozkład społeczeństwa celowej akcji władz; po drugie, świadomego rozpijania chłopów przez właścicieli ziemskich; po trzecie, niskiego stopnia wykształcenia ludności; po czwarte, nędzy i szukania chwilowej ucieczki w gorzałce. Wielkim wysiłkiem Kościoła /tzw. bractw trzeźwości/ i społeczników z różnych warstw społecznych, zwłaszcza inteligencji, alkoholizm wyraźnie zmniejszył się w ostatnich dekadach XIX stulecia. Był to wielki sukces moralny, społeczny i narodowy. Pięknostwo jednak nie przestało być społecznym zagrożeniem.

Wystawiano Polakom, zaborcy i inni, opinię ludzi leniwych, źle gospodarujących i nieracjonalnie myślących. To duże uproszczenie. Umieliśmy być i pracowici, i racjonalni, i systematyczni. Cechy te wszakże nie rozkładały się równomiernie pod względem regionalnym i społecznym. Wymienione cnoty łatwiej było odnaleźć w zaborze pruskim niż rosyjskim, łatwiej wśród chłopów i robotników lub rzemieślników, niż ziemian lub inteligentów. Czy bardziej powodowaliśmy się sercem niż rozumem? Gdy idzie o znaczną część inteligencji raczej porwy i emocje, gesty i marzycielstwo dominowały, lecz i w tym wypadku nie należało tych osób uznawać za powszechne. Ważne jest to, że

niektóre typowe postawy szlachecko-inteligenckie zarażały nie tak znów rzadko warstwę ludową. Pisze się często, że kompleksy wyższości, duma i drażliwość, były to charakterystyczne polskie cechy, w każdym razie w XVIII, a zwłaszcza w XIX w. Tak, Polacy lubili nadymać się pseudogodnością, urażać i obrażać, pieniaczyć i puszczać, lecz i to nie było tak znów powszechne. Niestety, występowały też w naszym społeczeństwie jady oczywiste: spryciarstwo, niesłowność, brak dyscypliny /nie wszędzie/, i niestety służalczość, a nieraz płaszczanie się przed obcymi.

Dumni jesteśmy z naszego patriotyzmu. Jest on faktem w przeszłości i obecnie niezaprzeczanym. Czy jednak bezsporna nie górujemy pod tym względem nad innymi narodami, trudno udowodnić. Raczej nie. Gloryfikujemy ponad miarę naszą narodową solidarność, a także oczywiście umiejętność patriotycznego zjednoczenia, na ogół krótkotrwałego. Łatwiej umieliśmy w dobie porozbiorowej działać zrywowo, a potem kłócić się i dawać podzielić, niż trwać z uporem przy swoim. Lecz i tego powoli uoczyliśmy się. W XVIII, XIX i XX w. byliśmy kulturowo i duchowo atrakcyjni i umieliśmy bez żadnego nacisku polonizować innych. To chętnie podkreślamy. Lecz niezbyt chętnie mówimy o tym, że stopniowo upodobnialiśmy się do naszych ciemniejszych, że wielu Polaków uległo germanizacji lub rusyfikacji nie z przymusu, lecz z przystosowania lub wręcz z ochoty. Zazwyczaj o stratach mówi się mniej ochocko niż o zyskach. To, że przetrwaliśmy jako naród i odbudowaliśmy niepodległość państwa nie oznacza, byśmy mieli zapominać o naszych słabościach i niepowodzeniach.

Wolność wynosiliśmy na piedestał. Było to słuszne i piękne. Czy jednak nie zapłaciliśmy za to pewnej ceny, nie tak znów niskiej? Mając rząd obcy nie ceniliśmy dyscypliny obywatelskiej, bo nie byliśmy wszak obywatelami. Ta skaza przeszkadzała nam miarka, i to poważnie, po 1918 r., kiedy już byliśmy obywatelami własnego państwa. Rzecz jest o tyle ważna, że w naszych dziejach najnowszych nie mieliśmy szczęścia /poza krótkimi okresami/ do władz mających mandat społeczeństwa. Trudno było w tych warunkach umieć połączyć zakorzenione w nas poczucie prawa do wolności z dyscypliną wewnętrzną obywatela, który mimo niesprawiedliwego rządu oszuje się wolny. Czy podjęliśmy z powodzeniem trudną próbę takiego połączenia? Myślę, że nie w pełni.

Wspomniałem już o sprawie polskiej religijności XVIII, XIX i początków XX w. Warto teraz dorzucić w tej kwestii kilka dodatkowych uwag. Wiele cech polskiego katolicyzmu wywodzi się z XVII w., a więc czasów potrydenckiej reformy Kościoła, czasów baroku. Był to katolicyzm walczący, powie-działbym graniczno-frontowy, dość powierzchowny i ceremonialny, barwny, lecz mało refleksyjny, nie wolny od fanatyzmu, ksenofobii i nietolerancji. Te właśnie przymioty charakteryzowały m.in. konfederatów barskich.

Reformatorzy czasów Oświecenia i rewolucyjni patrioci polscy pierwszej połowy XIX w., niewątpliwie żarliwi wiarą, popadali nieraz w konflikt z hierarchią kościelną i papieżami, godzącymi się na rozbiory, przeciwnymi laicyzmowi oświeceniowemu, liberalizmowi i rewolucjom. Targowiczanie mocno eksponowali swój ultrakonserwatywny katolicyzm. Nic tedy dziwnego, że w powstaniu kościuszkowskim lud warszawski

wieszał targowiczam-biskupów. Nie przestawał po swojemu wierzyć, lecz usiłował - peken goryczy - wyraźnie rozdzielać rzymski katolicyzm od prorosyjskiej hierarchii Kościoła rzymsko-katolickiego. Po trzecim rozbiore Polski katolicyzm i Kościół hierarchiczny stopniowo i nie bez rozdarć utożsamiał się z polskością walczącą i cierpiącą. To wszak w XIX w. wieszczowie wadzili się i mowowali z Bogiem, potępiali papieży, odchodzili od Kościoła i wracali doń, tworzyli na podstawach katolickich polski mesjanizm. W miarę upływu lat rosło zjednoczenie polskości i wiary katolickiej. Jedni księża walczyli w powstaniach, inni namawiali wiernych, aby się w nie nie angażować. Mimo odruchów buntu patrioci polscy pozostali najściślej związani z Kościołem. Orzeł Biały i Pogoń Litewska, Krzyż i wizerunek Matki Bożej stawały się łącznie jednym symbolem Polski walczącej przeciw zniewoleniu. Męczeństwo patriotyczne, takie jak Romualda Traugutta, miało charakter religijny, prace organiczne, zwłaszcza w zaborze pruskim, podejmowano przy aktywnym współdziałaniu duchowieństwa. Wiele pieśni patriotycznych tego czasu, to pieśni religijno-patriotyczne. Ale przecież nie wolno zapominać, że wśród ludu nie brak było postaw i działań antyklerykalnych, że śpiewano też "o cześć wam, księżęta, hrabiowie, prałaci, że kraj nasz krwią bratnią zbrzygany".

## V

I tak oto stanąłem u progu historii współczesnej. Nie będę mógł szerzej scharakteryzować krótkiego okresu naszej drugiej niepodległości, pragnę bowiem zdać parę poświadczeń sprawie nader istotnej czyli temu, czym jest - moim zdaniem - Polska dzisiejsza i jacy jesteście wy, współcześni Polacy.

Siedemdziesiąt lat temu pierwsza kompania kadrowa wyruszyła w bój, sześćdziesiąt sześć lat temu powstała do nowego życia niepodległa Rzeczpospolita, sześćdziesiąt cztery lata temu zwycięstwo pod Warszawą utrwaliło naszą niezawisłość. Na krótko! Nie podejmuję się trudnego bilansu dwudziestolecia. Były w nim niewątpliwie i blaski, i cienie. Nieodstrzeżenie niesprawiedliwości, mrocznych zakamarków naszej ówczesnej rzeczywistości byłoby występowaniem przeciwko prawdziwej historycznej. Jednakże jeden z blasków tej epoki jasnością swą rozprasza mrok, jest jak wielki snop ostrego światła. To niepodległość. Co nam przyniosła owa wymarzona i wywalczona niepodległość? Siłę na przetrwanie następnych długich i trudnych lat, siłę na dziś. Wyrosła nowa, ambitna, młoda generacja, nie okuta w powiciu. Starsze pokolenie myślenia, zaczęło myśleć po nowemu. Niepodległość jednakże to był czas krótki, okrutnie krótki. Nie nastąpiły ani w cechach narodowych, ani postawach i sposobie patrzenia na świat wielu Polaków zmiany zasadnicze, nieodwracalne. Nie dane nam było ani całkowite zjednoczenie, ani całkowite zrzućcie z siebie piętna niewoli, zależności i podporządkowania. Jednak mocniejsi w 1939 r. weszliśmy znów w mrok wojny, cierpienia, nienawiści, podwójnej okupacji. Weszliśmy w tę epokę tragiczną, w czas pogardy, w wiarę w odzyskanie całkowitej niepodległości demokratycznego państwa. Dzieje drugiej Rzeczypospolitej zakończyły się Powstaniem Warszawskim 1944 r. Mimo przegranej stanowi ono dla nas żyjących punkt odniesienia do dziś. Powstanie to, w

tym co było jego najgłębszym sensem, trwa nadal. Jest symbolem.

Jeśli wspominam o symbolach, to nie bez przyczyny. Nasza teraźniejszość, zwłaszcza lata ostatnie, przesiąknięta jest historią, często zmitologizowaną, pretekstową, pełną skrótów myślowych lub spraw nie domyślanych do końca, a zasadzających się na emocjach. Ma to swoje strony dodatnie, zespała naród, buduje solidarność społeczeństwa walczącego o swe prawa, lecz posiada również aspekty negatywne, osłabia rzeczową analizę, unika narodowego rachunku sumienia, utrudnia wyciąganie słuszych wniosków. Myślimy poprzez historię, wykonujemy gesty już kiedyś znane, reagujemy emocjonalnie, podobnie jak nasi dziadowie. Rzeczywistość, która nas otacza, której jesteśmy częścią i którą współtworzymy, nasuwa analogie z przeszłością, ozasem fałszywe, często boleśnie lub radośnie prawdziwe. Te prawdziwe wynikają z podobieństwa naszego położenia do sytuacji z XIX w., z istnienia oplatającego nas systemu zależności.

19 października 1984 r. ks. Jerzy Popiełuszko mówił w Bydgoszczy do grona wiernych. Były to ostatnie jego słowa wypowiedziane publicznie przed odjazdem ku śmierci i nieśmiertelności. 3 listopada na miejsce ostatniego spoczynku odprowadzało niezapomnianego księdza-męczennika kilkaset tysięcy Polaków z Warszawy i całej Polski. Była to wielka żałobna manifestacja narodowa. Kraj żegnał człowieka skromnego i wielkiego duchem, kapłana i patriotę. Ow wstrząsający pogrzeb stanowił ogień w kańcuchu, który wije się przez polskie dzieje. Nasza historia pełna jest, niestety, wielkich narodowych manifestacji nad szczątkami wielkich Polaków, pod szafotami, nad trumnami ofiar przemocy, niesprawiedliwości i nienawiści. Przypomnę pogrzeby ks. Józefa Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki, Stanisława Staszica, Pięciu Poległych, Romualda Traugutta, Józefa Piłsudskiego, a ostatnio ks. Jerzego Popiełuszki. Niekiedy nie dane było ludziom uczestniczyć w ostatniej drodze tych, zabitych, którzy pochowani zostali po kryjomu. Składamy im hołd i modlimy się przed pomnikami wzniesionymi na ich cześć w Poznaniu, Gdańsku, Gdyni i innych miastach naszej ojczyzny.

Historia tkwi w nas, to prawda, ale doświadczenie ostatnich lat czterdziestu w niejednym odmiennie jest /i zapewne trudniejsze/ od doświadczeń okresu zaborów. Wpływa ono w poważny sposób na to, czym jesteśmy dziś jako społeczeństwo i jako naród.

Cechą bodaj najistotniejszą ostatnich dziesięcioleci jest daleko posunięte upaństwowienie kraju, etatyzacja społeczeństwa i jednostki. Większość znaczna Polaków to ludzie "państwowi", zależni od aparatu państwowego, na który mają wpływ bardziej niż ograniczony. Nawet ci, którzy nie są urzędnikami państwowymi przy maszynie, za biurkiem lub za katedrą podlegają daleko idącej presji ze strony wszechobecnego państwa, a może ściślej państwa, które - mocno wyodrębnione i wyobcowane - pragnie być wszechobecne. Jesteśmy od przedszkola po wiek sędziwy pod obstrzałem państwowej, zmonopolizowanej propagandy. I znów, jak dawniej - zorganizowana presja, wychowanie, kształcenie odruchów, agitacja, system prawny, wszystko to wywiera poważny wpływ na społeczeństwo. Wielu zaczyna rozumować kategoriami aparatu państwowego, wierzyć



temu, czemu wierzyć nie można, a zwłaszcza podporządkowywać się nie z przekonania, lecz z mniej lub bardziej uświadomionego lęku. Nierzadko punktem odniesienia nie jest już interes społeczny czy narodowy, lecz interes aparatu państwowego. W niejednym aspekcie życia polskiego następuje deformacja i degeneracja. Nawet niezależne ruchy społeczne sprzeciwiające się wszechwładzy państwa nabierają cech odpaństwowych.

W ciągu szesnastu miesięcy 1980 i 1981 r., kiedy nieskusznie sądziliśmy, że prawie zerwaliśmy już z statyzacją społeczeństwa, nasiliły się tendencje do idealizacji społeczeństwa jako zbiorowości świadomie zdyscyplinowanej, solidarnej, odpowiedzialnej. Nie całkiem tak było i niezupełnie tak jest. Ciągniemy za sobą niedawną przeszłość. Warto zatem wpiერw powiedzieć o naszych wadach, a dopiero później przedstawić pozytywne i niosące nadzieję zmiany.

Podczas Kongresu Kultury, który obradował w Warszawie w dniach 11 i 12 grudnia 1981 r. i został przerwany wraz z wprowadzeniem stanu wojennego, o stanie naszego społeczeństwa mówił gorzko, może nieco za ostro, znany pisarz Andrzej Kijowski. Nie należy, wołał, opierać się na anachronicznych ideach i wywoływać na scenę narodową historycznych widm. W głowach ludzkich panuje chaos. "Trzeba to głośno powiedzieć. Dziś, przed szkodą, a nie po szkodzie, jak literatura emigracyjna po listopadowym powstaniu, która wówczas patrzyła za siebie dostrzegła to, co prowadziło do katastrofy: obok przemocy z zewnątrz jeszcze mąt w głowach i wieprzowość życia powszechnego. I to też trzeba powiedzieć. Polacy przodują dziś w świecie nie tylko w zakresie zadłużenia swego państwa i zatrucia swego środowiska, lecz także w spożyciu alkoholu, ilości rozbitych rodzin i dzieci zamordowanych przed urodzeniem /.../. Niezależnie od systemowych obciążeń, każdy jest odpowiedzialny za stan własnej głowy i własnej rodziny, za swój dom i swój warsztat pracy". A dodajmy do tego nierzetelność, próżniactwo, nieskłonność, dwulicowość, złodziejstwo, zapódkarstwo, grubiaństwo i pleniący się rzymsztokowy język, zachwaszczony obcymi naleciałościami.

W pośrodku zła, którego w nas nie brakuje, dokonuje się w trudzie odrodzenie społeczeństwa, nabywanie duchowej i społecznej niezależności. I tu nawiązujemy do historii. Polska po trzecim rozbiorze to była, mówiąc słowami Joachima Lelewela, "Polska odradzająca się". Trzeba nam wiele siły i zwłaszcza wytrwałości, bo krótkotrwała jedność, solidarność, braterstwo potrafiły budować.

Zmiany na lepsze, jakie widzimy i o jakie znaczną część społeczeństwa walczymy, związane są ściśle z obecnością i działalnością Kościoła: duszpasterską i moralną, oświatową i kulturalną. Ta żywa obecność, jak sądzę, jest oczywiście trwałą i dawna, lecz ostatnio odczuwana mocniej niż kiedyś. Kościół posoborowy to Kościół wielkiego otwarcia, otwarcia na ludzi i ich sprawy, u nas na sprawy wolności narodu, niezależności organizacji ludzi pracy i niezależności duchowej społeczeństwa. Obierzujemy zbliżenie do Kościoła, powrót do wiary liczących Polaków niedawno jeszcze dalekich od religii. Z pewnością są dość liczne dowody na pogłębienie się życia religijnego. Nie brak wszakże, i to jest naturalne, rozterek, sporów, konfliktów i nieporozumień w Żonie Kościoła. Czy ostatnie lata to również masowe odrodzenie religijności? Nie odważyłbym

się odpowiedzieć na to pytanie. Myślę, że to odrodzenie, postępujące powoli, jest faktem. Czy jednak faktem powszechnym? O tym wątpię. Niemało wciąż starej, formalnej, teatralnej religijności, bezkonfliktowo współżyjącej z biernością wobec zła, które w ludziach i które wokół nas.

## VI

Polska jest wciąż w stanie zawichrzenia. Potrzebuje wolności i pokoju, a przecież nie ma prawdziwego pokoju bez wolności. Polacy odnaleźli wiele z cennych wartości, czerpanych z przeszłości i wykuwanych dziś, lecz przecież nie porzucili swoich słabości. Dlatego niezwykle ważny jest stopniowo rozwijający się ruch trzeźwości, a ściślej otrzeźwienie, bez którego nie ma życia w rzetelnej pracy, wolności, roztropności i prawdzie. Przebijają sobie w nas drogę te cechy, postawy i cnoty, których nam pilnie potrzeba: solidarność, prawda, miłość, wytrwałość i męstwo.

Jeszcze raz, na zakończenie, powtórzę, że to, co nam jest szczególnie potrzebne, to wytrwałość, swoisty upór w działaniu na rzecz dobrej sprawy. I odwaga. Tytuł wspaniałej książki zredagowanej przez Francuza Andre Frossarda, a zawierającej relacje z jego rozmów z papieżem, brzmi "Nie lękajcie się!". Są to słowa Jana Pawła II. Zrozumiał je do głębi i pozostał im wierny do końca ks. Jerzy Popiełuszko. Wiem, że trudno się nie bać. Lecz trzeba pamiętać, że lękiem można rządzić i zniewalać, że lęk paraliżuje i odczuwiewoza. Opowiem o pewnym wydarzeniu w jednej z klas licealnych w warszawskiej szkole /a na pewno nie był to wyjątek/. Otóż, zgłosiła ona wychowawcy i dyrekcji chęć uczestniczenia w pogrzebie ks. Jerzego Popiełuszki. Wyrażono oficjalną zgodę na opuszczenie przez młodzież lekcji, ale pod jednym warunkiem: w poniedziałek, 5 listopada, wszyscy uczniowie muszą przynieść zaświadczenie od swych rodziców, stwierdzające, że za ich zgodą i aprobatą opuścili lekcje, by udać się na uroczystości żałobne. Zaświadczenia były potrzebne władzom dla celów podobno statystycznych. W pogrzebie wzięła udział prawie cała klasa, lecz zaświadczenia mówiące prawdę przyniosło tylko dwóch uczniów. Reszta ukazała pisma od rodziców, stwierdzające, że ich dzieci albo bolała głowa, albo miały rozstrój żołądka. Zwyciężył więc lęk, zwykły strach, w tym wypadku nader naiwny i niezwykle małoduszny. I to właśnie w sprawie, w której zwyciężyło bezgraniczne męstwo, które było wielkim przykładem.

Polacy szczygą się, że są narodem odważnym. Są nim, ale nie zawsze. Bez pokonania bojaźni nie ma godności i nie ma prawdy. Z lękiem w sercu nie da się pokonać zła. Nie bójmy się!

Tadeusz Kępkowski

Daniel Beauvois jest profesorem historii na Uniwersytecie w Lille, specjalizującym się w dziejach Europy środkowo-wschodniej. Jego książka poświęcona rusyfikacji Ukrainy w XIX wieku ukaże się niebawem w języku francuskim. Przygotowywany jest też przekład polski. Szkic pt. Stereotyp "polskiej anarchii" zaczerpnęliśmy z 39 numeru "Aneksu". /Red./

Daniel Beauvois

# STEREOTYP „POLSKIEJ ANARCHII”

Jeżeli za wskaźnik wagi jakiegoś pojęcia uznać stopień, w jakim przeniknęło do języka potocznego, którego uczą się dzieci i który ostatecznie wyróżnia daną kulturę, by za sprawą niestannych powtórzeń przekształcić się w stereotyp - to pojęcie a n a r c h i i zdaje się w świecie takim odgrywać rolę szczególnie doniosłą. Występuje ono często w zwrotach i porzekadłach, tych zastępych formach językowych. "Polska nierządem stoi" - może tu służyć za przykład. Te porzekadła, w których słowo n i e r z ą d jest równoznacznikiem zarazem anarchii, nieporządku i bałaganu, choć zdają się wyrażać jakąś prawdę, są dziś używane tylko ze smutną ironią, świadczą o dezaprobach i dystansie. Ich utrwalenie się w języku, a nawet w jego warstwie najbardziej ludowej, zmusza do cofnięcia się w daleką przeszłość aż do XVII-XVIII wieku; będzie o tym mowa niebawem.

Pojęcie nierządu lub anarchistycznych tendencji społeczeństwa polskiego, eksploatowane przez reżim Jaruzelskiego od 1981 roku, wykracza jednak znacznie poza obraz utrwalony w porzekadle. Stało się ono praktycznie uzasadnieniem samego reżimu. Warto zatem zastanowić się nad pochodzeniem, a zwłaszcza nad funkcją tego dziwnego uznania nierządu za przywarę narodu. Zaskakuje stwierdzenie, jak daleko ów stereotyp swojskiego chowu /autostereotyp/ wykroczył poza granice kraju - zwłaszcza gdy idzie o narzeczenie obcego panowania narodowi polskiemu - oraz jak bardzo manipulują nim na użytek wewnętrzny zarówno poszczególne osoby, jak wąskie grupy, ilekroć zakwestionowana jest ponownie rzeczywistość polityczno-społeczna.

Bardzo bliskie stereotypu polskiej anarchii są Polnische Wirtschaft w świecie niemieckojęzycznym i rosyjska Polakeria. Wizja Polski, jaką mieli - i często jeszcze mają - Rosjanie i Niemcy, wiąże się w znacznej mierze z tym obrazem. Podobnie jak świat słowiański przyjął negatywne określenie swych germańskich sąsiadów, ich obecność wobec własnej wspólnoty językowej, która czyniła z nich właśnie N i e m c ó w, tak świat germański oraz zgermanizowana Rosja Piotra Wielkiego i Katarzyny II

przyczyniły się istotnie do określenia Polski jako ich przeciwnictwa, jako tego, co nie jest porządkiem /Ordnung/, regulaminem i biurokracją, i co zatem może być tylko anarchią. W tym przypadku stereotyp występuje w swej funkcji najprymitywniejszej: służy nie przemysłowej identyfikacji, prostackiej i niezmiennej. Ponieważ zaś przez blisko dwa wieki światy germański i rosyjski, najpierw w postaci Świętego Przymierza, a w XX wieku - rosnących mocarstw totalitarnych, jawiły się pospół jako twierdze "porządku", przeto kwestia polska i polskość w ogóle - elementy tradycyjnie destabilizacyjne - musiały uchodzić za czynniki wywrotowe, wprowadzające anarchię.

O żywotności tego stereotypu świadczy dobitnie seria najnowszych przykładów. Dostarcza ich szczerze historia ostatnich czterech lat. Dlatego też niezbędne jest przypomnienie kontekstu, w jakim się on pojawia. W latach 1980-1981 Polska znajduje się w okresie gruntownego zakwestionowania struktur politycznych, społecznych, intelektualnych; przyrównać by je można tylko do czterech lat Sejmu Wielkiego, który w latach 1788 do 1792 zrodził Konstytucję 3 Maja. Tak jak ówczesna odnowa była nie do przyjęcia /drugi rozbiór/, tak i "Solidarność" postrzegana jest z Moskwy jako obce ciało, które trzeba wyeliminować.

Przeciętny Rosjanin używa dla określenia "Solidarności" takich słów jak: biezobrazije, koszar, swirlepstwujuszczaja reakcija, antisocjalistyczieskaja orgija. Sowiecka prasa potępia podżegaczy strajkowych, terroryzm, ekstremizm, szantaż, dzikie protesty, ogólny chaos, upadek gospodarczy itp. Wszystkie te słowa kojarzą się z pojęciem anarchii i dobrze wyrażają stereotyp powodując - niczym opisane przez Waltera Lippmanna słowa takie, jak Żyd, Ormianin, Grek itd. - zawsze te same, dające się przewidzieć reakcje.

Tak więc można z łatwością zauważyć, jakie funkcje spełnia obecnie stereotyp polskiego nierządu. Jego cel jest jasny. Sprecyzowany został przez polskich rzeczników Moskwy jeszcze przed uderzeniem wojskowym. 13 grudnia rano Jaruzelski mówi o k o n i e c z n o ś c i wprowadzenia stanu wojennego ze względu na, jego zdaniem, zbyt zaawansowany "proces rozkładu", a "twardogłowi" z "Rzeczywistości" mówią wyraźnie o anarchii. Słowo to powraca często w przemówieniu telewizyjnym z 13 grudnia, w połączeniu z takimi terminami, jak "ruina", "rozprężenie", "katastrofa". Generał twierdzi, że:

"...Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wniesiony z popiołów polski dom, ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać /.../ Atmosfera nie kończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści - sieje спустoszenie psychiczne, kaleczy tradycje tolerancji. /.../ Mnożą się wypadki terroru, pogroźki i samosądów moralnych, a także bezpośredniej przemocy. /.../ Chaos i demoralizacja przybrały rozmiary klęski. /.../ Już nie dni, lecz godziny przybliżają ogólnonarodową katastrofę. /.../ Instykt samozachowczy narodu musi dojść do głosu. Awanturnikom trzeba skrepuć ręce, zanim wtrąca Ojczyznę w otchłań bratobójczej walki. /.../ Demokrację można



jednak wdrażać i rozwijać tylko w państwie silnym i praworządnym. Anarchia jest zaprzeczeniem, jest wrogiem demokracji".

Teoretycy, którzy zastanawiali się nad właściwościami stereotypów, zauważają przeważnie, że wyrażone w nich ujęcie rzeczywistości służy wyeliminowaniu myślenia, utrwaleniu ponadczasowych, najprostszych prawd i wymuszeniu aprobaty na takiej zasadzie, jak kateryczne stwierdzenie Arystotelesa, iż niewolnik nie posiada duszy. Dokładnie w ten sposób funkcjonują w Stanach Zjednoczonych uprzedzenia rasowe, jak udowodnili to A. Rice, D. Katz lub B. Braly.

Stereotyp anarchii jest tedy przywoływany ilekroć narzucono z zewnątrz porządek ulega zagrożeniu przez autentycznie polski zryw. W swej formie obecnej ujęcie to jest więc wyrażenie hetero-stereotypem, który znajduje wszelako oddźwięk w wąskiej grupie obywateli kraju, którzy przygotowują grunt do użycia siły. W 1970 roku podobne ujęcie wydarzeń nie doprowadziło do równie radykalnego rozwiązania polegającego na infantyilizacji i podporządkowaniu sobie całego narodu, choć gomułkowska próba utrzymania się przy władzy pomimo wybuchu gniewu w Stoczni Gdańskiej odwoływała się do tych samych frazesów.

Agencja PAP opublikowała wówczas następujący komunikat:

"W dniach 14 i 15 grudnia w Gdańsku miały miejsce poważne zajęcia uliczne. Wykorzystując sytuację, jaka wytworzyła się wśród załogi Stoczni Gdańskiej, elementy awanturnicze i chuligańskie, nie mające nic wspólnego z klasą robotniczą, zdemolowały i podpaliły kilka budynków publicznych i obrabowały kilkadziesiąt sklepów. Wobec interweniujących funkcjonariuszy porządku publicznego dopuszczono się mordów, jest również wielu ciężko rannych przebywających obecnie w szpitalu. W wyniku starć spowodowanych przez chuliganów 6 osób zostało zabitych, a kilkadziesiąt rannych".

Tu również jest mowa o "działalności antypaństwowej". Wygłąda więc na to, że wszelki ruch sprzeciwu i odnowy uznaje się za "nieodpowiedzialny". "Te nieodpowiedzialne czyny, jak wykazują wypadki gdańskie, mogą jedynie spowodować nieoszacowane straty i przynieść tragiczne skutki". /"Trybuna Ludu"/

Strach klasy panującej uwydatnia się jeszcze bardziej w przemówieniu telewizyjnym Józefa Cyrankiewicza. "Wypadki te - stwierdza - zostały wykorzystane przez elementy anarchistyczne, chuligańskie i kryminalne". I dalej, wspominając o przeniesieniu się konfliktu do Szczecina, dorzuca: "Siły wrogie usiłują stwarzać nowe ogniska anarchii... Niech każdy na swoim posterunku, w poczuciu odpowiedzialności za kraj i za państwo, przeciwstawi się wszelkim anarchistycznym odruchom i stanie w obronie ładu, porządku i dyscypliny społecznej...".

Widać zatem, że przywoływanie stereotypu i stereotypowej argumentacji jest szczególnie "wskazane", gdy obiektywna rzeczywistość nie daje się nagiąć do z góry przyjętych założeń,

które są z nią sprzeczne. Stereotyp staje się wówczas jednym z najważniejszych składników tego, co Milton Rokeach nazywa "myśleniem zamkniętym". Jest odruchem obronnym /2/. Operowanie stereotypem wydaje się swego rodzaju powrotem do wiary w moc sprawczą słów, niczym niszczenie wroga przez naklejenie mu uproszczonej i schematycznej etykiety. Chodzi tu o karykaturalną i uwłaczającą redukcję.

Przystrojony w atrybuty racjonalizmu i oczywistości stereotyp, który odwołuje się do reakcji elementarnych, okazuje się prawdziwie skuteczny, gdy sam staje się odruchem lub opiera się na odruchu. W najnowszej historii Polski stereotyp anarchii służył tym samym celom również w czasie wielkiej eksplozji społecznej i podważenia systemu w 1956 roku. Oczywiście, w czerwcu tegoż roku, tuż po proteście robotniczym w Poznaniu, mówiono o bałaganie, chaosie i prowokacji agentów imperializmu amerykańskiego. Dopiero jednak szeroki ruch dyskusyjny, który rozwinął się następnie w Warszawie wśród intelektualistów skupionych wokół pisma "Po prostu", wywołał u sowietów i ich przyjaciół tendencję do odruchów stereotypowych. "I Humanie", wypowiadając się wówczas na temat Polski, przywołuje stereotyp szuana, który ma tę zaletę, iż godzi ze sobą w sposób zrozumiały dla Francuzów pojęcia bałaganu, rebelii i katolicyzmu; wszystkie te wady znakomicie pasują do Polaków.

Stereotypem polskiej anarchii posługiwał się jednak najlepiej jeden z najbardziej wtedy promoskiewskich Polaków: Bolesław Piasecki. Przywódca ruchu PAX publikuje 16 października 1956 roku /tuż przed decydującym VIII plenum/ artykuł, którego sam tytuł zdradza już charakter irracjonalny i dezinformacyjny. Tytuł ten brzmi: "Instynkt państwowy". Gdy się zna faszystowską przeszłość autora artykułu, łatwo się domyślić, jak ważne jest dlań odwoływanie się do instynktu. Chodzi o wyzwolenie niekontrolowanego, niejako zwierzęcego popędu w sytuacji, gdy grupa stalinowców traci grunt pod nogami; odwołanie się do anarchii i nieodpowiedzialności ma sprowokować odruch samozachowawczy, instynktowne działanie zmierzające do zatrzymania ruchu. Posłuchajmy rozważań zawartych w tym artykule:

"Fakt, że nasza dyskusja jest nie tylko normalnym rozważaniem spraw publicznych, ale stanowi przede wszystkim burzliwy rozrachunek z okresem milczenia - ma poważne konsekwencje. Fakt ten sprawił, że do twórczych wartości ideowych tej dyskusji dołączyły się pierwiastki anarchii moralnej i intelektualnej... Szusne było nawet zafundować sobie luksus nieodpowiedzialnej dyskusji... Obecnie jednak nie wolno tego luksusowego okresu przedłużać, gdyż stanu tego nie wytrzyma autorytet władzy państwowej... Zamiast demokratyzacji spowodujemy procesy konieczności brutalnego realizowania racji stanu w okolicznościach podobnych do ogłoszenia stanu wyjątkowego" /3/. /podkreślenie D.B./

Trzy przedstawione przez nas przykłady: 1956, 1970 i 1981, ukazują wyraźnie niesmienną skłonność Rosji do interwencji oraz rolę stereotypu w tej strategii "im gorzej tym lepiej". Za każdym razem idzie o przekonanie całego narodu, że nie jest zdolny do racjonalnego działania, że jego "charak-

ter społeczny", według określenia Ericha Fromma, jest napiętnowany niestakością i nieodpowiedzialnością i że wobec tego naród ten musi nieuchronnie znaleźć się ponownie pod kuratelą swoich sąsiadów i "opiekunów". Regularność, z jaką przy każdej historycznej próbie samostanowienia wybijają się groźbę anarchii, świadczy jak bardzo rzekomym opiekunom zależy na tym, aby myśl ta została przyjęta, wchłonięta, przyswojona, by stała się drugą naturą. Stereotyp anarchii jest więc podstawowym narzędziem infantyilizacji, wymuszonego uwstecznienia i zniewolenia. Mało jest narodów współczesnego świata pogrążonych w takim tragicznym absurdzie. To powtarzające się podkreślanie anarchicznego charakteru Polaków przez tych, w których interesie leży zapanowanie nad nimi, nie jest w żadnym wypadku związane wyłącznie z polityczną naturą Związku Radzieckiego. Jak wszystkie stereotypy, ten również sięga korzeniami do podłoża bardziej pierwotnego: podłoża rasowego, które leży u podstaw hegemonizmu wielkorosyjskiego. Podobnie dziewiętnastowieczni kolonizatorzy podkreślali infantyilizację "tubylców", a zwolennicy poddaństwa wykazywali nieudolność wieśniaków-analizatorów do kierowania własnymi sprawami, bądź ich skłonność do ulegania występkom takim, jak kradzież, pijaństwo, wicherzycielstwo. Stalin zezwolił bez zmużenia oka na zniaczenie Powstania Warszawskiego w 1944 roku, ponieważ było ono w jego rozumieniu gestem anarchicznym; nie zostało przecież uzgodnione z aliantami i w sposób jawny zaznaczało wolę AK wyłamania się apod postanowień teherańskich z 1943 roku. Powstanie było więc "anomalią" niezgodną z "porządkiem", którego wówczas nie nazywano jeszcze jałtańskim.

Gdy cofniemy się w czasie, odnajdziemy w XIX wieku kilka "pokoleń niepokornych", by posłużyć się tytułem znanej książki Bogdana Cywińskiego. "Tradycja" powstała 1794, 1830, 1863 i 1905 wpoika przyjaciółom Polski przekonanie o ich charakterze "romantycznym", a tym - zawsze tym samym - którzy chcieli panowania nad Polską, przekonanie o jej "anarchii". Dla przywódców Trzeciej Republiki Francuskiej z okresu sojuszu francusko-rosyjskiego nie wchodziło w grę przyznanie Polakom najmniejszego prawa do utrzymania się przy życiu dopóty, dopóki Rosjanie byli sprzymierzeńcami Francji przeciwko Niemcom, toteż, rzecz znamienne, dyplomacja francuska i rosyjska uciekały się w czasie pierwszej wojny światowej do tych samych stereotypów. W telegramie wysłanym do A. Brianda 5 marca 1916 roku, M. Paleologue, francuski ambasador w Petersburgu, pisze:

"Jeśli zważyć, że spośród wszystkich narodów słowiańskich Polacy odznaczają się najbardziej niestakym charakterem i wykazują najmniej umiejętności trwałego opowiedzenia się za jakimś systemem politycznym - to wnosić należy, iż niezależna polityka, dysponująca swobodnie swą dyplomacją i sojuszami, może się stać narzędziem germanizmu. Polska wyposażona w autonomię, ale pod berłem Romanowów, oto formuła, która wydaje się korzystna z punktu widzenia Francji" /4/.

W rezultacie 11 marca 1917 roku Briand w trakcie rokowań z Kiereńskim oddaje Polskę Rosjanom, którzy w zamian za to godzą się poprzeć roszczenia Francji do Alzacji i Lotaryngii. Dopiero Rewolucja Październikowa nada inny bieg wydarzeniom.

Ów "niestały charakter" narodu pozbawionego ojozyzny od 123 lat jest typowym obrazem, mocno zbliżonym do stereotypu anarchii w słownictwie mocarstw zaborczych. Zmuszeni do działania w podziemiu, prawie wszędzie w Europie, dziewiętnastowieczni politycy polscy postrzegani są często jako mściciele: Francja Thiersa nienawidzi komundardów w stylu Dąbrowskiego, a Francja Ludwika Filipa wydała Lelewela. Polak, jak Włoch, ciągle podejrzewany o garibaldyzm, uchodzi za metekę grożącego zachwianiem porządku w Europie. lub za roznosiiciela rewolucji. Rzecz znamienna, że francuska racja stanu pozostaje wtedy w sprzeczności z olbrzymim ruchem sympatii dla Polski, który równocześnie zbiera we Francji. Czyż ta sympatia nie przypomina skądinąd tego, co dzieje się obecnie?

Stereotyp anarchii cieszy się szczególnym uznaniem cudzoziemców zainteresowanych wysługiwaniem się Rosji. Wyrazy pogardy "czerwonego miliardera", J.-B. Doumenga, dotyczącego Polaków w 1983 roku są prosta kontynuacją poglądów Balzaka, wielbiciela cara, który pisał w 1847 roku:

"Polak nie znosi rozkazywania mu. Chce rozkazywać, a nie słuchać... Taki charakter jest prawdziwą przyczyną upadku Polaki. Kraj zdyscyplinowany, Słowianin posłuszny, musiał wchłonąć Słowianina niezdyscyplinowanego... i jeśli Rosja podbije kiedyś świat, to zawdzięczać będzie wszystko swemu duchowi posłuszeństwa. Żaden naród nie jest lepiej zorganizowany dla podboju." /List z Kijowa/

W tym punkcie wywodu należy stwierdzić, iż artykuł Adama Schaffa na temat definicji i teorii stereotypu lansuje tezę niepezną i mylną, gdy utrzymuje, iż stereotyp opiera się zmianom 1/5. Zapewne, opiera się im, ale ulegając przekształceniom. W tym sensie stereotyp polskiej anarchii nie zawiera tych samych treści w dziewiętnastym co w dwudziestym wieku, a to z tej prostej przyczyny, iż zmieniło się samo pojmowanie narodu, jak zmienił się "porządek", który go otacza. Od 1918, a bardziej jeszcze od 1945 roku, społeczeństwo polskie jest społeczeństwem otwartym, w którym wszystkie warstwy społeczne mają w zasadzie równe prawa, podczas gdy w wiekach poprzednich było ono społeczeństwem szlacheckim o strukturze bardzo archaicznej, w którym naród utożsamiał się ze szlachcią, a chłopstwo trzymane w poddaństwie było wyzute z praw. Anarchia posiadała wtedy naturalnie inne zabarwienie. Była wybiórczo związana z tą klasą społeczną, którą była szlachta i tu właśnie dochodzimy do "ziarna prawdy", obecnie, zdaniem Lippmanna, u narodzin każdego stereotypu.

W końcu wieku osiemnastego i w wieku dziewiętnastym głównym źródłem "nieładu" w Europie jest idea narodowości. Otóż polska idea narodowa jest głoszona i ucieleśniana przez tę jedną dziesiątą ogółu ludności, która zwie się szlachcią, ale która jest bardzo zróżnicowana społecznie, gdyż należy do niej zarówno arcybogata arystokracja, jak masa podupadłych szlachetek. Właśnie jej utożsamienie się z polskością i jej rewindykowanie polskości zaborcy usiłują przedstawić jako anomalie i skandal. Polityka carska w zaborze rosyjskim zmierzająca, zwłaszcza na Ukrainie w latach 1831-1861, do przedstawienia żyjących na tych ziemiach Polaków, którzy wszyscy należą do szlachty, jako elementu chwiejnego, niebezpiecznego



ni leniwego. Słowem - anarchicznego. Bujnaja, bezpokojnaja, leniwaja - określeń tych w odniesieniu do szlachty używa stale gubernator kijowski Bibikow. Toteż zaleca się, by ją zasymlować, wchłonąć lub też zlikwidować, między innymi przez traktowanie wszystkich zubożałych szlachciców jak niebezpiecznych wścóżków, podejrzewanych o rozwiązłość obozajów. Przychodzi to tym łatwiej, że Polacy stanowią mniejszość spośród chłopskiej ludności ukraińskiej.

Powstanie 1830-1831 dało asumpt do wypracowania pośredniej odmiany stereotypu polskiej anarchii. Schemat, który pojawia się wówczas, waha się pomiędzy 1/ piętnowaniem ruchów rewolucyjnych inspirowanych przez Francję - opinia sugerowana przez autokrację - a 2/ potępieniem anarchii szlacheckiej i skandalu społecznego, którym jest samotne działanie powstańcze szlachty - opinia, która w tym przypadku udaje, że czerpie ze spuścizny Oświecenia.

W trakcie konferencji naukowej, która odbyła się w Lidle z okazji 150 rocznicy Powstania Listopadowego, M. Inglot dobrze pokazał /6/, jak prasa carska zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim, a zwłaszcza prasa Bułharyna, Sekowskiego i im podobnych, stąpiła w jedno dwa składniki stereotypu: Polaka rewolucjonistę i samowolę szlachecką, chociaż każdy dotyczył innych celów i innej epoki.

Z jednej strony mamy więc do czynienia ze stereotypem, który stara się wbrew oczywistości przemilczeć wyjątkowo narodowy charakter powstania; nazywając je "rewolucją" i czerpiąc z repertuaru antyrewolucyjnej propagandy zachodniej, sterowanej przez Józefa de Maistre a i jego rosyjskich uczniów /Karamzina, Razumowskiego i innych/, publicyści carscy przedstawiają powstanie polskie jako część wielkiego spisku rewolucyjnego w Europie.

Andrzej Walicki dostrzega dobrze eens tego zabiegu, gdy podkreśla, iż "w przeciwieństwie do rewolucyjnej Europy pograżonej w chaosie, Rosja pozostaje silna dzięki swej jedności wewnętrznej opartej na autokracji" //7/. Autokracja jest skargą, Polacy zaś czynnikiem rozkładu. Anarchia, którą się wówczas wytyka, jest rzekomym nieładem demokracji liberalnych; ich odzwierciedleniem jest Sejm powstańczy, który obraduje w Warszawie. Polacy nie zdołali zrozumieć ojcowskich intencji carów Aleksandra I i Mikołaja I i woleli przejść na stronę zawodowych awanturników i buntowników, dołączając tym samym do szatańskiego spisku godnego apokaliptycznych wyobrażeń Baruela o rewolucji francuskiej. Porównania z dżumą i cholera występują tu na każdym kroku. Od Puszcikina do Dostojewskiego literatura rosyjska powieliła aż do znudzenia ó. obraz Polaka niedostosowanego do jakiegokolwiek porządku i zagrażającego mu.

Jednakowoż obok tej anarchii, niejako europejskiej, która zachwiała Świętym Krzyżem, Rosjanie pamiętają też o tej, z której umieli czynić wspaniały użytek w poprzednim wieku. Idzie tutaj o zatargi i rozbieżności, które zrzeczywiście podzieliły "naród" szlachecki w ostatnich latach jego niezależnego bytu. Obu powstaniom, 1831 i 1863 roku, towarzyszy powrót antypolskiej propagandy, która przedstawia dawne struktury jako przejaw szlacheckiej skłonności do nieposłuszeństwa, która stała się drugą naturą Polaków. Erosa rosyjska roku 1831 przypomina ustawicznie o "rokoszach", owych ruchach bun-

townicznych inspirowanych przez wielką szlachtę i skierowanych przeciw władzy królewskiej, których rozwój przypada na początek Rzeczypospolitej w XVII wieku /Zbryzdowski w 1606 r. przeciw Zygmuntovi Wazie/. "Podła nieszlawa dawnego republikańskiego chaosu". Ona to właśnie "musiała" sąsiadów do "roztoczenia opieki" nad polskimi królami. Chociaż szczerzywo jest tu takie same, co poprzednio /pożar, płomień, epidemie, ogień piekielny/, to-odwołuje się ono jednak tym razem do samych korzeni stereotypu.

Zanim bowiem pojęcie szlacheckiej anarchii przeszło na użytek wrogów narodu, stanowiło ono przeciwieństwo swego rodzaju dumy klasowej, z czasem dopiero przetworzonej w narodowy kompleks, w bolesną ukłonność, którą gorzko wspomina większość "patriotów" na przełomie wieku XVIII i XIX, gotowych nawet w masochistycznym odruchu przystać na twierdzenie, jakoby obecne panowanie było nieuniknione. Tak oto Stanisław Staszic, znany jako jeden z najgorliwszych obrońców niepodległości w okresie Konstytucji 3 Maja 1791 /por. jego głośna "Przeestrogi dla Polski"/, wydaje się, między 1800 a 1830 rokiem, hołdować - zresztą nie on jeden - tezie o konieczności utraty polskiej suwerenności. Ten ruch kolaboracji z mocarstwami zabobczymi /Ugoda/ ma drugą historię na przestrzeni XIX wieku. Koźmian donosi, że w 1831 roku Staszic, przemawiając do posłów sejmku powstańczego, zarzuca im, iż pragną wkręcić stare właśnie szlacheckie:

"Wspaniały cesarz dźwignął nas, obarczył swobodami, jakich tylko życzyć sobie mogliśmy... zamiast okazania wdzięczności i uległości targamy się, burzymy... Jeszcze duch anarchiczny ojców przebijają się; zobaczysz, jeszcze oni raz zgubią Polskę." /8/

Paradoksem jest, iż owo wspomnienie anarchii leżące u podstaw kompleksów, wspomnienie, którego państwa ościenne nadużywały w celu skłócenia każdej próby odnowy, nie tylko wodzi się z rzeczywistości historycznej /idzie o władzę oligarchii arystokratycznej w ramach monarchii elekcyjnej, zwanej "Rzeczpospolitą" od 1572 r./, lecz nadto z systemem, który cieszył się uznaniem w Polsce w XVII i XVIII wieku, a nawet stanowił tytuł do chwały. Wszystko już zostało powiedziane o właściwościach tego dziwnego królestwa elekcyjnego od czasu odległych już prac S. Kota /9/; ograniczę się zatem do przypomnienia tego tylko, co niezbędne dla zrozumienia genezy stereotypu.

Tylko mniejszość Polaków potępiała już w drugiej połowie XVIII wieku bezład panujący w kraju, gdzie szlachta, przybierając feudalne maniery, trzymała króla na wodzy i zachęcała sąsiadnie mocarstwa do interwencji. Taktyka Katarzyny i Fryderyka II, polegająca na ciągnięciu korzyści z owej niemocy, umiała nawet przystroić się w szlachetne motywy, w czym znaczną pomoc okazywał zasilepiony Wolter, który rozpałał się bez większego namysłu, gdy tylko mówiono mu o nietolerancji i fanatyzmie. Oddalenie i nieznamość polskich realiów skłoniły filozofa z Ferney do napiętnowania, bez większego ryzyka, "gotycko-słowiańsko-sarmackiego" zaccpania Polski. Większość Francuzów nie czerpała jednak informacji z Petersburga; przeciwnie, ministerstwa Fleury i Choiseula pokładały zdumną nadzieję w tej polskiej Rzeczpospolitej szlacheckiej, która miała pomóc w pokrzyżowaniu planów Rosji.

Stąd też najżarliwszym zwolennikom przywilejów szlacheckich udało się uzyskać pewne wpływy: hrabia Wielhorski, biskup Lubieński wywarli wrażenie w okresie Konfederacji Barskiej nie tylko na gryzpiórkach, o których wspominał Jean Fabre w swojej rozprawie /Baudeau, Fyrrhis de Varille/, ale przede wszystkim na Veau Jacques Rousseau i Claude Carlioman Rulhière. Tych ostatnich uważa się we Francji za inspiratorów mitu, który wyrósł z sympatii i szacunku dla pełnej cnót Polski, gdzie niekąd i zasada jednomyślności w Sejmie /liberum veto/ jest jedynie wyrazem głębokiej szlachetności, gdzie rzekomo republikański ustrój wyraża unikalne w Europie pragnienie równości i wolności, gdzie odrzucenie władzy królewskiej świadczy o nienawiści do despotyzmu, gdzie patriarchalny charakter stosunków społecznych wypływa z głębokiej harmonii z matką Naturą, gdzie waleczność i cnota jednostek kontrastują z rosyjską brutalnością. Posuwając się jeszcze dalej na drodze idealizacji niż "Uwagi nad rządem polskim", Rulhière dowodzi w swojej "Historii polskiej anarchii", iż niekąd społeczeństwa szlacheckiego jest do pewnego stopnia uzasadniony i wybaczalny, jako że spowodowany został bezgraniczną miłością do wolności i równości. Słowo zostało jednak wypowiedziane; jego powodzenie jest zapewnione. Wrodzony charakter anarchii polskiej, udowodniony i ustalony przez jej własnych zwolenników, staje się uznanym faktem, który odtąd można będzie przywoływać, zniekształcać, przeinaczać i eksploatować, jak to się działo przez dwa ostatnie stulecia, i który przeobraża się w stereotyp.

Thesby de Belcour, oficer francuski, który przybył wraz z Dumouriezem, aby udzielić pomocy konfederatom barskim w 1768 roku, trafnie określił ten stereotyp w formule, która, ponieważ dała się wyżyć z kontekstu, okazała się zdolna do trwania: "Każdy chciał rządzić - nikt nie chciał słuchać... Polacy, powiedzmy otwarcie, zniszczyli się sami".

Można w konkluzji zastanowić się nad wartością przedstawionego przez nas stereotypu. Jego zasadność historyczna jest bezsporna jedynie w XVII i XVIII wieku. W XIX i XX wieku podlega on manipulacjom tym bardziej oburzającym, że poziom świadomości oraz organizacji społeczno-politycznej Polaków podnosi się i zasadniczo modyfikuje. Widzieliśmy, iż stereotyp polskiej anarchii wykorzystywany był, ilekroć chodziło o przeciwstawienie się zorganizowanym ruchom niezależnym i wszelkim przejawom suwerenności. Powoływanie się nań w oparciu o rasizm i doktrynę niewolnictwa wynika zawsze z chęci zinfantylizowania Polaków i sfałszowania wyobrażeń o nich przy pomocy obelżywej karykatury. Jako przedmiot badań, ukażujący się jasno w świetle różnych metod zaczerpniętych z psychologii i etnologii, a także z socjologii, historii i politologii, stereotyp ten nie dotyczyłby nas, gdybyśmy chcieli pozostać na płaszczyźnie chłodnej obserwacji naukowej. Ale korzenie, które zapuszcza w świadomości, podświadomości i wyobraźni, zabraniają widzieć w nim tylko przedmiot badań. Rezultaty użytków zeń czynionych zmuszają nas do zajęcia stanowiska, ponieważ widzimy aż nazbyt jasno, komu przynosi korzyść stronnicze utożsamienie wolności z anarchią. Zwykła przyzwyczajenie nakazuje zastanowić się nad tym, jaką wartość ma takie mechaniczne powtarzanie komunałów. Zapewne dojdziemy wówczas do wspólnego wniosku, że wyzwolenie umysłów z podob-

nych automatyzmów myślowych wymaga nieustannego wysiłku sprzeciwiających się intelektualistów.

Daniel Beauvois

Przypisy:

1. M.F. Rakowski: Przesilenie grudniowe. Warszawa 1981, str. 33-34. Na uwagę zasługuje fakt, że Rakowski, który tak dobrze demaskuje stereotypy w roku 1970, sam posługuje się nimi w 1981-82.
2. M. Rokeach: The Open and Closed Mind. New York 1960.
3. "Słowo Powszechne", 16.10.1956. Cytat zapożyczony z "Współrządzić czy nie kłamać" Andrzeja Micewskiego, Paryż 1979.
4. Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Paryż, "Wojna 1914-1918. Rosja", tom 714, s. 254.
5. A. Schaff: Stereotyp: definicja i teoria. W: Kultura i społeczeństwo, nr 3, 1978.
6. M. Inglot: L'insurrection vue par les journaux polonais de l'empire russe. W: Pologne: l'insurrection de 1830-31 et sa reception en Europe. Textes reunis par Daniel Beauvois, FUL, Lille 1982, s. 179-197.
7. A. Walicki: Osobowość a historia. Studia z dziejów literatury i myśli rosyjskiej. Warszawa 1959, s. 24.
8. B. Szacka: Stanisław Staszic. Warszawa 1966, s. 179.
9. S. Kot: Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu. Kraków 1919.



Adam Sarna

# CZTERDZIESTOLECIE

Czterdziestolecie Instytutu Literackiego i paryskiej "Kultury" w naturalny sposób skłania do okolicznościowych panegryków. W końcu, gdyby nie nadludzki bez mała upór i żelazna konsekwencja Jerzego Giedroycia, fenomen czterdziestu lat polskiej placówki kulturalnej i politycznej prawdopodobnie by nie zaistniał. Polska kultura i myśl polityczna byłaby uboższa o sporo nazwisk, pomysłów politycznych i koncepcji trwania w opozycji. Miłosz czy Gombrowicz być może znaleźliby innych edytorów. Być może...

W każdym razie sądzę, że w czterdziestolecie swego istnienia ludzie z Maisons-Laffitte nie potrzebują ani komplementów, ani pochwał. Oni dobrze wiedzą, co robili i zrobili dla Kraju, który w tych trudnych czterdziestu latach egzystował na statucie protektoratu ościennego mocarstwa. Wewnętrzne przeświadczenie zdaje się podpowiadać, że ci wszyscy, których działalność składa się na dorobek "Kultury", pochwał i peanów dziękczynnych nie chcą. Że wolą raczej garść myśli, będących widocznym wpływem ich myślenia, boć przecież oni, z dalekiego Paryża, chcieli współkształtować nasze tutaj myślenie polityczne. I - co tu ukrywać - to nasze myślenie swoim wolnym słowem na pewno kształtowali. Mówiąc prościej - mimo kordonów i żelaznej kurtyny, oni taki wpływ mieli. Stąd właśnie zjadłość, z jaką J. Giedroyc i jego "Kultura" atakowana była i jest przez całe lat czterdzięci przez kolejne administrujące PRL-em ekipy. Atakom tym można poświęcić osobne opracowanie, będące w istocie studium o niechęci do suwerennej myśli polskiej. Na wstępie takiego studium należałoby jednak koniecznie zaznaczyć, że comiesięczny egzemplarz "Kultury", sprowadzany do Biblioteki Sejmowej w Warszawie, zaczytywany jest do granic wytrzymałości papieru. I nie jest wcale łatwo się do niego dopchać, jako że w kolejności do lektury "Kultury" są równi i różniejsi.

Dajmy więc spokój roztrząsaniom o wielkości udzielonego księcia na Maisons-Laffitte, jego instytucji i inicjatywach, darujmy więc jubileuszowe, jak by nie było, pustostłowie. W zamian pochylmy się nad kilkoma myślami i ideami, które można było i należało wyczytać w paryskim przekazie wolnego, polskiego słowa. Zwłaszcza, że czas przeszły jest tu nie na miejscu. Gdyż myśl polityczną i wskazówki płynące z niej należy czytać dokładnie można i należy zwłaszcza dziś. Obawiam się jednak, że nie ku pokrzepieniu serc. Bardziej ku pokrzepieniu umysłów. A chyba tego nam dzisiaj trzeba najbardziej.

X X X

Nie istniało i nie istnieje coś, co nazwać można linią polityczną "Kultury". Objasnił to znakomicie, zmarły dziesięć lat temu, jeden z najwybitniejszych publicystów emigracyjnych Juliusz Mieroszewski. Jedyną linią "Kultury" jest poszukiwanie dróg wiodących do niepodległości. Polska jest w tak trudnej sytuacji, że należy przebadać każdą koncepcję - pisał J. Mieroszewski - zastanowić się nad każdą możliwością. Dlatego "Kultura" nie była i nie jest pismem ani socjalistycznym, choć publikowali w niej autentyczni socjaliści, nie jest pismem rewizjonistów, choć i oni znajdowali tam możliwość wypowiedzi. Publikowali w "Kulturze" ludzie wszelkich odcieni politycznych - od lewicy po prawicę, w tradycyjnym rozumieniu tych pojęć. Pod jednym wszakże warunkiem: o ile byli demokratami. Jeśli chce się służyć jednemu jedynemu celowi, którym jest niepodległość Polski, to konsekwencją takiej "linii" są właśnie roczniki "Kultury".

Publikowali w niej piskudczycy i antagoniści Marszałka, ludzie religijni i agnostycy, ewolucjoniści i antyewolucjoniści. Założeniem bowiem było, aby problemowi niepodległości nie zamykać w jednej skamieniałej skorupie. Na łamach paryskiego miesięcznika nikt nie miał monopolu na prawdę, bo jedynym grzechem, jakiego J. Giedroyc nie wybacał, było skazanie autora bakcyłem totalitarnym.

Przecyzując od czasu do czasu swoje stanowisko w ważniejszych sprawach, środowisko "Kultury" nie kierowało się żadną ideologią, a tym mniej polityką tego czy innego ugrupowania krajowego, czy emigracyjnego. Decydował wyłącznie niepodległościowy interes Polski.

Warto o tym przypomnieć dziś w kraju tym wszystkim, którzy partykularne, acz często ze szlachetnych, nieegoistycznych pobudek płynące interesy, stawiają na równi z celem głównym.

x x x

Kraj znajduje się w położeniu przymusowym, i w tym sensie jest właściwie poza wyborem. Pomijając oczywiście ten drobny fakt, że Polska może utracić niepodległość definitywnie tylko wówczas, gdy większość Polaków z niepodległości sama zrezygnuje. Wyboru dokonała natomiast emigracja. Oczywiście, ta dawniejsza, która wydała "Kulturę" i szereg innych polskich inicjatyw, ale i ta obecna, postsolidarnościowa. Kraj jest skazany na doraźność, na przetrwanie, na opór. Kraj nadal stanowi przedmiot w rękach obcych. Natomiast wychodźstwo polityczne ma swobodę. I ma obowiązek, o którym już w 1948 roku na łamach "Kultury" pisał Tymon Terlecki: "...Wychodźstwo polityczne ma obowiązek twórczego teoretyzowania, porządkowania elementów, tworzenia konstrukcji ideowej, tworzenia przeciwważ. Jest to po prostu obowiązek wolności, jeżeli nie ma być ona tylko przywilejem. /.../ Tylko emigracja o określonym standardzie moralnym, o surowej moralnej opinii, odporna na pokusy zatwizny, zdolna do przewyższenia lęku, żywotna, normalna, zdrowa psychicznie, odzegnana od przywiłaj, nosząca w sobie nie tylko obraz utęsknionej ojczyzny, ale i obraz społecznego porządku, który będzie w niej panował, zdolna wyboczać z siebie wszystko, co ją skaża, solidarna nie solidarnością znowy przestępczej, ale solidarność-

cią wyznawców - taka emigracja zdoła spełnić swoje zadanie...".

x x x

W burzliwej dyskusji, jaka miała miejsce po Październiku '56 na emigracji na temat publikowania emigracyjnych utworów literackich w Kraju, "Kultura" wypowiedziała się za publikowaniem. Ale jednocześnie obwarowała to stanowisko szeregiem warunków i zastrzeżeń, mających "zapewnić - jak pisano - udział w opiniotwórczym procesie Kraju, ale z postawy niezależnej". Oburzonym niezłomnym odpowiedział Gustaw Herling-Grudziński: "...Wszędzie tam, gdzie płynie ledwie dostrzegalny strumyk życia społecznego, ekonomicznego, kulturalnego i naukowego - toczy się walka o opóźnienie tempa sowietyzacji. Każdy, kto bierze w niej udział ma to poczucie i ceni je sobie. Oczekuje zaś od emigracji nie sceptycznej aprobaty, ale pomocy...".

x x x

Jedną z istotnych cech politycznego myślenia, jakie prezentowane było przez te minione czterdzieści lat w "Kulturze", był pragmatyzm. Pragmatyzm konsekwentny, przez co wywołujący opór i sprzeciwy wielu innych emigracyjnych środowisk. Stąd poparcie udzielone niegdyś Gomułce, kiedy wydawało się - nie tylko w Paryżu - że pójdzie on polską drogą i wycofanie tego poparcia nazajutrz, gdy nie było już cienia wątpliwości, że Gomułka reprezentuje interes sowiecki w Polsce, a nie polski na Kremlu.

Formuła pragmatyczna, jeśli ma być konsekwentna, bywa nieprzyjemna. Dlatego na łamach miesięcznika często można było znaleźć nie specjalnie miłą swojskiemu sercu tezę, że głównym problemem polskim nie są ani Rosjanie, ani Niemcy, tylko sami Polacy. Zwłaszcza zaś totaliści rodzimego chowu, niezależnie od ich rodowodów politycznych.

Warto również dobrze zapamiętać, a kto wie czy nie potraktować jako motto narodowego losu, zdania przeczytanego ówczas w paryskim miesięczniku: łagry byłyby nie do pomyślenia bez współpracy samych łagierników.

x x x

W październiku br. minie pięć lat od zawarcia umowy pomiędzy Instytutem Literackim w Paryżu a Niezależną Oficyną Wydawniczą NOWA w Warszawie. Umowa dotyczyła przekazania praw wydawniczych i autorskich na Kraj. Naturalna jedność kultury polskiej, jedność o którą przez 40 lat walczyli twórcy Instytutu Literackiego, została w ten sposób zaświadczona. W to czterdziestolecie jedno można skonstatować bez ryzyka błędu: mimo wielu wysiłków administratorów pretektoratu zwanego PRL-em, Instytut Literacki i miesięcznik "Kultura" stanowią dziś organiczną i ważną część narodowego dorobku. Są istotnym czynnikiem kształtowania polskiej myśli politycznej, wyrazem jedności kultury polskiej. I tej organicznej jedności nie zdoła złać żadna, niechętna suwerennej myśli polskiej, władza.

Adam Sarna

Anna FrajlichEMIGRACJA

My - skąd nagle? - wypiarze  
w samym sercu wiatrów  
w dziwnej szkole pokory  
gdzie uczą żywioły  
ciągle jeszcze pamiętam  
ciszę stałych lądów  
szron na drucianym płocie  
i drogę do szkoły.

NIEZAPOMINAJKI

/saga/

I zostało wszystko we Lwowie  
w mieście mojej matki i ojca  
wszyscy żywi stali się umarłymi  
ale cmentarz  
przestał być cmentarzem  
i zostało wszystko  
we Lwowie  
na wieszaku prawie nowe ubranie  
stół i krzesła  
może jakieś krzesła  
fotografia w ramce na ścianie  
na tej ramce niezapominajki  
wyciął ojciec mój scyzorykiem  
żeby nie zapomnieć  
żeby nie zapomnieć  
żeby nie zapomnieć  
Lwowa  
nawet w Ameryce.

/Z tomu "Indian Summer", wyd.  
Sigma Press, Albany, N.Y./



Andrzej Julicki

## SPÓR O REFORMĘ

"Solidarność", jako masowy ruch społeczny, opowiadała się, oczywiście, za radykalną reformą gospodarczą, lecz, jako związek zawodowy, wychodziła z założenia, że sprawa reformy modelu planowania i sterowania gospodarką narodową należy konstytucyjnie do kompetencji państwa. "Solidarność" nigdy nie wystąpiła z własnym projektem reformy. Natomiast członkowi jej doradcy /Ryszard Bugaj i Waldemar Kuczyński/ wchodzili w skład Komisji ds. Reformy w charakterze obserwatorów.

"Solidarność" wskazywała na schorzenia systemowe, jak również wypowiadała się w płaszczyźnie generalnej, jako mandatarz klas robotniczej i społeczeństwa, lecz nie mogła /i nie chciała/ pozbawić rządu i jego agend ich konstytucyjnych prerogatyw i obowiązków.

**PATOLOGIA GOSPODARKI** Może w tym miejscu warto zaprezentować ciekawe poglądy jednego z ekonomistów młodego pokolenia, który, aczkolwiek nie był formalnie w gronie doradców ekonomicznych "Solidarności", niemniej czynnie uczestniczył w dyskusjach wokół reformy.

W miesięczniku Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, "Problemy ekonomiczne" /marzec 1981 r./, Antoni Moskwa opublikował artykuł pod znanymi tytułem: "Kryzys rozwoju czy rozwój kryzysu", bodajże pierwszą publikację w kraju socjalistycznym, poświęconą problemom podstawowych patologii gospodarki socjalistycznej.

Na wstępie autor wyodrębnił pięć podstawowych schorzeń:

- Nierealizowanie socjalistycznej zasady podziału;
- Dysharmonia procesów inwestycyjnych;
- Nieumiejętność koordynacji struktur branżowych i terenowych;
- Chroniczne niedopasowanie podaży i popytu;
- Chroniczna niesektywność.

"Schorzenia te - pisał - występowały z różnymi nasileniami w ciągu ostatniego trzydziestopięcioletcia. Bliższa analiza daje podstawę do stwierdzenia, że w schorzeniach tych pojawiają się pewne sekwencje, które można by nazwać cyklem rozwojowym gospodarki

---

X/ Serdecznie przepraszamy Autora i Czytelników za opuszczenie tytułu poprzedniego odcinka cyklu. Tytuł ten brzmiał: "Trudny start". /Red./

socjalistycznej, a zbadanie go jest kluczem do wy-  
punktowania podstawowych źródeł tych schorzeń, a  
tym samym punktem wyjścia programu uzdrowienia sy-  
stemu".

Autor wprowadził pojęcie "pulsującej stopy inwestycji  
produkcyjnych", czyli ich udziału w dochodzie narodowym po-  
dzielonym. Kategoria ta miała - według A. Moskwy - c z t e -  
r y s z c z y t y : w 1953 r., w 1962 r., w 1969 r. oraz  
w 1975 r. Są to lata przesileni gospodarczych, które dzielą  
kolejne cykle na dwie fazy: narastania stopy inwestycji i  
jej spadku. Kolejne cykle trwały: 8 lat, dwa razy po 7 lat,  
a obecny trwa już jedenasty rok. W pierwszym cyklu wzrost  
stopy inwestycji trwał cztery lata, spadek stopy też cztery,  
w II i III cyklu wzrost stopy trwał 5 lat, spadek zaś /w obu  
przypadkach minimalny/ tylko 2 lata, w obecnym wzrost trwał  
tylko cztery lata /ale do ogromnej wysokości/, spadek zaś  
już siódmy rok. Zmiennej stopie inwestycji towarzyszy  
zmienna dynamika dochodu narodowego.

Autor zauważa, że "pewną prawidłowością jest pojawienie  
się napięć politycznych /podkreślenie - A.J./ czterokrotnie  
/z wyjątkiem 1968 r./ w drugiej fazie cyklu".

A. Moskwa na przejrzystym wykresie ukazuje zależności w  
układzie: dynamiki dochodu narodowego podzielonego; dynamiki  
wydaźności pracy; plonów; stopy inwestycji; dynamiki mająt-  
kocichności. Z przekonaniem twierdzi on, iż jeżeli chodzi o  
równowagę rynkową, to "w całym omawianym okresie tylko osiem  
lat było okresem równowagi rynkowej, pozostałe 23 charakte-  
ryzowały się jej brakiem" /podkreślenie - A.J./. Z tych oś-  
miu, pięć lat równowagi wystąpiło w fazie początkowej cyklu.

A. Moskwa wymienia również p r z y c z y n y s c h e -  
r z e ń g o s p e d a r k i, jak:

1. Sprzeczność między społecznym charakterem własności  
podstawowych środków produkcji, a brakiem społecznej kontroli  
ich wykorzystania.
2. Monopol władzy ustawodawczej, wykonawczej i kontrolnej  
utrzymywany przez bardzo wąską grupę centralnego kierownictwa.
3. Brak w systemie polityczno-gospodarczym mechanizmu selek-  
cji i weryfikacji błędnych decyzji.
4. Wszystkie szczeble władzy są praktycznie powoływane i  
oceniane przez instancje nadrzędne, a nie przez podwładnych.
5. Pułapka informacyjna władzy /manipulacja informacją  
statystyczną prowadzi do dezinformacji/.
6. Społeczna /instytucjonalna/ organizacja procesu produ-  
kcji i indywidualna /rodzinna/ procesu konsumpcji.

"Pozostaje odpowiedź na pytanie - pisał A. Moskwa -  
czy system jest reformowalny? Moim zdaniem odpo-  
wiedź jest pozytywna. Reforma jednak musi być nie-  
zwykle rozległa i nie może ograniczać się tylko do  
problemów gospodarczych. Jej istota musi polegać  
na reformie systemu politycznego... Steimy w prze-  
dniu reformy. Brak teczki i zaniedbania w jej  
tworzeniu w ostatnich latach nie ułatwiają nam za-  
dania. Dlatego musimy odwoływać się do lekcji, ja-

kie dała nam historia ostatnich trzydziestu lat... Jeśli i tym razem puścimy tę lekoję mimo uszu - kolejne kryzysy rozwoju naszej gospodarki przerodzą się w jej permanentny kryzys."

PROGRAM RZĄDU W lipcu 1981 r., w przededniu IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, ukazał się dokument "Rządowy program przezwyciężenia kryzysu oraz stabilizowania gospodarki kraju". Było to drugie opracowanie oficjalne po Sierpniu 1980 r. Pierwsze bowiem to "Rządowy raport o stanie gospodarki", który ujrzał światło dzienne w czerwcu 1981 r., a więc po upływie 10 miesięcy // od gwałtownego wybuchu robotniczego protestu i masowego niezadowolenia społeczeństwa, wtrąconego w wiry kryzysu gospodarczego.

Nowy dokument powtarzał pewne konkluzje "Raportu", m.in. jego diagnozę wyjściową w kwestii kryzysu /przekroczenie dopuszczalnego zadłużenia zagranicznego; przelwestowanie; głębokie dysproporcje w ramach posiadanych zdolności produkcyjnych; ogromna nadwyżka siły nabywczej nad podażą towarów i usług przez nasilającą się inflację itp./ Natomiast rozdział pt. "Wdrażanie reformy gospodarczej" był wyjątkowo skromny i ogólnikowy:

"Szczególnie ważną przesłanką wychodzenia z kryzysu może i powinna stać się reforma gospodarcza, w wyniku której należy oczekiwać pobudzenia samoczynnie działających mechanizmów rozwoju gospodarki i przywracania jej równowagi, umocnienia strategicznych funkcji planowania centralnego w gospodarce narodowej oraz zaktywizowania do efektywnego działania przedsiębiorstw, opierając ich działalność na zasadach samorządności i samofinansowania".

Rząd przyobiecał również reorganizację centralnej administracji państwowej; ograniczenie liczby ministerstw, przy jednoczesnej "zasadniczej zmianie ich funkcji"; zapowiedział wniesienie pod obrady sejmu projektów ustaw o przedsiębiorstwach i samorządzie.

Za najpilniejsze uznano przeprowadzenie z dniem 1 stycznia 1982 generalnej reformy cen zaopatrzeniowych.

Rząd przyrzekł także przywracanie równowagi płatniczej i zapoczątkowanie proeksportowych przekształceń strukturalnych w gospodarce. Wiązało się to z przyrzeczeniem uporządkowania frontu inwestycyjnego.

PROPOZYCJE  
PROF. KUROWSKIEGO

"Wyjście z kryzysu - Program alternatywny" - tak brzmiał pełny tytuł opracowania prof. Stefana Kurowskiego, opublikowanego na łamach "Tygodnika Powszechnego".

Kurowski na samym wstępie poddał w wątpliwość /podając odpowiednie przeliczenia w relacjach dochodu wytworzonego do dochodu podzielnego w kontekście naszego zadłużenia i perspektyw spłaty kredytów i ich obsługi/ wskazaną przez rząd 5-6-letnią perspektywę wyjścia z kryzysu, stwierdzając zarazem, iż "nie osiągnęliśmy bynajmniej dna kryzysu", ponieważ "dopiero teraz zaczęła działać k o m u l a t y w - n e i odciążone skutki postępującego kryzysu..."

"... do obecnego kryzysu "startowaliśmy" w sierpniu 1980 r. z przeciętną płacą miesięczną w rządu 200 dol., licząc po 30 zł dolar, podczas gdy przeciętny Hiszpan zarabiał 500, Francuz 900, a Niemiec 1000 dolarów. W ciągu ostatniego roku usiłowaliśmy wywalczyć podwyżkę tych 200 dol. o doda-

tkowe 60 dcl. i wówozas kryzys zamienił się w katastrofę. Teraz już w wyniku inflacji nie mamy 200 dcl. /mimo podwyżek/, lecz mniej, może 180, i z takiego poziomu zamierzamy zacząć przezwyciężanie kryzysu...".

W dalszej części swoich rozważań Stefan Kurowski przedstawił zarys i kierunki programu alternatywnego, jako cel stawiając wzrost produkcji materiałów; jest on osiągalny, jeżeli gospodarka otrzyma pierwszym impuls, "który wywoła przez zjawiska mętników dalsze procesy wzrostowe i wprowadzi gospodarkę na rosnącą spiralę reprodukcji". W tym celu należało - zdaniem autora - zdecydować się na "inne niż dotychczas rozdzielanie posiadanych zasobów i dyspozycyjnego potencjału produkcyjnego, to znaczy przez głęboką konwersję całego aparatu produkcyjnego..." /podkreślenie - A.J./.

Za pierwszą konieczną operację Kurowski uznał konwersję z inwestycji do produkcji. Zwracając uwagę na niepełne wykorzystanie potencjału produkcyjnego, przy jednocześnie planowanych dalszych inwestycjach, autor proponował skierować "produkcję przemysłu inwestycyjnego bezpośrednio lub pośrednio /przez handel zagraniczny/ na zaopatrzenie bieżące przemysłu".

Jako drugą operację widział on konwersję z rolnictwa do rolnictwa. Pod tym hasłem rozumiał on "przesunięcia między rolnictwem uspołecznionym i rolnictwem indywidualnym zarówno środków produkcji, jak i programów produkcyjnych". Wyższa efektywność sektora prywatnego i jego mniejsza kapitałochłonność przemawiały - zdaniem autora - za tym manewrem. Np. w nawozach należałoby zmniejszyć poziom nawożenia w rolnictwie uspołecznionym o 40 proc. i zwiększyć jego poziom o 25 proc. w rolnictwie indywidualnym już pod zbiory 1982 roku.

"Wynikające stąd zmniejszenie plonów w rolnictwie uspołecznionym będzie niewielkie, gdyż krańcowa efektywność nawozów w tym rolnictwie jest mała, natomiast w rolnictwie indywidualnym można oczekiwać zwiększenia plonów i zbiorów z tego tylko powodu proporcjonalnie do zwiększenia nawożenia, czyli o 25 proc., co daje 3 mln ton zboża".

Z kolei proponował:

"Należy zwiększyć w rolnictwie państwowym areał upraw zbożowych o połowę, natomiast ograniczyć hodowlę i uprawy pastewne. Da to, skromnie licząc, 1 mln ton przyrostu zbóż. Natomiast hodowlę należy koncentrować w małych i średnich gospodarstwach indywidualnych...".

Trzecią operację Stefan Kurowski widział w "zastąpieniu początkowo w części, a potem całkowicie, obecnego importu zbóż pastewnych importem środków ochrony roślin do podniesienia krajowych plonów tych zbóż oraz importem pasz wielobiałkowych do zastąpienia tych zbóż w hodowli".

Obszarem głębokiej konwersji gospodarki powinno być też przesunięcie pewnej części ak-



tywności produkcyjnej i usługowej między sektorem państwowym a pozarolniczym sektorem prywatnym. Kurowski podkreślał w uzasadnieniu, że prywatne zakłady, warsztaty rzemieślnicze i przedsiębiorstwa usługowe wykazują niekiedy wielokrotnie wyższą efektywność w porównaniu z zakładami sektora państwowego. Zalecał on przede wszystkim tak środki produkcyjnych, jaki i siły roboczej oraz materiałów. Zwracał przy tym uwagę, że w Polsce znajdują się /wg pewnych szacunków/ stęzauryzowane zasoby dewizowe w kwocie 3 mld dolarów. Uruchomienie tych środków, przynajmniej częściowo, jak również wspomniane przesunięcia środków produkcyjnych, mogłoby przynieść przyrost dochodu narodowego o 200 mld złotych, czyli o przeszło 12 proc. w stosunku do poziomu z 1981 r.

"Wreszcie czwartym obszarem konwersji gospodarczej - pisał - jest przesunięcie części czynników produkcyjnych między sektorem państwowym a sektorem reprodukcyjnym. Chodzi tu o możliwość rozważenia redukcji wydatków z brzojenicowyc'h" /podkreślenie - A.J./.

Wyliczając punkt po punkcie korzyści "programu alternatywnego", Stefan Kurowski zakładał m.in. za trzymanie wzrostu zadłużenia w 1984 r., a więc i zatrzymanie narastania naliczanych procentów. Ponadto twierdził on, że "program alternatywny" ma przewagę nad rządowym pod względem czasu, gdyż, jak pisał "czas jest dobrem ograniczonym, o najwyższym koszcie społecznym i politycznym".

Mówiąc o warunkach realizacji, Kurowski podkreślał, że:

"system nie jest zdolny do optymalizacji wyborów ekonomicznych, gdyż nie ma do tego ani kryteriów, ani motywów. Optymalnej alokacji czynników produkcji może dokonać tylko system samodzielnych przedsiębiorstw, sziażających według reguł rynku jako tako konkurencyjnego. A zatem, mamy tutaj pierwszoplanowe rozwiązanie Alternatywnego Programu Wyjścia z Kryzysu z reformą gospodarczą. Reforma gospodarcza w postaci zastąpienia obecnego centralistycznego systemu nakazowo-rozdzielczego systemem samodzielnych, samofinansujących się przedsiębiorstw jest głównym warunkiem wyjścia z kryzysu".

X

W końcu czerwieca 1981 roku Stefan Kurowski wystąpił z obszernym referatem na Krajowej Konferencji ds. Cen Żywności, zorganizowanej przez NSZZ "Solidarność". Referat następnie ukazał się na łamach "Tygodnika Powszechnego" pt. "Reforma cen za cenę reformy".

"Reformę cen deatlicznych należy przeprowadzić i trzeba uczynić to szybko - pisał autor. Jesteśmy w tej sprawie spóźnieni - licząc tylko w kalendarzu okresu posierpniowego - co najmniej o trzy kwartały. Reformę cen trzeba zrobić dlatego, iż stanowi ona warunek i integralną część głębokiej reformy gospodarczej, która z kolei jest głównym warunkiem wyjścia naszego kraju z obecnego kryzysu gospodar-

czego... Reforma cen detalicznych musi przybrać postać podwyżki cen w stosunku do większości towarów i usług. Nie może to być jednak zwykła nominalna podwyżka, lecz musi to być podniesienie cen realnych, czyli podniesienie cen w stosunku do płac. Trzeba to wyraźnie powiedzieć. Ta właśnie okoliczność uczyni reformę cen operacją społecznie trudną...".

Zastrzegając się, że podwyżka nie może mieć charakteru drenażowego, Kurowski uważał, że operacja ta nie powinna być przeprowadzona w izolacji od pozostałych obszarów i mechanizmów gospodarczych.

Stefan Kurowski postulował następnie likwidację systemu nakazowo-rozdzielczego; odejście od tzw. kosztowej formuły cen; zastosowanie zasady parametrycznej; zastosowanie zasady samofinansowania przedsiębiorstw.

Cele reformy autor ten widział w sposób następujący:

"Rozpatrując reformę cen detalicznych od strony gospodarczej należy stwierdzić, że ma ona do spełnienia trzy cele: ustanowić ceny pokrywające /z określonej nadwyżką/ społeczne /społecznie uzasadnione/ koszty produkcji, zmienić relacje między cenami poszczególnych towarów /grup towarowych/ w kierunku zgodnym z relacjami krajowymi kosztów społecznych /a w pewnym zakresie również z relacjami rynku światowego/ oraz ustanowić ceny na poziomie równowagi podaży z popytem. Te trzy zadania reformy cen detalicznych należy rozpatrywać oddzielnie i powinny one być realizowane w trzech kolejnych etapach".

Ponieważ część artykułów żywnościowych jest dotowana z budżetu /w 1981 r. - 200 mld zł/ - Kurowski proponował m.in. zmniejszyć dotacje i całość przeznaczyć na kompensatę zwykłej cen. Uważał on również, że:

"wszelkie zamierzenia, mające na celu ograniczenie wpływu zmiany cen zaopatrzeniowych na ceny detaliczne, będą niezgodne z zasadniczym kierunkiem reformy gospodarczej i grożą przekreśleniem najważniejszych korzyści płynących z nowych cen detalicznych: stymulowanie przez nie produkcji zgodnie z preferencjami popytu".

Dostosowanie nowych cen detalicznych do nowych cen zaopatrzeniowych powinno umożliwić następnie "osiągnięcie cen wyrównujących podaży z popytem". System kartkowy - zdaniem autora - należy utrzymać do ostatniego etapu reformy.

Stefan Kurowski w obszernych i uargumentowanych wywodach wyjaśnił s e n s i t e c h n i k ę poszczególnych etapów reformy cen detalicznych. W końcowej części referatu stwierdzał m.in.:

"Na całym obszarze gospodarki musi obowiązywać następujący ciąg zależności: struktura detalicznych cen równowagi decyduje o strukturze produkcji finalnej, a odchylenia cen równowagi od kosztów społecznych produkcji decydują o kierunkach zmian

struktury produkcji dóbr finalnych; struktura produkcji dóbr finalnych decyduje o strukturze dóbr pośrednich, a kierunki zmian struktury dóbr finalnych decydują o strukturze inwestycji produkcyjnych".

Słusznie przy tym zwracał uwagę, że:

"jednorazowa reforma cen detalicznych nie kończy sprawy i że ofiara, którą będą musieli złożyć ludzie pracy, nie będzie jeszcze jedną daremną ofiarą...".

W podrozdziale pt. "Reforma cen a Solidarność" pisał:

"Włączenie reformy cen detalicznych w ogólny proces reformy i reformowania systemu gospodarczego równocześnie z wprowadzeniem RCD jest podstawowym warunkiem akceptacji tej reformy przez "Solidarność" i rekomendacją tej trudnej operacji przez nasz Związek wobec całego społeczeństwa".

PARTIA O  
REFORMIE

Po opublikowaniu tych Propozycji dla "Solidarności" Stefana Kurowskiego, głos zabrał na łamach "Trybuny Ludu" Stanisław Albinowski. W skrajnie upolitycznionym wywodzie, a skąpym w rzeczowe argumenty, partyjny publicysta zarzucał doradcy ekonomicznemu NSZZ "Solidarność" "niebezpieczne iluzje", sugerował "dążenie do konfrontacji", mówił o "szkodliwej mistyfikacji" itp. Rożło się też w tej publikacji o osobistych inwektyw i epitetów, których przytaczać nie warto.

W tej sytuacji Stefan Kurowski ponownie wystąpił z artykułem pt. "Jeszcze o programie alternatywnym", w którym spokojnie i rzeczowo odpowiedział na "merytoryczne" uwagi polemisty. Zwrócił zarazem uwagę na główny cel ataku partyjnego organu:

"... nie dopuścić, by rozwinęła się szeroka i kompetentna dyskusja nad różnymi sposobami wyjścia z obecnego dna gospodarczego, nie dopuścić, by jakieś inne programy zyskały zwolenników w opinii publicznej, narzucić przekonanie, że naprawdę to nic nie można zmienić, gdyż wszystko zostało już za nas i bez nas zdeterminowane i przemysłane. My powinniśmy tylko posłusznie zgodzić się na dziesięciolecia niedostatku, ufając /?/, że centralni planiści zrobili plan najlepszy z możliwych".

W drugiej połowie 1981 r., już po IX Zjeździe PZPR, aparat partyjny z rosnącą stanowczością przeciwstawiał się wszelkim zagrożeniom dla swojej monopolistycznej pozycji; ludzie z elit władzy nie chcieli zrezygnować z inicjatywy na jakiegokolwiek płaszczyźnie /a co dopiero na płaszczyźnie gospodarczej/, z inicjatywy, której, w istocie rzeczy, nie posiadali. Marny zegarmistrz wciąż domagał się prawa do naprawiania zegarka, wielokrotnie przez siebie zepsutego.

Gwoli ścisłości, wspomniane kontrowersje wokół reformy gospodarczej miały miejsce już po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, który odbył się w lipcu 1981 r.

W Lchwale, w rozdziale V pt. "Kierunki przezwyciężania kryzysu, stabilizowania gospodarki kraju oraz urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej" znalazło się werbalne poparcie dla reformy gospodarczej, która "...musi być zgodna z pod-

stawowymi założeniami socjalistycznego systemu społeczno-gospodarczego".

Pod presją tak opinii publicznej, jak i dółów partyjnych, Zjazd opowiedział się za "jak najszybszym uchwaleniem przez Sejm ustaw o przedsiębiorstwach państwowych i o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego, które powinny stworzyć podstawy prawno-organizacyjne dla wdrażania reformy..."

Poza tym Zjazd zaaprobował kierunki przewyżczenia kryzysu i stabilizowania gospodarki, zawarte w Programie Rządowym, jak i przeprowadzenie reformy cen detalicznych:

"Przeprowadzenie reformy cen detalicznych w powiązaniu ze sprawiedliwą rekompensatą, chroniącą zwłaszcza najniższe zarabiające grupy ludności, wymaga wiarygodnej konsultacji ze wszystkimi partiami politycznymi, związkami zawodowymi, ze społeczeństwem oraz przedstawienia pełnej informacji całej opinii publicznej".

"W celu osiągnięcia poprawy sytuacji płatniczej kraju niezbędny jest przyspieszony rozwój efektywnej produkcji eksportowej oraz racjonalne gospodarowanie środkami dewizowymi na import...".

"Rząd opracuje w ciągu pół roku długofalowy program proeksportowego rozwoju gospodarki narodowej".

"Ważnym czynnikiem przewyżczenia kryzysu i wejścia naszej gospodarki na drogę rozwoju jest zacieśnienie współpracy ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami RWPG...".

Może w tym miejscu warto powrócić do "Rządowego Programu Przewyżczenia Kryzysu oraz Stabilizowania Gospodarki Kraju". W rozdziale pt. "Przywracanie równowagi płatniczej i zapoczątkowanie proeksportowych przekształceń strukturalnych w gospodarce" poinformowano m.in., że kwota rocznych płatności /w mld dol./ przedstawia się, jak: 1981 r. - 9,7; 1982 r. - 10,9; 1983 r. - 11,3. W tym miejscu mała, ale ciekawa dygresja... "Zapłacimy wszystko co do grosza i zapłacimy o czasie" - stwierdził, według "The Economist", w czerwcu 1980 r. wiceprezes Banku Handlowego, Jan Wołoszyn. W dziewięć miesięcy później, stojąc w Londynie przed zwartym szeregiem międzynarodowych bankierów, tenże sam Wołoszyn oświadczył z kamienną twarzą, że Polska nie może dotrzymać terminu spłat.

Program Rządowy przedstawił również informację dotyczącą refinansowania polskiego zadłużenia w okresie do 1990 roku oraz o przesunięciu spłat z tytułu zobowiązań wobec banków prywatnych. Kładąc nacisk na konieczność zwiększenia eksportu Program informował zarazem:

"Rząd wystąpił z ofertą do krajów socjalistycznych w sprawie kończenia przy ich udziale inwestycji, których kontynuacja została wstrzymana w wyniku braku środków".

"Dopuszcza się możliwość tworzenia spółek z firmami z krajów kapitalistycznych, w przypadku jeśli uzyskane tą drogą zdolności produkcyjne będą miały zapewnione dostawy surowców oraz zostaną skierowane na eksport do tych krajów".



W pewnej sprzeczności z powyższym cytatem pozostawało następujące stwierdzenie Programu:

"Równocześnie podjęte będą działania na rzecz trwałego zmniejszenia nadmiernego uzależnienia bieżącej produkcji od importu z wysoko rozwiniętych krajów kapitalistycznych...".

Zarówno Program Rządowy, jak i Uchwała Zjazdu, a co za tym idzie założenia rządowego projektu reform gospodarczych, w istocie rzeczy nie odchodziły od centralistycznego modelu gospodarki, zaś mechanizmy rynkowe i samodzielność przedsiębiorstw traktowały co najwyżej, jako czynniki uzupełniające. To samo dotyczyło samorządu.

Swego czasu twórca reformy ekonomicznej w Czechosłowacji w okresie Praskiej Wiosny, prof. Ota Szik, pisał w tygodniku francuskim "Problemes Economiques" /nr 1191/:

"Nasz projekt reform brał za punkt wyjścia pierwszą podstawową tezę teoretyczną, że zaawansowana pod względem przemysłowym gospodarka socjalistyczna nie może się skutecznie rozwijać jeżeli podlega w jakiejkolwiek formie imperatywnemu kierownictwu centralnemu".

Prof. Szik wspominał później /już na emigracji/ o tym, jak "gigantyczny aparat sprzeciwiał się reformie /.../ doświadczaliśmy tego w momencie, kiedy szło o realizację reform zaakceptowanych przez najwyższe kierownictwo polityczne".

W Polsce kierownictwo polityczne z góry tworzyło sobie przesłanki odwrótu od reformy.

Mówi się często /i po dziś dzień/, iż "Węgry zastosowali w swojej reformie gospodarczej rozwiązania polskie, których w Polsce nie doceniono". Sporo jest w tym twierdzeniu ewidentnych nieporozumień.

Przede wszystkim w Polsce n i g d y nie doceniano /ze strony elity władzy i aparatu/ oczywistej potrzeby zreformowania, i to od podstaw, archaicznego, niewydolnego i marnotrawnego systemu planowania i sterowania gospodarką. Następnie, węgierska reforma była /i jest/ "odgórną"; w Polsce zaś wszystkie dotychczasowe koncepcje reformatorskie i konkretne propozycje zmiany układów gospodarczych powstawały "oddolnie", a utracane były przez "górną".

Zarówno niedocuczeni aparatczycy, jak i zadufani menedżerowie z centrum z "centrum" w żaden sposób nie chcieli przyjąć do wiadomości oczywistego faktu, że "centrum" /już to Komieja Planowania, już to Wydział Ekonomiczny KC/ nie jest w stanie zapewnić efektywnego rozwoju produkcji i w takich zasadniczych kryteriów, jak: wolumen produkcji, elastyczność struktury produkcji, odpowiednio wysoka jakość oraz innowacje i wreszcie wydajność pracy, a więc i rentowność.

Rosnący poziom wiedzy technicznej i technologicznej, postępująca specjalizacja produkcyjna, znajomość marketingu tak w układzie wewnętrznym, jak i zewnętrznym, niezbędna orientacja w problematyce finansowej, że nie wspomnę szczególnie o konieczności znajomości przynajmniej zasad psychologii pracy i socjologii - wszystko to po prostu przerasta możliwości ludzi

z "centrum", którzy muszą s c e d o w a ć znaczną część swoich uprawnień, w interesie tak społeczeństwa, jak i własnym, na ośrodki dyspozycyjne w układzie branżowym i w samym przedsiębiorstwie. Ale istota konfliktu i kryzysu w Polsce właśnie na tym polega, że biurokracja partyjna nie chce zrezygnować ze swoich monopolistycznych pozycji. Jej dewiza: Rzędzić i za nic nie odpowiadać!

cdn.

Andrzej-Julicki

X X X

Interesujący i obiektywny tekst, który publikujemy poniżej, ukazał się na łamach komunistycznego dziennika włoskiego "L Unita" pt. "Gospodarka z trudem poddaje się ożywieniu - Za dużo przeszkód dla reformy". Dedykujemy go tym, którzy mimo wszystko widzą "światłość w tunelu". Tytuł pochodzi od redakcji.

Francesco M. Cataluccio

## **PORONIONA REFORMA**

• Opór zbiurokratyzowanego aparatu i brak współpracy robotników • Rady robotnicze pozbawione wszelkiej władzy • Chaotyczny galop cen i płac • Ludzie ciągle muszą sprostać niedostatkom towarów i usług •

W pięć lat po tzw. "polskim lecie", po fali strajkowej, która przewaliła się przez cały kraj - a wywołanej kolejną już z rządu próbą dostarczenia cen do rzeczywistości gospodarki w rozsypane - sytuacji nie na wiele się zmieniła. W sklepach brakuje towarów, nawet jeśli sprawy przedstawiają się o wiele lepiej w porównaniu z dramatycznym latem roku 1981, z "głodowymi marszami", jakie przeszły przez miasta - a połowa ludności musi się dobrze nagimnastykować, żeby dotrzeć do końca miesiąca /wedle tygodnika "Polityka" czteroosobowa rodzina potrzebuje dziennie co najmniej tysiąc złotych tylko na jedzenie/. Poziom produkcji nie wzrasta, ludzie pracują minimalnie, nadal unosi się widmo ogromnego zadłużenia wobec zagranicy, brak surowców, sankcje amerykańskie.

Reforma gospodarcza, za pośrednictwem której rząd generała Jaruzelskiego usiłuje wydobyć Polskę z głębokiego kryzysu, w jakim się znajduje, sięga w swoich pierwotnych zarysach lipca 1981 r. Była ona owocem szerokiej konsultacji ze związkami zawodowym "Solidarność", jak i z innymi organizacjami społecznymi kraju. Charakter przewidywanych zmian nie miał sobie równych w przeszłości. Przewidywano dokonanie nie

tylko głębokich zmian w funkcjonowaniu przemysłu, ale i stworzenie nowych stosunków społecznych i organizacyjnych /samorządność świata pracy, rola niezależnych związków zawodowych, reorganizacja i decentralizacja administracji państwowej/. W porównaniu z tymi przesłankami "społeczeństwa samorządnego" plany właściwych przemian gospodarczych były mniej głębokie i mniej ambitne. Modelem, na którym się wzorowano był "nowy mechanizm węgierski" wraz z podjętymi na nowo, wybranymi projektami polskimi, zbliżonymi do samorządności jugosłowiańskiej z końca lat pięćdziesiątych, opracowanymi przez znanego ekonomistę Giesława Bobrowskiego. Różnica polegała na tym, że podczas gdy model węgierski był - wedle słów ekonomisty węgierskiego Nyersa - "zainicjowany na górze, a popierany przez dół", to reforma polska wyszła z dołu i została zaakceptowana przez górze. Z tego powodu po zamachu stanu, mimo że polska władza wojskowa nadal powoływała się na "ducha porozumień gdańskich" i wielokrotnie oświadczała wolę przeprowadzenia reformy gospodarczej /mianowanie Bobrowskiego na przewodniczącego Konsultacyjnej Rady Gospodarczej zdawało się w pierwszej chwili taką gwarancją/, program reformy został stopniowo pozbawiony swego "samorządnego" charakteru i wielu punktów kwalifikacyjnych. A mimo to tenże Bobrowski w czasie podróży do Włoch w maju 1982 roku oświadczył, że generał Jaruzelski dał mu szerokie gwarancje charakteru reformy gospodarczej - aparat centralny miał się "samooograniczyć" do studiowania statystyk i zbierania informacji; o większości inwestycji miały decydować województwa i powiaty; różne przedsiębiorstwa miały mieć statut oparty na trzech "S": "samodzielności, samorządności /w sensie współzarządzania/ i samofinansowaniu /banki zainteresowane wynikami zarządzania przedsiębiorstw sprawują nad nimi kontrolę i są ewentualnie upoważnione do odmówienia im środków finansowych/".

Ta "wielostronna" struktura gospodarki obumarła, rozpadając się w ciągu następných lat na strzępy z powodów politycznych, silnego oporu aparatu i braku współdziałania większości robotników i reszty społeczeństwa. Na czas tzw. "okresu przejściowego" przewidywano różne manewry, spośród których zrealizowano jedynie ten dotyczący zmian cen. Ceny detaliczne wzrosły bardziej niż zakładali ekonomiści. Rząd poczuł się zmuszony - i będzie jeszcze zmuszony w najbliższych miesiącach - podnieść ceny nie tylko dla zrównoważenia nienormalnej sytuacji, ale i dla stawienia czoła kryzysowi, który wyda się nie do okiełznanania, i który pogłębiły sankcje zachodnie. Natomiast w dziedzinie samodzielności przedsiębiorstw niczego nie zrobiono. Zmieniono wprawdzie sporą liczbę dyrektorów w przemyśle, ale w drodze nominacji zawsze z góry, a w wielu wypadkach poprzez militaryzację na najważniejszych stanowisk. Zlikwidowano funkcje pełnomocne ministrów. Stosunki dyrekcji z radami robotniczymi w fabrykach, pozbawionymi wszelkiej władzy, są z punktu widzenia podejmowania ważnych decyzji, zupełnie bez znaczenia. Jak zauważył docent nauk ekonomicznych z Uniwersytetu Łódzkiego, Cezary Józefiak, jeden z promotorów reformy z 1981 r., autor pracy "Reforma gospodarcza po trzech latach", opublikowanej w 19-20 numerze podziemnego pisma "Krytyka" - "coraz wyraźniej reformę traktuje się wyłącznie jako zmianę scentralizowanego sposobu przewodzenia przemysłem z bezpośredniego /administracyjnego/ na pośredni /finansowy/. Nie zwiększa on w istocie roli rynku w stosunku do organów centralnych, w kształtowaniu procesów ekonomicznych. A tymczasem system przekształca się

Jedynie z scentralizowanego bezpośrednio w scentralizowany pośrednio".

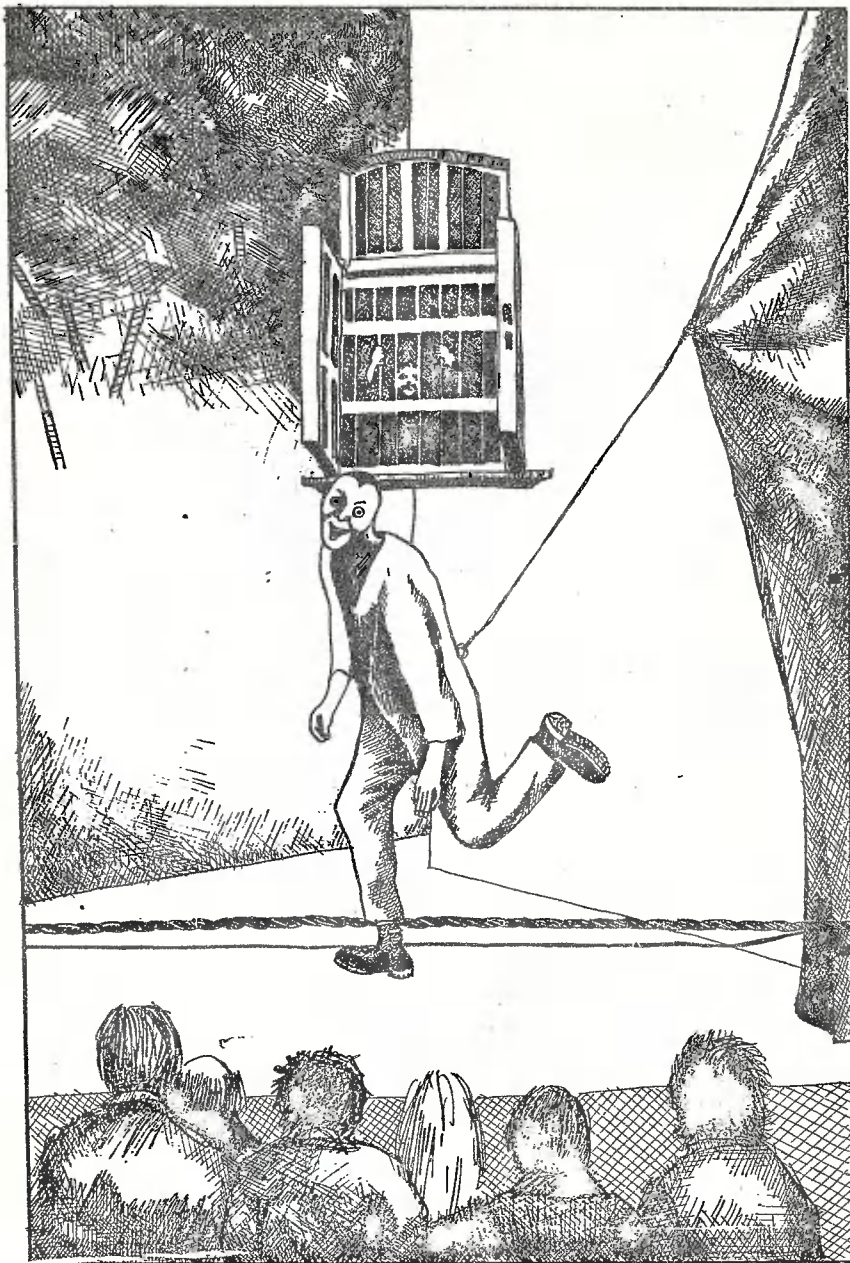
Teza prof. Józefiaka zakłada, że w ciągu trzech lat, nazwanych przez władzę "okresem przejściowym", zamiast wprowadzić do gospodarki polskiej elementy rynku, co przewidywała reforma, i stworzyć struktury samorządne, umocniono centralną kontrolę nad produkcją i dystrybucją. Ustawiczne podwyżki cen zamiast przywrócić gospodarce racjonalność, nakreśliły inflację. A na nią miały również wpływ manewry długookresowe, inwestycje. Władza nie była w istocie w stanie rozbić starych struktur inwestycyjnych, nie odpowiadających nowym warunkom. Tym samym inwestycje jeszcze raz wzmagają popyt bieżący, ale nie zwiększają podaży potrzebnych towarów. Ceny ciągle są nieelastyczne, nie równoważą popytu z podażą, myślą nabywców i producentów: "Są kategorią administracyjną, manipulowaną w sferze stosunków administracyjnych, zarówno w przemyśle, jak i w organach państwowych". Poza tym występuje silne powiązanie mechanizmów administracyjnych w kształtowaniu cen z reglamentowaniem czynników produkcji. Im mniej automatyczny /a bardziej manipulowany przez administrację/ jest rynek, tym bardziej musi istnieć sfera reglamentacji.

Rzeczywistość tej "poronionej reformy" - albo "zawróconej", jak ktoś ją eufemistycznie nazwał - nie tylko, że widać w warunkach życia ludzi, ale pozwalają przewidzieć mało szkodliwe skutki na przyszłość. Polska trzyma się mimo kryzysu na nogach, ponieważ rządzi nią władza wojskowa, której udaje się narzucać niepotrzebne wyrzeczenia bez wywoływania ostrej reakcji ludzi /zastraszonych, zmęczonych, nieufnych/ oraz ponieważ pomoc RWPG okazała się do tej pory dość znaczna. Ale wyrzeczenia ludzi - zresztą przewidywane, jak widzieliśmy, również reformą z 1981 r. - są niepotrzebne, ponieważ służą jedynie utrzymaniu na nogach obecnego stanu rzeczy bez żadnej perspektywy. Tzw. "okres przejściowy" został zamrożony "sine die", nie mówi się już o następnym etapie, etapie reformy z prawdziwego zdarzenia. Zamiast stopniowo likwidować centralizację gospodarki, wzmacnia się ją, cofając się o 10 lat. Na przemyśle spoczywa jedynie obowiązek robienia analiz i dostarczania informacji, które posłużą do podjęcia decyzji przez centrum. O podwyżkach płac decyduje się w Warszawie, kierując się motywacjami bardziej politycznymi niż ekonomicznymi.

Po kilku latach polityki ekonomicznej prowadzonej najpierw pod egidą stanu wojennego, a potem w warunkach silnej reglamentacji i dyscypliny zarządzanej sztywnymi dekretnami, wielkość dochodu narodowego z trudem osiąga poziom z 1981 roku - roku najostrejszego kryzysu, kiedy całą winą obarczono strajki "Solidarności". To prawda, poprawił się wolumen produkcji przemysłowej i eksportu /zwłaszcza węgla i żywności/, ale sukcesy te, jak dowodzi staranna analiza dorocznego raportu Konsultacyjnej Rady Gospodarczej, nie opierają się na solidnych fundamentach. A zatem nie można ich traktować jako zapowiedzi zapoczątkowania procesu rozwojowego, również i dlatego, że zwykli ludzie za ten zmasowany eksport dla spłacenia długów ponoszą jedynie konsekwencje, gdy tymczasem nakręca się przewrotna spirala społecznego niezadowolenia /oprócz tego politycznego, zwsze ukrytego/ i niebezpiecznej inflacji.

F.M. Cataluccio





HAP '85

Michał Heller, Aleksander Niekricz

# PRASKA WIOSNA

List Sołżenicyna, który nie był odczytany na zjeździe pisarzy w Moskwie, przedstawiony został na zjeździe pisarzy w Pradze, gdzie spotkał się z poparciem przygniatającej większości pisarzy czeskich i słowackich.

"Praska Wiosna", jak przyjęto określać wydarzenia w Czechosłowacji 1967-68, w wielu fragmentach /mimo licznych różnic/ przypominała wydarzenia 1956 roku na Węgrzech. Podobny przebieg wydarzeń wystąpił także w Polsce - w 1956 i 1968 r. Potęgujące się niezadowolenie ludności wszędzie znajdowało rezonans przede wszystkim w kręgach inteligencji: pisarze artykułowali odczucia i aspiracje narodu; programy reform znajdowały zwolenników nie tylko wśród szeregowych członków partii komunistycznej, lecz również w kierownictwie. Zjawiali się czokowi działacze, którzy przyrzekali usunąć mankamenty komunizmu, zachowując system; obiecywali "socjalizm o ludzkim obliczu".

Śmierć Stalina i XX Zjazd nadały impuls polskiemu Fałdziernikowi i rewolucji na Węgrzech. Obalenie Chruszczowa oraz pojawienie się nastrojów opozycyjnych w Związku Radzieckim wpłynęły z kolei na fenomen Praskiej Wiosny, a także wydarzenia w Polsce w 1968 roku.

Narodziny ruchu opozycyjnego w ZSRR w latach 1964-68, pojawienie się zaczątków opinii społecznej, towarzyszyły wzrostowi aspiracji narodowych w republikach radzieckich. Postawa kierownictwa sowieckiego charakteryzuje się podówczas właściwą mu dwuznacznością: w 1967 r. wieloletnia walka między narodów, deportowanych w okresie wojny na Wschód, kończy się ich oficjalną rehabilitacją. Wydane zostają odpowiednie dekrety. Zdawałoby się, że wszystko jest już w porządku, lecz jednocześnie Tatarzy krymscy nie mogą powrócić w ojczyste strony - na Krym; Mescham /muzulmańskim Gruzinom/ nie zezwala się na powrót do Gruzji, a Niemcom nadwołżańskim - do ich uprzednich miejsc zasiedlenia.

W połowie lat sześćdziesiątych nasilają się ruchy narodowe na Ukrainie, Litwie, na Kaukazie.

W 1965 roku fala aresztowań przetacza się po Ukrainie. Cios wymierzono w inteligencję, zwłaszcza w młodzież. Krytyk literacki Iwan Dziuba skierował do pierwszego sekretarza KC Ukrainy - P. Szelesta i przewodniczącego Rady Ministrów - W. Szczerbickiego obszerny memoriał pt. "Internacjonalizm czy rusyfikacja", w którym przedstawił przyczyny niepokoju wśród inteligencji ukraińskiej. Iwan Dziuba protestował przeciwko rusyfikacji, w której dostrzegał groźbę dla egzystencji narodu ukraińskiego, oskarżając władze republiki o pogwałcenie

"leninowskich zasad polityki narodowościowej oraz narodowego samostanowienia". W 1966 r. znany ukraiński dziennikarz Władysław Czornowiz, wezwany w charakterze świadka na rozprawę przeciwko Michajle Osadczemu, którego aresztowano za autorstwo książki pt. "Bielmo", opisującej życie obozowe, wystąpił z protestem, zarzucając władzom łamanie prawa radzieckiego. Następnie zwrócił się on do prokuratora republiki ze skargą na prześladowania, którym poddawana jest inteligencja ukraińska. Został aresztowany. Wcześniej, w związku ze zdecydowanym protestem przeciwko rusyfikacji, aresztowano w 1965 r. nauczyciela historii, Walentina Morozą.

Los tych pionierów ukraińskiego ruchu narodowościowego w połowie lat sześćdziesiątych odzwierciedla losy samego ruchu: po pierwszych aresztowaniach ich, ponownie wsadzono ich do obozu. W 1980 roku Czornowiz i Osadczyk otrzymali kolejne wyroki. Moroz, po 13 latach niewoli, został w roku 1979 wymieniony, wraz z A. Ginzburgiem, W. Kuzniecowa i pastorem Vinsem - na dwóch sowieckich szpiegów zatrzymanych w USA.

Dziuba, skazany w 1973 r. na 5 lat łagru, złożył samokrytykę. Początkowo w artykule na łamach "Literaturnoj Ukrainy", a następnie w książce pt. "Scianki kryształu", wyrzekł się swoich uprzednich poglądów, gorzko narzekając, że "porwała go wroga burżuazyjno-nacjonalistyczna propaganda zagraniczna".

Ruch opozycyjny na Litwie nierozzerwalnie wiąże się z prześladowaniami Kościoła Katolickiego. Nawet według oficjalnych danych, nie mniej niż 50 procent mieszkańców republiki stanowią wierzący i praktykujący. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych Rada Najwyższa Litwy przyjęła specjalne dekrety, mające na celu ostateczne odwanie młodzieży od Kościoła. W 1968 r. dziesiątki petycji-protestów przeciwko prześladowaniom religijnym kieruje się do organów rządowych. Proces przeciwko dwóm księżom, których oskarżono o nauczanie dzieci religii, wywołuje burzliwe protesty.

W ślad za "kroniką wydarzeń bieżących" ukazuje się w roku 1970 "Ukraiński Wisnik", zaś w 1972 roku - "Kronika kościoła katolickiego na Litwie"; pojawia się prasa niezależna /"Samizdat"/, która stawia przed sobą jeden cel - rejestrację represji. W ten sposób podważa się jeden z filarów systemu sowieckiego - terror ukryty, który dawał władzom pełną bezkarność. Staje się oczywiste, że jawność stanowi niedozwony warunek istnienia opinii publicznej.

Kryzys polityczny w Czechosłowacji, wywołany szeregiem przyczyn ekonomicznych, socjalnych i narodowościowych, zostaje zażegnany przez zamianę na stanowisku I sekretarza KC Antonina Nowotnego przez Aleksandra Dubczeka. Ten 46-letni Słowak, absolwent moskiewskiej Wyższej Szkoły Partyjnej, syn komunisty, który przed wojną przyjechał do ZSRR aby budować socjalizm, "Sasza", jak go nazywali przywódcy sowieccy, dawał, zdawałoby się, pełną gwarancję stabilności w Czechosłowacji.

Działalność Dubczeka i jego zwolenników od stycznia do sierpnia 1968 roku była kolejną - po Polsce, Węgrzech i Związku Radzieckim czasów chruszczowowskich - próbą naprawy systemu, poprzez reformowanie go, lecz niezmiennianie jego podstaw. Jak we wszystkich uprzednich przesileniach, realizacja reformy sprowadzała się do zmian personalnych w kierownictwie par-

tyjnym. Inercja walki o władzę, połączona z jawnymi zjawiskami kryzysowymi, jak również szansa przerzucenia odpowiedzialności za wszystkie niepowodzenia na poprzedników, niezmiennie prowadziły do zagrożeń dla podstaw ustrojowych. Nikita Chruszczow znakomicie oddał uczucia przywódcy partii komunistycznej, zmaszzonego do akceptacji pewnych zmian: "...decydowali się na odwilż w kierownictwie, zdecydowali się świadomie, ale i świadomi byli zagrożeń z tej odwilży płynących, która może przekształcić się w powódź nie do opamiętania, powódź, która pochłoniełaby ich... Obawiali się, że naród, że kierownictwo nie podoła swym zadaniom, nie skieruje tej powodzi w łozysko sowieckie...". Jak było w jego zwyczaju, Chruszczow kończył swą myśl przysłowiem: "I chociaż sia i koletsia i mama nie wielit", co w dowolnym przekładzie oznacza: "I chce się, i kłuje to-to, i mama nie pozwala".

W każdym z krajów socjalistycznych, które przechodziły kryzys, granice systemu napinały się w różnych punktach. Powstanie rad robotniczych oraz żądanie wycofania wojsk sowieckich z Budapesztu, stały się pretekstem do interwencji zbrojnej. Chruszczow skazał siebie przez podział partii. W Czechosłowacji granica dopuszczalnych reform została osiągnięta po zniesieniu cenzury. Na nardzie przywódców partii komunistycznych, zwołanej w Warszawie 14 lipca 1968 roku, W. Gomułka nalegał na zaniechanie "czechosłowackiego eksperymencntu". Twierdził m.in.: "Zniesienie cenzury oznacza, iż kierownictwo partyjne rezygnuje z wywierania jakiegokolwiek wpływu na życie kraju". Dla Gomułki, którego poparli wszyscy obecni, zniesienie cenzury było równoznaczne z rezygnacją z władzy. Prasa sowiecka obwieściła, że zniesienie cenzury jest kontrrewolucją, która polega na tym, aby "zagarnąć środki masowego przekazu, demoralizować ludność kraju, zatruwać świadomość mas pracujących jadłem antysocjalistycznych idei".

Tłumacz Gomułki, obecny na nardzie w Warszawie, opowiedział w swoich wspomnieniach o uczuciu lęku przed "trucizną idei antysocjalistycznych", które występowało w przemówieniach wszystkich przywódców krajów komunistycznych. "Mamy do czynienia z kontrrewolucją, w której przeciwnik nie strzela - tłumaczył Gomułka zebranym. - Gdyby strzelał, wszystko byłoby dla nas o wiele klarowniej, bowiem i nasza reakcja na to byłaby odpowiednia".

Aleksander Dubczek i jego zwolennicy próbowali ze wszystkich sił przekonać przywódców "bratnich krajów" o swoich możliwościach przeprowadzenia reform, likwidujących kryzys bez podważania podstaw socjalizmu. Szereg spotkań między czechosłowackimi reformatorami a przywódcami "bratnich krajów" nie dało jednak wyniku. Jeden z animatorów Praskiej Wiosny, gorący orędownik "socjalizmu o ludzkim obliczu", J. Smrkovsky, w roku 1968 członek Biura Politycznego oraz przewodniczący parlamentu, skierował w 1973 roku list do I. Breżniewa, w którym potwierdzał, że "jego poglądy socjalistyczne nie zmieniły się, że z satysfakcją obserwuje sowiecką politykę odprężenia". Po upływie pięciu lat od interwencji wojsk Faktu Warszawskiego Smrkovsky wierzył, że Breżniew pozytywnie ustosunkuje się do jego rady, aby rozpocząć negocjacje pomiędzy przedstawicielami ZSRR, politykami z 1968 roku i obecnymi przywódcami politycznymi, aby uczynić z Czechosłowacji



pewnego sojusznika ZSRR. Zmarły w lutym 1974 roku Smrkovsky niezmiennie był przekonany, że "w nadchodzących miesiącach można oczekiwać pewnych konkretnych posunięć".

Smrkovsky do samej śmierci zachował złudzenia odnośnie sowieckich zamiarów, złudzenia o walce "gołębi" i "jastrzębi" w Biurze Politycznym KPZR. Na tych złudzeniach budowali swoją politykę Dubczek i jego zwolennicy latem 1968 roku. Jak dowodzą materiały z rozmów przywódców sowieckich i czechosłowackich oraz dokumenty z narad "bratnich krajów", decyzja o interwencji została podjęta po opublikowaniu w Czerwcu w Pradze Wezwania do Narodu, znanego w historii jako "Dwa tysiące słów". Manifest, pod którym złożyły swe podpisy dziesiątki tysięcy Czechosłowaków, stwierdzał, że "aparatus władzy wymknał się spod kontroli narodu", że "komunistyczna partia przekształciła się w partię politycznej i ideowego sojuszu w organ władzy, stając się magnesem dla żądnych władzy egoistów, technicy i ludzi o nieczystym sumieniu".

Po tym Manifestie kwestia interwencji była już tylko sprawą taktyczną. Pośród przywódców krajów socjalistycznych znajdowali się zwolennicy natychmiastowej interwencji - W. Gomułka, W. Ulbricht, T. Żiwkow, byli też zwolennicy gry na zwłokę, jak np. J. Kadar. Co do samej zasady interwencji wszyscy jednak byli zgodni. Jak można domniemywać, również w sowieckim politbiurze dyskutowano jedynie terminy. Sasiad Czechosłowacji, I sekretarz kompartii Ukrainy, P. Szelest, nalegał na jak najszybszą likwidację Praskiej Wiosny, zatruwającej "jadem idei antysocjalistycznych" także Ukraińców. Breżniew, który jeszcze umacniał swą władzę, skłonny był czekać.

Sowieccy przywódcy, nauczeni węgierskim doświadczeniem, postanowili dokonać interwencji w Czechosłowacji przy pomocy wszystkich sił krajów socjalistycznych. Tylko Tito i Ceausescu deklarują swoje poparcie dla polityki Dubczeka. Rumunia odmawia włączenia swych wojsk w skład korpusu ekspedycyjnego.

W nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 roku dokonuje się na lotnisku w Pradze desant spadochroniarzy z sowieckich samolotów. Jednostki wojskowe ZSRR, NRD, Polski, Węgier i Bułgarii wkraczają na terytorium Czechosłowacji /część tych oddziałów już się tam znajdowała w związku z "manewrami"/. Aresztowanych członków politbiura czechosłowackiej partii komunistycznej dostarczają w kajdankach do Moskwy. Przywódcy Czechosłowacji nie wytrzymują presji Biura Politycznego KPZR i podpisują /odmówił jedynie Kriegiel/ porozumienie z ZSRR o stacjonowaniu wojsk sowieckich na terytorium Czechosłowacji. Zobowiązali się również ponownie wprowadzić cenzurę oraz znieść wszystkie te reformy, które przyczyniały się do stworzenia "ludzkiego oblicza" socjalizmu.

Dokładnie 30 lat przedtem, w 1938 roku w Monachium, prezydent Czechosłowacji, Hacha, szlochając podpisał narzucone mu przez Hitlera porozumienie, skazujące kraj na wchłonięcie przez III Rzeszę. W 1938 roku nazista Hitler zżemał wolę demokracji Hachy. W 1968 roku sowieccy komuniści zamali wolę komunistów czechosłowackich, próbujących reformować socjalizm i odstąpić w ten sposób od obowiązującej wszystkich komunistów dyscypliny. "Wszystko, czego chcemy dokonać - oświadczył przywódca czechosłowacki - to stworzenie socjalizmu, który nie zatraci swego ludzkiego charakteru".

Naiwny Dubczek! Przecież to właśnie jest prawdziwa "kramoła", odstępstwo i wyzwanie rzucone prosto w twarz sowieckiemu "realnemu socjalizmowi". Nowi przywódcy Czechosłowacji przystąpili do "normalizacji" kraju: przy pomocy drakońskich represji zostały stłumione wszelkie przejawy niezadowolenia.

Interwencja w Czechosłowacji nie była dziełem przypadku, decyzja narzuconą przez "jastrzębi" "gołębiom" w Politbiurze KPZR. Był to wyraz zasad "proletariackiego internacjonalizmu" i sowieckiej polityki zagranicznej, w oparciu o które Lenin zaczął tworzyć państwo sowieckie. Agresja na Polskę w 1920 roku, ustanowienie władzy sowieckiej na Kaukazie w latach 1920-21, inspirowane przez Lenina, były pierwszym wyrazem tych "zasad". Nie przestrzegano ich jedynie wówczas, kiedy państwo sowieckie było zbyt słabe, by podjąć ich realizację.

Leninowskie "pryncypia" zostały powtórzone po wkroczeniu do Czechosłowacji w artykule na łamach "Prawdy". Autor dał teoretyczną wykładnię interwencji w Czechosłowacji w sposób otwarty i niedwuznaczny:

"... Każda komunistyczna partia jest odpowiedzialna nie tylko wobec własnego narodu, lecz również wobec wszystkich innych krajów socjalistycznych, wobec całego ruchu komunistycznego... Państwo socjalistyczne, wchodzące w skład systemu z udziałem innych państw, tworzących wspólnotę socjalistyczną, nie może być wolne od wspólnych interesów systemu".

Przechodząc od rozważań ogólnych do konkretnego przykłądu Czechosłowacji, "Prawda" konstatowała:

"Komuniści bratnich krajów, oczywiście, nie mogli dopuścić, aby w imię abstrakcyjnie rozumianej suwerenności państwa socjalistyczne pozostawały bierne, widząc jak kraj ulega antysocjalistycznym przekształceniom".

"Prawda" konkludowała:

"Ci, którzy mówią o "bezprawiu" akcji sojusznicznych krajów socjalistycznych w Czechosłowacji, zapominają, że w społeczeństwie klasowym nie ma i nie może być prawa nieklasowego. Prawa i normy podlegają regułom walki klasowej, zasadom rozwoju społecznego... Nie wolno za parawanem formalistyczno-legislacyjnych rozważań zatracać klasowego podejścia do sprawy".

Ponieważ w krajach socjalistycznych nie ma klas, rozprawianie o "prawie klasowym", o "moralności klasowej", o "formalnym" prawie i "abstrakcyjnej" suwerenności mogło dotyczyć jedynie walki klasowej rozumianej w skali całego globu, walki pomiędzy światem socjalizmu i kapitalizmu. W przededniu wtargnięcia do Czechosłowacji "bratnich" wojsk "Prawda" uroczyście obwieściła:

"Dla marksistów-leninistów losy budownictwa socjalistycznego w innych krajach, wspólna sprawa komunizmu i socjalizmu na Ziemi nie mogą być i nigdy nie będą obojętne".

Artykuł nosił tytuł: "Front nieprzejednanej walki".

Zachodni dziennikarze określili zaprezentowane na łamach "Prawdy" zasady, jako doktrynę Breżniewa. Stanowiło to kolejny dowód niezmałomości sowieckiej historii. 2 września 1920 roku dowodzący jednostkami Armii Czerwonej, ustanawiającej władzę sowiecką w Azji Środkowej, depeszował Leninowi po zdobyciu szturmem Buchary:

"Padła ostatnia reduta bucharskiego obskurantyzmu i czarnoseciństwa. Nad Registanem łopocze zwycięski Czerwony Sztandar światowej rewolucji".

W 1968 roku dowódca wojsk sojuszniczych, które zajęły Czechosłowację, mógł depeszować spadkobiercy Lenina o tym, że "Czerwony sztandar rewolucji światowej przesunął się daleko na Zachód".

Stłumienie przez wojska sowieckie rewolucji na Węgrzech było wstrząsem dla wielu młodych ludzi w ZSRR. W. Bykowski pisze o tragedii swego pokolenia:

"Po tym, jak czołgi z gwiazdą czerwoną - miażdżyły na ulicach Budapesztu naszych rówieśników, krwawa zasłona spadła na nasze oczy. Po tym, jak cały świat zdradził nas, nie wierzyliśmy nikomu. Nasi rodzice okazali się donosicielami i prowokatorami, nasi dowódcy - katanami, nawet nasze dziecięce zabawy i fantazje były naznaczone kłamstwem".

12 lat później pokaźna część ludności odbiera interwencję w Czechosłowacji jako akcję konieczną i sprawiedliwą. Propaganda sowiecka wykorzystuje w charakterze koronnego atutu, uzasadniającego wykrócenie do Czechosłowacji, gróźbę dla niej, a więc i dla wszystkich krajów socjalistycznych, ze strony RFN. sowiecka machina propagandowa zdołała przeprowadzić wzorcowy manewr dezinformacyjny. Rząd "wielkiej koalicji", w którym socjaldemokrata Willi Brandt zajmował stanowisko wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych, rząd, który na krótko przed wydarzeniami doszedł do władzy w RFN, przedstawiony został jako spadkobierca Hitlera w linii prostej. Gorzkie wspomnienia z lat minionej wojny wykorzystano w celu usprawiedliwienia aktualnej polityki sowieckiej. Wykorzystano również starannie wpajane ludziom sowieckim przekonanie, że świat winien jest wdzięczność ZSRR za ofiary poniesione w toku budownictwa socjalizmu, podczas wojny z Niemcami hitlerowskimi, za pomoc, jaką niósł, niesie i będzie niósł. sowieckie środki masowego przekazu nie przestawały twierdzić o "niewdzięczności" Czechów i Słowaków, którzy zapomnieli, kto ich wyzwolił w 1945 roku. Ten argument trafiał do wielu sowieckich obywateli.

Jednak całkowicie zdziwić rodzającą się opinię publiczną już nie dało się. Rozlegają się głosy sprzeciwu: na wiecach i zgromadzeniach, organizowanych w celu poparcia interwencji w Czechosłowacji, w listach do redakcji gazet. 25 sierpnia 1968 roku studentka Tatiana Bajewa, filolog z Iarysa Bogoraz i Konstantin Babicki, poeta Władimir Belone, robotnik Władimir Dremluga, fizyk Paweł Litwinow, poetka Natalia Gorbaniewska i historyk sztuki Wiktor Fajnberg wychodzą na Plac Czerwony. Gorbaniewska trzyma na ręku trzymiesięczne dziecko. Demonstranci niosą transparenty z napisami: "Niech żyje wolna i nie-

zależna Czechosłowacja!", "Hańba okupantom!", "Ręce precz od Czechosłowacji!", "Za waszą i naszą wolność". Ujęci natychmiast przez funkcjonariuszy KGB demonstranci postawieni zostali przed sądem i otrzymali surowe wyroki. 95 działaczy kultury radzieckiej zwraca się do Rady Najwyższej ZSRR z listem protestacyjnym.

W lecie 1968 roku, kiedy przygotowywana była likwidacja Praskiej Wiosny, rozległa się głos Andrieja Sacharowa. W samizdacie pojawiają się "Rozmyślenia o postępie, pokojowej koegzystencji i intelektualnej swobodzie". Program, zaproponowany przez Sacharowa, opierał się na idei konwergencji: zbliżenia kapitalizmu i socjalizmu, zatracającego w toku tego procesu swoje ujemne cechy. Sacharow rychło przekonał się jednak, że system socjalistyczny odrzuca ideę "konwergencji", upatrując w niej śmiertelne dla siebie niebezpieczeństwo. Zasadniczym kierunkiem działalności Andrieja Sacharowa staje się walka w obronie praw człowieka. W 1970 roku akademik Sacharow oraz fizycy A. Twerdochlebow i W. Czelidze organizują Komitet Obrony Praw Obywatelskich. Mimo otwartego charakteru Komitetu i przestrzegania przez jego członków prawa sowieckiego, zostają oni poddani okrutnym represjom. Lecz głosu Sacharowa niepodobna zagłuszyć.

Aleksander Sołżenicyn wyjaśnił "fenomen Sacharowa": "Kiedy Lenin umyślił i założył, zaś Stalin rozwinął i umocnił genialny schemat państwa totalitarnego, wszystko zostało przewidziane i urzeczywistnione, aby system ostał się przez wieki, ulegając przemianom jedynie z woli swoich wodzów, aby nie mógł zabrznieć wolny głos i nie mógł powstać sprzeciw. Przewidziano wszystko, oprócz jednego - cudownego, irracjonalnego zjawiska, źródła powstania którego nie podobna przewidzieć, przepowiedzieć, przeciąć. Takim cudownym zjawiskiem stało się pojawienie się Andrieja Dimitrowicza Sacharowa - w tłumie przekupnej, skorumpowanej, pozbawionej zasad inteligencji technicznej, a na domiar złego - w jednym z najbardziej tajnych, obsypywanych wszelkimi darami, bunkrze - w pobliżu bomby wodorowej".

Analogicznym cudem było też pojawienie się Aleksandra Isajewicza Sołżenicyna.

Po pięćdziesięciu latach istnienia totalitarnego państwa sowieckiego, cały wysiłek którego był skierowany na stworzenie Nowego Człowieka, Homo Sovieticus, zjawienie się Sacharowa, Sołżenicyna, demonstrantów protestujących na Placu Czerwonym przeciwko okupacji Czechosłowacji, sygnatariuszy protestów, domagających się zwolnienia Sieniańskiego i Daniela, narodziny "samizdatu", powołanie na pół legalnych i nielegalnych grup i organizacji - stanowiło świadectwo zdumiewającej siły ducha ludzkiego.

Poza nielicznymi wyjątkami "dysydenci", jak będą określać wszystkich tych, którzy poddają w wątpliwość "boską mądrość" państwa, nie stanowili zorganizowanej opozycji, dysponującej programem i planem działania. Domagali się oni od państwa poszanowania prawa i swobód obywatelskich - w tym również narodowych i religijnych. Było ich niewiele: świadczą to, iż zrzucić z siebie lęk, który wchłaniał w siebie ludzie sowieccy przez pół wieku - jest niezwykle trudno. Ich pojawienie się stanowi świadectwo, iż jest to możliwe, że państwo nie jest wszechmogące.



Stosunek do dysydentów ze strony ludzi sowieckich jest zróżnicowany. Jedni darzą ich nienawiścią, drudzy traktują z obawą, trzeci odnoszą się z sympatią. Istnieje też warstwa ludzi o liberalnych poglądach - wśród nich dominuje uczucie zażenowania, które jest spowodowane rozdwójnieniem jaźni: z jednej strony, rzeczywistość sowiecka przygniała, wywołuje rozdrażnienie, z drugiej zaś strony warunki materialne tych ludzi, bynajmniej nie są najgorsze wedle radzieckich standardów - mieszkanie, stabilne prace, a u niektórych jeszcze na stanie posiadania i samochód, i domek. Nieco mąci ich spokój przyszłość, zwłaszcza przyszłość dzieci. W wielu kwestiach nie zgadzają się oni z władzą, lecz wolą "nie zadawać się". Wiedzą, że mogą być nieprzyjemności. Ponadto ich niezgodność z władzą nie ncsbi charakteru zasadniczego. Liberalowie gotowi są pomóc po cichu dysydentom - pieniędzmi, ubraniami dla rodzin więźniów; dyskretnie też biorą do poczytania literaturę "samizdatu"; słuchają zagranicznego radia po rosyjsku, grymasząc na radio "Swoboda" i akceptując BBC. Umiarkowanie dogadza im najlepiej. Dla usprawiedliwienia swojej pozycji, najczęściej pokrywającej się z pozycją władzy /z reguły liberalowie zawsze głosują "za"/, w swoich własnych przekonaniach, a zwłaszcza aby nie tracić autorytetu w oczach dorastających dzieci, wymyślają "teorię" Galileusza i Giordano Bruno. Pierwszy wyrzekł się na torturach inkwizycji swoich poglądów i zachował życie; drugi otwarcie bronił swoich racji i został spalony na stosie. Galileusz zawołał przed śmiercią: "Eppur si muove!" /"A jednak się kręci"/, dowodząc w ten sposób, że publicznie wyrażając się swoich poglądów, uległ jedynie przemocy. Liberalowie preferują wybór Galileusza, udając, że tego wyboru również dokonują i oni... pod przymus, aczkolwiek na razie ich nie torturowano, ale mogą wszakże być nieprzyjemności! I to swoje mętniactwo próbują zaszczerpić własnym dzieciom, czyniąc z nich cyników, konformistów i pragmatyków.

Trum.: Andrzej KURBSKI

X X X

### ŚWIADECTWA

Poniższy, bulwersujący tekst, ukazał się na łamach rosyjskiego miesięcznika społeczno-politycznego "Posiew", ukazującego się na emigracji we Frankfurcie nad Menem, w marcu 1953 r., w dziale "Świadectwa". Dotyczy on katastrofy atomowej, jaka wydarzyła się w 1958 r. w rejonie Uralu Południowego, zakażając radioaktywnością przede wszystkim Obwód Czelabiński. Tragedię tę nazywają też katastrofą kysztymską, od miejscowości, gdzie znajdowały się zakłady, w których nastąpił wybuch jądrowy.

Rzecz dziwna, że sprawa ta jest u nas zupełnie nie znana, choć różne informacje na ten temat już od dawna przenikały na Zachód. W 1958 roku o katastrofie kysztymskiej poinformowała prasa duńska, a w 1962 roku pisało o niej jedno z amerykańskich czasopism nau-

kowych. W 1976 roku potwierdził ten fakt wybitny radziecki genetyk Żores Miedwiediew, który wyjechał na Zachód, a wcześniej, w 1972 roku, profesor L. Tummerman, który wyemigrował z ZSRR do Izraela. W 1982 r. zachodnioniemiecki "Die Welt" zamieścił informację o amerykańskich naukowcach, Dianie Soran i Danie Stilmanie, badających okoliczności uralskiego wybuchu, zaś w lipcu 1983 roku ukazujący się również w RFN naukowy miesięcznik "Geo" opublikował zdjęcie zakazanej radioaktywnością strefy, wykonane z satelity amerykańskiego. Grobowe milczenie zachowują na ten temat, oczywiście, władze sowieckie, w myśl dialektycznej zasady, że jeśli o czymś się nie mówi, to to coś nie istnieje. /Red./

J. Menaker

## URALSKA HIROSZIMA

W końcu lat pięćdziesiątych po Czelabińsku zaczęły rozchodzić się straszliwe wieści. Ludzie mówili szeptem, rozglądając się trwożliwie, a mimo wszystko wieści te docierały wszędzie. Oto, co było ich treścią.

W rejonie jeziora Irtiasz, 50 kilometrów na północny zachód od Czelabińska, między miastami Kysztym i Kasli, w ściśle tajnym obiekcie nastąpił wybuch atomowy. Zginęło wielu ludzi, wysoka radioaktywność rozprzestrzeniła się na wschód okręgu, ogarniając kilka wiejskich rejonów o ogromnej powierzchni.

Zakazane strefy ze ściśle tajnymi zakładami produkcyjnymi, fabrykami, instytutami naukowo-badawczymi itp. istniały na tym terenie już od wielu lat. Znajdowały się w sąsiadujących z Czelabińskiem rejonach argajaszskim, koslińskim i złatoustowskim. Dalej ciągnęły się przez góry Uralu Południowego, w rejonach ufalejskim, nieziepietrowskim, kusniskim, satkińskim, kataw-ivanowskim i in., graniczących z sąsiednią autonomiczną republiką Baszkirią.

Chociaż starano się za wszelką cenę zachować tajemnicę zakazanych stref, wielu ludzi wiedziało o istnieniu np. strefy "Czelabińsk-40", w której wydobywa się, przetwarzana i wzbogaca ruda uranu. Wiadomo było, że wytwarzany tam produkt finalny jest starannie chroniony i wywożony do innych ściśle tajnych zakładów obwodu, a także poza jego granice. Wiedziano, że produkt tego obiektu jest dostarczany do czelabińskich "zakładów radiowych", położonych w samym środku miasta // gdzie faszeruje się nim rakiety i bomby, tu właśnie, w "zakładach radiowych" wytwarzane. Nocami wpełzają stąd potężne ciężarówki, holujące długie przyczepy, wypełnione raketami w pokrowcach. Śmiercionośny ładunek ciągnął przez wielkie miasto ku specjalnym kopalnicom, w których był instal-

lowany. Poroja przeznaczona do wywozu poza granice obwodu była ładowana na platformy kolejowe w różnych miejscach, z wyjątkiem stacji towarowej.

Pracownicy zakazanych stref, a zwłaszcza obiektu "Czelabińsk-40", często przyjeżdżali do miasta. Wyglądali na chorych i przemęczonych. Budziło to przypuszczenia, że pracują w ciężkich warunkach, źle się odżywiają. Oni sami jednak twierdzili, że pracują normalnie i odżywiają się dobrze. Co więcej, często przywozili mięso, owoce cytrusowe - tych artykułów nie było w sprzedaży w Czelabińsku. Do strefy dostarczano również importowaną odzież i obuwie, także nieosiągalne w obwodowym centrum. W ten sposób przybysze ze strefy zakazanej stawali się dostawcami towarów deficytowych. Unikali oni rozmów o swojej pracy, a jeśli nawet cokolwiek powiedzieli, było to niezbyt zrozumiałe dla niewtajemniczonych. Jedno było jasne dla wszystkich: w strefie produkuje się broń atomową.

Dodatkowe informacje pochodziły od miejscowej ludności. Mimo zakazu wstępu, rozlicznych strzeżonych i niestrzeżonych ogrodzeń, znaków, ostrzeżeń, ludzie przedostawali się do stref. Nie powodowała nimi ciekawość, lecz czysto praktyczne względy: na zakazanych terenach można było nakسیć więcej siana, zebrać więcej grzybów i drzewa, niż w miejscach ogólnie dostępnych. Prawie do samych tajnych obiektów docierali pojedynczy śmiarkowicze, pragnący kupić towary, których nie można było dostać w wlejskich sklepikach. Rejon argajaszski zamieszkuje głównie uralscy Tatarzy, wielcy amatorzy dobrej herbaty, której nie ma w normalnej sprzedaży. Wędrowali więc do strefy po herbatę i inne atrakcyjne artykuły. Przybysze byli wprawdzie często zatrzymywani i osadzani w areszcie, ale zwykle zwalniano ich po podpisaniu oświadczenia o "zachowaniu tajemnicy". Ale ludzie jak to ludzie: z czasem opowiadali o wszystkim, co udało im się zobaczyć.

W strefach było bardzo dużo piżmoszczurów, których futro używane jest na czapki. Dlatego też w sezonie polowań przedostawało się tam wielu myśliwych. Coraz więcej wiadomo było o strefach, jednakże okoliczna ludność przez dłuższy czas była nieświadoma tego, że mogą one zagrażać ludzkiemu zdrowiu i życiu. Tymczasem jesienią roku 1959 w północno-zachodniej części obwodu czelabińskiego, w rejonach kaslińskim, argajaszskim, kunaszackim i miasskim, a także w miastach Bagariak i Brodokałmak /ogólna powierzchnia tych terenów wynosi kilka tysięcy km<sup>2</sup>/ nastąpiło skażenie radioaktywne po wybuchu atomowym.

Granice skażonego obszaru przebiegały mniej więcej następująco: wschodni brzeg jeziora Irtiasz - Kasli - Tiubuk - Bagariak - Niżniepletropawłowski - Brodokałmak - Miasskoje - Dołgodieriewienskoje - Argajasz - Kysztym - południowy brzeg jeziora Irtiasz. Przez te tereny przechodziły dwie ważne autostrady: Czelabińsk-Swierdłowski i Czelabińsk-Szadrinsk, kilka dróg II klasy, dwie linie kolejowe: Czelabińsk-Swierdłowski i Czelabińsk-Kamieńsk Uralski. Na długości 150 km przepływa tędy rzeka Russkaja Tieczka, połączona zarówno na powierzchni ziemi, jak i w jej głębi z wieloma dużymi jeziorami.

Jakie środki przedsięwzięto na tym olbrzymim skażonym obszarze?

W większych miejscowościach /Tiubuk, Bagariak, Niżniepietropawłowski, Czumiak, Miasskoje, Dołgodieriewinskoje, Argajasz, Kuźnieck, Kysztym, Kasli i in./ pojawiły się punkty kontrolne, obsadzone przez pododdziały dywizji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stacjonującej w Czelabińsku. Oficerowie i żołnierze mieli na sobie specjalne ubrania ochronne i obowie. Działali również terenow. grupy operacyjne, które kontrolowały w skażonych miejscowościach ruch pojazdów i ludzi. Mieszkańcom nie wolno było korzystać z zapasów żywności, używać wody z naturalnych źródeł, porzucać miejsca zamieszkania. Przez punkty kontrolne ruszyły kolumny ciężarówek. Dostarczały one na skażone tereny, wodę, żywność i niektóre niezbędne artykuły przemysłowe. Inne pojazdy miały zakaz wjazdu. Władze administracyjne rejonów bagariackiego i brodokałmackiego zostały natychmiast ewakuowane. Ludność natomiast oczekiwała ewakuacji ponad miesiąc. Na wschód od drogi Czelabińsk-Swierdłowski, w rejonach bagariackim, kunażackim i brodokałmackim, w gęstych lasach mieszanych, gdzie jesienią drogi zmieniają się w trzęsawiska i dokąd można dotrzeć tylko pieszo lub konno, było wiele wsi i osad, które praktycznie pozostały bez podstawowego zaopatrzenia. Tutaj nikt nie przywoził wody ani pożywienia, ludzie korzystali ze swoich zapasów. Ponadto, w wielu spośród tych miejscowości nie wiadomo nawet, co się dzieje dokoła, ponieważ nie było tam łączności telefonicznej.

Dopiero we wrześniu i październiku 1959 roku, a w niektórych przypadkach jeszcze później, zaczęła się ewakuacja ludności. Do osady przybywała kolumna potężnych ciężarówek-zaczepów w asyście traktorów, które w potrzebie wyciągały je z błota. Na ciężarówkach przyjeżdżały paki z wojskową odzieżą: były tam bluzy, spodnie, płaszcze, buty. Odzież i obowie wydawano każdemu mieszkańcowi, również dzieciom. Po obowiązkowym przebraniu się i obnuciu sadzano ludzi w pokryte brzoźnym ciężarówkami. Przedtem poddawano wszystkich szczegółowej rewizji: oprócz pieniędzy, dokumentów i fotografii nie wolno było zabrać niczego. Ciężarówkami odjeżdżały w konwoju wojsk wewnętrznych. Zarówno żołnierze jak i kierowcy byli w specjalnej odzieży ochronnej, podczas gdy ewakuowani - w zwyczajnych starych ubraniach żołnierskich. W opustoszałej wsi pozostawała niewielka grupa wojsk wewnętrznych. Żołnierze palili wszystko, co dało się spalić, zabijali z broni palnej ptactwo i bydło. Później przybywały buldożery, które równały z ziemią i przysypywały nią niedopalone resztki zabudowań. W taki sposób z napromienionego obszaru zniknęło kilkaset wsi i osad.

Największe skupisko przesiedleńców powstało w chutorze Pietrowka /później Pietrowskij/, 15 km od Czelabińska, w kierunku na Kurgan. Ludzi umieszczono w naprędce postawionych domkach fińskich i mały chutor rozrósł się w dużą wieś. Jeszcze szybciej rozrósł się niewielki cmentarz, na którym grzebano zmarłych na chorobę popromienną.

Powiększające się cmentarze i ustne opowieści były jedynym źródłem informacji o liczbie ofiar. Uzyskanie dokładnych danych było niemożliwe. Część ludzi wywieziono do sąsiedniego obwodu kurgańskiego, część - do Kazachstanu, na ugory. Zapewne wielu z nich również umarło.

Za najbardziej niebezpieczne miejsce na radioaktywnym ob-



szarze uważano rzekę Russkaja Tieczka, która na długości 150 kilometrów płynie przez obwód czelabiński, a następnie kurgański. Mówiono, że jest ona do tego stopnia skażona, iż groźne jest nawet zhlizzenie się do jej brzegów, nie mówiąc już o używaniu wody. Przez całą jesień i część zimy 1959/1960 po obu brzegach ogradzano rzekę drutem kolczastym. W czterech rzędach wkopywane były, co 4-5 metrów, betonowe słupy dwumetrowej wysokości. Między nimi przeciągano drut kolczasty, poprzez który nie mogło przedostać się do rzeki nawet najmniejsze polne czy leśne zwierzę. Godziennie z dwóch obozów - czelabińskiego i bałandińskiego /położonego 12 km od Czelabińska, w pobliżu miasta Kopiejska/ w stronę Russkiej Tieczy sunęły ciężarówki, konwojowane przez żołnierzy wojsk wewnętrznych. Wiozły więźniów, którzy stawiali ogrodzenie. Przez cały dzień pracowali oni na brzegach rzeki i używali skażonej wody. I tutaj "ochrona" ubrana była w specjalne uniformy i obuwie. Po zakończeniu prac więźniów wywieziono w nieznanym kierunku; zastąpili ich w obu obozach nowi skazańcy.

Trzeba tu zwrócić uwagę na pewne dziwne zjawisko. Charakter prac, ich tempo oraz fakt wywiezienia więźniów wskazywały na to, że rzeka była bardzo silnie skażona i stanowiła wielkie zagrożenie. Tymczasem kilka dużych miejscowości, położonych tuż nad jej brzegami pozostawiono w stanie nietkniętym. Były to: Musliumowo; Brodokałmak, Niżniepietropawłowski i in. Tutaj brzegi Russkiej Tieczy zostały dosłownie "odziane" w drut kolczasty, rozpięty w 8 rzędach. Pozostały jednak przeprawy i mosty nad rzeką, nadal korzystano z przechodzących tędy dróg. Most w miejscu skrzyżowania rzeki z autostradą pozostał i jak gdyby nigdy nic odbywał się po nim ruch między Czelabińskiem a Swierdłowskiem. Droga Czelabińsk-Szadrinsk przecina Russką Tieczę w Brodokałmaku i Niżniepietropawłowsku - i tam działo się to samo. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych często bywałem w pobliżu skażonego obszaru, a czasem w ocalałych miejscowościach. Patrząc z mostu na ogrodzoną rzekę widziałem buszujące w wodzie potężne szczupaki. Zniknęły natomiast inne gatunki ryb, których dawniej było tu pełno, np. czebak, płoć. Zimą po zamarniętej rzece całymi stadami wędrowały piźmoszczury. "Promieniowanie radioaktywne zwiększa płodność piźmoszczurów i szczupaków" - żartowali ludzie. Później, na początku lat sześćdziesiątych, rozwinął się skupisków piźmoszczurów, które mnożyły się w bezludnych okolicach Russkiej Tieczy. Oficjalna cena skóry wynosiła 70 kopiejek, taniej można było kupić prywatnie, u miejscowej ludności. Szczupakami również nie gardzono. Dziesięciokilogramowe sztuki były sprzedawane na tzw. rynkach kołchozowych w Musliumowie, Brodokałmaku, Dołgodieriewińskim i in. Im więcej lat mijało od chwili wybuchu atomowego, tym częściej ludzie zapuszczali się nad rzekę po ryby i zwierzynę, na własny użytek i na sprzedaż.

W pobliżu Russkiej Tieczy, od jeziora Irtiasz aż po obwód kurgański, tj. na długości 150 km, ciągną się pasma /każde ponad kilometrowej szerokości/ poczerniałych drzew iglastych. Rosną tam również brzozy, ale ich wygląd nie uległ zmianie, w odróżnieniu od iglaków, które szcerniały, obumarły. W pobliskich dużych jeziorach wyginęły drobne ryby, pozostały tylko drapieżniki: szczupak, okoń itp. Ripas /nie duża rybka do 25 kg wagi, bardzo ceniona przez smakoszy/ zniknął ze wszystkich zbiorników wodnych obwodu - a w obwodzie czelabińskim

jest ponad 3000 jezior! Opustoszało nawet sztuczne jezioro Argazi - zniknął z niego ripus i inne cenne gatunki ryb. Argazi wiąże z Czelabińskim rzeka Miass. Na owej rzece zbudowano wielką zaporę, która utworzyła Zalew Szerszniewski, zapatrujący w wodę milionowe miasto i służący jako miejsce wypoczynku. W Zalewie Szerszniewskim również ocalały tylko szczupaki i okonie.

Kiedy byłem ostatnio na Uralu Południowym, na początku 1979 roku, skażony obszar nadal pozostawał "ziemią zakazaną", jednak nie było tam już praktycznie żadnej kontroli. Drut kolczasty wokół rzeki przzerwano w wielu miejscach, a jej woda, której nie wolno było używać nawet dla celów technicznych /chłodzenie traktorów, samochodów itp./ służy teraz do pojenia bydła i drobitu. Na pustkowiach, gdzie pod warstwą ziemi spoczywają resztki wlosek, kosi się siano, którym karmione jest kończosowe i sowchozowe bydło.

Na początku lat sześćdziesiątych na terenie czelabińskiego szpitala obwodowego zbudowano kilka nowych pawilonów. Rozlokowała się w nich filia moskiewskiego Instytutu Biofizycznego wraz z kliniką. Budynek tego zakładu leczniczego są pod ścisłą zbrojną ochroną Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W klinice Instytutu umieszczane są ofiary katastrofy, wśród nich dzieci, nawet noworodki, oierpiące na białeczkę i ich rodzice, napromienieni w chwili wybuchu lub później. W odległości kilometry znajdują się zabudowania czelabińskiego Centrum Psychiatrycznego. Wśród jego pacjentów nie brak ludzi, których choroba jest skutkiem wybuchu atomowego.

Oddziały neurochirurgii w miejskiej i obwodowej poradni onkologicznej przepełnione są chorymi i umierającymi ludźmi. Przyczyna ich tragicznego losu jest ta sama. Ja sam przeżyłem śmierć dwóch osób - matki i żony. Nieraz całą rodziną wybieraliśmy się na grzyby i nieświadomie trafialiśmy na skażone okolice. Nie jestem specjalistą i nie potrafiłbym sam stwierdzić, że najbliższe mi istoty zabiło promieniowanie. Stwierdzili to doświadczeni lekarze z czelabińskiego szpitala obwodowego.

W połowie lat sześćdziesiątych w dużych zakładach produkcyjnych Czelabińska /m.in. w fabryce traktorów, w zakładach radiowych/ na niektórych wydziałach zaczęto stosować przyrządy wskazujące stopień promieniowania. Taki przyrząd wyglądał jak ośówek. Na końcu miał żarówkę, która świeciła przy zwiększonym promieniowaniu. Jakiemś człowiekowi udać się wynieść "ośówek" z zakładu. Stała się rzecz niesamowita: żarówka zapłonęła w jego mieszkaniu! Sprawa nabrała szerokiego rozgłosu w mieście. Jak zareagowały władze? Bardzo prosto i "mądrze": zniknęły wszystkie ośówki! Zamiast nich zostały wprowadzone inne urządzenia, których nie można było wynieść. Wskazywały stopień promieniowania na całym wydziale.

X X X

Mieszkańcy obwodu czelabińskiego dobrze pamiętają wybuch atomowy. W północno-zachodniej części obwodu, gdzie promieniowanie jest nadal bardzo silne, żyje niemało ludzi. Umierają, oczywiście, nie tylko na chorobę popromienną. Jednakże każda śmierć, zwłaszcza przedwczesna, kojarzona jest z katastrofą atomową. Ta podejrzliwość jest, niestety, w pełni uzasadniona. Władze gotowe są poświęcać życie ludzi /rzec

jasna, jeśli nie są to wysoko postawieni towarzysze/, aby tylko prawda nie wyszła na jaw.

W czasie krótkiego uralskiego lata mieszkańcy miast udają się masowo do północno-zachodniej części obwodu. Są tam liczne jeziora /wśród nich wspomiane wyżej jezioro Argazi, najpiękniejsze na Uralu Południowym/, malownicze górskie pejzaże. Cały ten obszar jest skałony radioaktywnie. Niczego się jednak nie czyni, aby zamknąć do niego dostęp. Władze uważają, że lepiej nie robić nic, niż dopuścić do ujawnienia przed światem katastrofy i jej strasznych skutków. Niech ludzie odwiedzają śmiertelne tereny, niechaj chorują, cierpią, umierają - tyleby tylko udało się zachować w tajemnicy zbrodniczą, beztroską wobec kwestii związanych z bezpieczeństwem produkcji broni atomowej. Na razie zabija ona ludność własnego kraju.

J. Menaker

Z ostatnią chwilą: Już po zamknięciu tego numeru zbulwersowana Europa i świat dowiedziały się o katastrofie w elektrowni atomowej w Czernobylu na Ukrainie. Mimo trwających kilka dni prób zbrodniczego matactwa, tym razem nie udało się ukryć pod korcem milczenia tego dramatycznego faktu, którego dotkliwe skutki odczuli już nie tylko obywatele Związku Sowieckiego./Red./



# FAKTY-SYGNAŁY-OPINIE

## EPITAFIUM DLA LIBERAŁA

Po Rakowskim nikt nie płacze. A powinni wszyscy, choć każdy z innego powodu. Społeczeństwo, bo odsunięto człowieka, który pozwalał wierzyć w wyższość totalitaryzmu z ludzką twarzą nad totalitaryzmem z wykrzywioną gębą azjatyckiego sołdata. Partia, bo traci zdolnego propagandyستę, niezłego dziennikarza, polityka mającego zaplecze wśród wyznających tezę o reformowalności realsoocjalizmu. Niemieccy socjaldemokraci, bo wygodniej im było gwarzyć z człowiekiem o dość rzadkiej u komunistów ogładzie, autorem pracy doktorskiej o socjaldemokracji właśnie niemieckiej. Polityczny Zaohód, bo traci pewnego kandydata na potencjalnego reformatora realsoocjalizmu, jak tylko przyjdzie na to odpowiedni czas oczywiście, reformatora in spe, którego polityczny byt tak rnakomicie uzasadniał celowość zachodnich umizgów do kremłowskiego sfinksa.

Rakowski odszedł, ale nadzieje muszą pozostać, bo nawet w realsoocjalizmie nie samym chlebem człowiek żyje. Już choćby i z tego powodu, że najczęściej jest tego chleba za mało. Problem więc w tym, kto następny? Fotel naczelnego liberała PRL stoi pusty.

Niedopowiedzenie Janosa Kadarą. Po 13 grudnia, wbrew temu co zaświadczał rozgorączkowany i przerażeni nową sytuacją antagoniści reżimu, Jaruzelski i jego ekipa postanowili realizację wariantu węgierskiego, a nie czeskiego. W zasadzie od pierwszych strzałów obowiązywała formuła "kto nie jest przeciw nam, jest z nami". Ale wariant kadarowski, tak w oryginalnej wersji, jak i w polskim wydaniu, zakładał w domyśle drugi człon formuły - "kto nie z nami, ten jest wyjęty spod prawa". I to jest dopiero całość formuły. Stąd właśnie internaty, przetrzymywanie ludzi latami w więzieniach bez wyroków i z wyrokami wydawanymi przez telefón, selektywne amnestie, będące cezurą kolejnych represji.

Wyjęcie spod prawa spełnia bowiem w systemie fundamentalną funkcję. Dzieli bowiem społeczeństwo na dwie grupy. Jedna z nich - jej rozmiary są dowolnie ustalone przez władzę - nie może liczyć na to, że w stosunku do niej komuniści będą przestrzegali nawet tych praw, które sami ustanowili. Spectrum represji obejmuje od trzech miesięcy więzienia za złóżenie wiązanek kwiatów, poprzez bezterminowe przetrzymywanie za kratami, aż do utopienia w Wiśle. To wszystko mieści się w formule kadarowskiej, gdyż taka jest jej naturalna logika.

Jeśli nawet założyć, czy nawet skonstatować dobrodziejst-



wa ograniczonego liberalizmu w porównaniu z oficjalnie totalitarną, a przez to bardziej szczerą formułą Husaka, to trzeba pamiętać, że z dobrodziejstw miękkiego knuta nie korzystają wszyscy. O tym wie każdy komunistyczny liberał. Wiedział również Rakowski, którego rola i zadania były oczywiste od początku stanu wojennego.

Naiwni, i naiwnych zręcznie udający, byli na ówczesnego wicepremiera szczerze oburzeni. Jak to? - pytano ze zgrozą w warszawskich salonach - on to chce firmować?

Co - przepraszam - miał firmować Rakowski? On niczego nadzwyczajnego nie firmował, bo nie nie było takie znowu nadzwyczajne. Ot normalny, realny socjalizm, przeciwko któremu podniesiono się lekko z kłęczek i trzeba było ludziom przypomnieć ich właściwe dla systemu miejsce i pozycję. A że Rakowski był zdolniejszy od skrzyżowania politycznego chuligana z lumpem, jak kapitalnie określił Siwaka Wiktor Suszycki, a do tego lepiej znał generał-premiera, on właśnie otrzymał odpowiedzialne zadanie wyrównania chwilowo rozsypanych szeregów polskiego społeczeństwa. Można było czołgami, ale można było spróbować pogrozić palcem. Toć przecież czołgi stały obok, ciepłe jeszcze po akcji "Wujek".

Lekcja realsocjalizmu. Obowiązująca wówczas doktryna mniejszego zła miała na celu wprowadzenie wielkiego dobra. To dobro towarzysze radzieccy sformułowali jasno: odwrócić bieg wydarzeń - pracować i milczeć!

Z przełożeniem tych braterskich, z troski płynących zaleceń na socjotechniczne dyrektywy bieżącej praktyki politycznej nie było żadnego kłopotu. No, może prawie żadnego. Wykształcony jakby nie było wicepremier, niewątpliwie świadom był ogromu czekającej go pracy. Skoro odrzucono wariant eksterminacyjny, niepopularny jak się zdaje w cywilizacji śródziemnomorskiej, pięć było zasadniczych zadań, które należało pomyślnie rozwiązać.

Zadanie pierwsze polegało na wymuszeniu bierności społeczeństwa. Chodziło o to, aby przeważającą część narodu utrzymać w stanie apatycznego przyzwolenia na rządzenie, usiłując jednocześnie stan ten wynagradzać skromną poprawą warunków życia. Ważny był pułap, od którego owa poprawa ma nastąpić. Dlatego w okresie posierpniowym można łatwo zaobserwować było, postępującą z miesiąca na miesiąc, z jednej strony dezorganizację rynku artykułów żywnościowych, z drugiej zaś nieprzewidywalny i potężny nacisk ówczesnych władz przed ujawnieniem faktycznych danych, dotyczących produkcji żywności. "Kto ma żywność, ten ma władzę" - obwieścił na cały kraj podczas rozmów z "Solidarnością" latem 1981 roku wicepremier Rakowski. Szczerze i zaiste rozbijająca, zwłaszcza kłedy w kraju mogącym wyżywić 80 milionów ludzi, zaczyna brakować dzemów owocowych. Gdy w kilka miesięcy później, już po wprowadzeniu stanu wojennego, zaczynają one zalegać sklepowe półki, trudno nie skonstatować poprawy.

"Jaka ta władza jest, taka jest, ale sery żółte można kupować bez ograniczeń" - taka miała być filozofia polityczna przeciętnego Polaka i w perswadowaniu narodowi tego punktu widzenia Rakowski odegrał istotną rolę.

Zadanie drugie dotyczyło przekazania boj-

k o t u ś r o d o w i s k o p i n i o t w ó r c z y c h .  
Widocznym znakiem przełamania tego bojkotu byłoby włączenie  
tych środowisk do systemu. I tu zarysowały się dwa stanowis-  
ka. Jedni twierdzili, że włączeniu temu musi towarzyszyć ak-  
tywne i demonstracyjne popieranie władzy, inni - co bardziej  
realistycznie myślący - uważali, że jest to warunkiem na razie  
zbyt wygórowany i skłonni byli zeń zrezygnować. Rakowski,  
myślący pragmatycznie i dobrze znający stopień niechęci do  
władzy środowisk intelektualnych i artystycznych, zalecał  
taktykę ewolucyjnego włączania ich do systemu, bez wymogu  
demonstracyjnego poparcia dla władzy. Satysfakcjonowała go  
sama obecność bardziej znaczących społeczeństwa w środ-  
kach masowej komunikacji. W zamian za to obiecywał pewne  
koncesje w dziedzinie działalności naukowej, twórczości ar-  
tystycznej, wyjazdów zagranicznych itd. Koncesje - tak zaw-  
sze rozumiały komuniści - mają to do siebie, że mogą być w  
każdej chwili anulowane lub obwarowane nowymi warunkami. Na  
razie Holoubek otrzyma paszport, jak zagra księcia Myszkina,  
jutro ceną może być rola Lenina. Ale to dopiero jutro, nie  
na siłę.

Zadaniem trzecim było wprowadzenie ste-  
rowanego pluralizmu. Postawa Rakowskiego  
od niepamiętnych czasów była postawą kokieterii wobec grup,  
które gotowe były włączyć się do systemu, wszakże pod warun-  
kiem uznania ich statusu "lojalnej opozycji". Polityczna wy-  
goda takiego stanu rzeczy, kiedy grupy o pewnym autorytecie  
społecznym popierają władzę, podkreślając jednocześnie swoją  
deklaracyjną niezależność, jest niezaprzeczalne. W oczach  
Zachodu, notorycznie poszukującego alibi dla rozmów z komu-  
nistami, może wówczas przysnąć mit o totalitarnym charakterze  
realsocjalizmu. Zachodni politycy, dla których liczą się  
przede wszystkim fakty i nazwiska, z wdzięcznością zapomną o  
tym, że warunkiem uczestnictwa w tym oktrojowanym pluraliz-  
mie jest i pozostanie akceptacja tzw. ustrojowych zasad PRL.  
A więc przede wszystkim bezdyskusyjna akceptacja kierownic-  
czej roli komunistów w systemie.

Zadaniem czwartym było skuteczne izolo-  
wanie opozycji integralnej  
przy pomocy strategii selekty-  
wnej represji. W stosunku do tzw. opozycji an-  
tysocjalistycznej obowiązuje zawieszenie prawa, czego dobit-  
nym, choć nie jedynym dowodem jest proces gdański, w którym  
autoryzowano uwięzienie Frasyniuka, Lisa i Michnika. To za-  
wieszenie prawa jest właśnie wynikiem wspomnianej wyżej for-  
muły kadarowskiej. Kto nie jest z władzą, a nie decyduje się  
ani na bierność polityczną, ani na koncesjonowaną aktywność,  
musi się liczyć z tym, że jest wyjęty spod prawa. Nie znaczy  
to, że natychmiast będzie aresztowany i przetrzymywany w  
więzieniu lub postawiony przed ekspresowym sądem, wymierzają-  
cym telefoniczną sprawiedliwość. Co więcej, ekwicepremier  
będzie w paru przypadkach nawet interweniował skutecznie i  
doprowadzi do uwolnienia niewinnych ludzi. Ta realistyczna  
wielkoduszność Rakowskiego będzie spełniała również funkcję  
prewencyjną, będzie wskazywała na to, że selektywna represja  
skierowana jest w mniejszym stopniu do samej opozycji, bar-  
dziej zaś do całego społeczeństwa, na którym ma wymusić bie-  
rne przyzwolenie na istniejący stan rzeczy.

Piętym zadaniem była neutralizacja Kossicioty, który miał być ograniczony do kruchty, zaś jego nauczanie społeczne w sensie publicznym sprowadzać się miało do antyalkoholowych apeli i piętnowania złej pracy.

Czynny udział Rakowskiego w rozwiązywaniu powyższych zadań nie został jednak należycie doceniony. Trudno było przekonać towarzyszy radzieckich, że gdyby nawet Rakowski miał mentalność Wasila Bilaka, czy choćby i Stefana Olszowskiego, niewiele więcej by wskórał. Zadecydowały resentymenty i czołowy polski liberał otrzymał nową posadę.

Przewodniczący bezradnej Rady. Rakowski odszedł zawiedziony. I trudno mu się dziwić. Zawiodła go partyjna koteria, która wyniosła go do wicepremiera, obiecującego więcej fotela. Stanowczo jednak należało mu się więcej niż przewodnictwo dekoracyjnej Rady Socjeczno-gospodarczej przy fasadowym sejmie. Tej Rady, z której przewodnictwa zrezygnował dość łatwowierny i w gruncie rzeczy naiwny prof. Jan Szczepański. Zrezygnował, kiedy zrozumiał, że dalsze firmowanie tej propagandowej zgoda imprezy nie przystoi człowiekowi, który ma do siebie choć minimum szacunku. Rakowski taki naiwny nie jest. Dlatego musi mu być bardzo przykro.

Zawiodło także wicepremiera społeczeństwo, a zwłaszcza inteligencja. Tyle lat ją dopieszczał swoją otwartością i liberalizmem, tyle lat narażał się partyjnemu betonowi, tyle razy balansował na krawędzi rewizjonizmu, nieomalże pragnąc skupić koło siebie większość najlepszych. Oni zaś niewdzięczni w trudnej chwili jego rządów odwrócili się od niego plecami.

Najpierw Rakowski z żalem skonstatował niemożność porozumienia się z narodem. Później rzecz o wiele gorszą - zasadniczą niemożność zrozumienia przez naród jego racji. Niewdzięczność narodu boli, ale skoro już tak jest, skoro tak niewiele było w stanie zrozumieć motywy i intencje ekwicepremiera, to męska łza szybciej obeschnie i wygodniej będzie można siedzieć w synekuralnym fotelu. W końcu naprawdę nie ma sensu się tak poświęcać. I to dla kogo, na Boga, dla kogo?

/"Tydzień Polski", Londyn/

Bohdan Zawrat

#### POWROTY - CDWROTY

Świetłana Allielujewa powróciła na Zachód - doniosły w połowie kwietnia br. agencje prasowe, a w ślad za nimi z nowu pojawiły się artykuły, komentarze i wywiady, poświęcone temu wydarzeniu. Nim będzie zapomniana cała kowicie /oby jak najrychlej.../ córka Józefa Długaszewili /pseudonim - Stalin/, raz jeszcze dostarczyła swego rodzaju sensacji dla pewnych kręgów zachodniej opinii publicznej. O reakcjach radzieckiej opinii publicznej /przyjmijmy, że takowa istnieje/ nie wiemy zgoda nic... I to jest naturalne i w pełni zrozumiałe, przynajmniej na razie, dopóki "kreatorzy" tzw. opinii w Związku Sowieckim zachowują wyniosłe milczenie.

Prawdę powiadziawszy, nie jest to aż tak wielkie wydarzenie, zwłaszcza na tle dramatycznego zwrotu w sytuacji międzynarodowej, w kontekście zdecydowanej riposty amerykańskiej na nasilający się i nie przebiegający w środkach międzynarodowy terroryzm, stanowiący już nie tylko wyzwanie dla wszelkich norm prawa i moralności, lecz istotny element strategii konfrontacyjnej Kremla i jego klientów na Bliskim Wschodzie.

Jeżeli zabieram - mimo wszystko - głos w "sprawie Allielujewej", to raczej z tego powodu, że na tych łamach /"Most" 2/1985/ wypowiadałem się w felietonie pt. "Powroty" na temat zarówno powrotu córki Józefa Dżugaszwili do ZSRR, po 17 latach pobytu na Zachodzie, jak również "powrotu" Olega Bitowa, który najpierw "wybrał wolność", udzielił masę wywiadów, napisał moc artykułów, pozawierał szereg umów wydawniczych, zgromadził na koncie 44 tys. funtów, a następnie "powrócił", zostawiwszy przebrzydłym imperialistom i konto, i mieszkanie w Londynie i samochód /"Bierzcie... nie zależy... jam obywatel Związku Radzieckiego!"/. Wspomniałem również wówczas o dwóch zaginionych i zbałamuconych żołnierzach-dezerterskich z Afganistanu, którzy też "powrócili".

Wszyscy qni bredzili na jedną nutę: "porwanie", "narkotyki", "pozbawienie wolności", "tortury psychiczne i fizyczne" zadawane już to przez służby specjalne w Wielkiej Brytanii, już to przez agentów CIA. Allielujewa narzekała że to na "kapitaalistyczną dżunglę", na "manipulowanie" jej osobą "przez macherów politycznych i prasę", nie wspominając dla odmiany o narkotykach, ani też o tym, że po odmowie powrotu do ZSRR 17 lat temu... spaliła swój sowiecki paszport. Natomiast po odwróceniu, czy też kolejnym powrocie /gdzie ona właściwie wraca?/, na konferencji prasowej w Moskwie, na której przytaszczyła również swoją 14-letnią córkę - Olgę /mała nie zna ani słowa po rosyjsku i nawet nie lubi swego imienia, wclii, kiedy mówią na nią Chris/, pani Swietłana przemilczała wspomniany "gest" i wylewnie dziękowała władzom, że "wspamiętniły przywrócić jej obywatelstwo Kraju Rad".

Następnie zamieszkała w hotelu "Sovietskaja", a potem udała się do... Gruzji /?/.

Niepojęte to wszystko było z punktu widzenia tzw. sukcesu propagandowego, gdyż /pozwolę sobie nieskrótnie przypomnieć/ wyraziłem wówczas przekonanie, że Swietłana Allielujewa jest człowiekiem niezrównoważonym psychicznie, czemu trudno się dziwić i że szkoda jedynie małej...

Show trwało krótko, nawet bardzo krótko. I oto Swietłana "powróciła" na Zachód, stwierdzając wobec dziennikarzy, że "rozczarowała się" /?/, że "sytuacja w ZSRR pogorszyła się" /?/, że "wraca do ludzi, którym jest potrzebna" /?/.

Mała Chris wyjechała nieco wcześniej, wprost do Oxfordu, gdzie uczęszczała przedtem do szkoły średniej. Jest zapewne szczęśliwa! Była zaskoczona decyzją matki "powrotu" do ZSRR, publicznie wołała do niej, że nie miała prawa tego robić bez porozumienia z nią itd. Jest to ponoć zupełnie normalna dziewczynka: bardzo ładna, niesłychanie komunikatywna, lubiąca się stroić, ale raczej skromnie i gustownie /cóż, mama, wg prasy zachodniej jest milionerką/. Swietłana nato-



miast nie chciała, aby Chris ubierała się w dżinsy i dręczyła córkę, by pobierała lekcje gry na... wiolonczeli.

Skoro jesteśmy przy pieniądzach... Nie przypominam sobie, aby pani Allielujewa przeznaczyła chociażby jednego centa na rzecz Funduszu Sołżenicyna, funduszu pomocy więźniom politycznym i ich rodzinom, w ogóle ludziom prześladowanym w Rosji Sowieckiej za przekonania. Przypominamy, że właśnie Aleksander Sołżenicyn przeznaczał całe honoraria za "Archipelag Gułag" na ten fundusz, a były to zapewne setki tysięcy, jeżeli nie miliony dolarów. Sołżenicyn uważał, że jego osobista fortuna nie może powstać na łzach i krwi milionów ludzi, że nie godzi się "zarabiać" na tym, iż dało się świadectwo prawdzie.

Córka twórcy Gułagu zbiła majątek na rewelacjach o swoim ojcu, o jego otoczeniu, o potwornym systemie, którego ona - mimo wszystko - sama jest produktem. Innymi słowy, spekuluje wciąż na swoim pochodzeniu, na tym, że jest córką Stalina, na imieniu, które budzić będzie po weże czasy grozę! Jest to dla mnie osobiście wysoce antypatyczne.

Zastanawia natomiast jedno: jak ją wypuszczono? Nie jestem prawnikiem. Być może prawo amerykańskie przewiduje podwójne obywatelstwo, być może też, jak stwierdził pewien niepoprawny optymista, władze sowieckie dcszły do wniosku, że to wszystko "nie ma sensu"...

Ale ani normy prawa, ani "zdrowy rozsądek" n i g d y przeciw władców na Kremlu nie interesowały. Ich obchodzi w y ł ą c z n i s u ż y t e c z n o ś ć, c e l o w o ś ć danej operacji, kolejnego show... A jest sens przypominać światowej opinii publicznej każdego dnia, iż Andriej Sacharow - jeden z największych uczonych i myślicieli naszej epoki - jest więziony /bo tak to trzeba nazwać/ bez wyroku i sztucznie odżywiany, gdyż wciąż niezłomnie walczy o prawa i godność swoich współrodaków, obrzucających go najgorszymi epitetami!

Swietłana Allielujewa powiedziała po powrocie /na Zachód/, że "pisała do Gorbaczowa", no i...

Może tu tkwi klucz do szarady? Ale nie ma to, na dobrą sprawę, istotnego znaczenia. Tak, tak "Mikel Gorbachoff" - super star" jeszcze fascynuje niektórych publicystów zachodnich. Nie chcę nikogo o nic powąwiać, niemniej muszę, gwoli ścisłości, odnotować, że Rosjanie ostatnio eksponują w prasie amerykańskiej rozmaite "kawałki" z przekłówień M.G., wykupując w tym celu całą kolumnę na ogłoszenia, która kosztuje 160 tys. dol.

Jest taki znany termin "VIP", czyli Very Important Person. Proponuję dla Gorbaczowa termin "VEI", czyli Very Prodigius Illusionist, a więc zamiast Bardzo Ważna Osobistość - Bardzo Zręczny Iluzjonista, który pewnego, niepięknego bynajmniej, dnia wykręci swoim zachodnim czcicielom taki numer, wobec którego popisy Swietłany Allielujewej będą wydawać się żałosnym widowiskiem, niegodnym większej uwagi...

Brutus

## NA BANICJI

Dla Bugajskiego, filmowca, któremu zabroniono kręcić filmy, człowieka, który nie może pracować, życie w Polsce przypominało - aby użyć jego własnych słów - zamknięcie się "w szarym betonowym pokoju z niskim sufitem". Emigracja Bugajskiego, za ostateczną zgodą władz, do Kanady, stanowi drobny, niepotrzebny przegrany kultury polskiej i bolesne przeżycie dla jego żony i młodego syna.

"Zostałem zmuszony do opuszczenia kraju - powiedział on sam - nie tylko dlatego, że nie mogę pracować w swoim zawodzie, ale także i z powodu ludzi ze służby bezpieczeństwa, którzy ustawicznie próbowali mnie przekonać, że powinienem wyjechać".

Bugajski popadł w niełaskę w związku z swoim filmem "Przesłuchanie", który stanowił jego debiut w filmie pełnometrażowym. Nakręcony przed stanem wojennym w 1981 roku, zmontowany później, w kwietniu 1982 został przedstawiony ministrowi kultury i grupie doradców - filmowców, historyków i filozofów, a w rezultacie - nie dopuszczony do rozpowszechniania.

Zamiast tego, krąży teraz w podziemnej sieci video, prowadzonej przez "Solidarność". Film opowiada o dziewczynie, którą gra Krystyna Janda /"Człowiek z żelaza", "Człowiek z marmuru", "Mefisto"/, aresztowanej w stalinowskich latach pięćdziesiątych pod jednoznacznie fałszywymi zarzutami. Jest przesłuchiwana, zastraszana, upokarzana i torturowana w siedzibie tajnej policji w Warszawie. Jeden z przesłuchujących zakochuje się w niej i w końcu Janda zostaje uwolniona z mniej więcej nie naruszoną psychiką /? - przyp. red./.

Nic dziwnego, że Bugajski nie spodobał się służbie bezpieczeństwa. Argumentując, że film jest zbyt niebezpieczny, aby go wyświetlać, warszawski socjolog stwierdził na posiedzeniu grupy doradczej w 1982 r.: "Masowa widownia zareaguje na ten film, jak na łamanie ludzi przez osoby w polskim mundurze... Czy będzie widzieć różnicę między stalinowskim niesocjalizmem i socjalizmem stanu wojennego? Oczywiście, że nie!"

Bugajski - przyjemny, przyzaty człowiek palący fajkę - padł ofiarą centralnego dylematu komunistycznej produkcji filmów. Z jednej strony istnieje leninowski dyktat, że film stanowi najważniejszą ze sztuk. Jest najbardziej bezpośrednim, najskuteczniejszym sposobem przemawiania do mas pracujących i kształtowania ich umysłów. Wielka odpowiedzialność.

Z drugiej strony istnieje potrzeba czynienia tego środka przekazu atrakcyjnym dla publiczności kinowej.

W Polsce, system przez jakiś czas łaskawym okiem spoglądał na niezależność reżyserów filmowych. Poszczególными zespołami filmowymi kierują często niezwykle kompetentni reżyserzy i doradcy literaccy, którzy cenią scenariusze. To oni kładą się z cenzurą i zdobywają finanse.

Pod koniec lat siedemdziesiątych system zespołów filmowych przyczynił się do renesansu polskiego kina i fali fil-

mów, znanych jako kino moralnego niepokoju. Przy pomocy aluzji i metafor filmy te dokonywały szczegółowej analizy natury władzy i bezsilności, smarpowanych i korumpujących w społeczeństwie komunistycznym.

Rewolucja "Solidarności" w 1980 r. sprawiła, że Polaków zniecierpliwiały aluzje - żądali bezpośredniości i szczerości, prawdy o stalinizmie, prawdy o nie podlegających dotąd dyskusji tezach socjalizmu.

Bugański próbował sprostac tej potrzebie - jego film bardziej szokuje swoją otwartością niż brutalnością - ale przegrał wyścig z reżyserami stanu wojennego. Kiedy "Solidarność" zdelegalizowano, generałowie próbowali cofnąć zegar w świecie filmu. Wajda został wyrzucony ze stanowiska przewodniczącego Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Polskich intelektualistów i artystów często zsyła się na wygnanie - i najlepszy, Czesław Miłosz, mieszka w Ameryce; najbardziej utalentowany satyryczny dramaturg, Sławomir Mrożek, mieszka w Paryżu; sam Wajda rzadko kiedy jest w Warszawie; a najbardziej znany polski filozof, Leszek Kołakowski, przebywa na staż w Oksfordzie. Ale polski wygnaniec bierze ze sobą nie tylko część Polski, lecz także pewien obraz czasów.

Bugański będzie na Zachodzie robił filmy o stosunkach między represjonowanymi i ich oświeźcami. "Zdaje sobie sprawę z tego - mówi - że ludzie na Zachodzie mają inne problemy, ale w wolnym kraju, w Polsce, czy gdzie indziej, chciałbym robić to, co ważne... Polityka stanowi niemoralny rodzaj działalności, ale artysta powinien się zajmować wszystkimi aspektami działalności ludzkiej - nie wyłączać polityki - z moralnego punktu widzenia.

Pytania stawiane na Wschodzie mogą i powinny być przekładane na język Zachodu. Czy na przykład, absolutnie niewłaściwe jest stosowanie tortur? A co, jeśli terrorysta podłożył gdzieś bombę, która może zabić setki ludzi, a terror i tortury stanowią jedyny sposób wydobycia koniecznych informacji i zapobieżenia katastrofie?

Bugański zna odpowiedź na to pytanie: trzyma się swoich absolutów i weźmie je ze sobą na Zachód jako bagaż podręczny. W międzyczasie warszawskie kino będą oczekiwać nadejścia filmu "Indiana Jones i świątynia żubry"; wymiar moralny został skazany na banicję.

/"The Times"/

Roger Boyes

## "KRAKOWSKA"

13-miesięczna, 13-dniowa i skończona 13 grudnia historia "Gazety Krakowskiej" Macieja Szumowskiego i jego współpracowników była rzeczywiście wspaniałą epopeją dziennikarską. Złożyły się na nią talenty ludzkie, odwaga, zręczność i pasja w poszerzaniu niezwykłych perspektyw, jakie otworzył przed nami wszystkim Sierpień '80. Podpisana przez cały zespół przedgrudniowej "Krakowskiej" wartką relacją o tej przygodzie<sup>x/</sup> czyta się jednym tchem, ozuć w niej sztukę wytrawnych ludzi pióra i kompetencję, która pozwala poznać nowe fakty nawet czytelnikowi stosunkowo dobrze obznajomionemu z problematyką prasową czasów legalnej "Solidarności".

Dla przykładu i dla przypomnienia powiedzmy tylko, że od 1 listopada 1981, czyli od dnia, gdy naczelną redakcję "Gazety" objął Maciej Szumowski, organ krakowskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR stał się jednym z najkonsekwentniej, w skali kraju, zaangażowanych po stronie odnowy dzienników wydawanych pod cenzurą. A już zupełnym fenomenem był wśród prasy partyjnej. Autorytet "Krakowskiej" znaczenie wykroczył poza granice jej regionu. Była ona - o czym wielokrotnie wspominają autorzy książki - poszukiwana i zacytywana w całej Polsce. W czasie obrad IX Nadzwyczajnego Zjazdu w kuluarach zwolennicy linii "Gazety" wespół z jej przeciwnikami przewrócili w zamieszaniu stoisko, na którym ją sprzedawano. I chyba nic dziwnego, skoro ona jedna przynosiła z obrad zjazdu, a także zza jego kulis, sprawozdania niemal kompletne.

Książka opowiada w porządku chronologicznym /poszczególne rozdziały noszą nazwy miesięcy/ kolejne epizody, które wyznaczały rytm pracy "Gazety" w tym okresie, kolejne potyczki, sukcesy, jak również niepowodzenia. Należało do tych epizodów m.in. zamieszczenie relacji ze spotkania i debaty w Nowej Hucie z udziałem Adama Michnika, zwycięska walka o zamknięcie śmiercionośnej dla Krakowa i okolic Huty Skawina, decyzja redakcji o znaczeniu w tekstach ingerencji cenzury - wbrew stanowisku KK partii. A także akcja w obronie zabytków krakowskich rozkradanych w trakcie "rewaloryzacji" przez prominentów partyjnych /sam Jaroszewicz zabrał do swoich posiadłości 5 zabytkowych pieców kaflowych, które zresztą zostały w czasach "Solidarności" odzyskane/, czy słynna wtedy decyzja Szumowskiego o publikacji wszystkich trzech konkurencyjnych wersji na temat prowokacji bydgoskiej. Należą tu też wysiłki reporterów, obsługujących dla "Krakowskiej" IX zjazd partii i I KZD NSZZ "Solidarność" w hali "Oliwii". Niepospolita rzutkość i pomysłowość, praca redakcji niemal przez okrągłe 24 godziny na dobę /normalnie redakcje dzienników porannych zamykają swoje numery około 22-giej, "Krakowska" np. swój reportaż z konfliktu w Bielsku-Białej drukowała nad ranem/ - wszystko to sprawiło, że długo, może zawsze już przez lata, które nam pozostały, będziemy wzdychać: to była gazeta! Takiej już chyba nie będzie! /Nie podzielamy pesymizmu autora - przyp. red./

x/ "13 miesięcy i 13 dni Gazety Krakowskiej". Wyd. Polonia 1985.



Skoro zostało powiedziane o tej książce tyle dobrego, rozumie się samo przez się, że poniższe uwagi polemiczne mogą mieć znaczenie tylko marginesowe - posłużycy ewentualnie historykom i prasoznawcom, opracowującym w przyszłości kompletną monografię, na którą ów epizod z najnowszych dziejów prasy polskiej ponad wszelką wątpliwość zasługuje.

Właściwą opowieść Autorzy poprzedzili wstępem, który wyznacza ich optykę polityczną i historyczną, prezentując ich koncepcję roli prasy i dziennikarstwa w systemie PRL i na poszczególnych etapach jego ewolucji - chciałoby się rzec, w cyklu jego paroksyzmów.

Creto Autorów najpełniej chyba przedstawiają następujące dwa cytaty, z którymi trudno się nie zgodzić: dla dziennikarzy "powinnością będzie zawsze szukanie nadziei w tej tajemnej a przecież prostej więzi, jaka rodzi się za pomocą dobrego słowa między człowiekiem a człowiekiem". Oraz: "Za doświadczenie podstawowe uważamy jasną i ostrą świadomość każdego Polaka, że można zawsze znaleźć w tym systemie jakąś furtkę do własnej niezależności". Zastrzeżenia wzbudza dopiero odniesienie obu tych prawd, jako jednakowo słusznych i jednakowo obowiązujących, do całego w praktyce czterdziestolecia prasy w PRL, zarówno przed Sierpniem i grudniem, jak po Sierpniu i grudniu. Dzięki wysiłkom dziennikarzy wychodzącym z ówch założeń - twierdzą Autorzy - i stanowiącym fragment wysiłków całego społeczeństwa, możliwe były następujące po sobie przełomy: 1956, 1968, 1970, 1976, 1980. Kontynuowanie podobnych wysiłków jest sensowne, konieczne i stanowi właściwie jedyną rzecz do zrobienia, jaka nam pozostaje również w czasie bieżącym - po doświadczeniach z początku lat osiemdziesiątych.

Przy całym szacunku dla mądrej pokory Autorów, odnosi się jednak wrażenie, że patrzą oni na całe zmagania społeczeństwa z władzą o podmiotowość, samorządność, demokrację, jako na pewnego rodzaju trud Syzyfa - od przesilenia do przesilenia, jakby te przesilenia były celem samym w sobie i w pełni weryfikowały wszystko, co do nich prowadzi, nie tylko jako konieczne, ale i wystarczające. Gubi się poniekąd w tym ujęciu przełomowość, nowa jakość, osiągnięta w procesie rozwoju społeczeństwa i jego świadomości w okresie 1980-81. Jest to niesłychanie trudny problem, nazwijmy to metodologiczny, gdyż oczywiście wszyscy skłonni jesteśmy dziś traktować wysiłki, w których uczestniczymy, jako trud Syzyfa. Ale jednocześnie powinniśmy pamiętać, że Syzyf, który już na pewno wie, że kamienia nigdy na górę nie wepchnie - przestaje być sobą, Syzyfem i rezygnuje z dalszych usiłowań. Jeśli mimo wszystko próbuje, to dlatego, że zachowuje nadzieję, więc szuka nowych sposobów popychania głazu i nowych podejść. Czasy podrudniowe muszą się więc różnić, i w dość powszechnym odczuciu różnią się, od poprzednich, właśnie nowym podejściem do zadań oporu społecznego.

Stanowisko Autorów łączy się z ich usytuowaniem przed Sierpniem i po Sierpniu w obozie tzw. liberalnej opozycji wewnątrzpartyjnej. To właśnie sprawiło, że sposób myślenia twórców "Krakowskiej" - przy całym ich gorącym zaangażowaniu po stronie polskiej "samooznaczającej się rewolucji" - obciążony był pewną nieuleczalną sprzecznością. Nie mieściła się mianowicie w tym sposobie myślenia świadomość, że konsekwentny proces przemian październikowych musiałby prowadzić do de facto likwidacji partii komunistycznej w Polsce, a głębokie przekształ-

Znienie partii - w niekomunistyczną - nieuchronnie doprowadzi-  
łyby na nas interwencję sowiecką. Wydaje się, że Autorzy  
książki nie do końca tę sprawę przemyśleli i nie wyciągnęli  
ostatecznych wniosków ze swojej - i nas wszystkich - poraż-  
ki. Nadal zastanawiają się, jakby to było dobrze, gdyby  
struktury poziome zadominowały w PZPR i nadal wierzają - choć  
już tylko resztkami wiary - w reformowalność systemu.

W dziejach "Gazety" szczególnie charakterystyczna była  
pod tym względem ocsna tzw. porozumienia warszawskiego /30  
marca 1981 r./. "Krakowska" zamieściła wtedy tytuł "Żwycięs-  
two porozumienia nad konfrontacją". "Cieszę się - pisał re-  
porter - że nie będę musiał relacjonować strajku generalne-  
go". Po latach zespół "Krakowskiej" przytacza te swoje ów-  
czesne sformułowania z satysfakcją, jakby nie było tu nic do  
dodania, ani do ujęcia.

Kamil Wiliński

### "WIELORYBY" I INNI

Wiele zjawisk w przyrodzie nawet dla naukowców pozostaje  
tajemnicą. Rozmażanie się szujki lelujki i jej symbioza z  
bzdzijską ślinioszką, wędrujące pustynie, uciekające galak-  
tyki, czarne dziury i czerwone majaki, to nadal tematy, po  
których uczeni stąpają niepewnie i miast definicji, wysuwają  
hipotezy. Jedną z takich niewiadomych jest okresowy pęd wielo-  
lorybów ku samozagładzie - najtęższe umysły najsłynniejszych  
akademii nie potrafią tego faktu zinterpretować i uczciwie  
przyznają, że wszystko, co na ten temat mogą powiedzieć, to  
domysły.

W naszej, nadwiślańskiej przyrodzie, takimi wielorybami  
są niektórzy publicyści i dziennikarze. Ludzie nazwiska, o  
ustalonych firmach, piszący z reguły i od lat "pro", cieszą-  
cy się pełnym zaufaniem reżimu i zarazem czyns w rodzaju  
profesjonalnego respektu wśród swych ideowych przeciwników.  
Chętnie czytывani przez tzw. naród, m.in. dlatego, że ilek-  
roć przez oficjalne środki masowego przekazu przewala się  
jakaś chamska, nahałna akoja, oni zazwyczaj miłozą. To lu-  
dzie, którzy bywają zarówno na galowych czy prywatnych ban-  
kietach prominenckich, jak również po przeciwnej stronie bu-  
fetu. To w każdym razie ci, którym m i m o w s z y s t -  
k o podaje się rękę /tu myślę o sobie i podobnie myśla-  
cych/, choć czasami bierze człowieka cholera, dlatego taki  
inteligentny, wrażliwy, dowcipny, wreszcie często sympatycz-  
ny facet, tak często prezentuje z gruntu obce nam poglądy  
czy oceny. Ale tak bywa na oalym świecie i dzięki Bogu -  
wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę, że taki stan rzeczy jest  
normalny, zaś taki, gdzie wszyscy piszą to samo, czy tak sa-  
mo, to czysta paranoja, przeważnie w socrealnym wydaniu.

I nagle przychodzi dzień, gdy taki facet staje się "wielo-  
lorybem". Podpisuje się pod tekstem budzącym wstępl i obrzy-  
dzenie. U najbardziej tolerancyjnych czytelników dominuje w  
takich sytuacjach uczucie gęłbokiego zdumienia i niesmaku.

Takimi na przykład materiałami felietonowymi popisywał się ostatnio w "Polityce" KTT. Tygodnik ten ma swoich czytelników, co tu ukrywać, czytujemy go prawie wszyscy. Mamy określony stosunek do pewnych nazwisk, wiemy, że po jakimś poszczypaniu władzy po kosztach, pismo musi się wykazać materiałem pozytywnym, znały przecież tamte reguły gry. Bez gwałtownej reakcji czytamy materiał B. Pietkiewicz o chłopcach z ZOMO, z którego wynika, że to fajna ferajna, ludzie młodzi, ale z poważnymi zainteresowaniami, mający wręcz obsesję na punkcie pilnowaniaładu i spokoju, którzy nigdy nie słyszeli o gorzałce czy dopingu przed, czy w czasie akcji, i dzielnie znoszący kamień obelg, mianych na nich przez tych, którzy nie wiedzą, co czynią. Morał z tego materiału jest prosty, jak milicyjna para: tylko frajer nie służy w ZOMO. No i co? No i nic. Bo kto to jest pani Pietkiewicz?

Również bez wrażenia przechodzą materiały peerelowskich korespondentów zagranicznych, czy tzw. zagraniczne komentarze. Pisanie pod jeden strychulec, to zapłata za pobyt na placówce, czy diety na wyjazd czasowy. Reprezentują oni poglądy prosto z narady w odpowiednim wydziale KC i przelewają je na papier. Takich jest sporo. Piszą głupoty, mało kto to czyta i wszystko toczy się dalej. Oni muszą, bo oni umieją tylko to. Marne dziennikarstwo, kiepska znajomość rzeczy, pełna służalczość. Niektórzy popadli już w rutynę i jakby przestali się ścierać w pełnieniu funkcji służebnych. Już nie marzą o tym, by być pierwszym wśród preparujących rzeczywistość na użytek i chwagę władzy, wystarczy im miano semper fidelis, zawsze gotowych do usług. Ale są i arrywiści, np. niejaki Lobman z "Trybuny Ludu", człowiek /w tym przypadku to zaproponował w naszym Białym Domu, że on, ze swym żydowskim pochodzeniem i semickimi rymsami, pojedzie niezwłocznie na Zachód, gdzie syjonисти ukmuli spisek, mający na celu prezentację ówczesnej ekipy jako antysemitkiej i będzie "żywym przykładem", że u nas mniejszości nie tylko się nie tępi, ale wręcz wysyła za granicę, gdzie może robić, co chce. Idea upadła, gdy ktoś w Białym Domu zapytał, gdzie red. Lobman zamierza te prawdy głosić i kto tego będzie słuchał. Na odpowiedź, że... wszędzie, w tamtejszym radiu, TV, w ich prasie, na specjalnych spotkaniach, ów ktoś z naróżnika Al. Jeruzolimskich i Nowego Świata pokiwiał głową i powiedział, że oni tu, w siedzibie kompartii uważają, że na Zachodzie jest dużo drani, ale mało głupców i dodał: "wiecie Lobman, wy to wszystko możecie napisać tu na miejscu, a my im to będziemy wysyłać pocztą". I sprawa upadła.

W różnych tytułkach różni dyspozycyjni żurnaliści wykonują funkcje dyżurnych, ironizując na tematy z teckki naczelnego, pt. "RWE, CIA, Solidarność, Wałęsa, ambony, drugi obieg itd.". Ci, od których zaczęliśmy te uwagi, tu są nieobecni.

Aż przychodzi dzień, kiedy któryś z nich poczuje się "wielorybem". Młaciego? Najstarsi ludzie nie wiedzą, bo oni przecież zaprawdę nie muszą, nikt tego od nich nie wymaga, nikt im za to nie zapłaci 10 razy więcej, nie awansuje, bo swoją drogą awansów już przeszli i zatrzymali się na nieś tam, gdzie im najwygodniej. Tajernica natury. Ktoś kiedyś powiedział, że niezbada-  
na jest dusza frajera. I chyba miał rację.

/B./

P.S. Pewnie słyszeliście o loterii zwanej "Błękitną", której współorganizatorem jest SD PRL. Z przecieków wynika, że w środowisku nowego stowarzyszenia dziennikarzy pokornych doszło do gigantycznych malwersacji i oszustw. A jako, że loteria owa ma charakter międzynarodowy i ściśle filiacje z bratnimi krajami, brudnej sprawie trudno tak od razu urwać łożeb. Pewnie ją jednak zatuszują, ze względu na tzw. interes nadrzędny, ale już teraz wiadomo, że są w związku z tym "straty w ludziach".- świadczą o tym nerwowe zmiany w kierownictwie neostowarzyszenia. Czekamy na ciąg dalszy. /R./

### UCZMY SIĘ OD EMILII PLATER

Nie ożęsto zdarzało mi się mieć w rękach książkę, w której poszczególne słuszne i celne zdania upchane były w całkowicie niesłusznym tekście. Piotr Wierzbicki, felietonista, satyryk i krtyk spróbował nowego dla siebie medium: chciał stać się Piotrem Skargą naszych czasów<sup>X/</sup>. Nie bardzo to wyszło, choć, powtarzam, bardzo wiele jest dobrych stwierdzeń i cślnych ocen. Słusznie więc krytykuje Wierzbicki-satyryk tromtadarację tych pro i tych kontra, obrzędowość i zamiówanie do gestów ze strony opozycji, zadowalanie się emocjonalnymi wykrzyknikami, zamiast chłodnej analizy. Słusznie stwierdza, kilkakrotnie nawet, że nie należy upajać się miótem "10 milionów gotowych na wszystko" i do tych fikcyjnych milionów kierowac wezwania do akcji, w których uczestniczą gdzieindzie tylko setki. Słusznie też stwierdza, że społeczeństwo żyje nie tylko duchem, lecz i ciałem, a w tej dziedzinie opozycja ma bardzo mało do zaoferowania, by nie powiedzieć - nic. I słusznie nawożuje do myślenia realistycznego, co wcale nie oznacza ugodowego, jak to usiłuje sugerować niejeden fundamentalistyczny zapaleniec. Można by wymienić takich słuszności więcej, nie chodzi tu jednak o katalog cnot i przywar, lecz o jeszcze jedną próbę oceny kontrowersyjnej książki Wierzbickiego. A tu doprawdy trudno o jednoznaczne pozytywy.

Gdyby Wierzbicki ograniczył się do autopsji - byłoby pół biedy, aczkolwiek diagnozy jego były już wcześniej, w takiej czy innej formie, publikowane, nawet masochistyczne znećanie się inteligenta /w dodatku z "dobrej przedwojennej" rodziny/ nad inteligencją dzisiejszą. Ale autor do pamfletu dorabia ideologię, a nawet historizofię. A tu już obowiązuja inne prawa, niż tylko przesada, dobre pióro i zgrabne sformułowania.

Grzech podstawowy to całkowite pomieszanie pojęć lewicy i prawicy. Można zrozumieć zafascynowanie autora prawicą, trudno jednak zgodzić się z zafałszowaniem historii najnowszej. Ostatecznie w całym międzywojennym dwudziestoleciu rządziły w Polsce takie czy inne, ale prawicowe siły. Podział między sanacją i endecją według linii granicznej lewica-prawica,

X/ Piotr Wierzbicki - "Myśli staroświeckiego Polaka".  
Wyd. "Głos", Warszawa 1985.



dlatego, że Piłsudski wywodził się z PPS, jest czystym nieporozumieniem. Z tego punktu widzenia przypomnieć warto z jednej strony, że również niejedyn przywódca endecki zahaczył o PPS /choćby Stanisław Grabski, współzałożyciel PPS, czy Zygmunt Balicki - jej prominentny niegdyś członek/, z drugiej zaś, że rodowodem socjalistycznym, a nawet radykalno-socjalistycznym, legitymowało się w ciągu ostatnich dziesięcioleci wielu przywódców prawicy z Benito Mussolinim na czele. Nie należy też, robiąc spis grzechów lewicy, zgrabnie przeskoczyć przez fakt, że dwudziestoletni okres rządów prawicy w Polsce przedwojennej nie przysporzył krajowi ani siły, ani dobrobytu i nie rozwiązał żadnego z podstawowych problemów /od reformy rolnej do analfabetyzmu; od spraw mniejszości narodowych do spraw polityki zagranicznej/. Taki bilans, surowo zresztą oceniany przez społeczeństwo, co wie każdy znający nastroje w czasie okupacji /a ten, kto ich nie zna z własnego doświadczenia, może poczytać w raportach przesyłanych z kraju do Londynu i publikowanych po wojnie/, nie daje żadnej legitymacji do puszenia się dziś.

Nie jest też prawdą stwierdzenie, że prawica została po wojnie przez lewicę rozgromiona, natomiast ta ostatnia kwitła. Pomijając już fakty personalne, że w więzieniach i łagrach węgrewało nie tylko Grąbiński, ale i Pużak i Cohn, a nawet Gomulka - pozostaje prawda wstydliwie przemilczana, że podczas gdy reżim stalinowski prześladował w pierwszej linii socjalistów, liberałów, demokratów, a nawet zbyt samodzielnie myślących komunistów - to natychmiast znalazł wspólny język z najskrajniej prawicowymi elementami polskiej seny politycznej, a mianowicie z PAŃ-em Bolesława Piaseckiego. Pomijając elementy agenturalne, które istniały wprawdzie, ale nie mogły odegrać roli decydującej - wydaje się, że porozumienie miało pewne bazy wspólnych idei. A więc granica zachodnia, zawsze postulowana przez ND, zwłaszcza tę starą spod znaku Dmowskiego, a przy tym oparcie się o Rosję, także głoszone przez niego, a więc tęsknota za silną władzą i w ogóle maksymalnie autorytatywnym /by wyrazić się elegancko/ systemem; a więc bogoojczyźniany frazes i moralność zaścianka /przecież dopiero po 1956 r. zaistniały w Polsce środki antykonspiracyjne.../ itd. Nie było więc w tym okresie dyktatury lewicy nad prawicą, jak twierdzi Wierzbicki i w czym jest zresztą zgodny z historykami reżimowymi, tylko dyktatura najbardziej ekstremalnej i totalitarnej formy komunizmu nad wszystkimi innymi.

Z grzechu pierwotnego tej fałszywej analizy wypływają dalsze wnioiki. Oto najważniejszy z nich: lewica rządziła przez całe czterdziestolecie z widowym skutkiem, czas więc na prawicę, zwłaszcza, że klęska "Solidarności" jest także dziełem lewicy, która nie znała umiarkowania w postulatach i fałszywie oceniała siły przeciwnika. Otóż jeżeli oceny dawnych czasów mogły być autorowi nieznanne, choćby ze względu na wiek, to chyba wszyscy jeszcze mamy w kościach ostatnie pięćdziesiąt lat. Któż to byli ci najbardziej "nieumiarkowani", "ekstremalni" w nomenklaturze oficjalnej "ludzie lewicy"? Rulewski? Jurczyk? Rozpłochowski? Fundamentalisci różnego autoramentu? Czyżbyśmy wszyscy mieli aż tak krótką pamięć? Przecież podstawowym błędem była niechęć przywódców - wszystkich - do przeciwstawienia się naporowi bardziej radykalnych odłamów własnego aparatu w zakładach pracy, aparatu niedoświadczonego i naprawdę wierzącego, że tysiąc płacących składki - to tysiąc bojowników, go-

1.  
towych iść na barykady, naprawdę przekonanego, że niezdolność władzy do rządzenia jest równoznaczna z jej niezdolnością do obrony własnej. Ta niechęć, bez względu na niuanse, była wspólna dla wszystkich nurtów i kierunków wielkiej koalicji, jaką tworzyła "Solidarność". Po cóż więc próbować naciągać tak przecież niedawne fakty do z góry sformułowanej tezy?

Ale autorowi jest to potrzebne nie tylko do diagnozy, lecz również do terapii. W ostatniej bowiem części książki, najszkabszej zresztą, bo wkraczającej na teren, gdzie nie wystarczą już stylizowane fajerwerki, lecz potrzeba coś postuluwać, programować, proponować - autor rzeczywiście postuluje i proponuje. Dwie rzeczy. Jedno - żeby w Polsce zapanował system liberalno-kapitalistyczny /liberalny w sensie ekonomicznym, nie politycznym/. Wprawdzie, jak przyznaje, nie wiedziałby, co zrobić np. z Nową Hutą, ale to nieważne. Po prostu w chwili, kiedy się w Polsce zreprzywatyżuje gospodarkę, zniknie całe zło. Tylko dlaczego w Polsce międzywojennej, gdzie przecież istniał właśnie kapitalizm, zło istniało, a nawet kwdtło, bo należał nasz kraj do ostatniej dziesiątki w Europie? I dlaczego po dziś dzień w krajach słabo rozwiniętych, kapitalizm nie zdaje egzaminu i odstępuje np. między RFN a Grecją jest dziś nie mniejszy, niż dajmy na to 50 lat temu? Na to Wierzbicki nie daje odpowiedzi, zaskania się zresztą Kisielewskim twierdząc, że na gospodarce sam się nie zna /swoisty zresztą paradoks: wnuk prezesa "Lewiatana", Andrzej Wierzbickiego, nie zna się na gospodarce.../.

Zna się natomiast na polityce. I tu pada druga propozycja terapii: Polacy powinni uczyć się myślenia politycznego od Romana Dmowskiego. Jak każdy polityk, działający w dłuższym okresie czasu, Dmowski zmieniał poglądy. Był więc filomuskalem w czasie, kiedy w Moskwie rządził car, a stał się antyrosyjski /choć nie tak zjadliwis i fanatycznie jak sanatory/ po Rewolucji Październikowej. Miał kiedyś jeszcze przed I wojną światową ciągoty parlamentarne i demokratyczne, patronował jednak pod koniec życia ewolucji endecji w kierunku prototalitarnym, profaszystowskim, antyparlamentarnym i antydemokratycznym. To przecież właśnie z inspiracji Dmowskiego usunięto na margines lub w ogóle ze stronnictwa resztki dawnych liberałów w rodzaju Stanisława Grabskiego, Stanisława Strońskiego, Mariana Seydy itd. Jeżeli był czemś Dmowski przez całe życie wierny - to dwóm obsesjom: zawsze wietrzył pod każdym kółkiem masona, a w każdym wydarzeniu historycznym - spisek żydowski.

Nie tu miejsce na analizę poglądów Romana Dmowskiego, ograniczmy się więc do jednego tylko cytatu: "Przeciwnicy obowu narodowego nieraz atakują obóz narodowy za to, że nie chce walczyć z Hitlerem. Ale to obóz narodowy uważa, że fakt istnienia rządów hitlerowskich w Niemczech jest dla Polski pożądanym... Zjawienie się rządów faszystowskich we Włoszech i hitlerowskich Niemczech oraz osłabienie w świecie masonerii i Żydów stwarza dogodną koniunkturę dla rządów narodowych w Polsce" itd. w tym duchu. Co prawda, nie napisał tego Dmowski, lecz jeden z czołowych wówczas ideologów "młodych" w endecji, pupil Dmowskiego, Jędrzej Giertych, w książce "Tragiczność Polski" w 1936 r. Ale i sam Dmowski w artykułach z cyklu "Hitlerizm jako ruch narodowy" chwalił pozytywy Trzeciej

Rzeszy, jak to likwidacja lewicy, stosunek do Żydów itd. Czy tego wszystkiego mamy się uczyć od Romana Dmowskiego? Czy to jest ten chwalebny przez autora w pierwszej części książki realizm polityczny - ten anachroniczny, dziewiętnastowieczny nacjonalizm, bezbronny wobec ewolucji cywilizacji europejskiej i bezradny wobec wszystkich wyzwań współczesności? Czy którakolwiek z myśli, powstałych w odmiennej epoce historycznej, może dziś mieć walor inny, niż czysto historyczny?

Gdybym był pamfletystą, jak Wierzbicki, próbowałbym go przelicytować. Dlaczego tylko od Dmowskiego? Uczmy się permanentnie od historii: od Emilii Flater, jak być dziewczcą /to może zmniejszy przyrost naturalny/, od Górnickiego /Łukasza, nie Wiesława/, jak kadzić władcom, od Ćwierciakiewiczowej, jak prowadzić kuchnię przy reglamentacji, od Bozewicza, jak walczyć z władzą - na szable czy pistolety? Itd., itp.

Ale nie jestem ani satyrykiem, ani pamfletystą. Zakończę więc stwierdzeniem, że z chęcią przeczytałem książkę, z którą się całkowicie nie zgadzam, ale której wydanie uważam za pożyteczne, również dlatego, że prowokuje do myślenia /nawet przekornego/. Czyli: uczmy się od Wierzbickiego rozpoznawać częściowo polskie choroby, ale broń Boże nie sięgajmy po jego bezskuteczne lekarstwa.

Apokryf

#### "KOS-CWI" POD ROZWAGĘ

W 92 numerze "KOS-a" ukazał się, sygnowany przez Dawida W. /Warszawskiego/, tekst, który wprowadził nas w stan osłupienia. Oto on:

"... sukcesem Stalina było zapewnienie ludowi rosyjskiemu egzystencji, do której czuł upodobanie największe: byle jakie życie, dzięki byle jakiej pracy" - pisze publicysta o wzięcznym pseudonimie Jan Omkót w piśmie "Most" /nr 4/85/. I dalej: "W Polsce taki program przebudowy warstwy inteligencji był zadaniem znacznie trudniejszym. Polacy, dzięki tysiącletniej przynależności do kręgu kultury śródziemnomorskiej, nasyconej chrześcijaństwem, mają wdrożony w psychikę system wartości, obcy rosyjskiej tradycji." "Most" to kwartalnik z aspiracjami: wżany /choć nie autoryzowany/ wywiad z Wałęsą, teksty Kisielewskiego, Hellera, Mroźka - i Omkót. Redaktorzy najwyraźniej nie widzą w tym nic niestosownego. Sam Omkót nie dostrzega sprzeczności między rozszczęnieniem zawartym w cytacie drugim, a tezą wyłożoną w pierwszym. Ilu czytelników zrozumie, jak bardzo to, co pisze Omkót, jest haniebne? "Sukcesem Hitlera było zapewnienie ludowi polskiemu...". Oburzonych tym porównaniem proszę o przeczytanie "Archipelagu GUSAG". Z kolei powracających się na "tysiącletnią przynależność

ność", by uzasadnić swą megalomanię narodową, pro-  
szą o publiczne ukorzenie się np. przed Grekami  
/przynależność dwutysiącletnia/ lub choćby Francu-  
zami /prawie półtoratysiącletnia - zawsze coś/.  
Następnie, proszę, by sprawdzili datę chrztu Rusi  
/choćby w encyklice "Slevorum apostoli"/. Wresz-  
cie, by udowodnili mi, że pogarda dla innego naro-  
du jest z tą "tysiącletnią przynależnością" do po-  
godzenia. Redaktorów "Mostu" zaś bardzo proszę o  
większą odpowiedzialność za to, co publikują. No i  
cozywiście zaraz okaże się, że Omkót i "Most" to  
sympatyczne chłopaki, które nic złego nie mia-  
ły na myśli, tylko jakoś tak gupcio wyszło. I to  
jest bodaj najgroźniejsze.

Otóż wydawało się nam dotychczas, że różnica między prasą  
niezależną, a reżimową typu "Rzeczywistość", "Żołnierz Wol-  
ności" i "Trybuna Ludu", nie polega wyłącznie na odmiennej  
ideologii i opcji politycznej, lecz także - a może przede  
wszystkim - na respektowaniu podstawowych kanonów etyki  
dziennikarskiej. Obowiązuje nas zatem, w przypadku różnicy  
poglądów, prowadzenie polemiki w sposób rzetelny, uczciwy i  
odpowiedzialny, bez inwektyw, insynuacji, fałszowania i po-  
mawiania przeciwnika o same bezczekaństwa.

Nie chcemy domyślać się źródła ataku Dawida Warszawskiego  
na naszego autora, Jana Omkota, i naszą redakcję, przeprowa-  
dzonego w sposób tak pryncypialny, że aż śmieszny. Ote bo-  
wiem Dawid Warszawski ma na wstępie za zła /?/ "Mostowi", że  
obok nazwisk Wałęsy, Kisielewskiego, Hellera i Mroźka zamie-  
ścił tekst podpisany "wdzięcznym" pseudonimem Jana Omkota,  
sam nie widząc żadnej niestosowności w umieszczeniu swojego  
pseudonimu w "KOS-ie", obok nazwisk Bujaka, Bielińskiego,  
Kulerskiego, Lityńskiego i innych...

A w kwestii merytorycznej. Artykuł Jana Omkota "Lumpen-  
ideologia dla lumpenproletariatu" opierał się - co wyraźnie  
zostało napisane i podparte cytatami - na analizie istoty  
stalinizmu oraz sowytyzacji /Homo Sovieticus/ przeprowa-  
dzonej przez Aleksandra Zinowiewa i Allana Besançona. Dawid Wa-  
rzwawski udaje, że o tym nie wie, przypisując Omkotowi tezy  
cytowane. Omkót nie przytoczył nawet części nader obraźli-  
wych dla ludu rosyjskiego opinii Zinowiewa, podkreślając je-  
dynie zasadniczą różnicę doświadczeń historycznych i kultu-  
rowych między tymże ludem, a polską inteligencją. Różnica owa  
wyjaśnia w jakimś stopniu, czemu to proces sowytyzacji  
przebiega w Polsce tak opornie, dlaczego zaś w ZSRR Stalin  
znalazł miliony wyznawców i wielbicieli, którzy utworzyli  
bezprzykładny ilościowo aparat represji. Przecież aby mordo-  
wać, więzić, deportować, torturować, inwigilować itd. dzie-  
siątki milionów ludzi - potrzebne były miliony wykonawców.

Dla Dawida Warszawskiego poglądy Zinowiewa są wraże; być  
może popiera nawet wiarę Sołżenicyna w niewinną Świętą Ruś,  
zgwalczoną przez bolszewików. Rolę, jaką Stalin odegrał wobec  
ludu rosyjskiego, porównuje z rolą Hitlera wobec ludu pols-  
kiego! Czyżby Dawid Warszawski rzeczywiście sądził, że taka  
analogia jest dopuszczalna? Że to niby polskie Gestapo i SS,  
pod wodzą ukochanego Puerera, wymordowały swoich redaków,  
jak rosyjskie Czeka, GPU, NKWD, KGB eksterminowały rosyjs-  
kich współpracowników?!



W ślad za absurdem goni inwektywa: Dawid Warszawski stwierdza, że to, co pisze Onkót, jest haniebne. A jak się nazywa metoda wyrywania 2 zdań z kontekstu i wyrokowania na ich podstawie?

Powtórzmy: nie chcemy dociekać, skąd u Dawida Warszawskiego taka historyczna wręcz reakcja na przypomnienie źródeł fascynacji osobą Stalina. Nie obchodzi nas również, w jakiej gazecie i w jakich czasach Dawid Warszawski uczył się swych osobliwych metod polemicznych. Ośmielamy się jedynie zwrócić uwagę redakcji "KOS-a", aby nie obniżała swojego znakomitego poziomu i nie kierowała łuf przeciw nie istniejącym celom. Czy naprawdę nie mamy paru innych rzeczowych problemów?

Z pozdrowieniami

Chłopaki z "Mostu"

P.S. Wyrazem prawdziwych intencji i nadziei redakcji wobec narodu rosyjskiego jest publikowany w tym samym 4 numerze "Mostu" tekst pod charakterystycznym tytułem "U przyjaciół Moskali", którego - mimo że zajął całe pięć kolumn - Dawid Warszawski nie był łaskaw zauważyć...

x x x

Dziękujemy: Sierżant - 0,6; Meta - 2,5; Anonim - 1.

Jerzemu dziękujemy za 1.



WYDAWNICTWO  
**MOŚĆ**  
WARSZAWA 1986

700 zł